

EMILY HENRY

Powieść autorki bestsellerów

Beach read i Ludzie, których spotykamy na wakacjach!



BOOK LOVERS



Recenzje

„*Book Lovers* to wymarzona lektura dla wielbicieli komedii romantycznych. Ostra jak brzytwa, nowoczesna, z zacieklą bohaterką, która nie przeprasza za swoje ambicje. Emily Henry przyzwyczyła czytelników do świetnego humoru i wątków romansowych, przy których można zemdleć z wrażenia, ale to chyba jej najlepsza powieść. Czuć w niej powiew świeżości”.

– Taylor Jenkins Reid, autor *Malibu płonie*,

bestselleru „New York Timesa”

„Za Emily Henry udałabym się wszędzie. Miasteczko, literackie przedsięwzięcie, wymagająca ratunku księgarnia i seks w strumieniu skąpanym w poświęceniu księżycy? Ależ tak, proszę! *Book Lovers* to książka seksowna, zabawna i bystra. Kolejna satysfakcjonująca lektura Emily Henry”.

– Emma Straub, autorka *All Adults Here*,

bestselleru „New York Timesa”

„Książki Emily Henry to dar, idealna równowaga między pikanterią a słodyczą. Lekkie pióro, czarujący bohaterowie. Jediną wadą jest to, że lektura się kończy”.

– V.E. Schwab, autorka *Niewidzialnego życia Addie LaRue*,

bestselleru „New York Timesa”

„WIADOMO, że jeśli dosłownie masakruję strony, wypisując swój wierny długopis, książka – i autorka – mnie zachwycają... A tak właśnie się działo z boską powieścią Emily Henry. Nie mogłam się doczekać, kiedy pochłonę *Book Lovers*. Jestem urzeczona ironicznym, samokrytycznym poczuciem humoru autorki, urokiem, jaki wnosi do każdego umiejętnie wyczelowanego zdania, i niepowstrzymaną miłością do miłości”.

– Katherine Center, autorka *Things You Safe in a Fire*

oraz *How To Walk Away*, bestsellerów „New York Timesa”

„Czarująca, szczerza i błyskotliwa *Book Lovers* to *Schitt's Creek* dla moli książkowych. Uczta dla każdego, kto pragnął poznać dziewczynę sukcesu z filmu Hallmarku. Nikt nie zaprezentowałby jej lepiej od Emily Henry”.

– Casey McQuiston, autorka *One Last Stop*,

bestselleru „New York Timesa”

Opinie na temat bestsellerowej twórczości Emily Henry

„Pisarstwo Henry to poezja”.

– „The New York Times Book Review”

„Emily Henry dołączyła do grona autorów, których kupuję bez wahania”.

– Jodi Picoult, autorka *Wish You Were Here*,

numeru jeden na liście bestsellerów „New York Timesa”

„Uważam, że Emily Henry to Nora Ephron naszego pokolenia”.

– Sophie Cousens, autorka *Just Haven't Met You Yet*,

bestselleru „New York Timesa”

„Henry ma szczególny dar pisania dialogów. Sprzeczki Poppy i Alexa są tak naturalne, żywiołowe i humorystyczne, że Shonda Rhimes nagrodziłaby je oklaskami”.

– Associated Press o *Ludziach, których spotykamy na wakacjach*

„To, że Henry potrafi dać emocjonalnego czału i rozprawić się równocześnie z literackim pozerstwem, dowodzi jej ogromnych umiejętności”.

– „Entertainment Weekly”

„Doskonała lektura na basen”.

– „Real Simple” o *Ludziach, których spotykamy na wakacjach*

„Siła *Ludzi, których spotykamy na wakacjach*, to bystre spostrzeżenia, dialogi (budzące głośny śmiech), a przede wszystkim bohaterowie. Zabawni, nieudolni, uroczy i zdecydowanie warci zachodu”.

– „The Wall Street Journal”

EMILY HENRY

**BOOK
LOVERS**

Przełożyła
Patrycja Wyszogrodzka-Gaik



*Noosha, ta książka nie jest dla Ciebie.
Wiem już, która będzie, dlatego musisz jeszcze poczekać.*

Tę książkę dedykuję Amandzie, Dache, Danielle, Jessice, Sareer i Taylor. Nie powstałaby, gdyby nie Wy. A nawet jeśli, nikt by jej nie przeczytał. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.



PROLOG

Kiedy książki są twoim życiem – albo, jak w moim przypadku, pracą – wyrabiasz się w zgadywaniu, dokąd zmierza historia. Schematy, archetypy, zwroty akcji zaczynają się katalogować w twoim mózgu, podzielone na kategorie i gatunki.

Mąż jest zabójcą.

Kujonka przechodzi metamorfozę i bez okularów okazuje się zabójczo seksowna.

Facet zdobywa dziewczynę – albo robi to inna dziewczyna.

Ktoś objaśnia skomplikowaną koncepcję naukową, a ktoś inny mówi: „Hmm, po ludzku, proszę”.

Książki mogą się różnić szczegółami, lecz tak naprawdę nie znajdzie się w nich niczego nowego.

Weźmy typową historię miłosną z małego miasta.

Taką, w której cyniczny waśniak z Nowego Jorku lub Los Angeles zostaje przeniesiony do pipidówka, żeby zrujnować rodzinną uprawę choinek i zrobić miejsce dla bezdusznej korporacji.

W której – gdy rzeczona osoba z city trafi już na miejsce – nie wszystko toczy się zgodnie z planem. A to dlatego, że uprawa choinek – lub cukiernia czy cokolwiek, do czego upadku bohater miał doprowadzić – należy do kogoś atrakcyjnego i godnego zachodu.

Główny bohater ma w swoim mieście partnerkę. Osobę bezwzględną, która zachęca go, by zrealizował plan i zniszczył czyjeś życie w imię swojego awansu. Facet odbiera więc od niej telefony, a ona nie daje mu dojść do słowa, wyrzucając z siebie bezduszne rady i pedałując na rowerze stacjonarnym. Jest zła. Ma nienaturalnie jasne włosy zaczesane gładko do tyłu w stylu Sharon Stone z *Nagiego instynktu*, a poza tym nienawidzi bożonarodzeniowych ozdób.

Im więcej czasu bohater spędza z uroczą osobą z cukierni/szwalni/szkółki choinek, tym bardziej się zmienia. Poznaje prawdziwy sens życia!

Wraca do domu odmieniony przez miłość dobrej kobiety. Zaprasza swoją królową lodu na spacer, a ta gapi się na niego z otwartymi ustami, po czym mówi coś w rodzaju: „W tych szpilkach od Manolo? Serio?”. On jej odpowiada, że będzie fajnie. W czasie spaceru może ją poprosić, by spojrzała na gwiazdy. „Przecież wiesz, że nie mogę patrzeć do góry! Właśnie zrobiłam sobie botoks!” – warczy ona w odpowiedzi.

I wtedy dociera do niego, że nie może wrócić do dawnego życia. Nie chce tego! Kończy zimny, niesatysfakcjonujący związek i oświadcza się swojej nowej ukochanej. (Na co komu okres randek?)

W tym momencie krzyczysz: „Przecież nawet jej nie znasz! Jak ma na drugie, fajansie?!”. Twoja siostra Libby, siedząca w drugim końcu pokoju, syczy i rzuca ci w głowę popcornem, nie odrywając wzroku od własnego egzemplarza wypożyczonej z biblioteki książki z pomarszczoną okładką.

I właśnie dlatego spóźniam się na ten lunch.

Bo to jest moje życie. Schemat, który rządzi moimi dniami. Archetyp, na który zostają nałożone moje szczegóły.

Jestem osobą z city. Nie tą, która spotyka seksowną farmerkę. Tą drugą.

Sztywną agentką literacką o zadbanych paznokciach, czytającą rękopisy na siodełku roweru stacjonarnego, niezauważającą spokojnego nadmorskiego krajobrazu na wygaszaczu ekranu komputera.

To ze mną się zrywa.

Czytałam taką historię i przeżyłam ją, dlatego wiem, że znowu mnie to spotka, kiedy lawiruję wśród przechodniów na zatłoczonym chodniku w centrum, z telefonem dociśniętym do ucha.

Jeszcze tego nie powiedział, ale włosy jeżą mi się na karku, a w brzuchu czuję pustkę, kiedy w komiksowym stylu kieruje rozmowę w stronę urwiska.

Grant miał spędzić w Teksasie tylko dwa tygodnie, żeby pomóc dopiąć umowę swojej firmy z butikowym hotelem, który firma usiłowała kupić pod San Antonio. Przeżyłam już dwa zerwania po takim służbowym wyjeździe, dlatego na wieść o tej wyprawie zareagowałam tak, jakby Grant wstąpił do marynarki wojennej i miał rano wypłynąć na misję.

Libby usiłowała mnie przekonać, że przesadzam, ja jednak się nie zdziwiłam, gdy Grant nie odebrał telefonu ode mnie trzy wieczory z rzędu i skrócił dwie rozmowy. Wiedziałam, jak to się skończy.

I wtedy, trzy dni temu, stało się. Na wiele godzin przed jego lotem do domu.

Interwencja siły wyższej zatrzymała go w San Antonio dłużej, niż planował. Pękł mu woreczek robaczkowy.

Teoretycznie mogłam zarezerwować bilet i spotkać się z nim w szpitalu. Tyle że akurat byłam w trakcie ważnej transakcji i musiałam tkwić przyklejona do telefonu ze stabilnym dostępem do wi-fi. Klientka na mnie liczyła. To była dla niej życiowa szansa. Poza tym Grant stwierdził, że wycięcie woreczka robaczkowego to rutynowy zabieg. Jak sam to ujął, „nic wielkiego”.

Zostałam zatem, chociaż w głębi serca czułam, że oto pozwalam bóstwom małomiasteczkowego romansu zrobić to, w czym są najlepsze.

A teraz, trzy dni później, kiedy w zasadzie biegnę sprintem w swoich szczęśliwych szpilkach z pobielającymi kostkami dłoni zaciśniętej na telefonie, echo wbijania ostatniego gwoźdźca w trumnę mojego związku odbija się we mnie w postaci głosu Granta.

– Możesz powtórzyć. – To miało to zabrzmieć jak pytanie. Tymczasem zabrzmiało jak rozkaz.

Grant wzdycha.

– Nie wracam, Noro. W ciągu tego tygodnia wiele się zmieniło. – Chichocze. – Ja się zmieniłem.

W moim zimnym sercu osoby z city rozlega się grom.

– Jest cukiernikiem? – pytam.

Przez moment się nie odzywa.

– Słucham?

– Czy ona jest cukiernikiem? – powtarzam, jakby to było najbardziej uzasadnione pytanie w chwili, gdy chłopak rzuca cię przez telefon. – Ta kobieta, dla której mnie zostawiasz?

Poddaje się po chwili milczenia.

– Jest córką właścicieli hotelu. Postanowili go nie sprzedawać. Zostanę tu i pomogę im go prowadzić.

Nie potrafię się powstrzymać i wybucham śmiechem. Zawsze reagowałam w ten sposób na złe wiadomości. Prawdopodobnie dlatego dostałam rolę Podłej Baby w spektaklu swojego życia. Ale co mogę zrobić? Mam się zalać łzami na zatłoczonym chodniku? Na co by się to zdało?

Zatrzymuję się przed restauracją i dociskam palcami powieki.

– Tak dla jasności – mówię, żeby się upewnić – rezygnujesz z fantastycznej pracy, fantastycznego mieszkania i ze mnie, by przenieść się do Teksasu? I związać z kimś, kogo w najlepszym razie można opisać jako „córkę właścicieli hotelu”?

– W życiu są ważniejsze rzeczy niż pieniądze i kariera, Noro – prychna on.

Znowu parskam śmiechem.

– Mówisz poważnie?

Grant jest synem potentata hotelowego, miliardera. „Karmiony srebrną łyżką” to za mało, by opisać jego sytuację. Prawdopodobnie podcierał się pozłacanym papierem toaletowym.

Dla Granta studia były formalnością. Podobnie jak staż. Cóż, noszenie spodni było formalnością! Dostał pracę dzięki nepotyzmowi.

Dlatego właśnie jego ostatni komentarz niesie aż tyle treści, metaforycznej, jak i dosłownej.

Chyba wygłosiłam swoją ostatnią myśl na głos, bo pyta:

– Co to miało znaczyć?

Zaglądam przez okno do wnętrza restauracji, a potem sprawdzam godzinę na telefonie. Spóźniłam się – a ja nigdy się nie spóźniam. Nie takie pierwsze wrażenie chciałam zrobić.

– Grant, jesteś trzydziestoczteroletnim dziedzicem. W przypadku większości ludzi praca ma bezpośredni związek z zapewnianiem sobie jedzenia...

– Widzisz? – przerywa mi. – Właśnie z takim punktem widzenia zrywam. Potrafisz być taka zimna, Noro. Chastity* i ja chcemy...

To nie jest zamierzone – nie silę się na uszczypliwość – kiedy kwituję jej imię rehotem. Rzecz w tym, że w obliczu niedorzecznie złych wydarzeń opuszczam swoje ciało i obserwuję wszystko z boku, myśląc: Serio? Wszechświat tak postanowił? To chyba lekka przesada?

Tym razem wszechświat rzucił mojego chłopaka w ramiona kobiety o imieniu sugerującym, że

potrafi ona zadbać o nietykalność swojej błony dziewiczej. Przecież to zabawne.

Grant prycha.

– To dobrzy ludzie, Noro. Są solą tej ziemi. I właśnie z taką osobą pragnę być. Nie graj zdenerwowanej...

– Kto tu gra?

– Nie potrzebowałaś mnie...

– Oczywiście, że cię nie potrzebuję! – Zbyt ciężko pracowałam na swoją niezależność, żeby ktoś nagle miał wyciągnąć korek i spuścić mnie w odpływ.

– Nigdy nawet u mnie nie nocowałaś... – kontynuuje.

– Mój materac jest obiektywnie lepszy! – Szukałam go przez dziewięć i pół miesiąca. Mniej więcej tyle czasu się z kimś spotykam. Historia znowu się powtarza.

– ...więc nie udawaj, że masz złamane serce. Nie jestem pewien, czy twoje serce w ogóle dałoby się złamać.

I znowu muszę się zaśmiać.

W tej kwestii się bowiem myli. Po prostu kiedy czyjeś serce rozpadło się na kawałeczki, tego rodzaju rozmowa to pikuś. Serce może drgnie, mruknie, ale się nie złamie.

Grant tymczasem złapał falę.

– Nigdy nie widziałem, żebyś płakała.

„Nie musisz dziękować”, mam ochotę powiedzieć. Ile razy mama mówiła nam, śmiejąc się przez łzy, że jej ostatni amant nazwał ją zbyt emocjonalną?

Tak to już jest. Kobieta nie ma patentu na właściwe postępowanie. Okazujesz emocje – jesteś histeryczką. Chowasz je, żeby chłopak nie musiał się nimi zajmować – jesteś zołą bez serca.

– Muszę kończyć, Grant.

– Oczywiście.

Zamierzam tylko wywiązać się z podjętego wcześniej zobowiązania, ale według niego to najwyraźniej dowodzi, że jestem złym robotem, który sypia na łóżku zaśłanym studolarowymi banknotami i diamentami. (Żeby tylko).

Rozłączam się bez słowa pożegnania i staję pod markizą przed drzwiami restauracji. Oddycham głęboko, żeby się uspokoić, i czekam, czy pojawią się łzy. Nie pojawiają się. Jak zawsze. Nie przeszkadza mi to.

Mam do zrealizowania zadanie i w przeciwieństwie do Granta zamierzam je wypełnić – dla siebie i wszystkich z Agencji Literackiej Nguyena.

Przyglądam włosy, ściągam łopatki i wchodzę do lokalu. Podmuch z klimatyzacji sprawia, że moje ramiona pokrywają się gęsią skórką.

Jak na lunch jest już dość późno, więc nie ma tłumy. W głębi widzę Charliego Lastrę, ubranego na czarno, jakby był metropolitarnym wampirem branży wydawniczej. Nie znamy się osobiście, ale dwukrotnie przeczytałam ogłoszenie w „Publishers Weekly” informujące o jego awansie na stanowisko redaktora naczelnego Wharton House Books i zapisałam jego fotografię w pamięci: surowe ciemne brwi, jasnobrązowe oczy, lekka zmarszczka na brodzie pod pełnymi ustami. Na policzku ciemny pieprzyk, który – jeśli Charlie byłby kobietą – uznano by za uroczy.

Do czterdziestki brakuje mu pewnie kilku lat, a jego twarz można by nazwać chłopięcą, gdyby nie malujące się na niej zmęczenie, i siwizna, która przyprószyła czarne włosy.

No i ściąga brwi. Czy ma nadąsaną minę? Wydyma wargi? Marszczy czoło? Robi to równocześnie?

Spogląda na zegarek.

To zły znak. Tuż przed tym, jak wyszłam z biura, Amy, moja szefowa, ostrzegła mnie, że Charlie jest nadzwyczaj drażliwy, ale nie zmartwiło mnie to.

Cechuje mnie punktualność. No, chyba że ktoś zrywa ze mną przez telefon. Wtedy spóźniam się o sześć i pół minuty.

– Cześć! – Wyciągam rękę, zbliżając się do niego. – Nora Stephens. Tak się cieszę, że wreszcie poznamy się osobiście!

Wstaje, a jego krzesło skrzypi o podłogę. Ciemny ubiór, mroczne oblicze i ogólna postawa są jak czarna dziura – wysysają z niego światło, pochłaniają je bez reszty. Większość ludzi sięga po czerń jako wyraz spokojnego profesjonalizmu, u niego jednak chyba jest to Wybór przez duże „W”. Połączenie luźnego swetra z wełny z merynosów, spodni i oksfordów nadaje mu charakter celebryty przyłapanego na ulicy przez paparazzo. Łapię się na tym, że liczę, ile dolarów amerykańskich ma na sobie. Libby nazywa to moim „niepokojącym nawykiem klasy średniej”, ale ja po prostu uwielbiam ładne rzeczy i często przeglądam je w internecie w ramach ukojenia po stresującym dniu.

Kreację Charliego szacuję na osiemset do tysiąca dolarów. To mój zakres, jeśli mam być szczerą, choć wszystko, co na sobie mam, z wyjątkiem butów, kupiłam w lumpeksie.

Charlie przygląda się mojej dłoni przez dwie długie sekundy, po czym wreszcie wymieniamy uścisk.

– Spóźniłaś się. – Siada, nie patrząc mi w oczy.

Czy jest coś gorszego od mężczyzny, który stawia się ponad przyjęte zasady relacji społecznych tylko dlatego, że urodził się z atrakcyjną twarzą i grubym portfelem? Grant zużył całą moją tolerancję dla zadufanych w sobie dupków. Mimo to muszę dalej grać – dla dobra moich autorów.

– Wiem. – Uśmiecham się przeproszająco, chociaż nie przeproszam. – Dziękuję, że na mnie zaczekałeś. Pociąg zatrzymał się między stacjami. Wiesz, jak to jest.

Kiedy posyła mi spojrzenie, jego oczy wydają się ciemniejsze, tak mroczne, jakby źrenic nie otaczały tęczówki. Wyraz jego twarzy zdradza, że wcale nie wie, jak to jest, kiedy pociąg zatrzymuje się między stacjami.

Prawdopodobnie nie jeździ metrem.

Przypuszczalnie przemieszcza się błyszczącą czarną limuzyną albo gotyckim powozem ciągniętym przez konie rasy clydesdale.

Zsuwam z ramion żakiet (w jodełkę, Isabel Marant) i siadam naprzeciwko niego.

– Zamówiłaś już coś?

– Nie – rzuca.

I nic więcej.

Moja nadzieja niknie.

Umówiliśmy się na ten zapoznawczy lunch przed kilkoma tygodniami. W piątek wysłałam mu nowy rękopis jednej z moich najstarszych klientek, Dusty Fielding. A teraz się zastanawiam, czy powinnam przedstawiać temu człowiekowi któregokolwiek ze swoich pisarzy.

Sięgam po menu.

– Serwuj tu fenomenalną sałatkę z kozim serem.

Charlie zamyka kartę i patrzy na mnie.

– Zanim pójdziemy dalej – odzywa się, ściągnąwszy czarne brwi, głosem niskim i chropawym – powinienem cię poinformować, że nowa książka Fielding jest nie do przyjęcia.

Szczęka mi opada. Nie wiem, co mam na to powiedzieć. Po pierwsze, nie zamierzałam rozmawiać o tej książce. Jeśli Charlie chciał ją odrzucić, mógł to zrobić mejlowo. A nie używając zwrotu „nie do przyjęcia”. Lecz nawet abstrahując od tego, każdy porządny człowiek poczekałby z rzucaniem obelgami do czasu, aż na stole pojawi się jedzenie.

Zamykam kartę i splatam dłonie na stole.

– Uważam, że to jej najlepsza powieść.

Dusty wydała już trzy inne, z których każda była fantastyczna, tyle że żadna się dobrze nie sprzedała. Jej ostatni wydawca nie chciał dać jej kolejnej szansy, dlatego wróciła do szukania nowego domu dla swojego nowego dzieła.

W porządku, może to nie jest moja ulubiona książka jej autorstwa, ale ma ogromny potencjał i wiem, czym może się stać pod skrzydłami właściwego wydawcy.

Charlie odchyła się na krzesło, a jego ciężkie, uważne spojrzenie sprawia, że po plecach przebiega mi dreszcz. Jakby mnie prześwietlał wzrokiem, widział poszarpane krawędzie pod lśniąca fasadą uprzejmości. Jego oczy mówią: „Zetrzyj z twarzy ten sztuczny uśmiech. Nie jesteś aż tak miła”.

Obraca w dłoni szklankę z wodą.

– Jej najlepsza książka to *Chwała rzeczom małym* – stwierdza, jakby trzysekundowy kontakt wzrokowy wystarczył mu do rozszyfrowania moich najskrytszych myśli.

Prawdę powiedziawszy, to jedna z moich ulubionych książek ostatniej dekady, co nie znaczy, że ta, o której mówimy, jest do kitu.

– Ta powieść jest tak samo dobra – rzucam. – Po prostu jest inna. Może nie tak łagodna, ale ma filmowy potencjał.

– Nie tak łagodna? – Charlie mruży oczy. Wreszcie na powrót przybrały odcień złotego brązu, dzięki czemu nie mam tak silnego wrażenia, że wypalą we mnie dziurę. – To brzmi tak, jakbyś chciała nazwać Charlesa Mansona guru stylu życia. Może masz rację, ale nie w tym rzecz. Po lekturze tej książki czuję się jak ktoś, kto po obejrzeniu reklamy społecznej na rzecz przeciwdziałania okrucieństwu wobec zwierząt pomyślał: A gdyby tak wszystkie szczenięta zdechły przed kamerą?

Wyrzywa mi się poirytowany śmiech.

– Dobra, ta cię nie porwała. Ale może pomocne by było, gdybyś mi powiedział, co ci się w niej podobało. Wiedziałabym wówczas na przyszłość, co ci podsyłać.

„Kłamczucha – mówi mój mózg. – Nie sprzedasz mu innych książek”.

„Kłamczucha – mówią sowie oczy o niepokojącym spojrzeniu. – Nie sprzedasz mi innych książek”.

Ten lunch – potencjalna zawodowa relacja – spalił na panewce.

Charlie nie chce ze mną pracować, a ja nie chcę pracować z nim – a jednak zastanawia się nad moim pytaniem.

– Jak na mój gust ta powieść jest zbyt sentymentalna – odpowiada w końcu. – Bohaterowie są karykaturalni...

– Są ekscentryczni – oponuję. – Moglibyśmy ich trochę wygładzić, chociaż jest ich wielu... Dziwactwa pomagają ich rozróżniać.

– A miejsce akcji...

– Co z nim nie tak? – Miejsce akcji powieści *Raz w życiu* ma decydujące znaczenie. – Sunshine Falls jest urocze.

Charlie prychnie i przewraca oczami.

– Całkowicie nierealistyczne.

– Istnieje naprawdę! – odparowuję. Dusty przedstawiła górskie miasteczko w sielankowych barwach, więc wyszukałam je w Google. Sunshine Falls w Karolinie Północnej leży nieopodal Asheville.

Charlie kręci głową. Wydaje się poirytowany.

No to jest nas dwoje.

Nie podoba mi się. Jeśli ja jestem archetypową Osobą z Miasta, on jest Ponurakiem, Nudziarzem, Malkontentem, Burkliwym Mizantropem, Oskarem Zrzędą, Heathcliffem w drugiej odsłonie, najgorszym wydaniem pana Knightley'a.

Szkoda, bo słynie z tego, że ma magiczny dotyk. Kilka moich zaprzyjaźnionych agentek nazywa go Midasem, jakby wszystko, czego dotknie, zamieniało się w złoto. (Aczkolwiek inni zwą go Chmurą Burzową, bo „sprowadza deszcz pieniędzy, ale jakim kosztem?”).

Rzecz w tym, że Charlie Lastra wybiera zwycięzców. I nie stawia na *Raz w życiu*. Krzyżuję ręce na piersiach, by dodać sobie pewności.

– Mówię ci, że Sunshine Falls istnieje. Nieważne, jak bardzo wymyślone ci się wydaje.

– Może i tak – ulega. – Ale ja ci mówię, że Dusty Fielding nigdy tam nie była.

– A jakie to ma znaczenie! – Rezygnuję z udawanej uprzejmości.

Usta Charliego drgają w reakcji na mój wybuch.

– Chciałaś się dowiedzieć, co mi się w tej książce nie podobało...

– Co ci się podobało – poprawiam go.

– ...nie podobało mi się miejsce akcji.

Zarodek gniewu przesuwają się gwałtownie przez moją tchawicę i zakorzenia w płucach.

– Może by mi pan powiedział, jakich książek pan oczekuje, panie Lastra?

Rozluźnia się do tego stopnia, że siedzi teraz rozparty na krześle, ospały i rozciągnięty jak dziki

kot bawiący się swoją ofiarą. Znowu obraca szklanę. Uznałam to za nerwowy tik, tymczasem może to być mało wyszukana tortura. Mam ochotę zrzucić ją ze stołu.

– Oczekuję – odzywa się wreszcie – wczesnej Fielding. *Chwały rzeczom małym*.

– Nie sprzedała się.

– Bo wydawca nie potrafił jej sprzedać – kwituje. – Wharton House by potrafili. Ja również. Brwi podjeżdżają mi do góry. Robię wszystko, co w mojej mocy, by ściągnąć je na miejsce. W tym momencie podchodzi do nas kelnerka.

– Może jakaś przystawka na czas przeglądania menu? – pyta słodko.

– Poproszę sałatkę z kozim serem – mówi Charlie, nie patrząc na żadną z nas.

Pewnie nie może się już doczekać, by moją ulubioną sałatkę też skrytykować.

– A dla pani?

Tłumie dreszcz, który przebiega mi po plecach za każdym razem, gdy dwudziestokilkulatka zwraca się do mnie tak oficjalnie. Pewnie tak się czują duchy, kiedy ludzie przechodzą po ich grobach.

– Poproszę to samo – mówię. A ponieważ to był potworny dzień i nie ma tu nikogo, na kim chciałabym zrobić wrażenie, a ponadto jestem skazana na co najmniej czterdzieści minut w towarzystwie faceta, z którym nie zamierzam pracować, dodaję: – Oraz gin z martini. Wytrawnym.

Brwi Charliego lekko drgają. Jest czwartek, trzecia po południu, więc to nie do końca happy hour, ale zważywszy na spowolnienie branży latem i fakt, że większość ludzi robi sobie wolne piątki, można uznać, iż zaczyna się weekend.

– Kiepski dzień – rzucam pod nosem, gdy kelnerka odchodzi z naszym zamówieniem.

– Nie tak zły jak mój – odpowiada Charlie. Reszta jego przemilczanej wypowiedzi zawisa w powietrzu: „Przeczytałem osiemdziesiąt stron *Raz w życiu*, a potem przyszedłem na spotkanie z tobą”.

Prycham.

– Naprawdę nie podobało ci się miejsce akcji?

– Nie wyobrażam sobie innego, w którym tak bardzo nie chciałbym spędzić kolejnych czterystu stron.

– Wiesz co? Jesteś tak miły, jak mi opowiadano.

– Nie potrafię kontrolować tego, co czuję – odpowiada chłodno.

Najeżam się.

– To brzmi tak, jakby Charles Manson powiedział, że to nie on zamordował. Z technicznego punktu widzenia może to być prawdą, ale nie o to chodzi.

Gdy po chwili kelnerka przynosi moje martini, Charlie burczy:

– Poproszę to samo.

* * *

Wieczorem tego samego dnia dostaję mejla, którego odczytuję na swoim telefonie.

Cześć, Noro!

Miej mnie na uwadze przy kolejnych projektach Dusty.

Charlie

Nie mogę się powstrzymać i przewracam oczami. Żadnego „Miło było Cię poznać” ani „Mam nadzieję, że dobrze się czujesz”. Nie przejmuje się nawet podstawowymi uprzejmościami. Zgrzytając zębami, odpisuję w jego stylu:

Charlie,

jeżeli napisze coś o guru stylu życia Charliem Mansonie, dowiesz się o tym jako pierwszy.

Nora

Wsuwam komórkę do kieszeni dresów i otwieram drzwi łazienki, by przystąpić do dziesięcioetapowej pielęgnacji skóry (zwanej też najlepszymi trzema kwadransami mojego dnia). Telefon wibruje, więc go wyciągam.

N!

Punkt dla ciebie: bardzo chcę to przeczytać.

C

Muszę mieć ostatnie słowo, więc piszę: Cześć. (Dobrej nocy mu nie życzę.)

Z najlepszymi – odpowiada, jakby podpisywał nieistniejącą wiadomość.

Tylko jednego nie lubię bardziej od butów bez obcasów – przegranej. Piszę więc: x.

Bez odpowiedzi. Szach-mat.

Po tym dniu z piekła rodem małe zwycięstwo sprawia, że odzyskuję wiarę w świat. Przeprowadzam rytuał pielęgnacji skóry do końca. Następnie czytam pięć cudownych rozdziałów makabrycznego kryminału i zasypiam na doskonałym materacu, nie poświęcając ani jednej myśli Grantowi ani jego nowemu życiu w Teksasie.

Śpię jak dziecko.

Albo jak królowa lodu.

* *Chastity* (ang.) – cnota, abstynencja seksualna, czystość, niewinność. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Dwa lata później

Miasto się gotuje. Na asfalcie wykwitają bąble. Śmieci na chodniku cuchną. Mijane przez nas rodziny jedzą lody na patyku, które topnieją w mgnieniu oka i spływają po palcach. Promienie słońca odbijają się od budynków niczym laserowy system zabezpieczający z przestarzałego filmu akcji. A ja czuję się jak obłany lukrem pączek pozostawiony na upale na cztery dni.

Tymczasem Libby, która jest w piątym miesiącu ciąży, wygląda, jakby się wyrwała z reklamy szamponu.

– Trzeci raz – mówi z szacunkiem. – Jak można zostać rzuconym trzy razy z rzędu dlatego, że partner postanowił całkowicie zmienić styl życia?

– Chyba mam szczęście – odpowiadam. Tak naprawdę to już czwarty raz, ale nie potrafię się zmusić, by zapoznać ją ze szczegółami swojego rozstania z Jakobem. Minęło tyle lat, a ja wciąż nie umiem opowiedzieć tej historii samej sobie.

Libby wzdycha i bierze mnie pod ramię. Skóra klei mi się od gorąca i wilgoci, tymczasem moja siostrzyczka jest cudownie sucha i jedwabista.

Odziedzyczyłam po mamie sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ale reszta jej cech przypadła mojej siostrze – od złocistych włosów po duże lazuruwobłękitne oczy i piegi na nosie. Niską krągłą sylwetkę Libby odziedzyczyła prawdopodobnie po ojcu, chociaż nie jesteśmy tego pewne – odszedł, gdy miałam trzy lata, kilka miesięcy przed narodzinami Libby. Kiedy mam naturalny kolor włosów, jest to nijaki popielaty blond, błękit moich oczu zaś nie budzi skojarzeń z morską idyllą, raczej z ostatnim widokiem tuż przed tym, jak woda zamarza nad tobą i toniesz.

Libby jest Marianną, a ja Eleonorą, ona jest Meg Ryan, ja – Parker Posey.

Jest też zdecydowanie moim najbardziej ulubionym człowiekiem na świecie.

– Och, Noro... – Zagarnia mnie do siebie, gdy zbliżamy się do przejścia dla pieszych.

Pławię się w tej bliskości. Bez względu na to, jak gorączkowe prowadzimy życie, zawsze odnosiłam wrażenie, że istnieje jakiś wewnętrzny metronom dbający o naszą synchronizację. Sięgam po telefon, by się z nią skontaktować, a on już dzwoni albo wysyła wiadomość z propozycją lunchu i okazuje się, że przebywamy akurat w tej samej części miasta. Przez ostatnie miesiące jednak ciągle się mijałyśmy niczym okręty na nocnym morzu. A raczej łódź podwodna i wiosłowa na dwóch różnych jeziorach.

Odrzucam połączenia od niej, gdy uczestniczę w spotkaniu, a kiedy oddzwaniem, Libby już śpi. Wreszcie zaprasza mnie na wieczór, w który obiecałam wyjść gdzieś z klientem. A do tego to wrażenie dystansu, jak już uda nam się spotkać. Jakby była tylko połowicznie obecna. Jakby nasze metronomy wystukiwały różne rytmy i nie potrafiły się zgrać nawet wtedy, kiedy znajdujemy się obok siebie.

Początkowo przypisywałam to stresowi związanemu z dzieckiem, ale z biegiem czasu moja siostra zdawała się ode mnie oddalać. W zasadzie rozjechałyśmy się w sposób, jakiego nie potrafię nazwać. I pomimo wymarzonego materaca i chmurki olejku lawendowego budzę się i odgrzewam w myślach nasze ostatnie rozmowy, jakbym szukała w nich niewielkich pęknięć.

Światło na przejściu zmieniło się na zielone, mimo to kilku narwanych kierowców wjeżdża na pasy. Jakiś facet w eleganckim garniturze wchodzi na ulicę i Libby ciągnie mnie za nim. Powszechnie wiadomo, że taksówkarze z zasady nie wjeżdżają w kogoś, kto wygląda tak jak ten mężczyzna. Jego strój informuje: „Jestem gościem, który ma prawnika”, albo po prostu: „Jestem prawnikiem”.

– Myślałam, że tobie i Andrew było razem dobre – mówi Libby, gładko wracając do naszej rozmowy. Cóż, pomijając fakt, że mój były miał na imię Aaron, nie Andrew. – Nie rozumiem, co poszło nie tak. Chodziło o pracę?

Strzela w moją stronę oczami, gdy mówi o pracy, co budzi we mnie kolejne wspomnienie:

spóźniona wchodzę ukradkiem do mieszkania podczas czwartych urodzin Bei, a Libby patrzy na mnie wzrokiem skrzywdzonego szczeniaka, domyśliwszy się, że to „przez pracę”. Przyjęła moje przeprosiny, ale teraz się zastanawiam, czy to w tym momencie zaczęłam ją tracić, w owej sekundzie, w której nasze drogi rozeszły się odrobinę za bardzo i szwy zaczęły puszczać.

– Problem polega na tym – odzywam się – że w poprzednim życiu potężna czarownica przeklęła moje życie miłosne. On się przeprowadza na Wyspę Księcia Edwarda.

Zatrzymujemy się przed kolejnym skrzyżowaniem i czekamy, aż ruch zwolni. Jest sobota, połowa lipca, absolutnie wszyscy wyszli z domów, narzuciwszy na siebie minimalną dopuszczalną prawem garderobę, i zajądają lejące się lody Big Gay, a także rzemieślnicze rożki wypełnione czymś, co nie powinno nawet leżeć w pobliżu deseru.

– Czy wiesz, co można obejrzeć na Wyspie Księcia Edwarda? – pytam.

– Anię Shirley?

– Ania już dawno nie żyje – zauważam.

– Ojej, to przykre.

– Jak można chcieć przenieść się stąd w miejsce, gdzie największą atrakcją jest Kanadyjskie Muzeum Ziemniaka? Umarłabym z nudów.

Libby wzdycha.

– No nie wiem. Chętnie bym się teraz trochę ponudziła.

Zerkam na nią spod oka. Fryzurę ma idealną, skórę uroczo zarumienioną, ale zauważam nowe szczegóły, sygnały, których wcześniej nie dostrzegałam. Opuszczone kąciki ust. Lekko zapadnięte policzki. Wygląda na zmęczoną i starszą niż zwykle.

– Przepraszam – mówi jakby do siebie. – Nie chcę być Smutną Oklapniętą Mamuską, tyle że... naprawdę muszę się wyspać.

W głowie mi się kłębi i zastanawiam się gorączkowo, jak mogę zadziałać. Brendan i Libby od zawsze mają kłopoty z pieniędzmi, niemniej od lat odmawiają przyjęcia pomocy, więc muszę szukać kreatywnych sposobów wspierania ich.

Rozmowa telefoniczna, która może, ale nie musi, wzbudzić w niej irytacji, taki Urodzinowy Koń Trojański. „Klientka odwołała przyjazd i opłata za pokój w St. Regis nie zostanie zwrócona, więc sensownie będzie urządzić tam sobie babskie pizama party w środku tygodnia”.

– Wcale nie jesteś Smutną Oklapniętą Mamuską – oznajmiam, ściskając ją za rękę. – Jesteś Supermamą. Jesteś fantastyczną laską w kombinezonie na targu w Brooklynie, która taszczy pięćset pięknych dzieciaków, olbrzymi bukiet polnych kwiatów i kosz pełen niekształtnych pomidorów. Masz prawo być zmęczona, Lib.

Moja siostra mruży oczy.

– Kiedy ostatnio liczyłaś moje dzieci? Bo mam ich dwoje.

– Nie chcę wzbudzać w tobie poczucia, że jesteś złym rodzicem – odpowiadam, dziobiąc ją palcem w brzuch – ale jestem na osiemdziesiąt procent pewna, że nosisz tu kolejne.

– No dobra, dwoje i pół. – Ostrożnie strzela oczami w moją stronę. – A jak się czujesz tak naprawdę? Wiesz, w związku z tym rozstaniem.

– Spędziliśmy ze sobą tylko cztery miesiące. To nie było nic poważnego.

– Powaga zależy od natury randek – stwierdza. – Jeżeli ktoś może się udać z tobą na trzecią kolację, to znaczy, że spełnił czterysta pięćdziesiąt kryteriów. Nie można mówić o zwykłych randkach, jeśli znasz grupę krwi tego człowieka.

– Nie znam. U moich facetów wystarczy mi ich pełen raport kredytowy, ocena psychologiczna i przysięga krwi.

Libby ze śmiechu odrzuca głowę do tyłu, a ja, jak zawsze, gdy udaje mi się ją rozbawić, czuję wyrzut serotoniny prosto do serca. A może do mózgu? Tak, prawdopodobnie do mózgu. Obecność serotoniny w sercu raczej nie jest wskazana. Tak czy inaczej śmiech Libby wywołuje we mnie poczucie, że mam wpływ na cały świat, sprawuję pełną kontrolę nad sytuacją.

Może świadczy to o mojej narcystycznej osobowości, a może po prostu jestem trzydziestodwulatką pamiętającą całe tygodnie, w czasie których nie mogłam wyciągnąć z łóżka

pograżonej w rozpaczy siostry.

– Hej... – Libby zwalnia, kiedy uświadamia sobie, gdzie się znajdujemy. – Spójrz.

Gdyby ktoś spuścił nas do miasta na spadochronach z zawiązanymi oczami, pewnie też byśmy tu trafiły i gapiły się tęsknie na Freeman Books, księgarnię w West Village, nad którą kiedyś mieszkałyśmy. W malutkim mieszkaniu mama wirowała z nami w kuchni, gdy we trzy śpiewałyśmy *Baby Love The Supremes* do sztuczków służących nam za mikrofony. To tutaj spędziłyśmy niezliczone wieczory skulone na różowo-kremowej kanapie, oglądając filmy z Katharine Hepburn i podjadając śmieciowe jedzenie wyłożone na przytarganą z ulicy ławę z brakującą nogą zastąpioną przez stos książek w twardych okładkach.

W książkach i filmach bohaterki takie jak ja mieszkają w loftach z betonową podłogą, w otoczeniu nijakiej sztuki nowoczesnej i wysokich na ponad metr wazonów z rosochatymi czarnymi gałęziami (nie mam pojęcia czemu). W realnym życiu wybrałam mieszkanie, sugerując się tym, że jest podobne do tamtego: są w nim stare drewniane podłogi, miękkie tapety, syczący grzejnik w rogu i wpuszczone w ścianę regały, wypchane po brzegi książkami w miękkich okładkach z antykwariatów. Sztukaterię przy suficie malowano tyle razy, że straciła ostre krawędzie, a wysokie wąskie okna wypaczył czas.

Ta mała księgarnia i mieszkanie nad nią to moje ulubione miejsca na ziemi.

I kocham je nawet, pomimo że to tutaj nasze życie zostało złamane dwanaście lat temu.

– O rety! – Libby chwyta mnie za ramię i macha w stronę witryny. Ułożono tam piramidę z *Raz w życiu*, bestselleru Dusty Fielding w nowej, nawiązującej do ekranizacji okładce. Moja siostra wyciąga telefon. – Musimy zrobić zdjęcie!

Nikt nie zakochał się w książce Dusty tak bardzo jak ona. A to o czymś świadczy, bo powieść sprzedała się w ciągu sześciu miesięcy w milionie egzemplarzy. Ludzie nazywają ją książką roku. Spotkaniem *Mężczyzny imieniem Ove z Małym życiem*.

Co ty na to, Charlie Lastro? – myślę sobie, jak zawsze, gdy wspominam tamten fatalny lunch. Lub za każdym razem, kiedy mijam drzwi jego zamkniętego biura (z tym większą lubością, odkąd przeniósł się do pracy w wydawnictwie, które wydało *Raz w życiu*, gdzie na każdym kroku otaczają go przypominajki świadczące o moim sukcesie).

No dobra, myślę tak bardzo często.

– Obejrzę ten film pięćset razy – informuje mnie Libby. – Z rzędu.

– Włóż pieluchę – radzę jej.

– Niekoniecznie. Będę tyle płakała, że zabraknie mi płynów na siku.

– Nie miałam pojęcia, że masz... tak rozległą wiedzę naukową.

– Kiedy czytałam tę książkę ostatnio, płakałam tak rzewnie, że nadwyrężyłam sobie jakiś mięsień w plecach.

– Pomyśl o tym, by więcej ćwiczyć.

– To było niegrzeczne. – Libby wskazuje na swój ciężowy brzuch i rusza w stronę baru z sokami.

– Zajmijmy się lepiej twoim życiem miłosnym. Musisz wrócić na scenę.

– Lib, rozumiem, że spotkałaś miłość swojego życia w wieku dwudziestu lat i przez to nie chodziłaś na prawdziwe randki, ale spróbuj sobie wyobrazić świat, w którym trzydzieści procent takich spotkań prowadzi do odkrycia, że siedzący naprzeciwko ciebie facet jest fetyszystą i ma świra na punkcie stopy, łokcia lub rzepki w kolanie.

Przeżyłam szok, kiedy moja kapryśna, romantyczna siostra zakochała się w starszym o dziewięć lat księgowym, który uwielbia czytać o pociągach. Niemniej Brendan okazał się najbardziej solidnym facetem, jakiego znam, i już dawno zaakceptowałam fakt, że on i moja siostra są bratnimi duszami.

– Trzydzieści procent?! – wykrzykuje Libby. – Z jakich randkowych apek korzystasz, Nora?

– Z normalnych!

Owszem, zawsze na starcie pytam o fetysze. To nie tak, że te trzydzieści procent mężczyzn informuje o swoim zboczeniu po dwudziestu minutach rozmowy. Kiedy Amy, moja szefowa, poszła ostatnio do domu z niezwyrodną kobietą, wydało się, że ta ma specjalny pokój wypełniony od podłogi po sufit ceramicznymi lalkami. Jak bardzo kłopotliwe byłoby zakochać się w kimś, a potem

dowiedzieć, że ma pokój dla lalek? Bardzo.

– Możemy na chwilę usiąść? – pyta Libby, trochę już zziębnięta.

Omijamy grupę niemieckich turystów, by przycupnąć na parapecie w oknie kawiarni.

– Dobrze się czujesz? – pytam. – Podać ci coś? Może wodę?

Kręci głową i odgarnia włosy za uszy.

– Jestem po prostu zmęczona. Muszę odpocząć.

– Może powinniśmy urządzić sobie dzień w SPA? – proponuję. – Dostałam kartę podarunkową...

– Po pierwsze – przerywa mi – kłamiesz i ja to wiem. A po drugie... – Zagryza pociągniętą różowym błyszczkiem wargę – myślałam o czymś innym.

– Dwa dni? – zgaduję.

Uśmiecha się nieśmiało.

– Zawsze narzekasz, że w sierpniu w branży wydawniczej nic się nie dzieje, prawda?

– Mam masę pracy – oponuję natychmiast.

– Nic, co wymagałoby od ciebie przebywania w mieście – kwituje. – Więc może byśmy wyjechały? Wyrwały się na trochę, zrelaksowały? Przyda mi się chwila oddechu od czyichś wydzielin na moim ciele, a ty mogłabyś zapomnieć o tej historii z Aaronem. Mogłybyśmy... odpocząć od bycia Zmęczoną Supermamą i Elegancką Kobietą Sukcesu, którymi musimy być przez jedenaste miesiące w roku. Może nawet mogłabyś zaczerpnąć co nieco z historii swoich byłych i wdać się w burzliwy romans z miejscowym łowcą homarów?

Gapię się na nią, próbując odgadnąć, na ile poważnie mówi.

– Rybakiem? Łowiącym homary? – ciągnie.

– Przecież już dawno razem nie wyjeżdżamy – zauważam.

– No właśnie – odpowiada Libby z nutą podenerwowania w głosie. Bierze mnie za rękę, a wtedy dostrzegam jej obgryzione paznokcie.

Próbuję przełknąć ślinę, ale mam wrażenie, że na przełyku zaciska mi się imadło. W tym momencie nabieram bowiem nagle pewności, że chodzi o coś więcej niż zwyczajne problemy finansowe, brak snu czy irytację związaną z moją pracą.

Sześć miesięcy temu wiedziałabym dokładnie, co się dzieje. Nie musiałabym nawet o nic pytać. Ona wpadłaby do mojego mieszkania niezapowiedziana, rzuciła się na kanapę i powiedziała: „Wiesz, co mnie ostatnio trapi, siostra?”. A wtedy ja położyłabym jej głowę na swoich kolanach i gładziła ją po włosach, podczas gdy ona wylewałaby z siebie swoje troski przy kieliszku wytrawnego białego wina.

Teraz jednak jest inaczej.

– To nasza szansa, Noro – mówi cicho, nagłaco. – Jedźmy gdzieś. Tylko we dwie. Ostatnio pojechałyśmy do Kalifornii.

Żołądek mi się zaciska, a potem robi salto. Tamta wyprawa – podobnie jak związek z Jakobem – należy do okresu mojego życia, do którego z całych sił staram się nie wracać.

W zasadzie wszystko, co robię, służy temu, abyśmy obie nigdy więcej nie znalazły się w tym mrocznym miejscu, do którego trafiłyśmy po śmierci mamy. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że nie widziałam jej w takim stanie, jakby na skraju załamania, od tamtej pory.

Przełykam z trudem ślinę.

– Możesz wyjechać od razu?

– Rodzice Brendana pomogą przy dziewczynkach. – Libby ściska moje dłonie, a jej niebieskie oczy goreją nadzieją. – Gdy dziecko przyjdzie na świat, przez jakiś czas będę pustą skorupą. Zanim to się stanie, chcę spędzić trochę czasu z tobą, tak naprawdę, jak kiedyś. Poza tym już tylko trzy bezsenne noce dzielą mnie od wprowadzenia w życie *Gdzie jesteś, Bernadette?*, jeśli nie *Zaginionej dziewczyny*.

Czuję ucisk w klatce piersiowej, a w mojej głowie pojawia się obraz serca w za ciasnej metalowej klatce. Nigdy nie potrafiłam jej odmówić. Ani wtedy, gdy miała pięć lat i chciała zjeść ostatni kawałek sernika, ani wtedy, kiedy w wieku piętnastu chciała pożyczyć moje ulubione dzinsy (które nie odzyskały dawnego kształtu po kontakcie z jej wyjątkowymi krągłościami), ani wtedy, gdy jako szesnastolatka powiedziała przez łzy: „Chcę, żeby mnie tu nie było”, a ja pomknęłam z nią do Los Angeles.

Tak naprawdę Libby nigdy nie prosiła o którąkolwiek z tych rzeczy, ale teraz to robi – składa dłonie jak do pacierza i wysuwa dolną wargą, ja zaś czuję panikę i brakuje mi tchu. Przeraza mnie to bardziej niż myśl o wyjeździe z miasta.

Przez zmęczenie wygląda niematerialnie, wydaje się wyblakła, jakby moje palce mogły przez nią przeniknąć, gdybym spróbowała odgarnąć jej włosy z czoła. Nie wiedziałam, że można za kimś tak zatęsknić, kiedy ten ktoś siedzi obok; zatęsknić do tego stopnia, że wszystko w środku boli.

„Przecież jest tutaj – mówię sobie – i nic jej nie dolega. Cokolwiek się dzieje, naprawisz to”.

Tłumię wszelkie wymówki, sprzeczniwy, mnożące się w mojej głowie argumenty i stwierdzam:

– Jedźmy.

Libby uśmiecha się szeroko. A następnie podnosi się z parapetu, żeby wyciągnąć coś z tylnej kieszeni.

– To dobrze, bo już je kupiłam i nie wiem, czy mogłabym zwrócić. – Z rozmachem kładzie na moich kolanach bilety lotnicze.

A ja czuję się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Jakbym w ciągu pięciu sekund odzyskała swoją beztroską siostrzyczkę. Oddałabym wszystkie narządy wewnętrzne, by zatrzymać tę chwilę, żyć już zawsze teraz i tutaj, gdzie jest taka promienna. Moja klatka piersiowa się rozluźnia, kolejny oddech przychodzi z łatwością.

– Nie sprawdzisz nawet, dokąd lecimy? – pyta rozbawiona Libby.

Odrywam od niej wzrok i czytam:

– Asheville, Karolina Północna?

Kręci głową.

– Tam znajduje się lotnisko najbliższe Sunshine Falls. Taki wypad zdarza się... raz w życiu!

Jęczę, a ona obejmuje mnie ze śmiechem.

– Będziemy się świetnie bawiły, siostra! A ty się zakochasz w drwalu.

– Nic mnie tak nie kręci jak wycinka lasu.

– To będzie etyczny, dbający o odnawialność źródeł i ekologię, niejedzący glutenu drwal – precyzuje Lib.

W samolocie Libby nalega, żebyśmy zamówiły Krwawą Mary. Ściśle mówiąc, próbuje namówić mnie na szota, ale ostatecznie przystaje na Krwawą Mary (i czysty sok pomidorowy dla siebie). Nie pijam często, a już na pewno nie rano. To jednak moje pierwsze wakacje od dekady i tak się denerwuję, że wychylam drinka w ciągu pierwszych dwudziestu minut lotu.

Nie lubię podróżować, nie lubię brać urlopu i nie lubię zostawiać moich klientek na lodzie. A w tym przypadku mowa o klientce nie do zastąpienia. Ostatnie dwie doby przed wylotem poświęciłam na przemian na zagadywanie Dusty i dopingowanie jej. Przyspieszyliśmy premierę jej kolejnej książki o sześć miesięcy i jeśli nie zacznie zsyłać do redakcji pierwszych stron, cały plan wydawniczy będzie można wyrzucić do kosza. A ona jest taka przesądna, że nawet nie wiemy, nad czym obecnie pracuje. Mimo to wysyłam do niej z telefonu kolejną wiadomość w stylu „dasz radę!”.

Libby posyła mi znaczące spojrzenie spod uniesionych brwi. Natychmiast odkładam telefon i podnoszę ręce w geście kapitulacji.

– Wydaje mi się – odzywa się udobruchana, kładąc na składanym stoliku przed sobą karykaturalnie wielką torebkę – że to odpowiedni moment, by przejrzeć plan. – Wyciąga z jej czeluści przewodnik i otwiera go.

– Boże, a to co? – pytam. – Planujesz napad na bank?

– Skok, siostró. Słowo „napad” jest tak bardzo pozbawione klasy, a my przez cały czas będziemy miały na sobie trzyczęściowe garnitury – odpowiada, nie tracąc rezonu. Następnie wyjmuje dwie identyczne zalaminowane kartki opatrzone wydrukowanym nagłówkiem: „WAKACYJNA LISTA RZECZY, KTÓRE ODMIENIAJĄ MOJE ŻYCIE”.

– Kim jesteś i gdzie zakopałaś moją siostrę?

– Wiem, jak bardzo lubisz listy – rzuca wesoło. – Dlatego pozwoliłam sobie opracować własną, by zapewnić nam wspólną przygodę.

Sięgam po kartkę.

– Mam nadzieję, że na pierwszym miejscu jest taniec na barze z *Coyote Ugly*. Aczkolwiek nie jestem pewna, czy jakakolwiek szanująca się kierowniczką sali pozwoli ci na to w twoim stanie.

Libby udaje oburzenie.

– Już tak bardzo widać?

– Nieee, ani trochę.

– Nie umiesz kłamać. Wyglądasz, jakby mięśniami twojej twarzy zawiadywało pół tuzina amatorskich lalkarzy. Ale wróćmy do listy rzeczy, które musimy zrobić przed śmiercią.

– Co ty wygadujesz? Która z nas umiera?

Patrzy na mnie roziskrzonym wzrokiem. Mogłabym powiedzieć, że to figlarny błysk, tyle że jej oczy prawie zawsze lśnią.

– Narodziny to swego rodzaju śmierć – odpowiada, gładząc się po brzuchu. – Umiera dotychczasowa tożsamość. Umiera komfort spokojnego snu. Umiera zdolność powstrzymywania siku, gdy się śmiejesz. Ale spokojnie, ta lista ma na celu przeżycie romantycznej przygody w małym miasteczku. Jego magia odsłoni bardziej wyluzowane wersje nas samych.

Przeglądałam listę ponownie. Zanim Libby zaszła w pierwszą ciążę, krótko pracowała dla wysokiej klasy organizatorki eventów (zajmowała się też mnóstwem innych rzeczy), dlatego wbrew swojej wrodzonej spontaniczności (czytaj: zamiłowaniu do chaosu) poczyniła pewne postępy, jeśli chodzi o planowanie. No ale taki poziom planowania jest bardzo... mój i czuję się wzruszona, że tak to przemyślała.

I zszokowana widokiem pierwszego punktu na liście: „Nosić flanelową koszulę”.

– Nie mam flanelowej koszuli – rzucam.

Libby wzrusza ramionami.

– Ja też nie. Będziemy musiały sobie kupić w lumpeksie. Może nawet znajdziemy kowbojki.

Jako nastolatki spędzałyśmy długie godziny na wyszukiwaniu perełek w naszym ulubionym Goodwill. Ja stawiałam na eleganckie markowe rzeczy, Libby zaś wybierała wszystko, co kolorowe, ozdobione frędzlami lub kryształkami.

I znowu czuję to ukłucie w sercu – jakbym ją traciła, jakbyśmy miały już za sobą wszystkie nasze najlepsze chwile. Przypominam sobie, że właśnie dlatego to robię. Gdy wrócimy do city, zdążymy posklejać wszystkie te małe pęknięcia między nami.

– Flanela – mówię. – Zrozumiano.

Druga pozycja na liście: „Upiec coś”. Moja siostra – w przeciwieństwie do mnie, jak na przeciwny biegun przystało – uwielbia gotować, ale ponieważ zwykle ograniczają ją upodobania smakowe cztero- i trzylatki, odważniejsze przepisy rezerwuje na nasze wspólne wieczory.

Przeglądam kolejne punkty.

3. Ogólna metamorfoza (rozpuścić włosy/zrobić sobie grzywkę?).

4. Zbudować coś (dosłownie, nie w przenośni).

Pierwsze cztery punkty nawiązują niemal bezpośrednio do Cmentarzyska Potencjalnych Możliwości Kariery Libby. Przed podjęciem pracy przy organizacji eventów moja siostra prowadziła przez chwilę sklep internetowy ze znaleziskami z ciucholandów, jeszcze wcześniej chciała być cukiernikiem, a jeszcze wcześniej fryzjerką, zaś pewnego lata uznała, że zostanie stolarzem, bo „w tej branży jest za mało kobiet” (była wówczas ośmiolatką).

Stwierdzam, że jak na razie wszystko ma sens – oczywiście zakładając, że ma go cała ta wyprawa – lecz wtedy mój wzrok pada na punkt piąty.

– Hmm, a to co?

– „Pójść na co najmniej dwie randki z miejscowymi” – czyta Libby, wyraźnie podekscytowana.

– To nie jest punkt dla mnie. – Podnosi swój egzemplarz listy, na której punkt piąty został przekreślony.

– To nie fair.

– Przypomnij sobie, że jestem mężatką. Do tego ciężarną od pięciu bilionów tygodni.

– A ja kobietą sukcesu ze sprzątaczką przychodzącą co tydzień do domu, sypialnią dla gości przekształconą w pokój z butami i kartą kredytową Sephory. Nie wyobrażam sobie, że miałabym marzyć o łowcy homarów.

Libby się rozpromienia.

– No właśnie! Posłuchaj, Noro. Wiesz, że kocham twój piękny, deweyowski, decymalny, zorganizowany mózg, ale wybierasz facetów jak samochody.

– Dziękuję.

– I to się zawsze źle kończy.

– Dzięki Bogu. – Przyciskam dłoń do mostka. – Już się bałam, że o tym nie wspomnisz.

Próbuje się obrócić w fotelu i chwycić mnie za dłonie przez dzielący nas podłokietnik.

– Zmierzam do tego, że spotykasz się z facetami, którzy są dokładnie tacy jak ty i mają takie same priorytety.

– Naprawdę dałoby się skrócić to zdanie do „mężczyzn, z którymi jestem kompatybilna”.

– Czasami przeciwieństwa się przyciągają – odparowuje. – Pomyśl o wszystkich swoich byłych.

O Jakobie i jego żonie kowbojce!

Przeszywa mnie coś zimnego na wspomnienie o nim. Libby jednak tego nie zauważa.

– W tym wyjeździe chodzi o to, żeby każda z nas wyszła ze swojej strefy komfortu – upiera się.

– Żebyśmy miały szansę pobyć kimś innym! Poza tym kto wie, może jeśli zrobisz coś inaczej, znajdziesz swoją historię miłosną, która odmieni twój los, a nie kolejną chodzącą listę życzeń.

– Lubię się spotykać z chodzącymi listami życzeń! – oburzam się. – To ułatwia życie. Pomyśl o mamie, Lib.

Mama co rusz się zakochiwała, jednak nigdy w kimś sensownym. Jej związki zawsze kończyły się z wielkim hukiem, a ona załamywała się do tego stopnia, że nie szła do pracy lub na przesłuchanie albo radziła sobie tak kiepsko, że ją zwalniano lub odrzucano.

– W ogóle nie przypominasz mamy.

Mówi to nonszalancko, ale i tak mnie boli. Dobrze wiem, jak mało odziedziczyłam po naszej

matce. Odczuwałam ten niedostatek w każdej sekundzie każdego dnia po tym, jak ją straciłyśmy.

I chociaż wiem, że Libby do tego nie zmierza, i tak czuję się jak podczas każdego zerwania, które pamiętam. Po długim monologu następuje coś w rodzaju: „Z tego, co wiem, ty nie masz uczuć”.

– Jak często masz okazję się zatracić i nie przejmować swoim planem? – kontynuuje moja siostra.
– Zaslugujesz na to, żeby poluzować szelki, a ja zasługuję na to, by cieszyć się twoim życiem, przeżywać twoje randki.

– Będę mogła wyjąć po kolacji słuchawkę z ucha?

Libby unosi ręce.

– Wiesz co? Dobra! Zapomnij o punkcie piątym! Mimo że dobrze by ci to zrobiło. I mimo że zaplanowałam całą tę wyprawę po to, żebyś zasmakowała książkowego romansu w małym miasteczku...

– Okej – przerywam jej. – Zgadzam się na randki z drwalami, ale lepiej, żeby mieli aparycję Roberta Redforda.

Moja siostra aż piszczy z ekscytacji.

– Młodego czy starego?

Gromię ją wzrokiem.

– Okej, rozumiem. W takim razie przejdźmy do punktu szóstego: „Wykąpać się nago w naturalnym zbiorniku wodnym”.

– A jeśli będą w nim bakterie, które zaszkodzą dziecku? – pytam.

– Cholera – mruczy ze ściągniętymi brwiami. – Nie przemyślałam tego za dobrze.

– Bzdura. To wspaniała lista.

– Będziesz się musiała wykąpać beze mnie – informuje, rozkojarzona.

– „Trzydziestodwulatka pływała nago przy lokalnej plaży”, czyli prosty sposób na to, jak trafić do aresztu.

– Siedem – czyta Lib. – „Spędzić noc pod gołym niebem”. Osiem: „Wziąć udział w lokalnej uroczystości, na przykład weselu lub jakimś festiwalu”.

Wyrzebuje z torebki marker i dopisuje: „pogrzeb, bar micwa, wieczór panieński na torze rolkowym”.

– Chcesz wyrwać doktorka z oddziału ratunkowego? – pyta Libby.

Skreślam tor rolkowy. I wtedy zauważam punkt dziewiąty: „Przejażdżka na koniu”.

– Znowu. – Wskazuję brzuch Libby. Wykreślam „przejażdżkę na koniu” i wpisuję „pogłaskać konia”.

Moja siostra wzdycha z rezygnacją.

10. Rozpalić ogień (w sposób kontrolowany)

11. Iść w góry??? (Warto?)

Gdy Libby miała szesnaście lat, oznajmiła, że razem z chłopakiem pojedzie pracować w Yellowstone, na co mama i ja zaczęłyśmy ryczeć ze śmiechu. Jeżeli istnieje jakaś cecha wspólna wszystkich kobiet z rodziny Stephensów – oprócz zamiłowania do książek, serum z witaminą C i ładnych ubrań – jest nią unikanie rozległych otwartych przestrzeni. Czymś najbliższym wycieczki terenowej w naszym wydaniu był spacer po rezerwacie Ramble w Central Parku, a i tak zwykle towarzyszyły mu papierowe tacki z goframi i lody z food trucków. Cóż, nieszczególnie się utrudziłyśmy.

Nie muszę mówić, że Libby rzuciła tamtego chłopaka dwa tygodnie przed planowanym wyjazdem.

Pukam w ostatni punkt na liście: „Uratować miejscową firmę”.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że spędzimy tam jedynie miesiąc. – Trzy tygodnie tylko we dwie, a potem dołączą do nas Brendan z dziewczynkami. Dostałyśmy spory rabat za tak długi pobyt, aczkolwiek nie mam pojęcia, jak przetrwam pierwszy tydzień.

Z poprzedniego wyjazdu wróciłam do domu po dwóch dniach. Sama zgoda na to, by mój umysł przypominał sobie tamten wypad z Jakobem, jest błędem. Staram się wrócić do terażniejszości. Tym razem tak nie będzie. Nie pozwolę na to. Dla Libby.

– W romansach, których akcja toczy się w małych miasteczkach, zawsze pojawia się miejscowy biznes – stwierdza moja siostra. – Nie mamy wyboru. Po cichu zacieram ręce na jakąś kozią farmę na

skraju bankructwa.

– O! Może uda nam się sprowadzić jakichś przedstawicieli wspólnoty, w której się składa ofiary rytualne. Mogliby się na miejscu związać, by ratować kozy. Oczywiście na pokaz. Bo potem zabiją te kozy na ołtarzu.

– Ależ oczywiście. – Libby upija łyk soku pomidorowego. – O to chodzi, mała!

* * *

Nasz kierowca wygląda jak Święty Mikołaj, ma nawet czerwoną koszulkę i szelki podtrzymujące wyblakłe dżinsy. Za to prowadzi jak pałacy cygare taksjarski z *Wigilijnego show* Billa Murraya.

Libby popiskuje cicho, kiedy facet gwałtownie bierze zakręt, a w pewnym momencie słyszę, jak moja siostra zapewnia szeptem swój brzuch, że jest bezpieczny.

– Sunshine Falls, tak? – pyta kierowca. Musi krzyknąć, bo samowolnie podjął decyzję o opuszczeniu wszystkich czterech szyb. Włosy latają mi po twarzy, tak że ledwie widzę jego wodniste oczy we wstecznym lusterku, kiedy już odrywam wzrok od telefonu.

W czasie opuszczania pokładu i odbierania bagażu – co trwało pełną godzinę, mimo że na małym lotnisku lądował tylko nasz samolot – liczba wiadomości w mojej skrzynce uległa podwojeniu. Jakbym wróciła z ośmiotygodniowego pobytu na bezludnej wyspie. Nic nie budzi u neurotycznych pisarzy takiej paniki jak rokroczne spowolnienie branży wydawniczej. Każda opóźniona odpowiedź zdaje się wywoływać lawinę pytań w rodzaju: „Czy redaktor mnie nienawidzi? Czy ty mnie nienawidzisz? Czy wszyscy mnie nienawidzą?”.

– Tak! – odkrzykuję do kierowcy.

Libby trzyma już głowę między kolanami.

– Pewnie mają tam panie jakąś rodzinę? – Taksjarski przekrzykuje wiatr.

Może to przez to, że jestem z Nowego Jorku, a może dlatego, że jestem kobietą, w każdym razie nie zamierzam ogłaszać, że nikogo tu nie znamy. Dlatego pytam:

– A czemu pan tak myśli?

– Bo z jakiego innego powodu by tu panie przyjeżdżały? – Śmieje się i bierze ostro kolejny zakręt.

Gdy kilka minut później się zatrzymujemy, ledwie się powstrzymuję przed tym, by bić brawo – jak pasażerka lądującego awaryjnie samolotu.

Libby się prostuje, skołowana, i wygląda lśniące (jakimś cudem zupełnie niezmięzione) włosy.

– Gdzie... Gdzie my jesteśmy? – pytam, rozglądając się wokół.

Po obu stronach gruntowej szosy widać tylko wybujałą, choć spaloną przez słońce trawę. Droga kończy się gwałtownie na pnącej się ku górze łące usianej żółtymi i fioletowymi polnymi kwiatami. Ślepy zaułek.

To rodzi pytanie, czy za chwilę zostaniemy zamordowane.

Kierowca wysuwa głowę przez okno.

– Dom Lily Goode stoi na górze.

My też wystawiamy głowy na zewnątrz, by lepiej widzieć.

W połowie wysokości wzgórze jakby znikąd pojawiają się schody. Może to zbyt szumne określenie, bo w rzeczywistości patrzymy na drewniane stopnie wciśnięte w ścieżkę wyciętą w trawiastym zboczu. Wyglądają jak seria małych ścianek zapobiegających osuwaniu się ziemi.

Libby się krzywi.

– W ofercie faktycznie napisano, że obiekt nie jest dostępny dla wózków inwalidzkich.

– A czy wspomiano coś o potrzebie korzystania z wyciągu? – pytam.

Święty Mikołaj wysiadł już z samochodu, by wyciągnąć z bagażnika nasze walizki. Gramolę się jako druga i od razu czuję, że duszę się w swoim podróżnym stroju. Przy końcu gruntowej drogi stoi czarna skrzynka na listy z białymi wywijanymi literami tworzącymi napis: „Dom Lily Goode”.

– Nie ma innej drogi? – pytam. – Takiej, która docierałaby na sam szczyt? Moja siostra jest...

Mogłabym przysiąc, że Libby wciąga brzuch, by ukryć ciężę.

– Poradzę sobie – upiera się.

Zastanawiam się przez chwilę, czy nie wskazać na swoje zamszowe pantofle na dziesięciocentymetrowych obcasach, ale nie chcę, by wyszło banalnie.

– No bliżej już nie podjadę – odpowiada taksówkarz, wsiadając z powrotem do auta. – Niedaleko stąd stoi dom Sally. Można tu dojść od niej, ale i tak to jest sporo dłuższa droga. – Podaje nam przez okno wizytówkę. – Gdyby potrzebowały panie kierowcy, proszę dzwonić na ten numer.

Libby bierze od niego kartonik, a ja czytam znad jej ramienia: „Hardy Weatherbee, usługi przewozowe i nieoficjalny przewodnik *Raz w życiu*”. Salwa jej śmiechu nie przebija się przez piekielny ryk silnika samochodu Hardy’ego Weatherbeego jadącego na wstecznym w dół.

– No cóż. – Libby się krzywi i lekko garbi. – Może powinnaś zdjąć buty?

Zważywszy na ilość bagażu, będzie trzeba pokonać ten dystans kilkakrotnie, tym bardziej że Libby nie może nosić nic cięższego od moich pantofli.

Podejście jest strome, a upał nieznośny, ale gdy wchodzimy na szczyt, widok okazuje się spektakularny: kręta ścieżka prowadzi przez zarośnięty ogród do małego białego domku ze spadzistym dachem w cudownym kolorze palonej sjeny. Stare jednoskrzydłowe okna nie mają okiennic, a jedynym akcentem kolorystycznym na ścianie jest bladozielony łuk z liści winogron wymalowany nad oknem na parterze. Za domem rosną sękate drzewa, las ciągnie się jak okiem sięgnąć, na lewo od domu znajduje się zaś łąka z oplecioną dzikim winem altaną, stojącą pośród mniejszego zagajnika. Połyskujące dzwonki wiatrowe z kawałków szkła i cukierkowe karmniki dla ptaków kołyszą się wśród gałęzi, ścieżka biegnie między rzędami kwitnących krzewów, dociera do podnóża góry i znika w lesie.

Widok rodem z powieści.

Nie. Rodem z *Raz w życiu*.

Urzekający. Staroświecki. Idealny.

– O rany... – Libby ruchem brody wskazuje kolejne kilka schodków. – Muszę iść dalej?

Kręcę głową, łapiąc oddech.

– Mogę obwiązać ci kostkę prześcieradłem i zaciągnąć cię na górę.

– A co zrobisz, kiedy już dotrę na sam szczyt?

– Kolację dla mnie? – proponuję.

Śmieje się, a potem bierze mnie pod rękę i ruszamy ku ostatnim stopniom, wdychając słodki zapach rozgrzanej trawy. Serce mi rośnie, czuję się lepiej niż od miesięcy.

Telefon w mojej torebce informuje, że dostałam mejla, lecz opieram się pokusie odczytania wiadomości.

– No, no! Zaczynasz cieszyć się życiem – droczy się ze mną Libby.

– Już nie jestem Norą z city – odpowiadam. – Jestem wyluzowaną, żyjącą chwilą No...

Gdy telefon znowu się odzywa, zerkam w stronę torebki, nie zmieniając tempa marszu. Kolejne dwa sygnały następują szybko jeden po drugim, a potem słychać trzeci.

Nie mogę tego znieść. Zatrzymuję się, rzucam bagaż i zaczynam szperać w torebce.

Libby patrzy na mnie z milczącą dezaprobatą.

– Jutro zacznę być tą drugą Norą – mówię tylko.

* * *

Chociaż jesteśmy tak różne, w chwili, gdy zaczynamy się rozpakowywać, staje się jasne, że ulepiono nas z jednej gliny: książki, produkty do pielęgnacji skóry i wymyślna bielizna. Luksusowa Trójka Kobiet z Rodu Stephens.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – wzdycha Libby, a ten rzewnie radosny dźwięk otula mnie jak promienie słońca.

Mama miała taką teorię, że młodzięcza skóra zapewni kobiecie pieniądze (to się sprawdza w przypadku aktorek i kelnerek), dobra bielizna przyda jej pewności siebie (na razie się sprawdza), a dobre książki ją uszczęśliwią (prawda uniwersalna). Ewidentnie pakowałyśmy się, mając na uwadze jej przesłanie.

W ciągu dwudziestu minut zdążyłam się rozpakować, umyć twarz, przebrać w czyste ubranie

i podłączyć laptopa. Tymczasem Libby wypakowała połowę rzeczy, po czym zasnęła na ogromnym łóżku, które miałyśmy dzielić, z wyświechtanym egzemplarzem *Raz w życiu* na narzucie obok siebie.

Jestem głodna jak wilk i potrzebuję sześciu kolejnych minut (wi-fi działa tak wolno, że muszę skorzystać z telefonu jako routera), by wygooglować, że jedzenie dostarcza tutaj wyłącznie pizzeria. Gotowanie nie wchodzi w grę. Pięćdziesiąt procent posiłków spożywam poza domem, kolejne czterdzieści procent stanowią potrawy na wynos i dostarczane pod drzwi.

Mama mawiała, że Nowy Jork jest świetnym miejscem dla ludzi bez pieniędzy. Jest tu tyle darmowej sztuki i piękna, tyle niesamowitego taniego jedzenia. Pamiętam jednak, jak pewnej zimy, gdy oglądałyśmy witryny w Upper East Side, trzymając mamę za schowane w rękawiczkach dłonie, ona powiedziała: „Mieć pieniądze w Nowym Jorku byłoby czymś magicznym”. Nie mówiła tego z goryczą, raczej z zachwytem, jakby chciała rzec: „Skoro już jest tak dobrze, to jak musi być, kiedy nie musisz się przejmować rachunkami za prąd?”.

Mama nie zajmowała się aktorstwem dla pieniędzy (była optymistką, ale nie miała urojeń). Większa część jej dochodu pochodziła z napiwków z baru, w którym sadzała mnie i Libby z książkami lub kredkami na czas swojej zmiany, albo ze sporadycznego wynagrodzenia za opiekę nad cudzym dzieckiem, na tyle niezobowiązującą, że mogła nas zabierać ze sobą do czasu, gdy skończyłam jedenaście lat i pozwalała mi zostawać z Libby w domu lub w księgarni pani Freeman pod jej baczny okiem.

Mimo braku pieniędzy byliśmy w tamtych czasach takie szczęśliwe, spacerując po mieście z falafelami z ulicznego straganu albo kawałkami pizzy za dolara wielkości naszych głów i marząc o świetlanej przyszłości.

A potem, dzięki sukcesowi *Raz w życiu*, przyszłość zaczęła przypominać tę wyimaginowaną.

No ale tutaj nie możemy zamówić dostawy pad thai pod drzwi. Będziemy musiały przejść ponad trzy kilometry do miasteczka.

Kiedy usiłuję obudzić Libby, przeklina mnie przez sen.

– Jestem głodna, Lib. – Potrząsam jej ręką, ona jednak przewraca się na bok i wtula twarz w poduszkę.

– Przynieś coś dla mnie – mamrocze.

– Nie chcesz zobaczyć swojego ulubionego miasteczka? – Staram się brzmieć kusząco. – Nie chcesz zobaczyć apteki, w której stary Whittaker prawie przedawkowuje?

Nie podnosząc głowy, odgania mnie ruchem ręki.

– Dobra. – Poddaję się. – Coś ci przyniosę.

Wiążę włosy w gładki kucyk, wkładam sneakersy i ruszam w dół nagrzanego słońcem wzgórze ku gruntowej drodze, wzdłuż której rosną poszarpane drzewa. Gdy wąska droga przechodzi w prawdziwą ulicę na skrzyżowaniu w kształcie litery T, skręcam w lewo i zmierzam krętym asfaltem w dół.

Podobnie jak domek, miasteczko pojawia się przed moimi oczami zupełnie niespodziewanie. W jednej chwili krocę zniszczoną drogą na zboczu góry, a w następnej Sunshine Falls rozpościera się przede mną niczym scena ze starego westernu na tle porośniętych drzewami strzelistych szczytów i pod kopułą bezkresnego błękitu nieba.

Jest trochę bardziej szare i odrapane niż na zdjęciach, ale widzę murowany kościół, a także markizę w zielono-białe pasy nad sklepem spożywczym i cytrynowożółte parasole przed automatem z napojami gazowanymi. Kilka osób spaceruje z psami. Starszy mężczyzna siedzi na zielonej metalowej ławce i czyta gazetę. Kobieta podlewa kwiaty w skrzyniach przed sklepem żelaznym, za którego szybą nie ma ani jednego klienta.

Dokładnie naprzeciwko siebie widzę biały murowany budynek na rogu, idealnie odpowiadający opisowi biblioteki pani Wilder z *Raz w życiu* – moje ulubione miejsce z książki, bo przypomina mi deszczowe sobotnie poranki, kiedy mama stawiała mnie i Libby przed półką ze średniej klasy fikcją w księgarni pani Freeman, po czym pędziła przez miasto na przesłuchanie. Po powrocie zabierała nas na lody albo karmelizowane pekany w Washington Square Park. Spacerowałyśmy alejkami, czytałyśmy plakietki na ławkach i wymyślałyśmy, kto mógł być ich fundatorem. „Wyobrażacie sobie mieszkać gdzie indziej?” – pytała mama. Nie potrafiłam.

Pewnego razu na studiach grupa moich przyjaciółek oznajmiła jednogłośnie, że „nie mogłyby

wychowywać dzieci w city”, czym mnie zszokowały. Nie chodzi tylko o to, że uwielbiałam tu dorastać, lecz o to, że za każdym razem, gdy widzę grupki dzieciaków przechadzające się sennie po MET*, ustawiające boomboksy na wagonach, by dać pokaz breakdance’a dla kasy albo wpatrzone z podziwem w światowej klasy skrzypka grającego pod Centrum Rockefellera, myślę sobie: Jakże wspaniale jest być częścią tego wszystkiego, dzielić to miejsce z tymi ludźmi.

Uwielbiam też zabierać Beę i Talę na wycieczki po mieście, przyglądać się, co urzeka czteroipółlatkę i jej trzyletnią siostrę, a jakie atrakcje turystyczne mijają bez echa jako spowszedniałe.

Moja mama przyjechała do Nowego Jorku z nadzieją na rolę w filmie o Norze Ephron (mojej imienniczce), ale prawdziwy Nowy Jork jest o wiele lepszy. Dlatego że żyją tu wszelkiej maści ludzie, koegzystują ze sobą, dzielą tę samą przestrzeń.

A jednak miłość do Nowego Jorku nie przeszkadza mi ulec urokowi Sunshine Falls. Wręcz drzę z ekscytacji, kiedy zbliżam się do wypożyczalni. Lecz gdy zaglądam przez ciemne szyby, drżenie ustaje. Biała kamienna fasada odpowiada opisowy Dusty, tyle że w środku widzę wyłącznie migoczące telewizory i neony baru piwnego.

Nie spodziewałam się, że owdowiała pani Wilder jest postacią rzeczywistą, niemniej wyrazistość, z jaką Dusty przedstawiła bibliotekę, pozwoliła mi nabrać pewności, że to miejsce istnieje.

Moja ekscytacja opada, a na myśl o Libby całkiem znika. Siostra nie tego się spodziewa, ja zaś już teraz się zastanawiam, jak umiejętnie pokierować jej oczekiwaniami, a przynajmniej zafundować jej odpowiednią nagrodę pocieszenia.

Mijam witryny kilku pustych sklepów i staję przed markizą spożywczaka. Rzut oka przez okno pozwala mi stwierdzić, że nie ma tam półek ze świeżym pieczywem ani słojów ze staromodnymi cukierkami. Szyby są brudne, a za nimi widzę coś, co można opisać wyłącznie jako „przypadkowy szpej”. Półki zastawione śmieciami – starymi komputerami, odkurzaczami, wiatrakami, lalkami ze sfilcowanymi włosami. To lombard. Bynajmniej nie dobrze utrzymany.

Zanim zdążę nawiązać kontakt wzrokowy z okularnikiem siedzącym za ladą, prę dalej, by zrównać się z żółtymi parasolami ustawionymi na tarasie w głębi ulicy. Przynajmniej tam widać oznaki życia. Ludzie się kręcą, niektórzy rozmawiają przy stolikach z kawą. Widok jest obiecujący. Tak jakby.

Rozglądam się, czy nic nie jedzie (nic), i przebiegam przez ulicę. Na szyldzie nad drzwiami widnieje złoty napis „MUG + SHOT**”, a przy barze w środku siedzą ludzie.

Oślaniam oczy dłońmi, by zobaczyć coś przez przeszkłone drzwi odbijające widok, i w tym momencie jakiś mężczyzna napiera na nie, by je otworzyć.

* Metropolitan Museum of Art.

** *Mug* (ang.) – kubek, ale też morda, bandzior lub napadać; *shot* – kieliszek, ale również kulka, strzał. Nazwę lokalu można by więc przetłumaczyć zarówno jako „Kubek + kieliszek”, jak i „Napad + strzał”.

Patrzę na mnie szeroko otwarte szmaragdowe oczy.

– Przepraszam! – mówi mężczyzna.

Zdażyłam szybko odskoczyć, dlatego nic mi się nie stało.

Rzadko kiedy udaje się komuś mnie zamurować.

Teraz jednak gapię się w milczeniu i napięciu na najatrakcyjniejszego faceta, jakiego w życiu widziałam.

Złociste włosy, kwadratowa szczeka i zmierzwiona broda, która jednak nie wygląda na zanedbaną. Jest muskularny – to słowo przychodzi mi do głowy pod wpływem starych harlequinów, które wiecznie podbierałam mamie – ma na sobie opiętą flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami, które odsłaniają opalone przedramiona.

Przesuwa się z nieśmiałym uśmiechem i przytrzymuje mi drzwi.

Powinnam coś powiedzieć.

Cokolwiek.

„Nie szkodzi! To moja wina. Stałam na drodze”.

Przystałabym nawet na: „Witam szanownego pana”.

Niestety nie padają żadne słowa. Dlatego dla zminimalizowania strat zmuszam się do uśmiechu i mijam gościa, wchodząc do środka z nadzieją, że wyglądam na kogoś, kto wie, gdzie jest, i przybywa tu w konkretnym celu.

Nigdy nie pokochałam małomiasteczkowych romansideł mamy tak jak Libby, ale czytałam je z przyjemnością, więc nie powinna mnie dziwić moja myśl: Pachnie wiecznie zielonymi drzewami i nadciągającym deszczem.

A jednak mnie to dziwi, bo przecież mężczyźni tak nie pachną. Czuć od nich pot, mydło albo lekki nadmiar wody kolońskiej.

Ten mężczyzna jednak jest trochę zbyt jasną gwiazdą komedii romantycznej, na widok której krzyczysz: „Żaden hodowca krów mlecznych nie ma takiego kaloryfera!”.

W dodatku uśmiecha się do mnie.

Tak to się dzieje? Wybierasz miasteczko, idziesz na spacer i poznajesz obłędnie atrakcyjnego nieznajomego?

Jego uśmiech staje się szerszy (w policzkach, rzecz jasna, ma dołeczki), kłania mi się i puszcza drzwi.

Patrzę przez szybę, jak się oddala, a moje serce wariuje niczym przegrzany laptop.

Kiedy gwiazdy przed moimi oczami bledną, stwierdzam, że nie stoję na szczycie Olimpu, ale w kawiarni ze ścianami z surowych cegieł i starą drewnianą podłogą, a wokół mnie unosi się silny aromat espresso. W głębi widać drzwi prowadzące na taras. Wpadające przez nie światło oświetla szklaną gablotę z ciastkami i kanapkami zawiniętymi w folię spożywczą, ja zaś słyszę anielski śpiew.

Staję w kolejce i przyglądam się tłumkowi – mieszaninie hipsterskich typów w sandałach terenowych i ludziom w wytartych dżinsach i czapkach trekkingowych. Na początku kolejki stoi jednak następny przystojniak.

Dwóch przystojniaków w ciągu mojej pierwszej godziny tutaj. Rekord.

Gość nie jest tak imponujący jak adonis, który przytrzymał mi drzwi, ale przystojny jak na śmiertelnika. Ma zmierzwione ciemne włosy i cechuje go oszczędna elegancja. Mniej więcej mojego wzrostu, odrobinę wyższy lub niższy, ubrany w czarną bluzę z podciągniętymi rękawami, oliwkowe spodnie i czarne buty, które muszą uznać za seksowne. Widzę jego twarz z profilu, który nawet mi się podoba. Pełne usta, lekko wysunięty do przodu podbródek, ostry nos, brwi między Carym Grantem a Groucho Marksem.

Facet jest podobny do Charliego Lastry.

Bardzo podobny.

Przesuwa wzrok wzdłuż gabloty, a na mnie nagle spada myśl jak seria uderzeń butelką: To on. To on. To on.

Mam wrażenie, że do mojego żołądka ktoś przywiązał cegłę i wyrzucił ją za barierkę mostu.

Niemożliwe. Wystarczy, że ja tu jestem – jego nie może tu być.

A jednak.

Im dłużej mu się przyglądam, tym większe mam wątpliwości. Jak wtedy, kiedy myślisz, że widzisz gwiazdę, ale im dłużej się na nią gapisz, tym większej nabierasz pewności, że nigdy tak naprawdę nie przyglądałaś się nosowi Matthew Brodericka. Albo wtedy, gdy masz narysować w powietrzu samochód w grze Pictionary i raptem nie masz pojęcia, jak wygląda samochód.

Osoba stojąca na przodzie płaci, kolejka się przesuwają, ja jednak się cofam i chowam za regałem z grami planszowymi.

Jeżeli to naprawdę jest Charlie, przerazi go widok mnie kryjącej się tutaj – poczuje się, jakby zobaczył najbardziej drętwą nauczycielkę przed klubem dla nastolatków, w krótkiej koszulce i ze sztucznym kolczykiem (nie żebym przeżyła coś takiego – chociaż przeżyłam). Ale jeśli to nie on, szybko o tym zapomnę. Może.

Wyjmuję telefon, otwieram skrzynkę mejlową i wyszukuję jego adres. Pominąwszy naszą pierwszą ożywioną dyskusję, dostałam od niego tylko jedną wiadomość – obszerną, z jego nowymi danymi kontaktowymi, wysłaną, kiedy sześć miesięcy temu przenosił się z Wharton House na stanowisko wędrującego redaktora w Loggia. Wysyłam krótkiego mejla na jego nowy adres.

Charlie,

Mam nowy tekst. Usiłuję sobie przypomnieć, jak reagujesz na gadające zwierzęta?

Nora

Nie spodziewam się odpowiedzi ze szczegółami dotyczącymi jego podróży ani adresem kawiarni, w której prawdopodobnie właśnie się znajduje, ale przynajmniej się dowiem, że nie ma go w pracy.

Nie dostaję wiadomości z autorespondera.

Wyglądam zza regału. Mężczyzna, który może, ale nie musi, być moją zawodową namezis, wyjmując telefon z kieszeni i pochyla głowę z obojętną miną. Jego pełne usta sprawiają wrażenie, że się dąsa. Pisze coś przez chwilę, po czym chowa komórkę.

Po plecach przebiega mi dreszcz, kiedy telefon wibruje mi w dłoni.

To zbieg okoliczności. Na pewno.

Otwieram wiadomość.

Noro!

Przerażeniem.

Charlie

Kolejka znowu się przesuwają. On będzie następny. Mam za mało czasu, by uciec niepostrzeżenie, i jeszcze mniej, żeby zweryfikować swoje obawy.

Charlie!

A erotyka z Wielką Stopą? Wpłynęło mi spontanicznie kilka takich tekstów. Pasowałyby Ci to?

Nora

Zaraz po wciśnięciu „wyślij” odzyskuję zdrowy rozsądek. Dlaczego dysponując tak bogatym słownictwem, napisałam właśnie to? Może i mój mózg jest zorganizowany według deweyowskiej klasyfikacji dziesiętnej, ale w tej chwili wszystkie półki zdają się płonać. Zalewa mnie fala zażenowania,

gdy wyobrażam sobie, że Charlie otworzy tę wiadomość i natychmiast zyska nade mną zawodową przewagę.

Mężczyzna wyjmuje telefon. Nastolatek przed nim właśnie zapłacił. Barman zwraca się do Może Charliego z wesołym uśmiechem, on jednak burczy coś pod nosem i opuszcza kolejkę.

Stoi już prawie twarzą do mnie. Kręci energicznie głową, wykrzywia usta w grymasie. To na pewno on. Nie mam już wątpliwości. Tyle że jeśli się rzucę do drzwi, tylko przyciągnę jego uwagę.

Co on tu może robić? Taksuję go wzrokiem od stóp do głów: ciuchy za pięćset dolarów, neutralne odcienie. Jeżeli zależało mu na kamuflażu, nie udało się. Równie dobrze mógłby stanąć przed kinem pod afiszem reklamującym *Nowych miastowych* ze strzałką skierowaną na swoje przyprószone siwizną włosy.

Odwracam się w stronę regału, plecami do Charliego, i udaję, że przeglądam gry.

Zważywszy na to, jak krótka – że o jej głupocie nie wspomnę – była moja wiadomość, potrzebuje zaskakująco dużo czasu, by na nią odpowiedzieć.

Oczywiście mógł czytać także inne mejle.

Prawie upuszczam telefon, tak gorączkowo otwieram pocztę.

Nie mam jeszcze wyrobionego zdania. Możesz mi coś przesłać.

Zerkam przez ramię. Charlie wrócił do kolejki.

Ile razy uda mi się go z niej wyciągnąć? – zastanawiam się z podnieceniem. Rozumiem potrzebę bycia przyklejonym do komórki, jeśli chodzi o ważne sprawy zawodowe, ale dziwi mnie, że instynkt każe mu oceniać wiadomość o Wielkiej Stopie jako wymagającą natychmiastowej odpowiedzi.

Naprawdę mam taki tekst w skrzynce odbiorczej. Czasami, kiedy moja szefowa ma trudny dzień, czytam jej z właściwym dramatyzmem fragmenty *Wielkich stóp Wielkiej Stopy*, żeby ją rozbawić.

Postąpiłabym nieetycznie, śląc rękopis komuś spoza agencji.

No ale autorka załączyła link do swojej strony, gdzie można kupić kilka opowieści wydanych przez nią samą. Kopiuję łącze do jednej z nich i wysyłam Charliemu, nie nakreślając kontekstu.

Łypię za siebie i widzę, jak się krzywi nad telefonem.

Po chwili dostaję odpowiedź.

To kosztuje 99 centów...

Odpisuję, że wiem, że to świetna okazja! O ile mój profesjonalizm to żelowy lakier do paznokci, o tyle zawodowstwo Charliego Lastry jest przemysłowym acetonem mogącym się przezeń przeżyć.

Wyszukuję go na Venmo i przesyłam mu dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Sekundę później odbieram mejla. Odesłał mi dolara wraz z wiadomością:

Jestem dorosłym człowiekiem, Noro, mogę sobie sam kupić erotykę z Wielką Stopą. Bardzo dziękuję.

Kasjer wita go ponownie, a on tym razem wsuwa telefon do kieszeni i składa zamówienie. Wykorzystuję chwilę, gdy jest zajęty.

Umieram z głodu.

Rozpaczliwie chcę się dowiedzieć, co on tu robi.

I niemal biegnę w stronę drzwi.

* * *

– Niemożliwe! – rzuca Libby.

Siedzimy przy zgrzebnym stole w naszym domku i pożeramy paluchy oraz sałatki, które zamówiliśmy w Antonio's Pizza. Musiałam zejść do skrzynki na listy, żeby odebrać zamówienie, bo dostawca powiedział, że nie może wchodzić po schodach „ze względów ubezpieczeniowych”.

Zabrzmiało jak wymysł, ale okej.

– Ten gość, który tak niegrzecznie skwitował książkę Dusty? – uściśla moja siostra.

Potakuję i nabijam na widelec zaskakująco soczystego pomidora, po czym wsuwam go do ust.

– Co on tutaj robi? – pyta Libby.

– Nie wiem.

– O rety! A jeśli jest superfanem *Raz w życiu*?

Prycham.

– To chyba jedyna możliwość, jaką możemy wykluczyć.

– A może jest starym Whittakerem z książki? Boi się okazać swoje prawdziwe uczucia.

W skrytości kocha to miasteczko. I książkę. I owdowiałą panią Wilder.

Trawi mnie nieznośna ciekawość, niemniej nie rozwiążemy zagadki, snując domysły.

– Co masz ochotę robić dziś wieczorem?

– Zajrzemy do listy? – Libby wyławia kartkę z torebki i wygładza ją na stole. – No dobra, jestem zbyt zmęczona na którykolwiek z tych punktów.

– Zbyt zmęczona? – dziwi się. – Żeby pogłaskać konia i uratować lokalny biznes? Nawet po drzemce?

– Myślisz, że czterdzieści minut wystarczy, by nadrobić trzy tygodnie, podczas których Bea co noc przychodzi do nas do łóżka, bo ma koszmary?

Krzywię się. Temperatura ciała moich siostrzenic wynosi co najmniej sto pięćdziesiąt stopni Celsjusza, bo nie sposób spać obok nich i nie budzić się w kałuży potu, z malutką rozkoszną stópką wciśniętą między żebra.

– Potrzebne wam większe łóżko – mówię i wyciągam telefon, by rozpocząć poszukiwania.

– Och, proszę – oponuje Libby. – Nie wciśniemy większego łóżka do tego pokoju. Nie jeśli zamierzamy kiedykolwiek otworzyć szuflady komody.

Czuję iskrę nadziei. Bowiem zmiana w Libby – zmęczenie, ten dziwny nieuchwytny dystans – nagle nabiera sensu. Ma przyczynę, a to znaczy, że istnieje też rozwiązanie.

– Potrzebne wam większe mieszkanie.

Tym bardziej że Dziecko Numer Trzy jest w drodze. Jedna łazienka dla pięcioosobowej rodziny to moje wyobrażenie czyścica.

– Nie stać nas na większe mieszkanie, chyba że stojące na barce śmieciowej oddalonej o czterdzieści pięć minut drogi od Jersey – stwierdza Libby. – Kiedy ostatnio przeglądałam oferty, widziałam tylko: „Jedna sypialnia, kłitka zamiast łazienki w ścianie seryjnego zabójcy; sprzęt na miejscu, dostarczasz ofiary!”. A i to przekraczało nasze możliwości finansowe.

Macham ręką.

– Pieniędzmi się nie przejmuj. Pomogę wam.

Libby przewraca oczami.

– Nie potrzebuję twojej pomocy. Jestem dorosłą kobietą. Potrzebuję tylko spokojnego wieczoru, a potem miesiąca odpoczynku, okej?

Nigdy nie umiała przyjmować ode mnie pieniędzy, lecz przecież ja mam pieniądze po to, żeby o nas dbać. Jeśli nie przyjmie kolejnej pożyczki, będę musiała znaleźć dla niej mieszkanie, na które będzie ją stać. Problem rozwiązany połowicznie.

– Dobra – mówię. – Zostaniemy w domu. Wieczór Hepburn?

Uśmiecha się szczerze.

– Wieczór Hepburn.

Za każdym razem, gdy mama była zmęczona albo miała złamane serce, pozwalała sobie na jeden wieczór nurzania się w swoim uczuciu. Nazywała to wieczorem Hepburn. Uwielbiała ją. Katharine, nie Audrey, chociaż nic nie miała przeciwko tej drugiej. To dlatego nazywam się Nora Katharine Stephens, Libby zaś jest Elizabeth Baby Stephens – „Baby” na cześć lamparta z *Drapieżnego maleństwa*.

W wieczór Hepburn każda z nas wkładała na siebie jedną z przesadnie kobiecych podomek vintage mamy i siadała skulona przed telewizorem z piwem korzennym i pizzą albo kawą bezkofeinową i ciastem czekoladowym, by oglądać stary czarno-biały film. Mama płakała przy ulubionych scenach, a kiedy Libby lub ja ją na tym przyłapałyśmy, śmiała się, ocierała łzy grzbietem dłoni i mówiła: „Tak łatwo się rozklejam”.

Uwielbiałam te wieczory. Nauczyły mnie, że złamane serce, jak większość rzeczy, da się

poskładać. Lista zadań może przeprowadzić człowieka przez żalobę. Istnieje plan pozwalający iść naprzód. Mama opanowała to do perfekcji, ale nigdy nie przeszła do kolejnego etapu: wykluczenia dupków.

Mężczyzn żonatych. Takich, którzy nie chcieli zostać ojczymami. Którzy nie mieli grosza przy duszy albo takich, którzy mieli w bród pieniędzy, a oprócz tego rodzinę, która chętnie szeptała o „naciągacze”.

Mężczyzn, którzy nie rozumieli jej zamiłowania do występów na scenie i którym brakowało poczucia bezpieczeństwa, by dzielić z nią światło reflektorów.

Została obarczona dziećmi, kiedy sama dopiero co przestała być dzieckiem, mimo to po tym wszystkim, przez co przeszła, zachowała otwarte serce. Była optymistką i romantyczką, podobnie jak Libby. Kiedyś przypuszczałam, że moja siostra zadurzy się z tuzin razy, będzie ulegała porywom serca przez dziesięciolecia, a tymczasem ona zakochała się w Brendanie w wieku dwudziestu lat i ustatkowała się.

Ja zaś miałam w sobie chyba tylko krztynę romantyzmu, a kiedy i ona została zdeptana i doszłam już do siebie, opracowałam rygorystyczny system ewaluacji partnerów. Dlatego ani Libby, ani ja tak naprawdę nie mamy potrzeby wracać do staromodnych wieczorów Hepburn. Stały się one jedynie wymówką dla lenistwa i okazją, by poczuć bliskość mamy.

Jest dopiero osiemnasta, ale przebieramy się w piżamy i wkładamy jedwabne podomki. Ściągamy koce z łóżek na poddaszu i schodzimy z nimi po spiralnych schodach z balustradą z kutego żelaza, by położyć je na kanapie. Następnie uruchamiamy pierwszą płytę DVD z zestawu Złotej Kolekcji Filmów z Katharine Hepburn, który Libby wzięła ze sobą.

Znajduję w szafce dwa nakrapiane niebieskie kubki i robię herbatę, a następnie siadamy wygodnie na kanapie, by obejrzeć *Filadelfijską opowieść*, z oczyszczającymi maseczkami węglowymi na twarzach. Libby kładzie mi głowę na ramieniu i wzdycha ze szczęścia.

– To był dobry pomysł – stwierdza.

Czuję ukłucie w sercu. Za kilka godzin, gdy będę leżała w obcym łóżku, nie mogąc znaleźć snu – albo jutro, kiedy moja siostra po raz pierwszy ujrzy nijaki plac miejski – moje uczucia mogą ulec zmianie, ale na razie wszystko jest w porządku.

Wszystko, co się zepsuje, da się naprawić. Każdy problem da się rozwiązać.

Libby zapada w sen, a ja wyciągam z kieszeni podomki komórkę i piszę mejla, którego wysyłam do każdego znanego mi agenta nieruchomości, właściciela domu i zarządcy.

„Panujesz nad sytuacją – mówię sobie. – Nie pozwolisz, by znowu spotkało ją coś złego”.

* * *

Mój telefon ćwierka około dwudziestej drugiej, informując, że otrzymałam wiadomość.

Libby położyła się do łóżka godzinę temu, a ja od tego czasu siedzę na tarasie za domem i w nadziei, że poczuję zmęczenie, rozkoszuję się kieliszkiem aksamitnego pinota pozostawionego dla nas przez Sally Goode, właścicielkę domku.

W swoim domu jestem sową. Poza nim cierpię na bezsenność i przypominam kogoś, kto dosypał sobie kokainy do red bulla i ruszył na przejażdżkę na mechanicznym byku. Próbowалаm pracować, ale wi-fi działa tu tak kiepsko, że laptop może służyć co najwyżej za duży przycisk do papieru. Dlatego wpatruję się w ciemny las, wodząc wzrokiem za zapalającymi się i gasnącymi świetlikami.

Mam nadzieję, że to wiadomość od któregoś z agentów nieruchomości, tymczasem w skrzynce wyświetla się pogrubiony adres Charliego Lastry. Otwieram mejla i prawie pluję winem ze śmiechu.

Wolałbym przeżyć życie bez świadomości istnienia tej książki, Stephens.

Mój rechot nawet mnie kojarzy się ze złą macochą. Kupiłeś to?

Charlie odpisuje: Wydatek służbowy.

Proszę, powiedz, że zapłaciłeś firmową kartą kredytową.

Akcja rozgrywa się w Boże Narodzenie. Na każde święta jest jakieś opowiadanie.

Biorę kolejny łyk, zastanawiając się nad odpowiedzią. Na przykład coś w rodzaju: „Piłeś ostatnio kawę z prądem?”.

Może Libby ma rację. Może Charlie Lastra w skrytości ducha dał się porwać, jak reszta Ameryki, opisowi Sunshine Falls w wydaniu Dusty i zaplanował wizytę tutaj pod koniec lata, kiedy branża zapada w sen. Nie powinnam jednak poruszyć tego tematu.

Piszę więc: Na której jesteś stronie?

Trzeciej. I już potrzebuję egzorcysty.

Okej, ale to nie ma nic wspólnego z książką.

I znowu, gdy tylko wysyłam te słowa, dziwię się/wpadam w panikę w związku ze swoim brakiem profesjonalizmu. Na przestrzeni lat wypracowałam w sobie czuły filtr – stosowany w relacjach ze wszystkimi z wyjątkiem Libby – a Charliemu udaje się zawsze go rozbroić, wcisnąć odpowiedni guzik, by otworzyć bramę i pozwolić moim myślom pomknąć na zewnątrz niczym welociraptory.

Kiedy Charlie pisze na przykład: Przyznaję, że to mistrzostwo tempa. Poza tym nic nie robi na mnie wrażenia, odruchowo reaguję stwierdzeniem: Hasło: „Poza tym nic nie robi na mnie wrażenia” powinno się znaleźć na Twojej płycie nagrobnej.

Refleksja, że nie powinnam tego wysyłać, przychodzi mi do głowy dopiero po fakcie.

Na Twoim napiszą: „Tu spoczywa Nora Stephens, która miała gust nadzwyczajny, choć czasem niepokojący”.

Nie oceniaj mnie na podstawie opowiadania bożonarodzeniowego. Nie czytałam go.

Nie oceniałbym Cię na podstawie porno z Wielką Stopą. Opieram się na tym, że wolisz Raz w życiu od Chwały rzeczy małych.

Pod wpływem wina w jendze w moim mózgu wysunął się o jeden klocek za dużo. Piszę: TO NIE JEST ZŁA KSIĄŻKA!

„TO NIE JEST ZŁA KSIĄŻKA”. – Nora Stephens. Zdaje się, że widziałem coś takiego na okładce.

Przyznaj, że nie uważasz, że jest zła. Żądam.

Pod warunkiem że Ty przyznasz, że nie uważasz jej za jej najlepszą książkę.

Gapię się w wyświetlacz; w jego ostrym świetle latają ćmy. Słyszę dobiegające z lasu odgłosy cykad i pohukiwanie sowy. Powietrze jest parne i gorące, mimo że słońce dawno już schowało się za drzewami. Odpisuję: Dusty ma niesamowity talent. Ona nie może napisać złej książki. Zastanawiam się przez chwilę. Pracuję z nią od lat i wiem, że idzie jej najlepiej, jeśli stosuje się pozytywne wzmocnienie. Nie przejmuję się tym, co się nie sprawdza w jej książkach. Skupiam się na tym, co jest w nich świetne.

Właśnie w ten sposób redaktorka zdołała sprawić, że *Raz w życiu* z dobrej stała się książką, od której nie można się oderwać. I właśnie to sprawia, że praca z tekstem jest tak ekscytująca: dostrzeżenie jego potencjału, odkrywanie, czym może się stać.

I to pisze kobieta, którą nazywają Rekinem.

Prycham. Nikt mnie tak nie nazywa. Chyba.

Pisze mężczyzna, którego zwą Chmurą Burzową.

Doprawdy?

Czasami. Oczywiście nie ja. Jestem zbyt uprzejma.

Ależ naturalnie. Rekiny z tego właśnie słyną: z dobrych manier.

Jestem zbyt ciekawa, by sobie odpuścić. Naprawdę mnie tak nazywają?

Redaktorzy się Ciebie boją.

Nie na tyle, by nie kupować książek moich autorów.

Nie kupowaliby ich, gdyby nie były tak cholernie fantastyczne.

Policzki płoną mi z dumy. Nie napisałam tych powieści – ja je tylko wyławiam. I udzielam edytorskich wskazówek. A także decyduję, któremu z redaktorów wysłać tekst. I negocjuję kontrakt, żeby autorka dostała jak najlepsze warunki. I trzymam ją za rękę, kiedy dostaje od redakcji uwagi długości powieści tołstojowskiej. I uspokajam, gdy dzwoni do mnie zapłakana. I tak dalej.

Myślisz – piszę – że to ma związek z moimi małymi oczami i wielką siwą głową? Szybko

wysłałam uzupełniającą wiadomość: Mam na myśli przezwisko.

Jestem pewien, że chodzi o głód krwi.

Prycham. Nie nazwałabym tego głodem krwi. Czyjeś wykrwawianie się nie daje mi satysfakcji. Robię to dla klientów.

Jasne. Mam takich, którzy sami są rekinami, chętnymi smarować oskarżycielskie mejle, kiedy czują się zaniedbywani przez wydawcę. Ale większość będzie raczej tłumiła urazę do czasu, aż pretensje się w niej zagotują, co doprowadzi do ich spektakularnego ulotnienia się.

Chociaż słyszę swój przydomek po raz pierwszy, wiem, że Amy, moja szefowa, uważa, że podchodzę do bycia agentką z „uśmiechem naszpikowanym nożami”, więc nie przeżywam szoku.

Tymczasem Charlie pisze: Są szczęściarzami, że Cię mają. Zwłaszcza Dusty. Każdy, kto broni „niezłej” książki, jest święty.

Gotuję się z oburzenia. A każdy, kto nie dostrzega potencjału tej książki, jest najwyraźniej niekompetentny.

Po raz pierwszy nie odpowiada od razu. Odchyłam głowę i jęczę, patrząc na niepokojąco rozgwieżdżone niebo. Usiłuję wymyślić, jak – i czy w ogóle – cofać się myślami do naszego pierwszego spotkania.

Uklucie w udo każe mi opuścić wzrok. Pacnięciem zabijam komara, ale dwa kolejne lądują na moim ramieniu. Ohyda. Składam laptopa i wnoszę go do domu, razem z książkami, telefonem i pustym już kieliszkiem.

Kiedy sprzątam, dostaję odpowiedź od Charliego.

To nie było nic osobistego. Po chwili przychodzi drugi mejl. Słynę z tego, że jestem zbyt obcesowy. Najwyraźniej nie robię dobrego pierwszego wrażenia.

Ja natomiast słynę z punktualności. Trafiłeś na mój zły dzień.

Jak to?

Tamten lunch.

Przecież od tego się wszystko zaczęło, prawda? Spóźniłam się, więc był dla mnie niemiły, na co zareagowałam niesympatycznie, więc mnie znieubił, no to ja znieubiłam jego i tak dalej, i tak dalej.

Nie musi wiedzieć, że właśnie wtedy rzucił mnie facet, w dodatku podczas czterominutowej rozmowy, niemniej chyba warto wspomnieć, że były to wyjątkowe okoliczności. Dostałam złą wiadomość. Dlatego się wtedy spóźniłam.

Nie odpowiada przez całe pięć minut. Irytuje mnie to, bo nie mam w zwyczaju prowadzić dynamicznej konwersacji przez mejla. Przecież mógł przerwać rozmowę w każdym momencie i położyć się spać, podczas gdy ja tu siedzę, wgapiona w ścianę, w pełni przytomna.

Gdybym miała tu swój rowerek stacjonarny, mogłabym spalić trochę tej energii.

Wreszcie odpisuje. Nie przejąłem się tym, że się spóźniłaś.

Spojrzałeś na zegarek. Znacząco. I o ile dobrze pamiętam, wytknąłeś mi spóźnienie.

Próbowałem ocenić, czy zdążę na samolot.

Zdążyłeś?

Nie. Przeszkodziły mi w tym dwa martini z ginem i platynowy blond rekin, spragniony mojej śmierci.

Śmierci nie. Może chciałam Cię nieco pokiereszować, ale twarzy bym nie ruszała.

Nie wiedziałem, że jesteś fanką takich zachowań.

Prąd biegnie w dół mojego kręgosłupa, a potem w górę, jakbym najwyższym kręgiem dotknęła drutu elektrycznego. Czy on ze mną flirtuje? Czy ja flirtuję z nim? Jestem znudzona, owszem, lecz nie do tego stopnia. Nigdy nie jestem aż tak znudzona. Po prostu dbam o twoje brwi – odpowiadam dla zamydlenia oczu. – Gdyby coś im się stało, straciłbyś ten chmurny wyraz twarzy i potrzebowałbyś nowego przydomku.

Coś mi się zdaje, że gdybym stracił brwi, nie brakowałoby dla mnie nowych przydomków. I domyślałam się, że miałabyś kilka sugestii.

Potrzebuję czasu, by to przemyśleć. Nie chciałabym podejmować pochopnych decyzji.

Ależ oczywiście. Sekundę później dostaję kolejną wiadomość. Pozwolę Ci wrócić do

wieczornych zajęć.

A ja Tobie do opowiadania o Wielkiej Stopie – piszę, ale zaraz to wykreślam.

Kręcę głową, próbując przepędzić spod powiek wyobrażenie mrukliwego Charliego Lastry wpatzonego ze ściągniętymi brwiami w elektroniczny czytnik w jakimś pobliskim hotelu; głębokość zmarszczek na czole zależy od tego, czy dotarł do jakiegoś sprośnego fragmentu.

Tyle że mój mózg najwyraźniej pragnie się zajmować wyłącznie tą wizją. Tego wieczoru, gdy leżę w łóżku, próbując przekonać samą siebie, że świat się nie skończy, jeśli odpłynę, wracam właśnie do tej wizji, do mojego wyobrazonego szczęśliwego miejsca.

Budzę się z walącym sercem. Moja skóra jest zimna i wilgotna. Otwieram oczy w ciemnym pokoju i przeskakuję od obcych mi drzwi do zarysu okna, a potem do chrapiącego obok mnie kształtu.

Libby.

Ulga jest ogromna i natychmiastowa, jakby ktoś wysypał na mnie wiadro lodu. Serca uspokaja się po koszmarze.

Libby tu jest. Wszystko musi być w porządku.

Rejestruję informacje dotyczące otoczenia.

Dom Lily Goode, Sunshine Falls, Karolina Północna.

To był tylko koszmar.

Może „koszmar” nie jest właściwym słowem. Sen sam w sobie jest miły, niemal do końca.

Zaczyna się od tego, że wracamy z Libby do starego mieszkania, odkładamy klucze i bagaże. Czasami są z nami Bea i Tala, niekiedy Brendan; uśmiechają się pogodnie, a my zapełniamy milczenie gorączkową paplaniną.

Tym razem jesteśmy tylko we dwie.

Śmiejemy się z czegoś – ze sztuki, którą obejrzałyśmy. Możliwe, że z *Gazeciarzy*. Detale zmieniają się w poszczególnych snach, a kiedy siadam, oddychając ciężko w tym obcym pokoju, pierzchają jak płatki na wietrze.

Zostaje ze mną głęboki ból, ziejący kanion.

Sen wygląda tak:

Libby wrzuca klucze do miski przy drzwiach. Mama patrzy na nas znad stołu w aneksie kuchennym. Siedzi z podkulonymi nogami, na które naciągnęła koszulę nocną.

– Cześć, mamó – mówi Libby i mija ją w drodze do pokoju, który dzieliłyśmy w dzieciństwie.

– Moje słodkie dziewczynki! – woła mama.

W drodze do lodówki pochylam się, żeby pocałować ją w policzek. Dopiero kiedy docieram do celu, czuję niepokój. Coś tu jest nie tak.

Odwracam się i patrzę na nią, moją piękną matkę. Wróciła do lektury, lecz kiedy się orientuje, że się jej przyglądam, uśmiecha się zdziwiona.

– No co?

Czuję łzy w oczach. To powinien być pierwszy sygnał informujący, że śnię – w realnym życiu nie płaczę – tyle że nigdy nie dostrzegam tej niezgodności.

Wygląda tak samo, ani o dzień starzej. Jak ucieleśnienie wiosny, ciepło, które skóra chłonie po długiej zimie.

Nie wydaje się zaskoczona naszym widokiem, tylko rozbawiona, a potem strapiona.

– Noro?

Podchodzę do niej, obejmuję ją i mocno tulę. Oplata mnie rękami, a jej cytrynowo-lawendowy zapach otula mnie niczym koc. Jej lśniąca rudoblond fale opadają mi na ramiona, kiedy gładzi mnie po głowie.

– Hej, moja słodka – mówi. – Co się stało? Wyrzuć to z siebie.

Nie pamięta, że odeszła.

Tylko ja wiem, że ona tu nie pasuje. Przekroczyłyśmy próg, a ona tu była, co wydawało się takie właściwe, naturalne do tego stopnia, że żadna z nas w pierwszej chwili niczego nie spostrzegła.

– Zrobię herbatę – proponuje mama i ociera mi łzy. Podnosi się i mnie mija, a ja wiem, jeszcze zanim to robię, że kiedy się odwrócę, jej już nie będzie.

Spuszczam ją z oczu, a wówczas ona znika. Nie potrafię się powstrzymać. Odwracam się w stronę cichego pokoju, czując bolesną pustkę w klatce piersiowej, jakby mnie wydrążono.

I wtedy się budzę. Jakby nie było sensu śnić, skoro jej nie może być w tym śnie.

Zerkam na zegarek stojący na szafce nocnej. Nie ma jeszcze szóstej, a ja zasnęłam dopiero po

trzeciej. Nawet pomimo chrapania Libby – a chrapała tak, że aż łóżko się trzęsło – w domu panowała zbyt głucha cisza. Tylko świerszcze grały i cykady śpiewały w jednostajnym rytmie, mnie zaś brakowało trąbienia zirytowanego taksjarza i syren pędzących wozów strażackich. Lub choćby głosów pijaczków drących się do siebie przez ulicę w drodze do domu po wieczorze pielgrzymowania od baru do baru.

W końcu ściągnęłam aplikację z odgłosami miasta, położyłam telefon na parapecie i stopniowo zwiększałam głośność, żeby nie obudzić Libby. Dopiero gdy osiągnęła maksymalny poziom, udało mi się zasnąć.

Teraz jednak już nie śpię.

Bolesna tęsknota za matką przybiera nagle postać tęsknoty za moim rowerkiem stacjonarnym Pelotona.

Jestem parodią samej siebie.

Wkładam sportowy stanik i legginsy, a następnie schodzę na dół, wciągam na stopy sneakersy i wychodzę na chłodny mrok poranka.

Nad łąką wisi mgła, a w oddali, za drzewami, przeblyskują na horyzoncie pierwsze plamy zabarwionego fioletem różu. Idąc po pokrytej rosą trawie ku kładce, unoszę ręce nad głowę i przeciągam się, a potem przyspieszam.

Po drugiej stronie kładki ścieżka wije się przez las. Biegnę w swobodnym tempie, a wilgoć z powietrza zbiera się w zakamarkach mojej skóry. Wreszcie boleść po śnie zaczyna ustępować.

Czasami mi się wydaje, że bez względu na to, ile lat upłynie, po przebudzeniu zawsze będę się czuła jak dopiero co osierocona.

Myślę, że teoretycznie nie jesteśmy sierotami. Kiedy Libby zaszła w pierwszą ciążę, razem z Brendanem wynajęli prywatnego detektywa, by odszukał naszego ojca. A gdy mu się to udało, Libby wysłała kochanemu staruszkowi zaproszenie na bociankowe. Oczywiście nie doczekała się odpowiedzi. Nie wiem, czego się spodziewała po mężczyźnie, który nie był uprzejmy pojawić się przy narodzinach własnego dziecka.

Zostawił mamę, kiedy jeszcze była w ciąży, o czym zresztą poinformował ją w liściku.

Owszem, zostawił również czek na dziesięć tysięcy dolarów, ale z tego, co mówiła o nim mama, miał tyle kasy, że to były dla niego marne drobniaki.

Zakochali się w sobie w liceum. Ona była chowaną pod kloszem, edukowaną w domu dziewczyną bez pieniędzy, za to z marzeniami o przeprowadzce do Nowego Jorku i karierze aktorki; on był bogatym chłopakiem z prywatnej szkoły, który ją zapłodnił w wieku siedemnastu lat. Jego rodzice chcieli, by mama przerwała ciążę; jej rodzice oczekiwali ślubu. W drodze kompromisu nie doszło ani do jednego, ani do drugiego. Młodzi zamieszkali ze sobą, a wówczas ich rodzice się od nich odcięli, tyle że jego dali mu na pożegnanie spuściznę, której ułamkiem nas obdarzył po porzuceniu. Mama wykorzystwała pieniądze na czarną godzinę, by przenieść nas z Filadelfii do Nowego Jorku i nie oglądać się za siebie.

Odganiam te myśli i skupiam się na błogim paleniu mięśni oraz dudnieniu stóp o usłaną sosnowymi igłami ziemię. Znam tylko dwa skuteczne sposoby na oczyszczenie głowy: lektura i rygorystyczne ćwiczenia fizyczne. Pozwalają mi opuścić ukradkiem swój umysł i dryfować w tym bezcielesnym mroku.

Szlak prowadzi w dół zalesionego zbocza, a potem wzdłuż ogrodzenia z biegnących poziomo desek, za którym ciągnie się pastwisko połyskujące w pierwszych promieniach światła, upstrzone sylwetkami koni. Machają ogonami, by odgonić komary i muchy, które lśnią w powietrzu niczym drobinki złotego pyłu.

Jest tam też jakiś człowiek. Na mój widok podnosi rękę w geście pozdrowienia.

Mrużę oczy przed ostrym światłem, a mój żołądek robi salto, gdy rozpoznaję adonisa z kawiarni. Małomiasteczkowego głównego bohatera.

Zwolnić?

Czy do mnie podejdzie?

Powinnam do niego zawołać i się przedstawić?

Wybieram czwartą możliwość: potykam się o korzeń i ląduję w błocie z dłonią w czymś, co wydaje się odchodami. Całą górą odchodów. Jakby rodzina jeleni wybrała sobie to miejsce na defekację.

Podnoszę się niezdarnie, łypiąc w stronę Bohatera Powieści Romantycznej, i stwierdzam, że nie widział mojego dramatycznego wystąpienia. Patrzy na jednego z koni (i rozmawia z nim?).

Przez moment się zastanawiam, czy do niego zawołać. Prowadzę swoją fantazję do punktu, w którym ten cudownie przystojny mężczyzna podaje mi rękę i odkrywa, że mam dłoń umorusaną jelenim kałem.

Wzdrygam się, odwracam i biegnę ścieżką dalej.

Jeśli w końcu uda mi się poznać tego wyjątkowo atrakcyjnego zaklinacza koni, to świetnie. Może zdołam odhaczyć piąty punkt na liście. A jeśli nie... cóż, przynajmniej zachowam godność.

Odgarniam z twarzy kosmyk włosów i uświadamiam sobie, że zrobiłam to ubrudzoną ręką.

To by było na tyle w temacie godności.

* * *

– Zapomniałam już, jak spokojnie się robi zakupy bez czterolatki, która kładzie się na podłodze i wylizuje kafelki – wzdycha Libby, sunąc alejką z artykułami toaletowymi jak jakaś arystokratka spacerująca po angielskim ogrodzie epoki regencji.

– No i cała ta przestrzeń... Przestrzeń! – mówię zdecydowanie bardziej entuzjastycznie, niż w rzeczywistości się czuję.

Zdołałam odwlec pokazanie Libby smętnego centrum Sunshine Falls – uparłam się, aby Hardy zawiózł nas do oddalonego o kilka miasteczek Publix – niemniej wciąż jestem w trybie profilaktycznego minimalizowania szkód, w którym podczas trwającej piętnaście minut jazdy tutaj pokazywałam siostrze rozmaite drzewa.

Libby zatrzymuje się przed farbami do włosów, a jej twarzy rozjaśnia promienny uśmiech.

– Hej, powinniśmy zdecydować, jakich zmian dokonamy! Jaki wybierzemy kolor, jak się ostrzyżemy!

– Nie zamierzam obcinać włosów – oponuję.

– Oczywiście, że nie. Ja ci je obetnę.

– Nic z tego.

Ściąga brwi.

– Mamy to na liście, siostra. Niby jak inaczej mamy się przeobrazić? Poradzę sobie, nie martw się. Ciągle strzygę dziewczynki.

– To by wyjaśniało okres Dorothy Hamill u Tali.

Libby daje mi kuksańca w ramię, co jest nie fair, bo przecież nie mogę w odwecie pacnąć ciężarnej, nawet jeśli jest moją młodszą siostrzyczką.

– Serio nie zamierzasz wypełnić wszystkich punktów listy? – pyta.

Coś we mnie drga.

Ta lista naprawdę cholernie mi się podoba.

Libby znów mnie szturcha, tym razem pod żebra.

– Daj spokój! Żyj! – woła. – Będzie fajnie! Przecież po to tu jesteśmy.

Zdecydowanie nie jest to mój powód. Mój powód stoi przede mną z melodramatycznie wysuniętą dolną wargą, a ja potrafię myśleć wyłącznie o czekającym nas miesiącu, który spędzimy odcięte od świata w miasteczku wyglądającym inaczej, niż wyobraża je sobie Libby.

Kryzysy mojej siostry można prześledzić na podstawie drastycznych zmian w jej wyglądzie. W dzieciństwie nie farbowała włosów – mama dużo mówiła o tym, jak rzadkie są jej rudoblond fale – ale na własnym ślubie pojawiła się z fryzurą na grzybka, której jeszcze poprzedniego wieczoru nie miała. Kilka dni później otworzyła się przede mną i wyznała, że ślub wywołał u niej napad strachu graniczącego z przerażeniem i musiała wykonać jakiś inny dramatyczny (choć nie tak trwały w skutkach) ruch, by sobie z tym uczuciem poradzić.

Ja uciekłabym się raczej do sporządzenia kolorowej listy wszystkich za i przeciw, no ale każda z nas działa po swojemu.

Rzecz w tym, że w tej chwili Libby wyraźnie zdręcza się myślą o narodzinach kolejnego dziecka i o tym, jak się w tym odnajdą z Brendanem, zwłaszcza w kontekście swoich napiętych finansów

i ciasnego mieszkania. Wiem, że jeśli będę naciskała, żeby ze mną o tym teraz porozmawiała, zamknie się w sobie. Jeżeli zaś będę stała u jej boku, porozmawia ze mną, gdy będzie gotowa. Bolesna, pulsująca przestrzeń między nami zniknie, fantomowa kończyzna znowu będzie cała.

Dlatego tu jestem. I tego chcę. Do tego stopnia, że jeśli trzeba by było, ogoliłabym sobie głowę (a potem zamówiła bardzo drogą perukę).

– Dobra – ustępuję. – Zróbmy to.

Libby piszczy z radości i wspina się na palce, żeby cmoknąć mnie w czoło.

– Wiem dokładnie, jaki kolor ci zrobię – oznajmia. – A teraz się odwróć i nie podglądaj.

Notuję w myślach, żeby na dzień powrotu do Nowego Jorku umówić wizytę u fryzjera.

Gdy wracamy po południu do domu, słońce stoi wysoko na bezchmurnym błękitnym niebie, a podczas wspinaczki pod górę pocimy się we wszystkich niewskazanych miejscach, ale Libby przez cały czas gada, nie zważając na nic.

– Jestem ciekawa, jaki kolor wybrałaś dla mnie – mówi.

– Żadnego – odpowiadam. – Po prostu ogolimy ci głowę.

Mruży oczy przed światłem, marszcząc usiany piegami nos.

– Kiedy się nauczysz, że nie powinnaś nawet próbować kłamać? Kiepsko ci to wychodzi.

W domu sadza mnie na kuchennym krześle i smaruje mi włosy farbą. Ja robię to samo z jej włosami. Żadna z nas nie pokazuje tej drugiej ubrudzonych rąk. W momencie dokonywania wyboru byłam go pewna, ale teraz, widząc wściekle ostry kolor na głowie siostry, zaczynam mieć wątpliwości.

Nastawiamy timery i Libby szykuje brunch.

Od wczesnych lat jest wegetarianką, a po śmierci mamy ja również zaczęłam się tak odżywiać, zupełnie mimochodem. W naszej sytuacji finansowej nie było sensu kupować różnego jedzenia dla każdej z nas. Poza tym mięso jest drogie. Z czysto matematycznego punktu widzenia wegetarianizm miał sens w przypadku osieroconych dziewcząt w wieku dwudziestu i szesnastu lat.

I tak zostało, nawet gdy Libby zamieszkała z Brendanem. W czasie, gdy marzyła, by zostać szefową kuchni, poderwała go na dietę roślinną.

Kiedy teraz smaży tempeh obok jajecznicy, czuję zapach boczku. A przynajmniej jest to woń na tyle podobna do woni boczku, by poruszyć kogoś, kto nie jadł go od dziesięciu lat.

Gdy timer się odzywa, Libby goni mnie, żebym umyła włosy, ale też przestrzega, bym nawet nie próbowała patrzeć w lustro.

Robię, co każe, bo gdybym próbowała ją oszukać, i tak by się zorientowała – kiepska ze mnie kłamczucha – a potem zajmuję się przełożeniem jedzenia do piekarnika, żeby nie przestygło w czasie, kiedy ona będzie zmywać farbę.

Z ręcznikiem na głowie siostra następnie prowadzi mnie na taras, żeby mnie ostrzyć. Co kilka sekund chrząka złowieszczo.

– Naprawdę wzbudzasz zaufanie, Libby – zauważam.

Cieniuje mi włosy z przodu, przy twarzy.

– Będzie dobrze – zapewnia.

Według mnie trochę za bardzo podnosi się na duchu. Po tym, jak zrobiłam jej długiego boba – włosy w dużej mierze zdążyły jej już wyschnąć same – wracamy do domu, by się wreszcie obejrzeć.

Nabieramy głęboko powietrza, przygotowując nasze ego na lekcję pokory, po czym stajemy przed łazienkowym lustrem.

Zrobiła mi wycieniowaną grzywkę, będącą czymś pośrednim między frędzlami a zasłoną, przez co popielaty brąz kojarzy się bardziej z wolnym duchem Laurel Canyon niż z brudną wodą ze zmywarki.

– Czy naprawdę musisz być tak obrzydliwie dobra we wszystkim, co robisz? – pytam.

Libby nie odpowiada, a kiedy na nią zerkam, spada na mnie wielki ciężar. Wpatruje się w swoje odbicie – z lokami w odcieniu landrynkowego różu – i łyzy napływają jej do oczu.

Cholera. Wielki i oczywisty niewypał. Libby może i lubi śmiały wygląd, ale zapomniałam uwzględnić to, jak ciąża wpływa na jej samoocenę.

– Zacznie schodzić już po kilku myciach! – zapewniam ją szybko. – Możemy też wrócić do sklepu i kupić inny kolor. Albo poszukać dobrego salonu w Asheville... Na mój koszt! Serio, z łatwością

temu zaradzimy, Lib. – Łez przybywa, widzę, że zaraz się przeleją. – Po prostu przypomniało mi się, jak błagałaś mamę, żeby ci pozwoliła pomalować włosy na różowo w dziewiątej klasie – kontynuuję. – Pamiętasz? Nie zgodziła się, więc urządziłaś strajk głodowy, aż wreszcie przystała na to, żebyś zafarbowała same końcówki.

Libby odwraca się do mnie z drżącą wargą. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy mnie zaatakuję, ale ona zarzuca mi ręce na szyję i przyciska twarz do mojej głowy.

– Jestem zachwycona, siostra... – oznajmia, a mnie otula jej słodki cytrynowo-lawendowy zapach.

Burza paniki we mnie cichnie. Napięcie znika z barków.

– Tak się cieszę – mówię, odwzajemniając uścisk. – I naprawdę świetnie się spisałaś. Nie wiem wprawdzie, co musiałoby mnie opętać, żebym wybrała ten kolor, ale ty sprawiłaś, że wygląda naprawdę dobrze.

Libby odsuwa się i ściąga brwi.

– Jest najbliższy twojemu naturalnemu kolorowi. Kiedy byliśmy dziećmi, twoje włosy zawsze mnie zachwyciły.

Serce mi się ściska, a w głębi nosa czuję charakterystyczne mrowienie.

– Och nie – odzywa się Lib, znowu patrząc w lustro. – Właśnie to do mnie dotarło! Co ja powiem Bei i Tali, jeśli będą chciały pomalować włosy jak ogony jednorożców? Albo ogolić głowę?

– Nie zgodzisz się – stwierdzam. – A kiedy będę się nimi następnym razem opiekowała, wręczę im farbę i nożyczki. A później nauczę je rolować skręty, jak przystało na seksowną, wyluzowaną, fajną ciotkę.

Libby prychnie.

– Chciałabyś wiedzieć, jak zrolować skręta. Boże, jak mi brakuje trawki. Żaden podręcznik dla przyszłych mam nie przygotowuje cię na to, jak bardzo będziesz tęsknić za ziołem.

– Zdaje się, że na rynku pojawiła się luka – rzucam. – Będę się rozglądać.

– *Przewodnik ćpunka po macierzyństwie* – podsuwa Libby.

– *Mamuśka z maryšką*.

– I towarzyszący jej *Tatusiek z jointem*.

– Wiesz – mówię – jeśli będziesz potrzebowała ponarzekać na brak trawki albo ciężę, na cokolwiek, pozostaję do usług. Zawsze.

– Tak. – Znowu przygląda się swojemu odbiciu i przeczesuje włosy palcami. – Wiem.

Telefon informuje mnie, że dostałam mejla, a na ekranie widzę imię Charliego. Słowa: „przeszkodziły mi w tym dwa martini z ginem i platynowy blond rekin” migają mi przed oczami jak neon kasyna, po części budząc dreszczyk emocji, a po części ostrzegawczo.

Nie chcę, żeby moja firmowa skrzynka została zablokowana, ale w przypadku wielu fragmentów tej książki nie mogę cofnąć faktu, że je przeczytałem. Jestem w horrorze i nie uwolnię się od klątwy, dopóki nie rzucę jej na kogoś innego.

Teoretycznie Charlie dysponuje moim numerem telefonu, bo widnieje on w stopce; zastanawiam się tylko, czy zaproponować mu, by z niego skorzystał.

Za: Może nadarzy się okazja, by wspomnieć, że jestem w Sunshine Falls, i tym samym zminimalizować ryzyko, że przypadkiem na siebie wpadniemy.

Przeciw: Czy naprawdę chcę, by mój zawodowy wróg słał mi kawałki erotyki z Wielką Stopą?

Za: Chcę. Jestem z natury ciekawska, a w ten sposób przynajmniej wymiana informacji będzie się odbywała na kanale prywatnym, a nie zawodowym.

Wystukuję swój numer i wysyłam wiadomość.

Nadchodzi chwila kontrolnego telefonu do Dusty. W ciągu tych dwudziestu minut mogłabym równie dobrze odtwarzać kawałki muzyczne z aren sportowych i skandować jej imię. Rzucam słowem „geniusz” z pół tuzina razy, aż wreszcie udaje mi się ją przekonać, żeby przesłała pierwszy kawałek kolejnej powieści – nawet jeśli jest surowy – redaktorce Sharon, aby ta mogła przystąpić do pracy, zanim Dusty skończy pisać.

Potem dołączam do Libby, która w łazience układa pofarbowane na różowo włosy w miękkie loki.

– Pójdźmy na kolację na nogach – prosi. – Szyja mnie boli po ostatniej jeździe taksówką. No i posikałam się przez nią.

– Pamiętam – przyznaję. – Mnie też się dostało.

Taksuje wzrokiem mój strój.

– Na pewno chcesz iść w tych butach?

Do czarnej sukienki kopertowej bez pleców włożyłam czarne pantofle na najszerszym obcasie, jakie mam. Libby ma na sobie plażówkę w margerytki z lat dziewięćdziesiątych i białe sandały.

– Jeżeli znowu proponujesz mi swoje crocysy, pozwę cię z powodu szkód emocjonalnych.

Boczy się.

– Po takim komentarzu nie zasługujesz na moje crocysy.

Gdy idziemy w dół zbocza, staram się zamaskować wysiłek, ale sądząc po pełnym satysfakcji uśmiechu mojej siostry, zauważyła, że obcasy grzęzną mi w trawie. Słońce już zaszło, niemniej wciąż jest potwornie gorąco, a populacja komarów szaleje. Przywykłam do szczurów – większość ucieka na widok człowieka, a reszta patrzy błagalnie w oczekiwaniu na kawałki pizzy. Komary są gorsze. Do czasu, gdy docieramy do skraju miejskiego placu, moje ciało wzbogaca się o sześć nowych bąbli.

Libby nie ma ani jednego ukąszenia.

– Pewnie jestem dla nich za słodka. – Trzepocze rzęsami.

– A może nosisz w sobie Antychrysta i zorientowały się, że jesteś ich królową.

Kiwa głową w zamyśleniu.

– Przydałoby mi się trochę ekscytacji. – Zatrzymuje się przed bardzo pustym przejściem dla pieszych i wodzi wzrokiem po równie opustoszałym centrum miasteczka, zaciskając usta. – Hmm... Jest bardziej senne, niż myślałam – stwierdza w końcu.

– To chyba dobrze? – pytam z nieco przesadną żarliwością. – Senne znaczy relaksujące.

– Słusznie. – Chyba się otrząsnęła, bo wraca jej uśmiech. – Właśnie tak. I po to tu przyjechałyśmy.

Wygląda bardziej na zdziwioną niż przygnębioną, kiedy mijamy sklep spożywczy będący w rzeczywistości lombardem, a ja z zaangażowaniem pokazuję jej Mug + Shot, żeby odwrócić jej uwagę.

– Pachniało wybornie – mówię. – Musimy tam jutro iść.

Rozpromienia się jeszcze bardziej, jakby jej poziom optymizmu zależał od mojego. Jeśli tak, jestem gotowa być optymistyczna jak diabli.

Przechodzimy obok salonu piękności. („Zdecydowanie powinniśmy się ostrzyć tutaj” – oznajmia Libby, ale nie zgadzam się z nią, zważywszy na czerwone, jakby ociekające krwią, litery na szyldzie układające się w napis „Zabójcze Loki”). Kilka pustych witryn dalej widzimy tani bar z jedzeniem, kolejną spelunkę i księgarnię (przysięgamy sobie do niej wrócić mimo zakurzonej, nijakiej wystawy). Przy końcu przecznicy stoi duży drewniany budynek z zardzewiałym metalowym szyldem z tajemniczym hasłem „Poppa Squat”.

Libby, zajęta swoim telefonem, koresponduje z Brendanem, szurając obok mnie. Nadal się uśmiecha, lecz jej uśmiech robi się spięty i odnoszę wrażenie, że balansuje na krawędzi płaczu. Burczy jej w brzuchu, twarz ma różową z upału i kiedy wyobrażam sobie, że pisze coś w rodzaju: „Może to wszystko było błędem”, wzbiera we mnie desperacja. Muszę to zmienić, i to szybko. A zacznę od znalezienia jedzenia.

Zatrzymuję się gwałtownie przed drewnianym budynkiem i zaglądam do środka przez przyciemnione szyby. Nie odrywając wzroku od telefonu, Libby pyta:

– Szpiegujesz kogoś?

– Zaglądam przez szybę do Poppa Squat.

Podnosi powoli wzrok.

– Co... to... jest... poppa squat?

– Cóż... – Wskazuję na szyld. – Albo to wielka publiczna toaleta, albo grill bar.

– Rety! – wykrzykuje z zachwytem przemieszonym z niedowierzaniem, do reszty pozbywszy się rozczarowania. – Dlaczego coś takiego istnieje?!

– Nie umiem ci odpowiedzieć, Libby. – Przesuwam się, by otworzyć skrzydło ciężkich drewnianych drzwi. – Świat bywa okrutnym i tajemniczym miejscem. Zdarza się, że ludzie ulegają dewiacji, zwichrowaniu, ich dusza choruje do tego stopnia, że nazywają lokal gastronomiczny...

– Witamy w Poppa Squat! – woła w naszym kierunku wychudzona hostessa z kręconymi włosami. – Ile osób mam usadzić?

– Dwie. Ale jemy za pięć – odpowiada Libby.

– Och, gratuluję! – rzuca wesoło hostessa. Omiata wzrokiem nasze brzuchy, z pewnością próbując rozwiązać w myślach matematyczne równanie.

– Nawet nie znam tej kobiety – mówię, wskazując ruchem głowy na Libby. – Idzie ze mną od trzech przecznic.

– To niegrzeczne – zauważa moja siostra. – Przecznic było więcej, a poza tym zachowujesz się, jakbyś mnie nie widziała.

Hostessa wydaje się skonsternowana.

Chrząkam.

– Poprosimy stolik dwuosobowy.

Dziewczyna z wahaniem macha ręką w stronę baru.

– Serwujemy wszystko przy barze, ale jeśli chcą panie stolik...

– Może być bar – zapewnia ją Libby.

Hostessa wręcza nam menu, które jest o jakieś czterdzieści stron za długie, a potem wspinamy się na obite skajem stołki, kładziemy torebki na klejącym się blacie i w milczeniu podziwiamy otoczenie.

To miejsce wygląda, jakby Cracker Barrel miał dziecko z barem w stylu country, i to dziecko było nastolatkiem, który za rzadko się myje i gryzie mankiety swojej bluzy.

Podłogi i ściany zrobiono z ciemnych niedopasowanych desek, a sufit z blachy falistej. W ramkach na ścianach umieszczono zdjęcia miejscowych drużyn sportowych obok wyszywanek z napisem: „Dom jest tam, gdzie jest jedzenie” i świecących neonów reklamowych Coors. Bar ciągnie się wzdłuż lewej ściany restauracji, w jednym rogu naprzeciwko ustawiono kilka stołów bilardowych,

a w drugim szafę grającą obok niewielkiej sceny. W całym Sunshine Falls nie widziałam tylu ludzi co tutaj, a mimo to lokal zdaje się świecić pustkami.

Otwieram menu i zaczynam je przeglądać. Dobre trzydzieści procent pozycji to potrawy na głębokim tłuszczu. Widać, że w Poppa Squat potrafią smażyć.

Barmanka, nadludzko piękna kobieta o bujnych ciemnych lokach i z konstelacją gwiazd wytatuowaną na ramionach, staje przede mną i opiera ręce o bar.

– Co podać?

Podobnie jak facet z kawiarni/farmy z końmi, wygląda nie tyle jak barmanka, ile ktoś, kto mógłby grać barmankę w seksownej operze mydlanej.

Co jest w tutejszej wodzie?

– Dirty martini – odpowiadam. – Z ginem.

– Wodę sodową z limonką poproszę – mówi Libby.

Barmanka się oddala, a ja wracam do omiatania wzrokiem piątej strony menu. Dotarłam do sałatek. A przynajmniej czegoś, co tak tu nazywają, bo jeśli ułoży się na sałacie doritos polane sosem farmerskim, to widać traktuje się to słowo dość swobodnie.

Kiedy barmanka wraca, próbuję zamówić sałatkę grecką.

Kobieta się krzywi.

– Na pewno?

– Teraz już nie.

– Nie słniemy z naszych sałatek – wyjaśnia.

– A z czego słniecie?

Macha ręką w stronę neonu Coors Light jaśniejącego za jej plecami.

– Z czego słniecie, jeśli chodzi o jedzenie? – uściślam.

– Bycie znanym niekoniecznie oznacza bycie podziwianym.

– Co pani poleca innego niż coors? – próbuje Libby.

– Frytki są dobre – odpowiada. – Burgery są okej.

– Wege? – pytam.

Wydyma wargi.

– Nie zabije.

– Doskonale – stwierdzam. – W takim razie poproszę burgera wege z frytkami.

– Ja również – dodaje Libby.

Pomimo zapewnienia barmanki, że burger nas nie zabije, wzruszenie ramion można odczytać jako stwierdzenie: „Już po was, zołzy!”.

Libby zachowuje się zupełnie normalnie, wydaje się wręcz szczęśliwa, ja jednak wciąż czuję niepokój w brzuchu, więc wypijam całe martini, jeszcze zanim pojawi się jedzenie. W efekcie upijam się na tyle, że na wszystko potrzebuję więcej czasu, niż powinnam. Libby zdążyła pochłonąć swoją porcję i zeskoczyć ze stołka, by pójść do toalety, ja zaś zaledwie nadgryzłam swojego burgera.

Telefon leżący na lepkim blacie wibruje i jestem w stu procentach pewna, że to wiadomość od Charliego.

Tymczasem jest po stokroć lepiej.

Dusty wreszcie złożyła część tekstu, a zrobiła to w samą porę – jej redaktorka idzie za miesiąc na urlop macierzyński.

Dziękuję Wam wszystkim za cierpliwość. Wiem, że to nie był idealny dla Was harmonogram, ale wiele dla mnie znaczy to, że ufacie mi na tyle, by pozwolić mi pracować w najlepszy dla mnie sposób. Mam już gotową całą pierwszą wersję, niemniej zdążyłam wyczyścić i doszlifować tylko tę część. Mam nadzieję w ciągu tygodnia przygotować jeszcze kilka rozdziałów, ale już to da Wam pojęcie, czego się spodziewać.

Tekst zaczyna się od rozdziału pierwszego. To dobrze wróży, kiedy autor nie staje się kimś w rodzaju Jacka Torrance’a zamkniętego z maszyną do pisania w hotelu Overlook. Opieram się pokusie, by przewinąć do końca – mam taki nawyk od dzieciństwa, kiedy to uzmysłowiłam sobie, że na świecie

jest zbyt wiele książek i za mało czasu. Zawsze traktowałam to jak test na to, czy chcę przeczytać daną książkę, ale ponieważ jest to dzieło klientki, i tak muszę przeczytać je w całości.

Kiedy mój wzrok pada na pierwszą linijkę, czuję się, jakbym dostała pięścią w brzuch.

„Nazwali ją Rekinem”...

– Co jest, kurwa... – mruczę.

Jakiś starszy mężczyzna przy końcu baru podnosi głowę znad wodnistej zupy i się krzywi.

– Przepraszam – mamrocę i znowu patrzę na wyświetlacz.

„Nazywali ją Rekinem, lecz się tym nie przejmowała. Przydomek do niej pasował. Rekiny umieją bowiem pływać wyłącznie do przodu. Nadine Winters zaś z zasady nie oglądała się za siebie. Jej życie opierało się na zasadach, z których wiele służyło uciszeniu sumienia. Gdyby spojrzała do tyłu, zobaczyłaby welon krwi. A poruszając się naprzód, mogła myśleć wyłącznie o głodzie.

Nadine Winters była głodna”.

Przez chwilę mam nadzieję się dowiedzieć, że Nadine Winters naprawdę jest rekinem. Że Dusty napisała historię o gadających zwierzętach rodem z koszmarów Charliego Lastry. Niestety cztery linijki dalej rzuca mi się w oczy pewne słowo, jakby nie napisano go czcionką Times New Roman, tylko ścinającymi krew w żyłach literami z szyldu Zabójczych Loków.

„Agentka”.

Bohaterka Dusty, Rekin, jest agentką.

Przyglądam się następnemu słowu.

„Filmowa”.

Agentka filmowa. Nie literacka. Ta różnica bynajmniej nie rozluźnia ucisku na moją klatkę piersiową ani nie wycisza szumu krwi w uszach.

W przeciwieństwie do mnie Nadine Winters ma kruczoczarne włosy i równą grzywkę.

Podobnie jak ja z obcasów rezygnuje tylko w czasie ćwiczeń.

W przeciwieństwie do mnie ćwiczy krav magę co rano, zamiast uczestniczyć w wirtualnych zajęciach spinningu.

Podobnie jak ja zamawia sałatkę z kozim serem za każdym razem, gdy spotyka się z klientem, i pija dirty martini z ginem – nie więcej niż jedno, bo nienawidzi tracić kontroli.

Podobnie jak ja nigdy nie wychodzi z domu bez pełnego makijażu i dwa razy w miesiącu odwiedza manicurzystkę.

Podobnie jak ja sypia z telefonem przy łóżku, z dźwiękiem ustawionym na maksimum.

Podobnie jak ja często zapomina o powitaniu na początku rozmowy i pożegnaniu na końcu.

Podobnie jak ja ma pieniądze, ale nie lubi ich wydawać i godzinami przegląda asortyment Net-A-Porter, wypełniając koszyk, by potem go tak zostawić do czasu, aż wszystkie artykuły się wyprzedadzą.

„Nadine nie cieszyła większość rzeczy – pisze Dusty. – W życiu nie chodziło o przyjemność. Według niej liczyło się przetrwanie, a to wymagało pieniędzy i instynktu”.

Twarz pali mnie coraz bardziej z każdą kolejną stroną.

Na koniec rozdziału Nadine wchodzi do biura i stwierdza, że jej asystentki coś świętują. Obrzuca je przenikliwym spojrzeniem i pyta, o co chodzi.

Jedna z kobiet oznajmia, że jest w ciąży.

Nadine się uśmiecha, jak na rekina przystało, składa gratulacje, a potem wchodzi do swojego gabinetu i zaczyna szukać powodu, by zwolnić ciężarną Stacey. Nie znosi zakłóceń, a ciąża tym właśnie jest. Zakłóceniem.

Nadine nie odchodzi od planów. Nie robi odstępstw od zasad. Kieruje się w życiu surowym kodeksem i nie ma w nim miejsca dla kogoś, kto się do owych zasad nie stosuje.

Krótko mówiąc, jest kopiącym szczeniaki, nienawidzącym kociaków, zafiksowanym na pieniądzach robotem. (Kopanie szczeniaków na razie jest w domyśle, lecz pewnie kilka rozdziałów dalej okaże się kanonem).

Dobrnawszy do końca, czytam tekst od początku i usiłuję się przekonać, że Nadine – kobieta, przy której Miranda Priestly wydaje się Królową Śnieżką – to nie ja.

Najgorsze jest trzecie czytanie. Bo wtedy akceptuję fakt, że to jest dobry tekst.

Jeden rozdział, dziesięć stron, ale się broni.

Wstaję chwiejnie i ruszam w stronę ciemnej wnęki, w której znajdują się toalety. Od razu tego żałuję. Potrzebuję Libby. Teraz. Potrzebuję, by ktoś, kto mnie zna i kocha, powiedział mi, że to nieprawda.

Powinnam była patrzeć, dokąd idę.

Nie powinnam była wkładać butów na tak wysokim obcasie, pić martini na pusty żołądek ani czytać tekstu, przez który mam surrealistyczne wrażenie, że opuściłam swoje ciało.

Połączenie tych wszystkich złych decyzji doprowadziło do tego, że na kogoś wpadłam. I to nie tak lekko w stylu: „Och, potrąciłam pana, ależ ze mnie urocza niezdara!”. Nie, nie. Mowa o: „O cholera! Mój nos!”.

Właśnie to słyszę w chwili, gdy wygina mi się kostka, tracę równowagę, a przed oczami miga mi twarz należąca do Charliego Lastry.

W momencie kiedy lecę na ziemię jak worek ziemniaków.

Charlie chwytą mnie za przedramiona, ostatecznie nie pozwalając mi upaść. Pomaga mi odzyskać równowagę, a jednocześnie z jego ust płyną słowa:

– Co do diabła? – Ból i szok ustępują rozpoznaniu, po którym szybko przychodzi zdumienie. – Nora Stephens. – Moje imię i nazwisko brzmią jak przekleństwo.

Gapi się na mnie.

A ja gapię się na niego.

– Jestem na wakacjach! – wyrzucam z siebie.

Jego zdumienie tylko się nasila.

– Ja... wcale cię nie śledzę.

Ściąga brwi.

– Okej?

– No nie śledzę.

Puszcza moje ręce.

– Brzmisz coraz bardziej przekonująco.

– To moja siostra chciała tu przyjechać – mówię. – Bo kocha *Raz w życiu*.

Coś błyska w głębi jego oczu.

A potem Charlie prycha.

Krzyżuję ręce na piersiach.

– Można by się zastanawiać, co ty tu robisz.

– Och – odzywa się cierpko. – To ja śledzę ciebie. – Na widok moich wybałuszonych oczu dodaje: – Jestem stąd, Stephens.

Przyglądam mu się zszokowana tak długo, że macha mi dłonią przed twarzą.

– Halo? Zawiesiłaś się?

– Ty... jesteś... stąd? To znaczy... dokładnie stąd?

– Nie urodziłem się przy barze tego nieszczęsnego przybytku, jeśli o to pytasz. – Wydyma wargę.

– Ale tak, pochodzę z okolicy.

Coś mi tu nie pasuje. Po części dlatego, że on wygląda, jakby wyszedł z rozkładówki Toma Forda w „GQ”, a po części dlatego, że nie jestem pewna, czy to miejsce nie jest planem filmowym porzuconym w połowie prac nad konstruowaniem go.

– Charlie Lastra pochodzi z Sunshine Falls.

Mruży oczy.

– Czy mój nos wbił ci się w mózg?

– Pochodzisz z Sunshine Falls w Karolinie Północnej – powtarzam. – Miasteczka z jedną stacją benzynową i restauracją o nazwie Poppa Squat.

– Tak.

W mojej głowie pojawia się jeszcze kilka stosownych pytań.

– Poppa Squat to osoba?

Charlie się śmieje zaskoczony. Ten dźwięk jest tak szorstki, że aż drapie mnie po żebrach.

– Nie?

– W takim razie – ciągnę – czym jest Poppa Squat?

Kąciki jego ust opadają.

– Nie wiem... Stanem umysłu?

– A co dolega tutejszej sałatce greckiej?

– Próbowalaś zamówić sałatkę? Miejscowi otoczyli cię z widłami?

– To nie jest odpowiedź.

– Ta sałatka to porwana sałata lodowa. I nic więcej – informuje mnie. – No, chyba że kucharz się upije i posypie ją pokrojoną w kostkę szynką.

– Dlaczego?

– Domyślam się, że w domu czuje się nieszczęśliwy – odpowiada Charlie z kamienną twarzą. – To, że ktoś podejmuje tu pracę, może mieć związek z niespełnionymi marzeniami.

– Nie pytam, dlaczego kucharz pije, tylko dlaczego posypuje sałatkę pokrojoną w kostkę szynką.

– Gdybym to wiedział, Stephens, wzniósłbym się na wyższy poziom zrozumienia. – W tym momencie dostrzega coś na ziemi i pochyla się, by to podnieść. – Twoje? – Podaje mi komórkę. – Rety – mówi, widząc moją minę. – Co ci zrobił ten telefon?

– Nie tyle telefon, co socjopatyczna superzdzira, która mieszka w środku.

– Większość ludzi nazywa ją Siri – stwierdza.

Gdy wciskam mu do ręki swoją komórkę z otwartym plikiem od Dusty, Charlie znowu ściąga brwi.

Co ja wyprawiam? – myślę natychmiast. Wyciągam rękę po komórkę, ale on się odsuwa. Zmarszczka pod jego dolną wargą pogłębia się w miarę lektury. Przewija tekst z zawrotną prędkością, a jego wydęte wargi układają się w ironiczny uśmiezek.

Dlaczego mu go pokazałam? Odpowiada za to martini, świeży uraz głowy czy czysta desperacja?

– Dobrze – oznajmia w końcu, wciskając mi telefon do ręki.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – naciskam. – Nie chcesz skomentować nic więcej?

– Dobra, to jest świetne.

– Upokarzające!

Zerka w stronę baru, a potem znowu patrzy mi w oczy.

– Posłuchaj, Stephens. Kończy się właśnie wyjątkowo kiepski dzień w wyjątkowo kiepskiej restauracji. Czy skoro mamy kontynuować tę rozmowę, mógłbym chociaż zamówić coorsa?

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto pija coorsa – zauważam.

– Nie pijam, ale bezwzględne docinki barmanki nasilają mój zachwytt Manhattanem.

Zerkam w stronę seksownej barmanki rodem z telewizji.

– Twój kolejny wróg?

Oczy mu ciemnieją, a usta drgają w ten charakterystyczny sposób.

– Jesteśmy wrogami? Ślesz erotykę z Wielką Stopą wszystkim swoim wrogom czy tylko tym wybranym?

– Zraniłam twoje uczucia, Charlie?

– Wydajesz się bardzo zadowolona z siebie – stwierdza. – Jak na kobietę, która właśnie się dowiedziała, że jest pierwowzorem Cruelli De Mon.

Łypię na niego gniewnie, a on przewraca oczami.

– Daj spokój. Postawię ci martini. Albo kupię futro ze szczeniaków.

Martini. Właśnie to pija Nadine Winters, gdy nie ma łatwego dostępu do krwi dziewczyc.

Z jakiegoś powodu przychodzi mi do głowy mój były chłopak Jakob. Wyobrażam go sobie, jak pije piwo z puszki na werandzie za domem, z wtuloną w swój bok żoną popijającą ze swojej puszki.

Chociaż urodziła czwórkę dzieci, jest wyluzowana i wręcz niedorzecznie piękna, a mimo to pozostaje „równą kumpelą”.

Taką anty-Norą.

One zawsze takie są. Te, dla których jestem rzucana. Dość trudno jest się nauczyć być „równą kumpelą”, kiedy w okresie dojrzewania: 1) miało się do czynienia z facetami, którzy doprowadzali matkę do łez i 2) tancerki przyjaciółki matki uczyły cię, jak wykonać ruch „krok w bok-do tyłu-zmiana”. Mogę być równą kumpelą, ale pod warunkiem, że ulubiona piosenka kolesia pochodzi z *Nędzników*. W przeciwnym razie jestem beznadziejna.

– Napiję się piwa – rzucam, mijając Charliego. – Ty stawiasz.

– Tak jak mówiłem – mruczy i zmierza za mną do obsypanego łupinami fistaszków baru.

Gdy wymienia uprzejmości z barmanką (zdecydowanie nie są wrogami; dogadują się, co znaczy, że jest wobec niej o jakieś piętnaście procent mniej gburowaty niż w stosunku do mnie), zerkam w kierunku toalety, ale Libby jeszcze nie wyszła.

Z tego, że czytam rozdział od nowa, zdaję sobie sprawę dopiero wtedy, gdy Charlie wyrzywa mi

telefon z rąk.

– Przestań! Masz obsesję.

– Nie mam.

Świdruje mnie tym swoim spojrzeniem czarnej dziury, przez które mam ochotę się czegoś przytrzymać.

– Naprawdę dziwi mnie, że to dla ciebie taki problem.

– A mnie dziwi, że twój chip sztucznej inteligencji pozwala ci się dziwić...

– Witam.

Wzdrygam się na dźwięk głosu Libby. I oto widzę ją z uśmiechem kota z kreskówki, który wepchnął sobie do pyska kilka kanarków.

– Libby – mówię. – To jest...

Nie zdążam jednak przestawić Charliego, bo moja siostra wypala:

– Chciałam ci tylko dać znać, że wezwałam taksówkę. Nie czuję się najlepiej.

– Co się dzieje? – Zaczynam się podnosić, ona jednak naciska na moje ramię. Mocno.

– To tylko zmęczenie. – Bynajmniej tak nie brzmi. – Ale ty powinnaś zostać. Nawet nie zjadłaś swojego burgera.

– Lib, nie zamierzam ci pozwolić...

– Och! – woła, patrząc na swój telefon. – Hardy już tu jest. Uregulujesz rachunek, Noro?

Z natury się nie rumienię, ale teraz twarz mnie piecze, bo dociera do mnie, co się dzieje. A to znaczy, że Charlie pewnie też się zorientował. Libby już się wycofuje i zostawia mnie z połówką burgera, niezaplaconym rachunkiem i głębokim pragnieniem, by ziemia rozstąpiła się pode mną i mnie pochłonięła.

Zerka na mnie jeszcze przez ramię i woła głośno:

– Powodzenia w odhaczeniu punktu piątego, siostra!

– Punktu piątego? – pyta Charlie, gdy drzwi się zamykają i moją siostrę połyka noc.

Naprawdę nie podoba mi się wizja, że Libby będzie się samotnie wspinała po tych schodach.

Wyciągam telefon i piszę: Daj mi znać od razu, jak wejdiesz do domu!!!

Daj mi znać od razu, jak zaliczysz trzecią bazę z Panem Przystojniakiem – odpisuje natychmiast.

Charlie prycha, patrząc mi przez ramię. Odkładam telefon i ściągam łopatki.

– To była moja siostra Libby – informuję. – Ignoruj wszystko, co mówi. Zawsze jest napalona, kiedy jest w ciąży. Czyli... zawsze.

Jego (naprawdę cudowne) brwi się unoszą, a spojrzenie spod przymkniętych powiek przykuwa całą moją uwagę.

– To zdanie niesie mnóstwo treści.

– Nie ma czasu na analizę. – Wgryzam się w zimnego burgera, by skupić się na czymś innym niż jego twarz. – Powinnam do niej wracać.

– Zatem nie masz czasu na piwo – rzuca jak wyzwanie, jakby chciał powiedzieć: „wiedziałem”.

Brwi ma uniesione, a w kąciku jego ust kryje się najbardziej ulotny z możliwych uśmiezków. Jakimś cudem jego wargi wciąż pozostają wydęte. Kojarzą mi się z rybem pyszczkiem.

Kelnerka wraca do nas ze zroszonymi butelkami, a Charlie jej dziękuje. Po raz pierwszy widzę jej zdumiewająco olśniewający uśmiech.

– Nie ma za co – mówi. – Jeśli będziesz czegoś jeszcze potrzebował, tylko powiedz.

Kiedy się odwraca, Charlie przygląda mi się, upijając duży łyk.

– Dlaczego uśmiecha się do ciebie? – pytam. – To ja daję co najmniej trzydziestoprocentowe napiwki.

– Powinnaś spróbować prawie się z nią ożenić i sprawdzić, czy to pomoże – odpowiada.

Ogłuszona, gapię się na niego z otwartymi ustami.

– Skoro mowa o zdaniach z dużą ilością treści... – dukam w końcu.

– Wiem, że jesteś zapracowaną kobietą – stwierdza Charlie. – Pozwolę ci wrócić do ostrzenia noży i porządkowania szafki z truciznami, Nadine Winters – mówi to wszystko tak spokojnie, że z łatwością można by przeoczyć żart, lecz tym razem wyraźnie przymilna nuta w jego głosie bierze mnie

pod włos.

– Po pierwsze, to kredens, nie szafka – odpalam. – A po drugie, skoro mam to piwo i jest już po godzinach pracy, mogę je wypić.

Bo przecież nie jestem Nadine Winters.

Chwytam butelkę i piję, czując na sobie ciężki wzrok Charliego.

– Cholernie dobre, co? – Chociaż raz pozwala sobie na odrobinę ekscytacji w tonie. Jego oczy lśnią, jakby w czaszce zaiskrzyła mu błyskawica.

– Jeśli ktoś lubi kocie siuśki i benzynę.

– Chodzi mi o ten rozdział, Noro.

Potakuję z zaciśniętymi zębami.

Z tego, co wiem, brwi Charliego mają trzy tryby: zamyślony, gniewny i ilustrujący coś, co jest albo troską, albo konsternacją. I właśnie takie są teraz.

– Wciąż jesteś zdenerwowana.

– Zdenerwowana?! – wołam. – Tylko dlatego, że moja najstarsza klientka uważa, że mogłabym kogoś wywalić z roboty za to, że zaszedł w ciążę? Nie bądź głupi.

Charlie opiera stopę o poprzeczkę stołka i puka mnie kolaniem.

– Ona tak nie myśli. – Odchyła głowę przy kolejnym łyku i wtedy kropelka piwa spływa mu z kącika ust. Przez moment zahipnotyzowana przyglądam się, jak powoli sunie po szyi w stronę kołnierzyka jego koszuli. – A nawet jeśli myśli – kontynuuje Charlie – to jeszcze nie czyni tego prawdą.

– Jeżeli napisała o tym całą książkę, inni ludzie mogą uwierzyć, że to prawda.

– A kogo to obchodzi?

Wskazuję na swoją klatkę piersiową.

– Osobę, która potrzebuje współpracowników, by móc wykonywać swoją robotę.

– Od jak dawna reprezentujesz Dusty? – pyta.

– Od siedmiu lat.

– Nie pracowałaby z tobą przez siedem lat, gdybyś nie była świetną agentką.

– Wiem, że jestem świetną agentką. – Nie w tym problem, tylko w tym, że czuję się zażenowana, zawstydzona i trochę zraniona. Bo jak się okazuje, jednak mam uczucia. – Nie ma sprawy. Nic mi nie jest.

Charlie mi się przygląda, więc powtarzam:

– Nic mi nie jest!

– Najwyraźniej.

– Śmiejesz się, ale...

– Nie śmieję się – przerywa mi. – Kiedy się śmiałem?

– Słuszna uwaga. Jestem pewna, że nigdy. Poczekajmy, aż jeden z twoich autorów napisze książkę o redaktorze dupku o bursztynowych oczach.

– Bursztynowe oczy?

– Nie kwestionujesz dupka – zauważam i biorę łyk piwa. Najwyraźniej mój filtr znowu zniknął, ale przynajmniej to dowodzi, że nie jestem ową kobietą z książki.

– Przywykłem do tego, że ludzie mają mnie za dupka – odpowiada sztywno. – Ale nie do tego, że ktoś określa moje oczy mianem bursztynowych.

– Przecież taki mają kolor – mówię. – Obiektywnie. To nie był komplement.

– W takim razie zduszę w sobie poczucie, że mi schlebiasz. A jakiego koloru są twoje oczy? – Przysuwa się bez cienia zażenowania, wiedziony ciekawością, a jego ciepły oddech muska moją szczękę.

Właśnie wtedy dociera do mnie, że uważam, iż jest przystojny.

Wiem, że uznałam go za przystojniaka w Mug + Shot, kiedy wzięłam go za kogoś innego, ale teraz uświadomiłam sobie, że to jego – Charliego Lastrę, a nie kogoś do niego podobnego – uważam za ciacho.

Piję kolejny łyk.

– Czerwonego.

– Podkreślają kolor rozwidlonego ogona i rogów.

- Jesteś przesłodki.
- Jeszcze nikt nie zarzucił mi czegoś podobnego.
- Nie rozumiem czemu.

Unosi brwi, a miodowozłote obwódki przypominających czarną dziurę żrenic lśnią.

– Jestem pewien, że ludzie ustawiają się w kolejce, by recytować sonety na temat twojej słodyczy.

Prycham.

– Słodka jest moja siostra. Kiedy sika na dworze, w tym miejscu wyrastają kwiatowe ogrody.
– Wiesz co? Sunshine Falls nie jest może dużym miastem, ale powinnaś poinformować siostrę, że mamy w budynkach kanalizację. Chyba tylko to Dusty opisała trafnie.

– Cholera! – Chwytam telefon. Dusty. Jest w trudnym momencie i przywykła do mojej stuprocentowej dyspozycyjności. Nieważne, czy ta książka przedstawia mnie jako hrabinę Batory, czy nie, jestem jej winna swoją aktywność. Zaczynam pisać odpowiedź, stosując nietypowy dla siebie nadmiar wykrzykników.

Charlie spogląda na zegarek.

– Dwudziesta pierwsza, wakacje, bar, a ty wciąż w pracy. Nadine Winters byłaby z ciebie dumna.
– I kto to mówi? – pryham, nie podnosząc wzroku. – Tak się składa, że wiem, jak aktywny byłeś na swoim koncie Loggia Publishing w tym tygodniu.

– Owszem, tyle że ja nie mam problemu z Nadine Winters. Uważam wręcz, że jest fascynująca.

Zatrzymuję spojrzenie na pisany własnie słowie.

– O? A co jest fascynującego w socjopatce?

– Patricia Highsmith mogłaby mieć coś do powiedzenia na ten temat – odpowiada. – I co ważniejsze, Noro, nie wydaje ci się, że oceniasz tę postać zbyt surowo? To tylko dziesięć stron.

Podpisuję mejla, wysyłam go i odwracam się w jego stronę. Kolana utykają mi między jego kolanami.

– Jak wiemy, recenzenci są znani z życzliwości względem bohaterek.

– Mnie się podoba. Kto by się przejmował zdaniem innych, o ile tylko zechcą o niej przeczytać.

– Ludzie zwalniają, by się pogapić na wypadki, Charlie. Czy nazywasz mnie wrakiem?

– W ogóle nie mówię o tobie – stwierdza. – Rozmawiamy o Nadine Winters, mojej platonicznej miłości.

Przepływa przeze mnie fala gorąca.

– Jesteś fanem kruczo czarnych włosów i krav magi?

Charlie nachyla się do mnie z poważną miną i mówi niskim głosem:

– Chodzi raczej o kapiącą z jej zębów krew.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie dlatego, że to ohydne, ale ponieważ, jestem tego pewna, nawiązuje do Rekina. A to już mi niebezpiecznie pachnie flirtem.

Ja zaś zdecydowanie nie powinnam z nim flirtować. Z tego, co wiem, ma partnerkę – albo pokój z lalkami. Poza tym świat wydawniczy to małe stawiki i łatwo go zanieczyścić jednym złym posunięciem.

Boże, nawet mój wewnętrzny dialog pasuje do Nadine.

Chrząkam, piję łyk piwa i zmuszam się, by nie myśleć nadmiernie o tym, że siedzę wciśnięta pomiędzy jego uda, ani o tym, że nie mogę oderwać wzroku od zmarszczki pod jego dolną wargą. Nie muszę myśleć. Nie muszę mieć nad wszystkim pełnej kontroli.

– Opowiedz mi o tym miejscu – odzywam się. – Co tu jest interesującego?

– Lubisz trawę? – pyta Charlie.

– Jestem jej fanką.

– Mamy jej mnóstwo.

– Co jeszcze?

– Trafiliśmy na listę top dziesięciu restauracji o najbardziej odrażających nazwach.

– To już wiem. – Zataczam ręką koło.

Charlie ruchem brody wskazuje na mnie.

– Powiedz mi, Noro. Czy to miejsce wydaje ci się interesujące?

– Jest zdecydowanie... – Szukam właściwego słowa. – Spokojne?

Parska chropawym, urywanym śmiechem, który pasuje do zatłoczonego baru w Brooklynie, gdzie światło ulicznych latarni wpadające przez ociekające deszczem szyby nadawałoby jego złocistej skórze czerwony odcień. Nie tutaj jednak.

– Czy to jest pytanie? – rzuca.

– Jest spokojne – powtarzam z większą pewnością.

– Nie lubisz spokoju. – Jego wydęte wargi uśmiechają się ironicznie. Kokieteryjnie. – Wolałabyś być gdzieś, gdzie jest głośno i tłoczno, gdzie sama egzystencja wydaje się rywalizacją.

Zawsze uważałam się za introwertyczkę, ale prawdą jest, że przywykłam do obecności ludzi wokół siebie. Człowiek adaptuje się do życia ze stałą widownią. Znajduje w tym pokrzepienie.

Mama powiadała, że stała się nowojorczańką w dniu, w którym otwarcie płakała w metrze. Odpadła w ostatniej rundzie przesłuchania i jakaś starszuszka siedząca w wagonie naprzeciwko podała jej chusteczkę, nie odrywając nawet wzroku od książki.

To, jak wracam myślami do Nowego Jorku, zdaje się potwierdzać spostrzeżenie Charliego. Po raz kolejny niepokoi mnie poczucie, że Charlie Lastra zagląda za moje uważnie wyprasowane zewnętrzne warstwy.

– Spokój i cisza w pełni mi odpowiadają – upieram się.

– Może. – Charlie obraca się, by sięgnąć po piwo, i naciska swoim kolanem moje tak długo, jak długo bierze łyk. Potem odwraca się z powrotem do mnie. – A może, Noro Stephens, potrafię cię czytać jak książkę.

Prycham.

– Bo niby masz tak wysoko rozwiniętą inteligencję społeczną?

– Bo jesteś taka jak ja.

Prąd przeszywa mnie w miejscu, w którym nasze kolana się stykają.

– W ogóle nie jesteśmy do siebie podobni.

– Chcesz mi powiedzieć, że odkąd wysiadłaś z samolotu, nie korci cię, by wrócić do Nowego Jorku? Że nie czujesz się jak astronautka w kosmosie, podczas gdy świat obraca się w swoim normalnym tempie, a gdy wrócisz, odkryjesz, że przegapiłaś całe życie? I że Nowy Jork nigdy nie będzie potrzebował ciebie tak jak ty jego?

Dokładnie tak, myślę, zdumiona po raz czterdziesty piąty w ciągu trzech kwadransów.

Przyglądam włosy, jakbym mogła w ten sposób wsunąć odsłonięte sekrety na miejsce.

– Ostatnie dni okazały się orzeźwiającym odpoczynkiem od opryskliwych monochromatycznych typków z nowojorskich kręgów literackich.

Charlie odchyła głowę, opuszcza nieco powieki.

– Wiesz, że to robisz?

– Co takiego?

Muska palcami prawy kącik moich ust.

– Robi ci się zmarszczka w tym miejscu, kiedy kłamiesz.

Daję mu po łapie, ale cała moja krew zdążyła ruszyć na spotkanie z jego palcami.

– To nie jest zmarszczka kłamstwa – kłamię – tylko zmarszczka irytacji.

– W takim razie – rzuca cierpko – co byś powiedziała na pokera za wysoką stawkę?

– Dobra. – Pociągam kolejny łyk piwa. – To jest moja zmarszczka kłamstwa. Pozwij mnie.

Tęsknię za Nowym Jorkiem. Tutaj jest za cicho, żebym mogła spać, a ja czuję się rozczarowana tym, że sklep spożywczy okazał się lombardem. To chcesz usłyszeć, Charlie? Że moje wakacje nie zaczęły się obiecująco?

– Zawsze jestem fanem prawdy – odpowiada.

– Nie można być zawsze fanem prawdy – oponuję. – Bo zdarza się, że prawda jest do bani.

– Zawsze lepiej jest znać prawdę, niż dawać się zwodzić.

– Niekiedy trzeba być uprzejmym.

– Aha! – Potakuje, a w jego oczach błyska zrozumienie. – I na przykład poczekać do końca

lunchu, zanim się komuś powie, że nie podoba ci się książka jego klientki?

– To by cię nie zabiło – stwierdzam.

– Mogłoby. Nauczyłem się od starego Whittakera, że sekrety mogą być toksyczne.

Prostuję się, kiedy coś do mnie dociera.

– To dlatego ci się nie podobała! Bo jesteś stąd!

Teraz to on się wierci, skrępowany. Znalazłam jego słabość; wejrzałam pod pancerz Charliego Lastry i szala przechyla się lekko na moją stronę. Podoba mi się to. Bardzo.

– Niech zgadnę. – Wysuwam dolną wargę. – Złe wspomnienia.

– A może – mówi przeciągle, przysuwając się do mnie – ma to związek z tym, że Dusty Fielding najwyraźniej nie wklepywała hasła Sunshine Falls w Google od dwudziestu lat, a tym bardziej nie odwiedziła tego miejsca.

Ma rację naturalnie, tyle że kiedy się przyglądam jego zaciśniętym szczękom i dziwnie zmysłowemu, choć wyraźnie ponuremu grymasowi ust, wiem, że mój uśmiech się wyostri. Widzę to bowiem: półprawdę jego słów. Ja też potrafię go czytać i czuję się, jakbym odkryła w sobie uśpioną supermoc.

– Daj spokój, Charlie – naciskam. – Wydawało mi się, że zawsze jesteś fanem prawdy. No już, wyrzuć to z siebie.

Krzywi się, wciąż wydymając wargi.

– Nie jestem największym fanem tego miejsca.

– Reeety! – rzucam śpiewnie. – Przez cały ten czas wydawało mi się, że książka ci się nie podobała, a tymczasem pielęgnowałeś swój głęboko ukryty mroczny sekret, przez który odcinałeś się od miłości, radości, śmiechu i... Mój Boże, jesteś starym Whittakerem!

– Okej, maestro. – Charlie wyjmuję mi z ręki butelkę z piwem, którą nieświadomie wymachiwałam, i stawia ją bezpiecznie na barze. – Wyluzuj. Nigdy nie podobała mi się narracja w duchu „w małym miasteczku wszystko jest lepsze”. Moją najmroczniejszą tajemnicą jest to, że wierzyłem w Świętego Mikołaja do dwunastego roku życia.

– Mówisz to tak, jakby to nie był niesamowity szantaż.

– Dwustronnie pewna destrukcja. – Stuka w mój telefon, czyniąc aluzję do tekstu *Lodowatej*. – Wyrównuję sytuację po lekturze tych stron.

– Jakie to szlachetne. A teraz powiedz mi, dlaczego ty miałeś zły dzień.

Przygląda mi się przez chwilę, po czym kręci głową.

– Nie... Raczej tego nie zrobię. Jeśli ty mi nie powiesz, dlaczego tu jesteś.

– Już ci powiedziałam. Przyjechałam na wakacje.

Znowu się do mnie przysuwa, ujmuję mnie pod brodę, kładąc kciuk w miejscu zmarszczki w kąci moich ust. Dech mi zapiera.

– Kłamczucha. – Głos ma niski i chrapliwy.

Jego palce się odsuwają, a potem daje barmance znać, że prosi o jeszcze dwa piwa.

Nie oponuję.

W końcu nie jestem Nadine Winters.

– Co byś powiedziała na partyjkę bilardu? – proponuje Charlie. – Jeśli wygram, powiesz mi, dlaczego tak naprawdę tu jesteś. A jeśli przegram, opowiem ci o swoim dniu.

Prycham i się odwracam, by pod pozorem chowania telefonu do torebki ukryć zmarszczkę kłamstwa. Już wiem, że Libby dotarła bezpiecznie do domu.

– Nie gram w bilard.

A konkretniej nie gram w bilard od czasu studiów, kiedy to wraz z koleżanką z pokoju co tydzień ogrywałyśmy chłopaków z bractwa.

– Rzutki? – podsuwa Charlie.

Unoszę brwi.

– Chcesz mi wręczyć broń po tym, jak się potoczył mój wieczór?

Pochyla się, a oczy mu lśnią w słabym barowym oświetleniu.

– Będę rzucał lewą ręką.

– A może ja nie chcę wręczać broni tobie? – sugeruję.

Przewraca subtelnie oczami, jakby tylko drgnęły mu mięśnie twarzy.

– W takim razie bilard lewą ręką.

Urządzamy sobie konkurs patrzenia w oczy bez mrugnięcia, typowy dla dzieciaków z podstawówki, a im dłużej to trwa, tym silniej wibruje w powietrzu narastająca metafizyczna energia.

Zsuwam się ze stołka i dopijam drugie piwo.

– W porządku.

Podchodzimy do jedyne odsłoniętego stołu. W tej części restauracji jest ciemniej, podłoga klei się bardziej, a ze ścian dosłownie sączy się woń piwa.

Charlie bierze kij i ramkę, po czym układa bile na środku obitego sukmem stołu.

– Znasz zasady? – pyta, zerkając na mnie znad zielonej powierzchni.

– Jedno gra połówkami, a drugie całym bilami?

Sięga po niebieską kredę leżącą na skraju stołu i pociera nią czubek kija.

– Chcesz być pierwsza?

– Będziesz mnie instruował, tak? – Staram się wyglądać niewinnie, jak Libby, gdy trzepocze rzęsami.

Charlie patrzy na mnie.

– Tak się zastanawiam, co twoim zdaniem wyczynia teraz twoja twarz, Stephens.

Mrużę oczy. On też mruży oczy, z przesadą.

– Czemu tak cię interesuje powód mojego pobytu tutaj? – pytam.

– Zabójcza ciekawość. A dlaczego ciebie obchodzi mój nieudany dzień?

– Warto znać słabości przeciwnika.

Wysuwa kij.

– Ty pierwsza.

Biorę go od niego, opieram o krawędź stołu i zerkam przez ramię.

– Czy w tym momencie nie powinienes oprzeć rąk po bokach mnie i pokazać mi, jak to się robi?

Jego usta się wyginają.

– To zależy. Masz przy sobie jakąś broń?

– Najostrzejsze, co mam, to zęby. – Trzymam kij tak, jakbym nie tylko nigdy w życiu nie grała w bilard, ale właśnie odkryła, że mam ręce.

Zapach Charliego – ciepły i zadziwiająco bliski – wypełnia mi nos, kiedy on staje za mną, ledwie mnie dotykając. Czuję, jak jego sweter drapie moje plecy, aż skóra mnie mrowi, jego dłonie lądują na moich rękach, a usta tuż przy uchu.

– Rozluźnij chwyt. – Jego niski głos wibruje we mnie, oddech muska moją szczękę, kiedy odrywa mi palce od kija i układa je ponownie. – Prawa ręka celuje. Nie będziesz nią poruszała. Siła – jego dłoń

wędruje od łokcia do nadgarstka i przesuwa moją rękę w stronę biodra – będzie pochodziła stąd. Przy pierwszym uderzeniu zależy ci na utrzymaniu kija prosto. Celuj tak, jakbyś chciała się ustawić idealnie do wbicia wybranej przez siebie bili.

– Kumam.

Odsuwa ręce, a ja siłą woli opanowuję gęsią skórkę, żeby przygotować się do uderzenia.

– Zapomniałam wspomnieć – uderzam czubkiem kija bilę rozbijającą, która posyła niebieską prosto do łuzy – że kiedyś grałam.

Omijam Charliego, by ustawić się do kolejnego strzału.

– A już myślałam, że jestem dobrym nauczycielem – oznajmia beznamiętnie.

Wbijam zieloną, wiśniowej nie trafiam. Ryzykuję rzut oka na niego. Bynajmniej nie wygląda na zaskoczonego, wręcz na zadowolonego z siebie. Jakby coś właśnie mi udowodnił.

Wyjmuje mi kij z ręki i obchodzi stół. Analizuje kilka opcji strzału, po czym wybiera zieloną połówkę i ustawia się do wbicia jej.

– A ja powinienem wspomnieć – uderza w bilę wbijającą, a ta posyła zieloną połówkę do łuzy, tuż przed fioletową – że jestem leworęczny.

Zmuszam się do zamknięcia ust, kiedy na mnie spogląda w drodze na kolejną pozycję. Tym razem wbija pomarańczową połówkę, a potem wiśniową i wreszcie pudłuje przy następnym ruchu.

Wysuwa dolną wargę – jak ja poprzednio, gdy się z nim droczyłam, mówiąc o złych wspomnieniach.

– Załagodzę sytuację, jeśli postawię ci jeszcze jedno piwo?

Wyrywam mu kij z ręki.

– Martini. Dla siebie też weź. Będziesz go potrzebował.

* * *

Charlie wygrywa pierwszą rundę, więc rozgrywamy drugą. Tę wygrywam ja, a że on nie chce przystać na remis, rozgrywamy trzecią. Wygrywa i umieszcza kij poza moim zasięgiem, żebym nie mogła zażądać czwartego pojedynku.

– Noro, umówiliśmy się.

– Na nic się nie umawiałam.

– Zagrałaś – zauważa.

Z jękiem odchylam głowę.

– Jeśli ci to pomoże – mówi z charakterystyczną dla siebie oschłością – zgodzę się podpisać umowę o zachowaniu poufności, zanim wyjawisz mi, jaka głęboko skrywana, mroczna i pokrętna fantazja cię tu przywiodła.

Moje oczy przypominają szparki.

Charlie wyjmuje serwetkę spod mojego kieliszka i obmacuje kieszenie, aż znajduje długopis Pilot G2 – też je lubię, tyle że zawsze używam czarnych, a on ma tradycyjnie czerwony, jak na redaktora przystało. Pochyla się i pisze:

„Ja, Charles Lastra, pozostając przy zdrowych zmysłach, przysięgam zachować mroczny, sprośny, pokrętny sekret Nory Stephens w tajemnicy pod groźbą odpowiedzialności prawnej lub kary w wysokości pięciu milionów dolarów, w zależności, co będzie pierwsze”.

– Okej. W życiu nie widziałeś kontraktu – stwierdzam. – Może nawet nie przebywałeś w pomieszczeniu, w którym by się znajdował.

Podpisuje zobowiązanie i rzuca długopis.

– To jest cholernie dobra umowa.

– Biedni niedoinformowani redaktorzy z bladym pojęciem o tym, jak się zawiera umowy. – Poklepuję go po głowie.

Odpycha moją rękę.

– Co mogłoby być takie złe, Noro? Uciekasz przed kimś? Obrabowałaś bank? – W ciemności jego złociste tęczówki wydają się uderzająco jasne w zestawieniu z poszerzonymi źrenicami. – Zastrzeliłaś ciężarną asystentkę? – droczy się niskim głosem.

Ta aluzja wstrząsa moim systemem nerwowym, przesywając mnie prądem od stóp do głów.

Jakimś cudem zapomniałam o tekście Dusty. Lecz oto Nadine wróciła – i znowu mnie nęka.

– Co jest złego w posiadaniu kontroli? – pytam wszechświat jako taki.

– Pojęcia nie mam.

– I tylko dlatego, że sama nie chcę mieć dzieci, miałabym rzekomo ukarać ciężarną za to, że podjęła inną decyzję? Moją ukochaną osobą jest ciężarna! I mam obsesję na punkcie swoich siostrzenic. Nie każda decyzja kobiety oznacza potępienie wyborów innych kobiet.

– Noro – odzywa się Charlie. – To tylko powieść. Fikcja.

– Nie rozumiesz tego, bo jesteś... sobą. – Macham ręką w jego stronę.

– Sobą? – powtarza.

– Możesz sobie pozwolić na to, by być opryskliwy i ostry. Ludzie będą cię za to podziwiali.

W przypadku kobiet reguły są inne. Musimy znajdować idealną równowagę, żeby traktowano nas poważnie, ale nie jak zołzy. To jest ciągły wysiłek. Ludzie nie chcą pracować z kobietami rekinami...

– Ja chcę – przerywa mi.

– I nawet mężczyźni tacy jak my nie chcą z nami być. Jasne, niektórym się zdaje, że chcą, ale potem cię rzucają podczas czterominutowej rozmowy telefonicznej, bo nigdy nie widzieli, żebyś płakała, i przeprowadzają się na drugi koniec kraju, żeby poślubić dziedziczkę plantacji choinek!

Charlie zaciska pełne wargi i mruży oczy.

– Co takiego?

– Nic – burczę w odpowiedzi.

– Bardzo konkretne „nic”.

– Zapomnij.

– Marne szanse. Przez całą noc będę sporządzał diagramy i wykresy, żeby zrozumieć, co właśnie powiedziałaś.

– Jestem przeklęta – oznajmiam. – To wszystko.

– Och, jasne. Rozumiem.

– Jestem – upieram się.

– Jestem redaktorem, Stephens. Będę potrzebował więcej szczegółów, by kupić tę narrację.

– To jest moje literackie wcielenie – mówię. – Jestem zimnokrwistą, nadambitną miejską cwaniarą będącą punktem odniesienia dla Dobrej Kobiety. To mnie się rzuca dla ładniejszej nieumalowanej dziewczyny uwielbiającej grilla, która sprawia, że fałszowanie podczas wieczoru karaoke wydaje się urocze!

I z jakiegoś powodu (niskiej tolerancji alkoholu) nie poprzestaję na tym. Wylewam z siebie wszystko. Jakbym wyrzygiwała zenującą historię na usłaną łupinami fistaszków podłogę, aby wszyscy mogli ją sobie obejrzeć.

Aaron rzucił mnie dla Wyspy Księcia Edwarda (i – co potwierdziło dyskretne szpiegowanie w mediach społecznościowych – dla rudzielca imieniem Adeline). Grant zerwał ze mną dla Chastity i hoteliku jej rodziców. Luca ma żonę i sad wiśniowy w Michigan.

Gdy docieram do pacjenta zero, Jakoba, powieściopisarza, który stał się ranczerem, przerywam. To, co się wydarzyło między nami, nie pasuje do końca do tej listy; miejsce tamtych wydarzeń jest tam, gdzie je zepchnęłam – w dymiącym kraterze, który zmienił moje życie na zawsze.

– To już masz wyobrażenie.

Oczy Charliego przypominają szparki, usta drgają mu z rozbawienia.

– Doprawdy?

– Przecież metafory i schematy muszą się skądś brać, zgadza się? Kobiety takie jak ja najwyraźniej istniały zawsze. Więc albo jest to jakiś specyficzny rodzaj sabotażu, albo pradawna klątwa. Jeśli się nad tym zastanowić, pewnie wszystko zaczęło się od Lilith. Było to zbyt dziwne, aby stał za tym przypadek.

– Wiesz co, powiedziałbym, że fakt, iż Dusty napisała beznadziejną książkę o moim rodzimym mieście, a ja spotykam potem w rzeczonym mieście jej agentkę, jest zbyt dziwny, aby stał za tym przypadek. Ale ustaliliśmy już, że nie jesteś moją stalkerką, więc wygląda na to, że zbiegi okoliczności

jednak niekiedy się zdarzają, Noro.

– Ale to? Cztery związki się skończyły, bo chłopak postanowił przenieść się w dzicz i nigdy nie wrócić?

Charlie przez chwilę stara się powstrzymać ironiczny uśmiezek, lecz przegrywa.

– Nie jestem śmieszna! – stwierdzam, śmiejąc się wbrew sobie. No dobrze, z siebie.

– Dokładnie to powiedziałaaby nieśmieszna osoba – zgadza się Charlie, kiwając głową. – Posłuchaj, nadal staram się określić wpływ twoich pretendujących do roli Jacka Londona chłopaków na twój pobyt tutaj.

– Moja siostra... – Zastanawiam się przez chwilę, ale postanawiam mówić dalej. – Nasze drogi trochę się rozeszły w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i Libby chciała wyjechać na jakiś czas. Poza tym czyta za dużo małomiasteczkowych romansideł i żywi przekonanie, że rozwiążemy swoje problemy, jeśli same doświadczymy transformacji, jak moi byli. W miejscu takim jak to.

– Twoi byli – rzuca beznamiętnie. – Którzy porzucili karierę i przenieśli się w dzicz.

– Zgadza się.

– A więc co? Masz tu znaleźć szczęście i zrezygnować z Nowego Jorku? Rzucić branżę wydawniczą?

– Jasne, że nie. Po prostu Libby chce spędzić miło czas, zanim urodzi dziecko. Odpocząć od naszego zwyczajnego życia i zrobić coś nowego. Mamy listę...

– Listę?

– Zainspirowaną książkami. – Właśnie dlatego nie pijam dwóch martini. Bo nawet po zdobyciu szczytu po wspinaczce najtrudniejszego stopnia mój organizm nie przetwarza alkoholu, czego dowodem jest to, że teraz zaczynam wymieniać: – Mamy nosić flanelowe koszule, upiec coś od podstaw, dokonać metamorfozy wyglądu, zbudować coś, pójść na randkę z miejscowym...

Charlie parska szorstko.

– Siostra próbuje cię wydać za hodowcę świń, Stephens.

– Wcale nie.

– Sama powiedziałaś, że chce ci zafundować twoje własne małomiasteczkowe romansidło – stwierdza kpiarsko. – Wiesz, jak się kończą te książki, prawda, Noro? Wielkim weselem w stodole albo epilogiem dotyczącym dzieci.

Prycham. Oczywiście, że wiem, jak się kończą – widziałam, jak moi byli realizowali te fabuły. Kiedy mieszkaliśmy z Libby razem, czytałam ostatnie strony jej książek niemal kompulsywnie, nigdy jednak nie miałam potem ochoty przejść do pierwszej strony.

– Posłuchaj, Lastra – mówię. – Przyjechałyśmy tu z siostrą, by spędzić razem czas. Pewnie nie nauczyłeś się tego w laboratorium, w którym cię splodzono, ale wakacje to dość typowy sposób, w jaki bliscy zacieśniają więź i się relaksują.

– No tak, bo przecież ktoś taki jak ty relaksuje się w miasteczku położonym dogodnie i w równej odległości między dwoma magazynami DressBarn.

– Wiesz co? Wcale nie mam takiego świra na punkcie kontroli, jak ty lub Dusty zdajecie się myśleć. Mogłabym się świetnie bawić na randce z hodowcą świń. I wiesz, co jeszcze? Może to dobry pomysł. Z nowojorczykami mi się nie poszczęściło, więc może łowiłam w niewłaściwym stawie. Albo w niewłaściwym strumieniu odpadów nuklearnych.

– Większa z ciebie dziwaczka, niż sądziłem – oznajmia Charlie.

– Jeśli to cokolwiek znaczy, powiem ci, że przed dzisiejszym spotkaniem wyobrażałam sobie, że kiedy nie jesteś w pracy, wchodzisz do szafki na sprzęt elektryczny i włączasz tryb oszczędzania energii. Więc pewnie oboje jesteśmy nieco zdziwieni.

– Teraz to jesteś śmieszna – stwierdza. – Gdy nie pracuję, spędzam czas w trumnie w piwnicy starej wiktoriańskiej rezydencji.

Parskam do kieliszka, przez co on uśmiecha się tak naprawdę, po ludzku. To żyje, myślę sobie.

– Stephens – odzywa się znowu szorstkim głosem. – Jeśli ty jesteś tą złą w czyjejś historii miłosnej, ja jestem diabłem.

– Ty to powiedziałaś – kwituję.

Unosi brew.

– Jesteś dziś zadziorna.

– Zawsze taka jestem. Tylko dzisiaj nie zadaję sobie trudu, by to ukryć.

– W porządku. – Przysuwa się, a mnie przeszywa impuls elektryczny, gdy mówi ściszym głosem: – Zawsze wolałem otwartość. Niemniej hodowcy świń z Sunshine Falls mogą mieć inne zdanie.

Posyła mi spojrzenie spod oka. Jego zapach jest lekko korzenny i znajomy. Czuję między nogami niepożądaną ciężkość. Naprawdę mam nadzieję, że moja zmarszczka nie znalazła sposobu na ogłoszenie, że jestem podniecona.

– Już ci mówiłam, że jestem tu ze względu na siostrę – oznajmiam.

Chociaż oddalenie od domu budzi we mnie niepokój, prawdę powiedziawszy, wszystkie cięższe Libby przyplacam lekką paniką, a tak przynajmniej mogę mieć na nią oko.

Nigdy nie marzyłam o posiadaniu dzieci, lecz to, jak się czułam podczas pierwszej ciąży mojej siostry, tylko umocniło mnie w tym postanowieniu. Zbyt wiele może się nie udać, tak wiele może się stać.

Pakuję się na stołek w rogu baru i w rezultacie prawie z niego spadam. Charlie łapie mnie za rękę i przytrzymuje.

– Może napiłabyś się wody? – proponuje i siada na stołku obok mnie z tym swoim tłumionym uśmiechem/wydeciem/czymkolwiek, co ściąga jego pełne wargi lekko w jedną stronę. Nie czekając na moją odpowiedź, daje znak barmance.

Ściągam łopatkę, starając się zachować resztki godności.

– Nie odciągniesz mojej uwagi.

Unosi brwi.

– Od czego?

– Wygrałam jedną rundę. Ty też jesteś mi winien trochę informacji. – Zwłaszcza w świetle przerażającej ilości tych, które sama z siebie wyrzuciłam.

Pochyliła głowę, a potem odwraca się twarzą do mnie.

– Co chcesz wiedzieć?

Staje mi przed oczami nasz lunch sprzed dwóch lat i to, jak Charlie z irytacją spojrział na zegarek.

– Powiedziałaś, że w dniu, w którym się poznaliśmy, chciałeś zdążyć na samolot. Dlaczego?

Odciąga kołnierzyk, marszczy brwi i zaciska szczękę z napięcia.

– Z tego samego powodu, dla którego jestem tutaj teraz.

– Intrygujące.

– Daję ci słowo, że nie. – Gdy na blacie stają szklanki z wodą, Charlie obraca swoją z wciąż zaciśniętymi zębami. – Mój tata miał udar. Wtedy pierwszy. Drugi przed kilkoma miesiącami. Przyjechałem, by mu pomóc.

– Cholera... Rety... – Natychmiast wzrok mi się wyostrza i patrzę na niego uważnie, słysząc wewnętrzny alarm. – Byłeś taki... opanowany.

– Zobowiązałem się, że przyjdę – odpowiada nieco obronnym tonem – a nie wydawało mi się, by rozmowa o tym okazała się jakkolwiek produktywna.

– Nie chciałam powiedzieć... Przecież zostałam rzucona czterdzieści sześć sekund wcześniej, a mimo to piłam martini i jadłam sałatkę w towarzystwie zupełnie obcego mi człowieka. Rozumiem cię.

Charlie patrzy mi w oczy tak intensywnie, że muszę na chwilę uciec wzrokiem.

– Czy on... Twój tata dobrze się czuje?

Znowu obraca szklankę.

– Gdy jedliśmy lunch, wiedziałem, że nic mu nie grozi. Siostra wprowadzie dopiero co poinformowała mnie o udarze, ale doszło do niego kilka tygodni wcześniej. – Twarz mu tężeje. – Ojciec uznał, że nie muszę wiedzieć. – Wierci się na stołku, okazując skrępowanie kogoś, kto właśnie stwierdził, że powiedział za dużo.

Nawet uwzględniając działanie ginu i piwa, krążących w moim organizmie, przeżywam szok, słysząc, jak mówię:

– Nasz tata odszedł, kiedy mama była w ciąży. Nawet go nie pamiętam. Potem przyszła parada

kiepskich chłopaków, więc nie znam się dobrze na ojcach.

Charlie ściąga brwi, jego palce nieruchomieją na mokrej szklance.

– To brzmi okropnie.

– Nie było tak źle. Mama nie pozwoliła na to, byśmy poznały większość z nich. Bardzo tego pilnowała. – Sięgam po swoją szklankę i jego sposobem obracam ją na powstałym pod denkiem krążku wilgoci. – Tyle że jednego dnia szybowała na chmurce i śpiewała swoje ulubione kawałki z *Hello, Dolly!*, poprawiając haftowane poduszki ze sklepu charytatywnego jak Królowna Śnieżka w Nowym Jorku, a potem... – Nie tyle milknę, co sama sobie przerywam.

Nie wstydę się swojego pochodzenia, lecz wiem, że im więcej ujawniamy na swój temat, tym większą dajemy komuś władzę nad sobą. A ja z zasady unikam opowiadania obcym o mamie, jakby wspomnienie o niej było wycinkiem z gazety, który przy każdej ekspozycji blaknie i gniece się coraz bardziej.

Charlie w zamyśleniu gładzi kciukiem mój nadgarstek.

– Stephens?

– Nie chcę, żebyś się nade mną litował.

Żrenice mu się rozszerzają.

– Nawet bym nie śmiał. – Jego ton sugeruje coś zgoła odmiennego.

W pewnym momencie coś nas do siebie przyciąga i znowu siedzę z nogami między jego kolanami, a niekończące się sprzężenie drży w każdym miejscu, w którym się stykamy. Patrzy na mnie ciężko, jego źrenice niemal pochłaniają całe tęczówki, tak że głęboką czarną dziurę otacza pełna blasku miodowa obwódka.

Ciepło wzbiera między moimi udami, prostuję nogi i ponownie zakładam jedną na drugą. Charlie przygląda się temu ruchowi, zatrzymując szklankę z wodą przy ustach, jakby zapomniał, co robi. W tym momencie potrafię go rozszyfrować w stu procentach.

Równie dobrze mogłabym patrzeć w lustro.

Mogłabym się w niego wtulić.

Mogłabym pozwolić swoim kolanom wsunąć się głębiej między jego nogi albo dotknąć jego ramienia, unieść brodę; w każdym z tych hipotetycznych scenariuszy pocałowalibyśmy się. Może i nie lubię go za bardzo, lecz jakaś część mnie – wcale nie mało istotna – chciałaby się dowiedzieć, jak miękka jest jego dolna warga, jak dłoń, spoczywająca teraz na moim nadgarstku, dotykałaby innych miejsc na moim ciele...

W tym momencie zaczyna padać – lać jak z cebra – i dach z falistej blachy wpada w gorączkową trzęsawkę. Wyciągam gwałtownie rękę spod dłoni Charliego i wstaję.

– Powinam jechać do domu.

– Weźmiemy jedną taksówkę? – pyta niskim, chropawym głosem.

Szansę na to, że o tej porze – w tym miasteczku – znajdziemy dwie taksówki, nie są wielkie. Tym bardziej mizerna jest szansa na to, że nie będzie to taksówka prowadzona przez Hardy'ego.

– Chyba się przejdę – mówię.

– W tym deszczu? – dziwi się. – I w tych butach?

Biorę torebkę.

– Nie rozpuszczę się. – Prawdopodobnie.

Charlie się podnosi.

– Możemy skorzystać z mojego parasola.

Wychodzimy z Poppa Squat skuleni pod parasolem Charliego. (Nazwałam to szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale okazuje się, że on obsesyjnie sprawdza prognozę pogody, więc znalazłam kogoś jeszcze bardziej przewidywalnego niż ja). Wilgotne powietrze jest przesycone zapachem trawy i polnych kwiatów; znacząco się ochłodziło.

– Gdzie się zatrzymałyście? – pyta Charlie.

– W domu niejakiej Lily Goode.

– Dziwne – mówi jakby do siebie.

Fala gorąca wspina się po mojej szyi od miejsca, które owiewa jego oddech.

– A co? Uważasz, że może mnie zadowolić tylko apartament z czarnym marmurem i kryształowym żyrandolem?

– Właśnie to miałem na myśli. – Zerka w moją stronę, gdy idziemy pod uliczną latarnią. Deszcz połyskuje w jej świetle niczym srebrne konfetti. – Oraz to, że to dom wynajmowany przez moich rodziców.

Moje policzki oblewa nagły żar.

– Jesteś... Sally Goode to twoja mama? Wychowywałaś się obok rancza?

– A co? Uważasz, że mogłem dorastać wyłącznie w apartamencie z czarnym marmurem i kryształowym żyrandolem?

– Trudno mi sobie wyobrazić, że mogłeś pasować do jakiegokolwiek miejsca w tym mieście, że o piramidzie gnoju nie wspomnę.

– Z tym pasowaniem to może być przesada – odpowiada zgryźliwie.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Zwykle mieszkam w domku. – Znowu rzuca mi spojrzenie z ukosa. – To jednak nie wchodziło w grę.

Jego zapach jest niesamowicie znajomy, niemniej wciąż nie mogę go zidentyfikować. Ciepły, z lekko korzenną nutą, tak ulotny, iż co rusz przyłapuję się na tym, że chciałabym wypełnić nim płuca.

– No to gdzie? – dopytuję. – W pokoju z dzieciństwa?

Zatrzymujemy się przy końcu drogi prowadzącej do domu i Charlie wzdycha.

– Śpię na łóżku z ramą w kształcie wyścigówki, Noro. Zadowolona?

Zadowolenie to za mało. Wizja eleganckiego Charliego z surowo ściągniętymi brwiami wciśniętego do plastikowego bolidu i wpatzonego w ekran kindle'a wzbudza we mnie taką salwę śmiechu, że ledwie mogę się utrzymać na nogach. To chyba ostatni człowiek na świecie – oczywiście z wyjątkiem mnie – którego potrafiłabym sobie wyobrazić w takim łóżku.

Charlie obejmuje mnie w talii, gdy się przechylam.

– Przypomnę tylko – mówi, pomagając mi iść dalej szutrową drogą – że to nie jest najbardziej zenująca rzecz, o jakiej ktoś z nas dzisiaj opowiedział.

Odsuwam się.

– Kręciły cię wyścigi Nascar? – drążę.

– Nie, ale tata nigdy nie przestał się o to starać.

Znowu wybucham śmiechem – co znowu grozi mi upadkiem. Charlie przyciąga mnie do swojego boku.

– Jedna noga za drugą, Stephens.

– Naprawdę dwustronnie pewna destrukcja – jęczę.

Zaczyna prowadzić mnie pod górę, ale obcas natychmiast grzęźnie mi w błocie. Robię kolejny krok i drugi obcas dzieli los pierwszego. Wydobywa się ze mnie słaby pisk upokorzenia.

Charlie się zatrzymuje i wzdycha ciężko, patrząc na moje obuwie.

– Mam cię tam zanieść?

– Nie pozwolę ci nieść mnie na barana, Lastra – uprzedzam.

– A ja nie pozwolę ci zniszczyć tych niewinnych butów – ripostuje. – Nie jestem takim facetem. Zerkam na swoje pantofle i wyciskam z siebie nieszczęśliwie potulne:

– Dobra.

– Do usług.

Odwraca się i kuca, ja zaś podciągam sukienkę i żegnam się z resztkami godności. Następnie zarzucam mu ręce na ramiona i wskazuję na plecy.

– Wygodnie? – pyta.

– Jadę na barana. – Poprawiam parasol nad nami. – Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

– Biedna Nora – droczy się i chwytą mnie pod udami, by ruszyć po schodach na górę. – Mogę się tylko domyślać, przez co teraz przechodzisz.

I nagle – z doniosłością bicia dzwonów – dociera do mnie, dlaczego jego zapach jest mi tak dobrze znany. To ta sama subtelna, neutralna płciowo woda, której sama używam. Mieszanka cedru i ambry zwana Book ma przywoływać obrazy skąpanych w słońcu półek z książkami i wytartych stron. Gdy się dowiedziałam, że firma idzie na dno, złożyłam hurtowe zamówienie, żeby zrobić zapas.

Pewnie zorientowałabym się szybciej, gdyby woda nie pachniała na nim inaczej, podobnie jak charakterystyczny cytrynowo-lawendowy zapach mamy zmienia się na Libby, od której bije też nieobecna wcześniej nuta wanilii. Wydanie Book na Charliem jest bardziej korzenne, cieplejsze niż na mnie.

– Strasznie tam u ciebie cicho, Stephens – odzywa się po chwili Charlie. – Mogę coś zrobić, żeby jechało ci się wygodniej? Chcesz poduszkę turystyczną? Te małe ciasteczka linii Delta?

– Przydałyby się ostrogi i pejcz – informuję.

– Powinienem był to przewidzieć – burczy.

– Zaakceptuję też złożone pod przysięgą oświadczenie, że już nigdy do tego nie wrócimy.

– Po tym, jak zlekceważyłaś ostatnią umowę? Raczej nic z tego.

Gdy docieramy do schodów przed domem, zsuwam się z pleców Charliego i próbuję obciągnąć sukienkę, co okazuje się trudne, bo nie najlepiej sobie poradziłam z osłanianiem nas parasolem i oboje ociekamy wodą; materiał klei mi się do nóg, grzywka wchodzi do oczu.

Charlie wyciąga rękę, by odgarnąć mi włosy.

– Tak na marginesie, ładna fryzura.

– Prości faceci lubią grzywki – informuję. – Kobieta z grzywką wydaje im się bardziej przystępna.

– Nic tak nie onieśmiela jak czoło. Chociaż trochę mi brakuje blondu.

No i masz, wróciła – przypominająca grzyba chmura pożądania kłębiąca się w moim brzuchu, pulsowanie między nogami.

– Nie jest naturalny – oznajmiam.

– Tak myślałam. Niemniej pasuje do ciebie.

– Nadaje mi lekko złowieszczy wygląd? – zgaduję.

Uśmiecha się szeroko, co jest u niego rzadkością, ale tylko na ułamek sekundy. To jednak wystarczy, żeby żołądek mi podskoczył.

– Tak się zastanawiam...

– Dzwonię po ekipę wiadomości.

– Powinnaś wykreślić punkt piąty.

– Punkt piąty?

– Na waszej liście.

Zasłaniam twarz dłonią.

– Dlaczego ci o tym powiedziałam?

– Bo chciałaś, żeby ktoś nie pozwolił ci go zrealizować – stwierdza. – Bratanie się z kimś, kto tu mieszka, to ostatnia rzecz, jakiej pragniesz.

Opuszczam rękę i patrzę na niego spod opuszczonych powiek.

– Pożerają tu obcych?

– Gorzej. Zatrzymują na zawsze.

Prycham.

– Stałe zobowiązanie. Okropność.

– Noro – odzywa się Charlie niskim głosem, jakby mnie beszał. – Oboje wiemy, że nie chcesz tego epilogu. Ktoś taki jak ty, w takich butach, nie mógłby tu być szczęśliwy. Nie rozbudzaj nadziei w sercu jakiegoś farmera nadaremno.

– Okej. To było niegrzeczne – oznajmiam.

– Niegrzeczne? – Gdy się przysuwa, fluorescencyjne oświetlenie nad drzwiami rzeźbi na jego twarzy głębokie cienie, żłobi doły pod kośćmi policzkowymi i sprawia, że oczy jeszcze bardziej mu lśnią.

– Niegrzeczne jest uznanie, że całe łowisko w Nowym Jorku jest zbrukane, co stwierdziłaś na podstawie tego, że zdołałaś wyłowić czterech dupków z rzędu.

W gardle robi mi się gorąco, czuję, jak przesuwa się w nim gula lawy.

– Tylko mi nie mów, że zraniłam twoje uczucia.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć – przesuwa spojrzenie na moje usta – że my, „opryskliwe monochromatyczne typki z nowojorskich kręgów literackich”, nie mamy uczuć.

Głos Nadine Winters drze się w mojej głowie: „Cięcie! Cięcie! To nie pasuje do planu!”. Tyle że z jej słowami rywalizuje zwiększony przepływ krwi i mrowienie skóry.

Nie wiem, jak to się dzieje, ale nagle moje palce napierają na jego brzuch, a jego mięśnie napinają się pod nimi.

Zły pomysł, myślę przez ułamek sekundy, zanim Charlie łapie mnie za biodra i przyciąga do siebie. Słowa się rozpadają, tworząc zupę z liter, a te pryskają na wszystkie strony, całkowicie pozbawione znaczenia. Jego usta przywierają agresywnie do moich, gdy całą długością ciała przyciska mnie do drzwi domu. Jęczę cicho pod wpływem tego nacisku, a on przesuwa dłonie na moją talię. Moje usta otwierają się dla jego języka, posmak piwa i ziołowa nuta ginu mieszają się przyjemnie.

Mam wrażenie, że moje kontury się rozmywają, że się rozplýwam. Charlie przesuwa wargi po mojej szczęce, po szyi. Wpijam palce w jego mokre włosy, a on wydaje z siebie niski pomruk i wędruje dłonią po mojej klatce piersiowej, by musnąć sutek.

W pewnym momencie parasol upada na ziemię. Koszula przykleja się do pleców Charliego, gdy ten pieści mnie przez mokrą sukienkę, aż wyginam się w łuk. Nasze usta znowu się łączą. Resztki piwa i ginu wyparowują z mojej krwi i teraz odbieram wszystko w wysokiej rozdzielczości. Podciągam mu koszulę na plecach, wbijam paznokcie w gładką ciepłą skórę i przyciągam go bliżej, a jego ręka wędruje ku krawędzi mojej sukienki i podciąga ją w górę uda. Jego palce przesuwiają się coraz wyżej, wywołując u mnie dreszcze, a wtedy ledwie słyszalnie, bez przekonania wydobywa się ze mnie coś w rodzaju „poczekaj”...

Nawet nie wiem, jak to usłyszał, lecz odskakuje gwałtownie. Wygląda jak wyrwany z transu – ze zmierzwionymi włosami, nabrzmiałymi niczym po użądleniu przez pszczołę ustami i szybko mrugającymi ciemnymi oczami.

– Cholera – odzywa się zachrypniętym głosem i cofa o krok. – Nie chciałem...

Olśnienie spływa na mnie z siłą zimnego prysznica.

„Cholera” to dobre słowo.

Nie załatwiasz się tam, gdzie jesz. Ani nie całujesz się w pracy. Wystarczy, że za półtora roku wszyscy ludzie, z którymi pracuję, będą mnie uważali za Nadine Winters. Nie muszę dorzucać nic więcej do swojego potencjalnego stosu pogrzebowego.

– Nie mogę się angażować...

– Nie potrzebuję tłumaczenia – przerywam mu i obciążam sukienkę. – To był błąd!

– Wiem! – rzuca Charlie, jakby nieco urażony.

– Ja też to wiem!

– To świetnie, że się zgadzamy!

– Super! – krzyczę, kontynuując tę najdziwniejszą i najmniej efektywną sprzeczkę w historii.

Oboje trwamy w bezruchu. Jego oczy wciąż są atramentowe i głodne, a podkreślony przez oświetlenie nad drzwiami wzwód mógłby się znajdować w gablocie wyjątkowo lubieżnego muzeum.

Biorę wdech.

– Zachowujmy się, jakby...

– Powinniśmy udawać, że nigdy do tego nie doszło – mówi równocześnie on.

Potakuję.

On potakuje.

Sprawa załatwiona.

Podnosi parasol z ziemi i żadne z nas nie zadaje sobie trudu, by powiedzieć „dobranoc”. Charlie tylko kłania się sztywno i odchodzi.

To się nigdy nie wydarzyło, myślę z intensywnością.

I dobrze, bo moje lekkomyślne decyzje zawsze niosą ze sobą katastrofalne skutki.

Gdy miałam dwanaście lat, matka dostała rolę w serialu proceduralnym. Zadzurzyła się w producencie i już niebawem spotykała się z nim co wieczór.

Po czterech odcinkach facet pogodził się ze swoją żoną. Dzielna policjantka grana przez moją matkę została szybko wykończona, a jej ciało znaleziono w chłodni.

Jeszcze nigdy nie widziałam mamy tak zrozpaczonej. Unikałyśmy potem wielu rejonów miasta, by nie pojawiać się tam, gdzie mogłaby na niego wpaść – albo przypomnieć sobie o nim lub o utraconej pracy.

Łatwo mi było podjąć decyzję, że nigdy się nie zakocham. I trwałam w niej przez lata.

A potem poznałam Jakoba.

Sprawił, że świat wokół mnie się otworzył, jakbym po raz pierwszy dostrzegła pewne barwy i nowe poziomy szczęśliwości, jakich nie potrafiłam sobie wcześniej nawet wyobrazić.

Mama nie posiadała się z radości, usłyszawszy, że z nim zamieszkam. Po tym wszystkim, przez co przeszła, nadal była romantyczką. „On się tobą dobrze zaopiekuje, słodka dziewczynko”, powiedziała. Był kilka lat starszy ode mnie, miał dobrze płatną posadę barmana i małe mieszkanko na peryferiach.

Tydzień później objęłam mamę i Libby na pożegnanie i przeniosłam swoje rzeczy do niego. Dwa tygodnie później mama odeszła.

Wszystkie rachunki trzeba było uregulować równocześnie. Czynnosc, opłaty i zadłużenie na karcie kredytowej, którą otworzyłyśmy na moje nazwisko w szczególnie chudym okresie. Mama nie miała zdolności, a ja chciałam jej ulżyć.

Pracowałam we Freeman Books od szesnastego roku życia, lecz za minimalną pensję, a studiując, mogłam pracować tylko na część etatu, więc wiedziałam, że nie uniknę kredytu studenckiego.

Zaprzyjaźnieni z mamą aktorzy zorganizowali dla nas zbiórkę i po pogrzebie oznajmili, że zebrali ponad piętnaście tysięcy dolarów. Libby roniła łzy szczęścia, bo nie miała pojęcia, że to tylko w niewielkiej części załata dziurę.

Wtedy akurat moja siostra interesowała się modą i chciała podjąć naukę w Parsons. Zastanawiałam się, czy nie zrezygnować ze swoich studiów na anglistyce, żeby opłacić jej szkołę, mimo że na swoją naukę wydałam już dziesiątki tysięcy.

Wyprowadziłam się od Jakoba i zamieszkałam z Libby.

Utrzymywałam nas.

Przeglądałam internet w poszukiwaniu najtańszych, a zarazem najbardziej sycących potraw.

Łapałam się dodatkowych prac: udzielałam korepetycji, dorabiałam jako kelnerka, pisałam eseje dla kolegów.

A potem Jakob się dowiedział, że dostał miejsce w rezydencji literackiej w Wyoming, i wyjechał. Było zerwanie i bezdenne rozpacz. A później przyszła refleksja, że przyrzeczenie, jakie złożyłam sobie przed laty, wciąż przecież może być aktualne.

W zasadzie przestałam się z kimkolwiek spotykać. Pozwalałam sobie jedynie na pierwsze randki (wyłącznie kolacje) i tylko dlatego – chociaż nigdy nikomu o tym nie powiem – że miałam o jeden posiłek mniej do opłacenia. A nawet dwa, jeżeli zamówiłam tyle, by zabrać resztki dla Libby.

Druga randka nigdy nie wchodziła w grę. Wtedy przypomnieliby o sobie poczucie winy – albo uczucia.

Libby nagabywała mnie wesoło, czy nikt nie jest dość dobry, bym chciała się z nim widzieć ponownie. Nie przeszkadzałam jej w tym. Dobiłoby mnie, gdybym usłyszała jej opinię o tym, jak było naprawdę.

Ona też pracowała. Bez dochodów mamy musiałyśmy zacisnąć pasa, ale Libby i tak nie chciała nigdy wydawać pieniędzy na siebie.

Czasami, kiedy opowiedziałam jej o szczególnie kiepskiej randce, zdarzało się, że po powrocie z zajęć lub korepetycji zastawałam ją śpiącą w jej pokoju (ja przeniosłam się do salonu, gdzie niegdyś

sypiała mama, żeby mogła mieć sypialnię tylko dla siebie), a obok wysuniętej poduchy mojej kanapy, w wazonie na podłodze stał bukiet słoneczników. Gdybym była normalna, rozplakałabym się. Ja jednak siedziałam, tuląc do siebie wazon, i się trzęsłam. Jakby gdzieś w głębi mnie drzemały emocje przygniecione zbyt wieloma warstwami popiołu, który sprowadzał je wyłącznie do tektonicznego pomruku.

Mam na stopie miejsce pozbawione czucia. Stałam kiedyś na kawałku szkła i nerwy w tym rejonie do dziś są martwe. Lekarz powiedział, że się odbudują, jednak tak się nie stało. Tak samo czuło się przez lata moje serce – jakby każde kolejne pęknięcie pozbawiało je wrażliwości na bodźce.

To pozwoliło mi skupić się na tym, co istotne. Zbudowałam życie dla siebie i Libby, dom, którego nigdy nie odebrały nam żaden bank ani były chłopak. Przyglądałam się, jak przyjaciółki szły w związkach na kompromis za kompromisem, zapadały się w siebie, aż były już tylko fragmentem całości, wszystkie ich opowieści wywodziły się z przeszłości, a własne aspiracje zawodowe, przyjaźnie i mieszkania ustąpiły miejsca wspólnym aspiracjom, przyjaźniom i mieszkaniom. Zupełnie jakby bez ostrzeżenia straciły połowę życia.

Do tego czasu do perfekcji opanowałam sztukę chodzenia na pierwsze randki. Wiedziałam, jakich sygnałów ostrzegawczych wypatrywać, jakie zadawać pytania. Widziałam, jak moje przyjaciółki, współpracownice i koleżanki nagle tracą wszelki kontakt w wybrankiem, są zdradzane, nudzą się w związku lub doświadczają niemiłego przebudzenia, gdy partner okazuje się żonaty, ma problemy z hazardem albo chronicznym bezrobociem. Obserwowałam, jak luźne związki przekształcają się w nieszczęśliwie skomplikowane półzwiązki.

Ja miałam swoje standardy i swoje życie – i nie zamierzałam pozwolić, by jakiś mężczyzna zniszczył je, jakby było papierowym banerem, przez który ma się przebić w drodze na boisko. Dlatego dopiero wtedy, gdy moja kariera weszła na właściwy tor, zaczęłam znowu chodzić na randki – i tym razem robiłam to, jak należy. Zachowując ostrożność, robiąc listy i roztropnie ważąc decyzje.

Nie całowałam się z kolegami z pracy. Ani z ludźmi, o których prawie nic nie wiedziałam. Nie całowałam się z mężczyznami, z którymi nie chciałam się spotykać, ani z takimi, z którymi nie byłam kompatybilna. Nie pozwalałam, by przypadkowe eksplozje pożądania o czymkolwiek decydowały.

Do czasu Charliego Lastry.

To się nie wydarzyło.

* * *

Spodziewałam się, że Libby będzie oszołomiona moją wpadką. Tymczasem ona potraktowała ją z taką samą dezaprobatą jak ja.

– Twój zawodowy wróg z Nowego Jorku nie liczy się w przypadku punktu piątego, siostró – oznajmia poważnie. – Nie mogłaś się migdalić z jakimś klaunem rodeo o złotym sercu?

– Miałam buty, które kompletnie się do tego nie nadawały – odpowiadam.

– W mieście mogłaś się całować z milionem takich Charliech. Tutaj miałaś spróbować czegoś nowego. Obie miałyśmy! – Wymachuje przede mną upačkaną jajkami łopatką.

Gdy dorastałyśmy, w domu jadało się rano jogurt z granolą, ale teraz Libby jest zwolenniczką śniadań angielskich, dlatego przy patelni na jajka sadzone pięttrzą się już naleśniki i wegańskie kiełbaski.

Zwlekłam się z łóżka o dziewiątej po kolejnej niespokojnej nocy, poszłam pobiegać, wzięłam szybki prysznic i przyszłam na śniadanie. Libby nie spała już od kilku godzin. Teraz kocha poranki bardziej, niż kochała wysypianie się jako nastolatka. Nawet w weekendy nie sypia dłużej niż do siódmej. Jestem pewna, że wynika to po części z tego, że słyszałyby pisk Bei i tupot stóp Tali z odległości pięciu kilometrów i po zażyciu dawki morfiny.

Twierdzi, że dziewczynki są jak my, tylko jakbyśmy się zamieniły ciałami.

Bea, starsza, jest słodziutka jak ciasto czereśniowe, jak Libby, ale ma moją tyczkowatą sylwetkę i popielate włosy. Tala odziedziczyła po matce miedziany blond i pewnie nie przekroczy stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, ale podobnie jak jej ciotka Nono jest brutalna: pewna siebie i nie słucha poleceń, o ile nie otrzyma gruntownego uzasadnienia.

– To ty mnie wmanewrowałaś w to spotkanie – zauważam, po czym wyjmuję łopatkę z ręki

Libby i każe jej usiąść na krześle. – Nie doszłoby do tego, gdybyś mnie nie porzuciła.

– Posłuchaj, Noro. Czasami nawet matki potrzebują chwili tylko dla siebie – odpowiada powoli.

– Poza tym wydawało mi się, że nienawidzisz gościa.

– Nie nienawidzę go. Jesteśmy po prostu jak dwa przeciwstawne bieguny albo jakoś tak.

– Przeciwstawne bieguny się przyciągają.

– Dobra, w takim razie jesteśmy jak dwa magnesy o takim samym biegunie.

– Dwa magnesy o takim samym biegunie nie dałyby rady migdalić się pod drzwiami.

– W przeciwieństwie do innych magnesów, które by to zrobiły. – Przenoszę nasze pełne talerze i siadam na krześle naprzeciwko siostry.

Już jest piekielnie gorąco. Otworzyłyśmy okna i włączyłyśmy wentylatory, a jest parno jak w taniej saunie.

– To była chwila słabości. – Rozpala mnie wspomnienie dłoni Charliego na mojej talii, jego klatki piersiowej przyciskającej mnie do framugi.

Libby unosi brwi. Z równo obciętą różową grzywką prawie się jej udaje spojrzeć na mnie moim złym wzrokiem, tyle że jej policzki nadal są zbyt miękkie, by mogła osiągnąć ten efekt.

– Na wypadek gdybyś zapomniała, siostrze, ten typ męczyzny nie sprawdził się w twojej przeszłości.

Osobiście nie zestawiałabym Charliego z moimi byłymi. Przede wszystkim żaden z nich nigdy nie próbował mnie obściskać poza domem. No i nie przerywał pocałunku, jakbym wsunęła mu w spodnie rozżarzony pogrzebacz.

– Jestem dumna, że wyszłaś poza schemat, ale na twoim miejscu nie zdecydowałabym się na ostre macanko w wydaniu hrabiego von Lastry. – Opieram się czołem o przedramię w nowym przypływie przerażenia. – To wszystko przez Nadine Winters.

Libby ściąga brwi.

– Przez kogo?

– No tak. – Podnoszę głowę. – Tak rozpaczliwie pragniesz ujrzeć mnie ciężarną, że uciekłaś, zanim zdążyłam ci powiedzieć. – Odblokowuję telefon, otwieram mejla od Dusty i przesuwam komórkę, by znalazła się w polu widzenia Libby.

Moja siostra pochyla się nad ekranem, a ja pakuję jedzenie do ust najszybciej, jak umiem, żeby móc zacząć pracę.

Libby nie czyta jakoś szczególnie szybko. Rozkoszuje się książkami niczym kąpielą w pianie, mnie zaś praca zmusiła do traktowania ich jak gorący szybki prysznic.

W trakcie lektury coraz bardziej zaciska usta, aż wreszcie parska śmiechem.

– Mój Boże! Przecież to fan fiction Nory Stephens!

– Nie wiem, czy można to tak nazwać, skoro autorka wyraźnie nie jest moją fanką – stwierdzam.

– Przysłała ci coś więcej? Robi się lubieżnie? Bo wiesz, w fan fiction często robi się pikantnie.

– Powtarzam, że to nie jest fan fiction.

Libby chichocze.

– Może Dusty się zadurzyła!

– A może właśnie teraz, kiedy tak sobie tu rozmawiamy, ona wynajmuje płatnego zabójcę.

– Mam nadzieję, że zrobi się nieprzyzwoicie.

– Libby, gdybyś to ty decydowała, każda książka kończyłaby się orgazmem o sile trzęsienia ziemi.

– Hej, po co czekać do końca? – rzuca. – No tak, bo przecież ty zaczynasz lekturę od końca. – Udaje, że ma mdłości na samą myśl.

Podnoszę się, by opłukać swój talerz.

– Miło było, ale ruszam szukać wi-fi z zasięgiem, przez który nie mam ochoty przebić głową ściany.

– Do zobaczenia później. Na początku pochodzę sobie kilka godzin nago, wykrzykując przekleństwa. Potem pewnie zadzwonię do domu. Mam pozdrowić od ciebie Brendana?

– Kogo?

Libby zbywa mnie machnięciem ręki. Cmokam ją głośno w skroń, zmierzając do drzwi z torbą z laptopem.

– Nie odwiedzaj beze mnie żadnego miejsca z *Raz w życiu!* – woła.

Gryzę się w język, zanim zdążę powiedzieć, że nie jestem pewna, czy którekolwiek z tych miejsc w ogóle istnieje. Po raz pierwszy od miesiący jesteśmy jak my z innych czasów – w pełni związane, obecne – i nie chcę, żeby jakaś niekontrolowana zmienna wprowadziła zamieszanie.

– Obiecuję – mówię.

Zapłaciwszy za mrożoną americano w Mug + Shot, proszę wesołą baristkę z kolczykiem w przegrodzie nosowej o hasło do wi-fi.

– Och! – Wskazuje na drewnianą tabliczkę za sobą. Napisano na niej: „Bądźmy off-line!”. – Nie mamy wi-fi. Przykro mi.

– Chwileczkę... Serio?

Rozpromienia się.

– Tak!

Rozglądam się. Nie widzę żadnego laptopa. Wszyscy klienci wyglądają, jakby właśnie zesłali z Everestu albo naćpali się w jurcie podczas festiwalu Coachella.

– Jest tu jakaś biblioteka? – pytam.

Kobieta potakuje.

– Kilka przecnic stąd. Ale wi-fi jeszcze tam nie ma. Mają założyć jesienią. Na razie są biurka, z których można skorzystać.

– A czy gdziekolwiek w mieście jest darmowe wi-fi? – dopytuję.

– W księgarni właśnie założyli – odpowiada cicho, jakby w nadziei, że jej słowa nie spowodują, iż pijący kawę goście wybiegną z głośnym tupotem, bo woleliby jednak nie być off-line.

Dziękuję jej i wychodzę na lepki skwar. Pot gromadzi mi się pod pachami i między piersiami, kiedy zmierzam w stronę księgarni. Gdy wkraczam do środka, czuję się, jakbym weszła do labiryntu, w którym podmuchy wiatru, dzwonki i trele ptaków cichną równocześnie, a mnie otula ciepła woń cedru i wyblakłego od słońca papieru.

Sączę lodowatą kawę i pławię się w krążącej w moich żyłach serotoninie. Bo czy jest coś lepszego od mrożonej kawy w księgarni w słoneczny dzień? Nie licząc gorącej kawy w księgarni w dzień deszczowy.

Półki ciągną się pod różnymi kątami, przez co mam wrażenie, że staczam się z krawędzi planety. W dzieciństwie byłabym zachwycona tą fanaberią – urządzono tu z książek beczkę śmiechu. W dorosłości jednak mam problem z tym, by utrzymać się na nogach.

W jednym z regałów po lewej stronie umieszczono zwieńczone łukiem drzwi, na których framudze wyrzeźbiono napis: „Książki dla dzieci”.

Pochyliam się, by zajrzeć do środka, i widzę mural w łagodnych odcieniach błękitu oraz zieleni w klimacie *Madeleine* i wijące się motto: „Odkrywaj nowe światy!”. Po drugiej stronie, w głębi, znajdują się przeciętnych wymiarów drzwi prowadzące do „Sali książek używanych i rzadkich”.

Pomieszczenia nie wypełniają po brzegi wyłącznie nowiutkie obwoluty. Z tego, co widzę, sklep nie został metodycznie zorganizowany. Stare książki mieszają się z nowymi, te w miękkich okładkach z tymi w twardych, fantastyka leży obok literatury non-fiction, a prawie wszystko otula spora warstewka kurzu.

Założę się, że swego czasu to miejsce było lokalnym klejnotem, ludzie kupowali tu prezenty świąteczne, a jedenasto- i dwunastolatki plotkowały przy frappuccino. Teraz jest jednym z wielu grobowców małego biznesu.

Przeciskając się przez labirynt regałów, wchodzę w głąb sklepu, mijam drzwi wiodące do najbardziej przygnębiającej „kawiarni” świata (z kilkoma stolikami karcianymi i składanymi krzesłami) i skręcam za rogiem, by na milisekundę zastygnąć w bezruchu, w połowie kroku, ze stopą zawieszoną w powietrzu.

Na widok mężczyzny zgarbionego nad laptopem, siedzącego za ladą ze ściągniętymi obojętnie brwiami, czuję się, jakbym się wybudziła z koszmaru w rodzaju tych, w których się spada z klifu po to, by odkryć, że kiedy spałaś, twój dom porwało tornado.

Na tym polega problem z miasteczkami: popełnisz jeden mały błąd w ocenie, a będziesz się nań natykać co rusz.

Najchętniej zawróciłabym i uciekła z podkulonym ogonem, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Nie zgadzam się, by jedno spotkanie lub jakikolwiek mężczyzna zaczęli rządzić moimi decyzjami. Unikam relacji w miejscu pracy właśnie w obronie przed takim scenariuszem. Poza tym udało mi się uniknąć jakiegokolwiek relacji. Prawie.

Ściągam łopatki i unoszę brodę. W tym momencie po raz pierwszy w życiu myślę sobie, że chyba mam anioła stróża, ponieważ dokładnie naprzeciwko mnie, na półce z lokalnymi bestsellerami, leży stos *Raz w życiu*.

Biorę egzemplarz do ręki i podchodzę do lady.

Charlie odrywa wzrok od laptopa dopiero wtedy, gdy głośno kładę książkę na porysowanym mahoniowym blacie.

Powoli kieruje na mnie spojrzenie złotobrazowych oczu.

– Czy to nie kobieta, która ze mną nie rozmawia?

– Czy to nie mężczyzna, który nie próbował mnie posiąść w czasie huraganu? – cedzę.

Wzięty przez niego łyk kawy wraca gwałtownie do kubka, a on zerka w stronę tragicznej kawiarni.

– Mam nadzieję, że dyrektorka mojego liceum była gotowa to usłyszeć.

Przechyliłam się, żeby zajrzeć za drzwi. Przy jednym ze stolików karcianych siedzi przygarbiona siwowłosa kobieta, która ogląda na tablecie *Rodzinę Soprano* z pojedynczą słuchawką wetkniętą do ucha.

– Jedna z twoich byłych?

I znów ten jego tik – drganie kącika ust.

– Wiem, że jesteś z siebie zadowolona, kiedy masz taki drapieżny wzrok.

– A ja wiem, że ty jesteś zadowolony z siebie, kiedy twoje usta robią to coś.

– Ludzie nazywają to uśmiechem, Stephens. I jest tu dość powszechny.

– Mówiąc „tu”, na pewno masz na myśli Sunshine Falls, bo bez wątplenia nie odnosisz się do ogrodzonej elektrycznym pastuchem przestrzeni w promieniu półtora metra wokół siebie.

– Muszę jakoś odstraszać miejscowych. – Spogląda na książkę, po czym pyta oschle: – Wreszcie chwytasz byka za rogi i przeczytasz całość?

– Wiesz... – Podnoszę książkę i przytulam do piersi. – Znalazłam to na półce z bestsellerami.

– Wiem. Obok *Przewodnika po szlakach rowerowych Karoliny Północnej* wydanego własnym sumptem przez mojego starego dentystę – odpowiada Charlie. – Przewodnik też chcesz kupić?

– Ta książka sprzedała się w ponad milionie egzemplarzy – informuję go.

– To też wiem. – Bierze ją do ręki. – Ale teraz zaczynam się zastanawiać, ile z tego sama kupiłaś.

Krzywię się. Nagradza mnie swoim prawie uśmiechem, a ja wreszcie rozumiem, co konkretnie ma na myśli moja szefowa, mówiąc o moim „uśmiechu naszpikowanym nożami”.

Odwracam wzrok od jego twarzy, przesuвам go po złocistej szyi, nienagannie białej koszulce i ramionach. Jest na co popatrzeć. Nie są napakowane, tylko atrakcyjnie smukłe.

No dobra, to tylko ramiona. Wyluzuj, Noro. Faceci to mają dobrze. Wystarczy, że heteroseksualna kobieta spojrzy na zupełnie normalnie wyglądające, niepobudzone przyrodzenie, a biologia podpowie jej: „Na bok cztery tysiące lat ewolucji! Pora wnieść swój wkład w przedłużenie gatunku ludzkiego!”.

Charlie przesuwa laptopa i zaczyna układać długopisy, ulotki i inne materiały biurowe na biurku. Może to nie on sam mnie kręci, tylko jego ciuchy i umiejętności organizacyjne.

– Właśnie pisałem do ciebie mejla.

Wracam gwałtownie do rozmowy, wibrując niczym pęknięta gumka recepturka.

– O?

Kiwa głową, z zaciśniętymi zębami, a jego ciemne oczy wpatrują się we mnie intensywnie.

– Sharon już się z tobą kontaktowała?

– Redaktorka Dusty?

Potwierdza ruchem głowy.

– Jest na zwolnieniu... Urodziła dziecko.

I w tym momencie żadne smukłe ramiona, ładne palce ani perfekcyjnie ułożone długopisy

i markery nie wystarczą, by utrzymać moją uwagę.

– Przecież ma termin dopiero za miesiąc! – mówię spanikowana. – Mamy jeszcze miesiąc na zredagowanie tekstu Dusty!

Znowu ten tik.

– Mam do niej zadzwonić i jej to powiedzieć? Może coś się da zrobić... Czekaj, masz jakieś znajomości w szpitalu Mount Sinai?

– Skończyłeś? – pytam. – Czy może jest jeszcze jakaś druga pointa tego przezabawnego dowcipu?

Charlie opiera dłonie o blat i pochyla się do przodu. W jego oczach błyska to dziwne wewnętrzne światło, gdy odzywa się chrapliwym głosem:

– Chcę tego.

Mam wrażenie, że coś przeoczyłam.

– Cze... Czego?

– Książki Dusty. *Lodowatej*. Chcę wziąć ją na warsztat.

Och, dzięki Bogu. Nie byłam pewna, do czego zmierza. No i nie ma takiej możliwości.

– Jeżeli chcemy trzymać się daty premiery – kontynuuje – Sharon nie wróci na czas, by się zająć redakcją. Loggia musi nam kogoś podsunąć. Już o to poprosiłem.

Mam wrażenie, że w mojej głowie wiruje piętnaście płonących talerzy.

– Przecież rozmawiamy o Dusty. Nieśmiałej, delikatnej Dusty, która przywykła do kojącego, optymistycznego podejścia Sharon. A ty, bez urazy, jesteś delikatny jak antyczny kilof.

Mięśnie jego szczęki się napinają.

– Wiem, że trudno mnie pochwalić za manieri w sferze łóżkowej, ale w swojej pracy jestem dobry. Poradzę sobie. A ty przekonaj Dusty. Wydawca nie chce przesuwac daty premiery, musimy więc przepchnąć ten tytuł bez opóźnień.

– Decyzja nie należy do mnie.

– Dusty cię wysłucha – upiera się Charlie. – Potrafiłabyś wcisnąć kit sprzedawcy kitu.

– Nie jestem pewna, czy jest takie powiedzenie.

– Musiałem coś wymyślić, żeby oddać to, jak dobra jesteś w swoim fachu.

Policzki mi płoną, nie tyle wskutek komplementu, co raczej nagłego żywego wspomnienia ust Charliego. Natychmiast przychodzi też ta część, w której odsunął się ode mnie, jakbym go postrzeliła.

Przełykam ciężko ślinę.

– Porozmawiam z nią. Tylko tyle mogę zrobić. – Z przyzwyczajenia otworzyłam *Raz w życiu* na ostatniej stronie. Mój wzrok spoczywa na podziękowaniach. Na widok swojego nazwiska pozwalam mięśniom się rozluźnić. Oto dowód, że jestem dobra w swoim fachu i że choć nie mogę kontrolować wszystkiego, na kształt wielu rzeczy mam zdecydowany wpływ. Chrząkam. – A tak w ogóle co ty tutaj robisz? I ile masz czasu, zanim promienie słońca sprawią, że staniesz w płomieniach?

Charlie splata ręce na blacie.

– Potrafisz dochować tajemnicy, Stephens?

– Zapytaj mnie, kto zastrzelił Kennedy’ego – odpowiadam, przyjmując jego śmiertelnie poważny ton.

Mruży oczy.

– Bardziej mnie ciekawi, skąd masz tę informację.

– Z książki Stephena Kinga. Kto nie ma poznać tajemnicy?

Zastanawia się, wodząc zębami po pełnej dolnej wardze. Graniczy to z lubieżnością, ale nie jest gorsze od tego, co w tym momencie dzieje się w moim ciele.

– Loggia Publishing.

– Okej. – Analizuję to przez chwilę. – Mogę zachować tajemnicę przed Loggia, o ile będzie pikantna.

Pochyla się do przodu.

Ja również.

A potem tak cicho, że niemal muszę przytknąć ucho do jego ust, szepcze:

– Pracuję tutaj.
– Pracujesz... tutaj? – Prostuje się i mrugam.
– Pracuję tutaj – powtarza i obraca laptopa tak, żeby zobaczyć plik PDF na ekranie – podczas gdy teoretycznie pracuję tam.

– To legalne? – Praca na dwa pełne etaty równocześnie według mnie równa się wykonywaniu każdej z nich dorywczo.

Charlie przeciąga dłonią po twarzy i wzdycha ze znużeniem.

– Nie polecam. Tyle że księgarnia należy do moich rodziców, a oni potrzebowali pomocy, więc prowadzę ją od kilku miesięcy, równocześnie pracując zdalnie jako redaktor. – Zgarnia książkę z lady.

– Naprawdę chcesz ją kupić?

– Chętnie wesprę lokalny biznes.

– Goode Books to nie tyle biznes co finansowa czarna dziura, ale jestem pewien, że tunel wiodący w głąb ziemi chętnie pochłonie twoje pieniądze...

– Przepraszam – przerywam mu. – To miejsce nazywa się Goode Books? Od nazwiska panińskiego twojej matki? I dlatego, że sprzedajecie dobre książki?

– Ach, ci miastowi. – Cmoka. – Nigdy się nie zatrzymują, by powąchać róże. I nie podnoszą wzroku, żeby przeczytać wyraźne napisy na szyldach nad drzwiami miejscowych sklepów.

Macham ręką.

– Wcale się tak nie spieszę. Rzecz w tym, że wstrzyknięto mi w szyję tyle botoksu, że trudno mi zadrzeć brodę tak wysoko.

– Nigdy nie spotkałem kogoś, kto byłby równocześnie tak próżny i praktyczny – stwierdza Charlie głosem świadczącym o nikłym podziwieniu.

– Te słowa znajdują się na moim nagrobku.

– Jaka szkoda marnować to wszystko na hodowcę świń.

– Aleś się uczeplił tego hodowcy świń. Libby nie będzie usatysfakcjonowana, dopóki nie umówię się z owdowiałym ojcem wychowującym samotnie dziecko, który porzucił karierę muzyka country i prowadzi motel.

– To znaczy, że poznałaś Randy'ego?

Parskam śmiechem. Jemu również drga kącik ust.

O cholera... To jest uśmiech! Charlie jest zadowolony z tego, że mnie rozbawił. Moja krew zamienia się w syrop klonowy. Nie znoszę syropu klonowego.

Cofam się o pół kroku, by wesprzeć na poziomie fizycznym swoje mentalne próby odbudowania muru.

– Słyszałam plotkę, że cały internet w miasteczku zagarnąłeś dla siebie.

– Nie powinnaś wierzyć małomiasteczkowym plotkom, Noro – beszta mnie.

– Zatem...

– Hasło brzmi: „goodebooks” – informuje. – Małymi literami, bez spacji i z „e” w „goode”. – Ruchem głowy wskazuje kawiarnię i unosi brwi. – Przywitaj się z dyrektorką Schroeder.

Twarz mnie pali. Zerkam przez ramię w stronę drewnianego krzesła stojącego na końcu przejścia między regałami.

– Tak sobie myślę, że usiądę tam.

Charlie znowu się przysuwa i ścisza głos:

– Cykor.

Ten ton, wyzwanie, jakie niesie, sprawiają, że plecy pokrywa mi gęsia skórka.

Mój duch rywalizacji natychmiast się budzi. Odwracam się na pięcie, wchodzę do kawiarni i zatrzymuję się przy zajęтым stoliku.

– Pani to zapewne dyrektor Schroeder – odzywam się. A potem dodaję znacząco: – Charlie wiele mi o pani opowiadał.

Kobieta wydaje się zarumieniona i prawie przewraca herbatę, gdy pospiesznie podaje mi rękę.

– A pani jest zapewne jego dziewczyną?

A więc słyszała mój komentarz o tym, że próbował mnie porwać w czasie huraganu.

– Ależ skąd. Poznaliśmy się wczoraj. Za to panią wiele z nim łączy. – Zerkam przez ramię. Widząc minę Charliego, wiem już, że tę rundę wygrałam.

* * *

– Nie powiedziałabym, że spędzenie całego dnia przy laptopie w odległości dziesięciu kroków od wroga z Nowego Jorku to „próbowanie czegoś nowego”. – Libby jest zachwycona zakurzoną księgarnią, ale kasjerem już mniej. – Spędzanie wakacji na zajmowaniu się pracą to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz.

Zerkam ostrożnie w stronę drzwi kawiarni (oferującej wyłącznie kawę bezkofeinową i zwykłą) i rozglądam się po księgarń, by mieć pewność, że Charlie nas nie usłyszy.

– Nie mogę wziąć miesiąca wolnego. Daję ci słowo, że jestem twoja codziennie po siedemnastej.

– Dobrze ci radzę, bo musimy zrealizować listę, a to – Libby kiwa głową w kierunku Charliego – nam przeszkadza.

– Od kiedy to mężczyźni mi w czymkolwiek przeszkadzają? – szepczę. – Czy ty mnie w ogóle znasz? Korzystam tu z wi-fi. Nie wyginam się w tańcu erotycznym na czyichś kolanach.

– Zobaczymy – rzuca cierpko, po czym ponownie się rozgląda i wzdycha rzewnie: – Nienawidzę widoku pustych księgarń. – Naprawdę roni łzy, pewnie po części z powodu hormonów.

– Utrzymanie tego rodzaju sklepów jest kosztowne – wyjaśniam.

Zwłaszcza gdy tak wielu ludzi korzysta z Amazona i innych miejsc, które mogą sobie pozwolić na sprzedaż z wielkimi rabatami. Sklepy takie jak ten zawsze są rezultatem czyjegoś marzenia i – jak to z większością marzeń bywa – zdają się umierać powolną bolesną śmiercią.

– Hej – odzywa się Libby. – A co z numerem dwanaście? – Widząc moje skonsternowane spojrzenie, dodaje z roziskrzonym wzrokiem: – „Uratować lokalny biznes”. Powinniśmy pomóc temu miejscu!

– I zostawić kozy ofiarne, by radziły sobie same?

Daje mi kuksańca.

– Mówię poważnie.

Ryzykuję kolejne spojrzenie w kierunku Charliego.

– Mogą nie potrzebować naszej pomocy. – Ani jej nie chceć.

Libby prycha.

– Widziałam *Wszyscy robią kupę* ustawioną obok *Tysiąca jeden czekoladowych deserów*.

– Można przeżyć traumę – przyznaję, wzdrygając się.

– Będzie fajnie – zachęca Libby. – Mam już kilka pomysłów. – Wyciąga z torebki notes i zaczyna pisać, przygryzając dolną wargę.

Po upokarzającej akcji z wczorajszego wieczoru nie kręci mnie perspektywa spędzania większej ilości czasu z Charliem w promieniu trzech metrów ode mnie, ale jeżeli to jest coś, co Libby naprawdę chce zrobić, nie pozwolę, by odstraszył mnie jeden pocałunek – który się przecież nie wydarzył.

Nie pozwolę również, by przeszkodził mi dzisiaj w pracy. Ludzie mówią o kategoryzacji jak o czymś złym, ja jednak uwielbiam to, że kiedy pracuję, cała reszta zdaje się spakowana schludnie do szuflad, a książki, na których się skupiam, wychodzą na pierwszy plan i pochłaniają mnie całkowicie, zupełnie jak rozdziały z moich ulubionych lektur w dzieciństwie. Jakby nie trzeba było się o nic martwić, niczego planować, opłakiwać, rozwiązywać.

Odpytam do tego stopnia, że nawet nie zauważam, jak Libby się oddala, by wrócić po jakimś czasie z mrożoną kawą kupioną po drugiej stronie ulicy i niemal metrowej wysokości stosem romansidel zdjętych z półek w Goode Books.

– Od miesiący nie przeczytałam więcej niż pięć stron na raz – informuje mnie wesoło.

W przeciwieństwie do mnie Libby nie zaczyna lektury od ostatniej strony. Nawet nie czyta opisu na okładce, bo woli się w żaden sposób nie nastawiać. Pewnie dlatego zasłynęła z rzucania książkami w drugi koniec pokoju.

– Kiedyś spróbowałam się zamknąć w łazience z powieścią Rebekah Weatherspoon – opowiada. – Bea zsikała się po kilku minutach.

– Potrzebna wam druga łazienka.

– Potrzebna mi druga ja. – Otwiera książkę, a ja otwieram nowe okno w przeglądarce, żeby przejrzeć listę mieszkań.

Nie znajduję niczego w zakresie możliwości finansowych Libby i Brendana, co nie kojarzyłoby się z miejscem zbrodni z *Prawa i porządku*.

Przychodzi mejl od Sharon, więc go otwieram.

Czuje się dobrze, podobnie jak dziecko, ale spędzą w szpitalu trochę czasu, bo chłopczyk urodził się za wcześnie. Przysłała mi kilka zdjęć różowej buźki we włóczkowej czapeczce. Według mnie wszystkie noworodki wyglądają tak samo, ale świadomość, że jest to dziecko kogoś, kogo znam, sprawia, że serce mi rośnie.

Zaciska się jednak, kiedy przechodzę do części poświęconej zachwytom nad *Lodowatą*. Na moment prawie zapomniałam, że w ciągu roku niemal każdy, z kim kiedykolwiek pracowałam, pozna Nadine Winters. To koszmar w duchu „poszłam do szkoły w samej bieliźnie”, tylko pomnożony przez sto.

Mimo wszystko czuję przyływ dumy, kiedy słowa Sharon potwierdzają to, co już wiem: to jest właściwa książka. Te strony niosą niewyraźną iskrę, wrażenie jasności i celu.

W niektórych książkach już na samym początku można znaleźć tę nieuniknioną, przeraźliwie déjà vu. Nie wiesz, co się wydarzy, ale wiesz, że jest to nieuchronne.

Podobnie jak dalsza część wiadomości od Sharon:

Chcielibyśmy, żeby nasz nowy bardzo utalentowany redaktor Charlie Lastra przeprowadził Dusty przez pierwszą wersję. Prześlę Ci kolejnego mejla, w którym przedstawimy ich sobie, ale chciałam Ci o tym wspomnieć, żebyś mogła przygotować grunt, że tak powiem.

Charlie jest fantastyczny w tym, co robi. Lodowata trafi w doskonałe ręce.

Wspomnienie „doskonałych rąk” Charliego staje mi przed oczami. Zamykam wiadomość z gwałtownością nastolatki trzaskającej za sobą drzwiami z okrzykiem: „Nie jesteś moim prawdziwym tatą!”.

Jeżeli istnieje coś bardziej żenującego od publikacji słabo zawołowanej powieści na twój temat, to jest to fakt, że ową powieść będzie redagował mężczyzna, który cię obmacywał w czasie burzy.

Właśnie po to są zasady. By chronić się przed dokładnie takim (no dobra, zbliżonym) scenariuszem.

A ja znam tylko jeden sposób, by poradzić sobie z sytuacją.

Bądź rekinem, Noro.

Wstaję, ściągam łopatki i podchodzę do kasy.

– Zamierza coś z tego kupić? – pyta Charlie przeciągle, wskazując ruchem głowy stos książek Libby. – Czy tylko zaleje wszystko kawą?

– Mówił ci już ktoś, że jesteś wprost stworzony do obsługi klienta?

– Nie.

– To dobrze, bo wiem, co myślisz o kłamcach.

Otwiera usta, ale zanim zdąży wygłosić ripostę, mówię:

– Przekonam Dusty. Ale stawiam pewien warunek.

Charlie zamyka usta, jego oczy iskrzą.

– Słucham.

– Twoje uwagi muszą przechodzić przeze mnie – informuję go. – Pierwsza redaktorka Dusty podzielała dobrze na jej psychikę i kobieta dopiero co odzyskała pewność siebie. Bynajmniej nie potrzebuje, żebyś staranował jej poczucie wartości. – Widzę, że Charlie otwiera usta, więc dodaję: – Wierz mi. Tylko w ten sposób to się może udać. Jeśli w ogóle.

Po długiej chwili namysłu wyciąga rękę nad stołem.

– Okej, Stephens. Umowa stoi.

Kręcę głową. Nie popełnię błędu i nie dotknę ponownie Charliego Lastry.

– Nic nie jest uzgodnione, dopóki z nią nie porozmawiam.

Potakuje.

– Przygotuję serwetkę pod szklankę i długopis. Będą czekały na twój podpis.

– Och Charlie, jakie to urocze. Wydaje ci się, że mogłabym podpisać kontrakt czyimś długopisem.

Kącik ust podjeżdża mu do góry.

– Masz rację – przyznaje. – Powinienem był się tego domyślić.

– Przecież miała rodzić dopiero za miesiąc – mówi Dusty.

– Wierz mi, że próbowałam jej to powiedzieć. – Zdrapuję ze ściany altany łuszczącą się farbę i obserwuję tłustego trzmiela wirującego pijacko wśród kwiatowych rabat. Las tętni cykaniem cykad, niebo przybiera odcień siniego fioletu, upał jest nieznośny. – Charlie jest naprawdę podekscytowany tą książką, a z tego, co słyszałam, jest świetny w swoim fachu.

– Nie proponowałyśmy mu *Raz w życiu*? Odrzucił tamtą powieść.

Przyciskam telefon ramieniem i odgarniam na bok postrzępioną grzywkę.

– Zgadza się. Lecz nawet wtedy oświadczył, że chętnie zapozna się z twoimi nowymi projektami. Długa chwila milczenia.

– Nigdy z nim nie pracowałaś. Nie znasz jego redakcyjnych upodobań.

– Dusty, on się zakochał w tych pierwszych stronach. Poważnie. A patrząc na jego inne tytuły, *Lodowata* jak najbardziej do niego pasuje.

Wzdycha.

– Raczek nie mogę odmówić, prawda? Jeśli nie chcę uchodzić za trudną.

– Posłuchaj. Już raz przesunęłam termin publikacji i jeśli trzeba będzie, przesuniemy go znowu. Uważam jednak, że trudno o lepszy moment, zważywszy na premierę ekranizacji *Raz w życiu*. I będę ci towarzyszyła na każdym kroku. Odniosę się do zmian redakcyjnych i zrobię wszystko, żebyś była zadowolona. Bo przecież to jest najważniejsze.

– No właśnie – stwierdza Dusty. – Przy *Raz w życiu* miałyśmy dużo czasu. Dostałam od ciebie uwagi, zanim sprzedałyśmy książkę wydawcy. No i znałam Sharon, więc to mogło się udać. A teraz... to wszystko dzieje się tak szybko. Wpadam w panikę.

– Jeśli chcesz poznać moje uwagi, dostarczę ci je – obiecuję. – Możemy je dołączyć do uwag Charliego, żebyś miała opinię dwóch osób. Cokolwiek ci jest potrzebne, Dusty, zapewnię ci to. Dobrze?

Wzdycha z ulgą.

– Dasz mi czas na przemyślenie tego? Dzień lub dwa?

– Oczywiście – zapewniam ją. – Nie spiesz się.

Jeśli Charlie Lastra musi się trochę spocic, nie mam nic przeciwko temu.

* * *

Cztery moje klientki postanowiły załamać się równocześnie z rozmaitych powodów – od nadgorliwych poprawek redakcyjnych po nijakie plany marketingowe. Dwie inne przysłały mi niespodziewanie nowe teksty zaledwie kilka tygodni po tym, jak przeczytałam ich „ostatnie” książki.

Robię, co mogę, by dotrzymać obietnicy danej Libby – być w pełni do jej dyspozycji po siedemnastej każdego dnia – ale to znaczy, że w trakcie pracy w zasadzie nie mogę ani chwili odetchnąć.

Pomimo wszelkich różnic między nami obie jesteśmy istotami nawyków i wpadamy w nowy rytm niemal natychmiast. Libby budzi się pierwsza, bierze prysznic, a potem czyta na tarasie z kubkiem parującej kawy bezkofeinowej. Ja wstaję i biegam niemal do utraty tchu, biorę gorący prysznic i spotykam się z nią przy śniadaniu, na które serwuje placki ziemniaczane, naleśniki z ricottą albo wegetariańskie quiche.

Kolejne piętnaście minut poświęcamy na szczegółową analizę snów Libby (nadmierzając makabrycznych albo niepokojących, albo erotycznych, albo wszystko powyżej). Potem rozmawiamy na FaceTimie z Beą i Talą przebywającymi u mamy Brendana i wtedy Bea opowiada swoje sny, Tala zaś biega wkoło, niemal przewracając różne przedmioty i krzycząc: „Patrz, babciu! Jestem dinozaurem!”

Z domu idę do Goode Books i zostawiam Libby, żeby zadzwoniła do Brendana i robiła, co chce w tym cennym czasie samotności.

Wymieniamy z Charliem szorstkie uprzejmości, płacę za kawę i siadam przy swoim stoliku, gdzie odmawiam mu satysfakcji przyłapania mnie na zerkaniu w jego stronę bez względu na to, ile razy

sama czuję na sobie jego wzrok.

Trzeciego ranka kawa czeka już na mnie przy kasie.

– Co za niespodzianka – rzuca Charlie. – Jesteś o ósmej pięćdziesiąt dwie, dokładnie tak jak wczoraj i przedwczoraj.

Biorę kubek i ignoruję przytyk.

– Dusty ma mi dziś wieczorem dać odpowiedź – mówię. – Darmowa kawa niczego nie zmieni.

Przechyla się nad ladą i ścisza głos:

– A co? Masz nadzieję na wielki czek?

– Nie – odpowiadam. – Czek może mieć normalne wymiary, tylko musi na nim widnieć sporo zer.

– Kiedy czegoś chcę, Noro, łatwo się nie poddaję.

Nie pokazuję po sobie, jak działają na mnie jego słowa, jego głos i bliskość, ale serce kilka razy uderza mi o obojczyk.

Gdy dostaję powiadomienie o nowym mejlu, wyciągam komórkę, wdzięczna za ten przerywnik. Do chwili kiedy widzę wiadomość od Dusty: Wchodzę w to.

Opieram się chęci, by chrząknąć, i patrzę mu chłodno prosto w oczy.

– Wygląda na to, że możesz zapomnieć o czeku. Dostaniesz tekst przed końcem tygodnia.

W oczach Charliego pojawia się błysk graniczący z obłądną ekscytacją.

– Nie ciesz się tak – ostrzegam. – Poprosiła mnie o zaangażowanie w proces na każdym etapie.

Twoje poprawki będą więc przechodziły przez moje sito.

– To ma mnie zniechęcić?

– Powinno. Jestem straszna.

Charlie pochyła się nad biurkiem, aż mu się bicepsy napinają, i robi nadąsaną minę.

– Nie z tą grzywką. Z nią wyglądasz wyjątkowo przystępnie.

* * *

W większość dni widuję Libby dopiero po pracy, zdarza mi się nawet wracać do domu przed nią. Moja siostra tak bardzo strzeże swoich chwil tylko dla siebie, że kiedy pytam, co robiła przez te dziewięć godzin, udziela mi coraz bardziej niedorzecznych odpowiedzi (brałam twarde narkotyki; wdałam się w burzliwy romans ze sprzedawcą odkurzaczy; zaczęłam pisać esej, żeby przystąpić do sekty). W piątek jednak dołącza do mnie w porze lunchu z kanapkami wege z Mug + Shot, które składają się w około osiemdziesięciu procentach z jarmużu.

– Ta kanapka smakuje wyjątkowo off-line – mówi z pełnymi ustami.

– Natknęłam się właśnie na grudkę ziemi – informuję ją.

– Szczęściara. Ja mam na razie sam jarmuż.

Po jedzeniu wracam do pracy, a Libby skupia uwagę na powieści Mhairi McFarlane. Wciąga powietrze i śmieje się tak regularnie i głośno, że wreszcie Charlie woła z drugiego pomieszczenia gburowatym tonem:

– Mogłabyś trochę ciszej?! Przy każdym takim zduszonym okrzyku prawie dostaję zawału.

– Na tych krzesłach można dostać hemoroidów, więc uważam, że jesteśmy kwita – odpowiada

Libby.

Po chwili Charlie staje w progu z dwiema aksamitnymi poduszkami i ciska nimi w nas.

– Wasze wysokości – mówi z nadąsaną miną, po czym wraca na swoje miejsce.

Oczy Libby się rozświetlają. Przysuwa się do mnie i pyta teatralnym szeptem:

– Czy on nam właśnie przyniósł poduszki pod pupy?

– Na to wygląda – przyznaję.

– Hrabia von Lastra ma bijące serce.

– Słyszę was! – woła Charlie.

– Żywe trupy słyną z wyostrzonych zmysłów – informuję Libby.

W ciągu tygodnia Libby pozbyła się cieni pod oczami, a jej policzki się zarumieniają i wypełniają tak szybko, jakby tamte męczące miesiące były tylko koszmarem.

Dla odmiany sińce pod oczami Charliego ciemnieją z każdym dniem. Domyślam się, że on też ma problemy ze snem – ja nadal zasypiam w naszym upiornie cichym i ciemnym domu dopiero przed trzecią i niemal każdej nocy co najmniej raz budzę się przerażona, z walącym sercem i zlna zimnym potem.

Punktualnie o siedemnastej zamykam laptopa, Libby odkłada książkę i wychodzimy.

Obawy, że Sunshine Falls rozczaruje moją siostrę, okazały się bezpodstawne. Libby jest raczej zadowolona z przechadzek, zaglądania do stęchłych sklepów ze starzyzną i przyglądania się imponująco brutalnym zajęciami z kick-boxingu dla seniorów odbywającym się na miejskim placu.

Od czasu do czasu mijamy plakat głoszący, że to tutaj rozgrywały się kluczowe sceny z *Raz w życiu*. Nie szkodzi, że aż trzy budynki są rzekomo siedzibą apteki, w tym pusty lokal z oknami zaklejonymi ogłoszeniami o treści: „Wynajmij aptekę z bestselleru *Raz w życiu!* Lokalizacja prima sort!”.

– Określenie „prima sort” słyszałam ostatnio chyba w latach osiemdziesiątych – zauważa Libby.

– Nie było cię wtedy jeszcze na świecie – wytykam jej.

– No właśnie.

W domu Libby przyrządza wyborną kolację: sałatkę ze słodkiej kukurydzy i kremowych ziemniaków z chrupiącym szczypiorkiem ozdobioną plasterkami arbuza i prażonym sezamem, a do tego grillowane burgery z tempehem na brioszkach, z grubymi plasterkami pomidorów i czerwonej cebuli przykrytymi awokado.

Siekam wszystko, co mi każe, a potem przyglądam się, jak kroi to ponownie zgodnie ze swoim upodobaniem. Co za dziwne odwrócenie ról: moja siostrzyczka opanowała mistrzowsko umiejętności, w których ja nie mam wprawy. Napawa mnie to dumą, ale również smutkiem. Może tak się czują rodzice dorastających dzieci – jakby jakaś część ich natury/osobowości pozostawała fundamentalnie niepoznawalna.

– Pamiętasz, jak chciałaś być szefową kuchni? – pytam pewnego wieczoru, siekając bazylię i pomidory do pizzy.

Libby kwituje to niezobowiązującym „hm”, które może znaczyć zarówno „oczywiście”, jak i „nie przypominam sobie”.

Zawsze była taka bystra, twórcza. Mogłaby robić wszystko i wiem, że uwielbia być mamą, ale rozumiem też, dlaczego tak bardzo potrzebowała tej szansy, by pobyć sama, zanim znowu przytroczy do siebie noworodka.

Jak każdego wieczoru, spożywamy kolację na tarasie, a potem myję naczynia i odkładam wszystko na miejsce. Następnie grzebiemy w skrzyni z planszówkami i gramy w domino, znowu na tarasie, gdzie jedynym źródłem światła są świecące kule.

Krótko po dwudziestej drugiej Libby idzie do łóżka, a ja wracam do kuchni, by przy stole przejrzeć oferty mieszkań. Niebawem muszę się pogodzić z faktem, że internet się rwie, i porzucam poszukiwania, tyle że nie jestem ani trochę zmęczona, więc wsuwam stopy w crocysy Libby i wychodzę na ławkę przed domem. Poświata księżycy i gwiazd jest na tyle jasna, by osrebrzyć trawę, wilgoć trzyma gorąco dnia blisko ziemi, w powietrzu unosi się słodka trawiasta woń.

Tak dojmujące poczucie osamotnienia budzi niepokój, podobnie jak wpatrywanie się nocą w ocean lub obserwowanie zbierających się burzowych chmur. W Nowym Jorku nie da się uciec przed wrażeniem, że jest się jedną osobą pośród milionów, jakbyśmy wszyscy byli zakończeniami nerwów ogromnego organizmu. Tutaj łatwo poczuć się ostatnim człowiekiem na świecie.

Gramolę się do łóżka około pierwszej i wgapiam w sufit dobrą godzinę, zanim zasypiam.

W sobotni poranek realizujemy nasz zwyczajowy plan, ale po wejściu do księgarni zamieram.

– Dzień dobry! – Drobną kobietą z uśmiechem wstaje zza lady. Pachnie jaśminem i zielskiem. – W czym mogę pomóc?

Wygląda na kogoś, kto spędził całe życie na dworze – jej oliwkowa skóra jest na stałe poznaczona piegami, a podwinięte rękawy dzinsowej koszuli odsłaniają filigranowe przedramiona. Ma grube ciemne włosy opadające na ramiona, śliczną okrągłą twarz i ciemne oczy ze zmarszczkami od uśmiechu. Zdradza ją zmarszczka pod dolną wargą.

Sally Goode. Właścicielka naszego domu. Matka Charliego.

– Hm – mruczę z nadzieją, że mój uśmiech wygląda naturalnie.

Nienawidzę musieć myśleć o tym, co robi moja twarz, zwłaszcza przez to, że nigdy nie mam pewności, że wyraża to, co chcę. Nie zamierzałam spędzać tu dużo czasu, mniej więcej godzinę, żeby odpisać na kilka mejli przed spotkaniem z Libby przy lunchu, teraz jednak czuję się winna w związku z darmowym korzystaniem z wi-fi.

Chwytam pierwszą z brzegu książkę, *Wielką rodzinę Marconich*, jedną z tych, którymi moja siostra ciskała na drugi koniec pokoju, a które potem ja podnosiłam. W przeciwieństwie do Libby zachwyciłam się ostatnią stroną do tego stopnia, że przeszłam na początek dopiero po przeczytaniu jej z tuzin razy.

– Tylko to poproszę.

– Mój syn ją redagował – informuje z dumą Sally Goode. – Zajmuje się tym zawodowo.

– Och. – Poproszę nagrodę dla publicznego mówcy, bo jestem na fali. Od tygodnia rozmawiałam wyłącznie z Libby i Charliem, co wyraźnie ograniczyło moją umiejętność wchodzenia w rolę Profesjonalnej Nory.

Sally podaje mi kwotę, a ja jej swoją kartę. Omiata ją wzrokiem.

– Tak myślałam, że to pani. Nieczęsto się zdarza, żebym tu kogoś nie rozpoznała. Jestem Sally. Zatrzymała się pani w moim domu.

– Och, rety. Dzień dobry! – mówię i znowu mam nadzieję, że jednak można mnie uznać za kogoś wychowanego przez ludzi. – Miło mi poznać.

– Wzajemnie. Jak się podoba dom? Dać torbę na książkę?

Kręcę głową, przyjmując zakup i kartę.

– Jest cudowny! Wspaniały.

– Prawda? Należy do mojej rodziny tak długo jak ta księgarnia. Od czterech pokoleń. Gdybyśmy nie mieli dzieci, mieszkalibyśmy tam nadal. Wiąże się z tym miejscem wiele radosnych wspomnień.

– Jakież duchy? – pytam.

– Żadnego nie widziałam. Ale jeśli jakiegoś spotkacie, przekażcie mu pozdrowienia od Sally i prośbę, żeby nie odstraszał gości. – Matka Charliego klepie blat. – Potrzeba wam czegoś, dziewczyny? Drewna do kominka? Patyków do pieczenia pianek? Przyślę syna z drewnem, tak na wszelki wypadek.

O Boże.

– Nie trzeba.

– I tak nie ma nic do roboty.

Jeśli pominąć dwie prace na pełen etat, w tym tę, o której przed chwilą wspomniała.

– To naprawdę nie jest konieczne – nalegam.

Ale ona nalega również – i wyraża to wprost.

– Nalegam.

– W takim razie dziękuję.

Po kilku minutach pracy w kawiarni dziękuję ponownie i wymykam się na oślepiająco słoneczną ulicę, by przejść na drugą stronę do Mug + Shot.

Mój telefon krótko wibruje. Dostałam wiadomość od nieznanego numeru.

Dlaczego moja matka pisze do mnie, że jesteś sexy?

To może być tylko jeden człowiek.

Dziwne. Myślisz, że to może mieć związek z tym, że przyszedłam do księgarni wyłącznie w trenczu z lakierowanej skóry?

W odpowiedzi dostaję screenshot wymiany wiadomości Charliego z matką. Gościni z domu jest śliczna – pisze Sally. A potem dodaje: Nie ma obrączki.

Charlie odpisał jej na to: O? Zastanawiasz się, czy nie odejść od taty?

Zignorowała jego komentarz i napisała: Wysoka. Zawsze Ci się podobały wysokie dziewczyny.

O czym ty mówisz – napisał Charlie; nie dodał znaku zapytania.

Pamiętasz swoją towarzyszkę w czasie zjazdu absolwentów? Lilac Walter-Hixon? W zasadzie była olbrzymką.

To była impreza ósmoklasistów. A ja byłem przed skokiem wzrostowym.

Ta dziewczyna jest śliczna i wysoka, ale nie za bardzo.

Tłumię śmiech i piszę do Charliego: „Wysoka, ale nie za bardzo” – to też może trafić na mój kamień nagrobny.

Odpisuje: Zanotuję to sobie.

Powiedziała, że przyniesiesz mi drewno do kominka.

Przysięgnij, proszę, że nie zażartowałaś, że na to już za późno.

Nie, ale dyrektorka Schroeder siedziała w kawiarni, a podobno plotki szybko się tu rozchodzą, więc to tylko kwestia czasu.

Sally bardzo się tobą rozczaruje.

Mną? A co z jej SYNEM, hulaką z Main Street?

Jej rozczarowanie mną nabrało wiatru w żagle już dawno temu. Musiałbym zrobić coś o wiele bardziej rozwiążącego, żeby ją teraz zawieść.

Może gdy znajdzie erotykę z Wielką Stopą pod Twoim łóżkiem z ramą wyścigówki, statek jej rozczarowania zawróci.

Opieram się o nagrzaną słońcem szybę Mug + Shot. Drzewa rosnące wzdłuż ulicy szumią na delikatnym wietrze, który roznosi w powietrzu zapach espresso.

Dostaję kolejną wiadomość. To zdjęcie strony z bożonarodzeniowej powieści z Wielką Stopą zawierającej opis dość wyjątkowego zastosowania dekoracji świątecznych i odniesienie do pozycji zwanej Żarłocznym Yeti, która pod względem ludzkiej anatomii wydaje się niemożliwa do zrealizowania.

Wtedy kątem oka dostrzegam Libby.

– Skończyłaś korzystać z wi-fi?

– Jestem całkowicie off-line – odpowiadam. – Słyszałaś kiedyś o Żarłocznym Yeti?

– To jakaś książka dla dzieci?

– Jasne.

– Będę musiała poszukać.

Wibracja telefonu powiadamia mnie o przyjściu nowej wiadomości.

Żarłoczny Yeti wydaje mi się wysoce nierealny.

Na usta wypływa mi uśmiech. Możliwe, że naszpikowany nożami.

Co za rozczarowanie. To wybija z rytmu czytelnika tego nader realistycznego dzieła.

Siadam prosto i łapię powietrze, zziębnięta, spanikowana.

Libby.

Gdzie jest Libby?

Wodzę wzrokiem po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mnie ukorzeni. Pierwszych promieni słońca wpadających przez okno. Brzęku garnków i rondli. Zapachu kawy zakradającego się do pokoju przez szparę pod drzwiami.

Jestem w domku na wsi.

Wszystko w porządku. Ona tu jest. Nic się jej nie stało.

W domu, kiedy mam napad lęku, jeżdżę na rowerku stacjonarnym. Gdy potrzebuję zastrzyku energii, jeżdżę na rowerku. Kiedy muszę się wyłączyć, jeżdżę na rowerku. I gdy nie mogę się skupić, jeżdżę na rowerku.

Tutaj jedyną opcją jest jogging.

Ubieram się po cichu, wciągam ubłocone sneakersy i schodzę chyłkiem po schodach, by wyjść na chłód poranka. Dygoczę, przebiegając przez zamgloną łąkę, w lesie przyspieszam. Przeskakuję nad sękatym korzeniem, potem łomoczę stopami na mostku przerzuconym nad strumieniem.

W gardle zaczyna mnie palić, niemniej lęk wciąż mnie goni. Może to przez pobyt tutaj, takie oddalenie od mamy, a może przez to, że spędzam z Libby tyle czasu, w każdym razie coś każe mi myśleć o tym wszystkim, o czym zwykle staram się nie myśleć.

Zupełnie jakbym nosiła w sobie truciznę. Nieważne, jak intensywnie biegam, nie mogę jej spalić. Żałuję, że nie potrafię płakać. Po raz ostatni płakałam rano w dniu pogrzebu.

Przyspieszam.

* * *

– Znalazłam go! – piszczy Libby i wbiega do łazienki, kiedy staram się zmusić swoją grzywkę do uległości, wbrew jej dążeniom do ekspresji przy bezlitosnej wilgotności powietrza.

Libby podsuwa mi telefon pod nos, a ja, mrużąc oczy, patrzę na zdjęcie portretowe atrakcyjnego mężczyzny z krótkimi czekoladowobrązowymi włosami i szarymi oczami. Ma na sobie kamizelkę zarzuconą na kraciastą koszulę i patrzy na zamglone jezioro. Nad zdjęciem widnieje napis: „BLAKE, 36”.

– Libby! – skrzeczę, bo dociera do mnie, co ona wyprawia. – Po grzyba ci aplikacja randkowa?

– Nie ja się tam zarejestrowałam, tylko ty – oznajmia.

– Na pewno nie.

– Założyłam ci konto. To nowa apka. Zorientowana na zawieranie małżeństw. Nazywa się Małżeństwa Amatorów Myślenia Analitycznego.

– MAMA? – pytam. – Aplikacja MAMA? Czasami martwi mnie brak dzwonka alarmowego w twoim mózgu, Libby.

– Blake jest zagorzałym wędkarzem i nie jest pewien, czy chce mieć dzieci – kontynuuje. – Jest nauczycielem i nocnym markiem, zupełnie jak ty. Do tego bardzo aktywny fizycznie.

Wrywam jej telefon i czytam treść na ekranie.

– Lib, tu napisano, że on szuka mocno stąpającej po ziemi kobiety, która zechce spędzać soboty na dopingowaniu Tar Heels.

– Nie potrzebujesz kogoś, kto byłby dokładnie taki jak ty, sestro – zauważa łagodnie Libby. – Potrzebujesz kogoś, kto cię doceni. Oczywiście tak naprawdę nie potrzebujesz nikogo. Ale zasługujesz na człowieka, który zrozumie, jak bardzo jesteś wyjątkowa. A przynajmniej kogoś, kto może ci zapewnić wieczór bez presji poza domem. – Patrzy na mnie tym swoim wzrokiem pełnym nadziei. To coś pomiędzy wyrazem pyska kota, który rzucił mysz pod nogi swojego człowieka, a miną dziecka wręczającego matce laurkę bez cienia świadomości, że jej czapka na rysunku wygląda jak gigantyczny

penis.

Blake jest w tej scenie odpowiednikiem czapki w kształcie penisa.

– A nie mogłybyśmy spędzić spokojnego wieczoru same? – pytam.

Moja siostra odwraca wzrok z przepaszającym uśmiechem.

– Blake myśli, że spotka się z tobą na wieczorze karaoke w Poppa Squat.

– W zasadzie niemal każde z powyższych słów napawa mnie niepokojem.

Libby nagle przygasa.

– Wydawało mi się, że chciałaś coś zmienić. Nie być taką...

„Nadine Winters” – kończy głos w mojej głowie. Potrzebuję chwili, by się zorientować, że ma chropawy kpiarski tembr Charliego.

Tłumię jęk rezygnacji. To tylko jeden wieczór, a Libby zadała sobie tyle trudu, by mi ofiarować ten dziwny prezent.

– Muszę wygooglować, co to jest Tar Heel – odzywam się po chwili.

Na jej twarzy rozkwita uśmiech. O ile uśmiech mamy kojarzył się z wiosną, o tyle uśmiech Libby jest latem w pełni.

– Nie ma mowy! – oznajmia. – Od tego zaczniecie rozmowę.

* * *

Libby (występująca jako ja) nie powiedziała Blake'owi, gdzie się zatrzymałyśmy, i zaproponowała, żebyśmy się spotkali (potajemnie: wszyscy) w Poppa Squat około dziewiętnastej. Można by pomyśleć, że odziana w zwiewną sukienkę portfelową Libby z perfekcyjnie zmierzwionymi włosami i różowym błyszczkiem na ustach ma ciekawsze zajęcia niż obserwowanie mnie z drugiego końca baru przy wodzie sodowej z limonką, mimo to wydaje się podekscytowana czekającym ją wieczorem.

Zwykle docieram na randkę przed umówioną godziną, ale że działamy w ramach czasowych mojej siostry, spóźniamy się dziesięć minut. Przed wejściem Libby przytrzymuje mnie za łokieć.

– Powinnyśmy wejść oddzielnie. Żeby nie wiedział, że jesteśmy razem.

– Słusznie – przyznaję. – W ten sposób łatwiej będzie go znokautować i opróżnić mu kieszenie. Jaki sygnał ustaliśmy?

Przewraca oczami.

– Wejdę pierwsza. Obejrzę go sobie i się upewnię, że nie ma przy sobie miecza, nie włożył kamizelki w tenisowe prążki ani nie pokazuje nieznanym magicznych sztuczek.

– Ogólnie, że nie jest jednym z czterech jeźdźców apokalipsy.

– Przyślę ci eska, kiedy będziesz mogła bezpiecznie wejść.

Libby wchodzi do środka, a po czterdziestu sekundach dostaję od niej ikonkę z kciukiem skierowanym do góry.

W lokalu jest jeszcze goręcej niż na dworze, pewnie dlatego, że panuje w nim tłok. Tłumek wokół i na scenie śpiewa, zawodząc pijacko, *Sweet Home Alabama*, a w powietrzu cuchnie potem i rozlanym piwem.

„Blake, 36” siedzi przy pierwszym stoliku, zwrócony twarzą do wejścia, i trzyma na blacie splecione dłonie, jakby przybył tu razem z Ruth z HR-u, żeby mnie zwolnić.

– Blake? – Podaję mu rękę.

– Nora? – Nie wstaje.

– Tak.

– Wyglądasz inaczej niż na zdjęciu – zauważa.

– Zmieniłam fryzurę – odpowiadam, zajmując miejsce.

Nie uściśnął mi dłoni.

– Nie podałaś na profilu informacji o tym, jaka jesteś wysoka. – I to mówi facet, który napisał, że ma sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, a tymczasem nie może mieć więcej niż sto siedemdziesiąt trzy, chyba że schował szcudła pod stołem.

Przynajmniej randki w Sunshine Falls wyglądają dokładnie tak samo jak te w Nowym Jorku.

– Nie przyszło mi do głowy, że to może mieć znaczenie.
– To ile masz wzrostu? – dopytuje.
– Hm... – Waham się w nadziei, że da mu to czas do przemyślenia strategii randkowej. Niestety.
– Metr siedemdziesiąt osiem.

– Jesteś modelką? – docieka z nadzieją, jakby właściwa odpowiedź mogła być zadośćuczynieniem za ciężkie grzechy związane ze wzrostem.

Istnieje wyobrażenie, że heteroseksualnym mężczyznom generalnie podobają się wysokie i szczupłe kobiety. Jako taka kobieta mogą temu zaprzeczyć. Wielu mężczyzn czuje się zbyt mało pewnie, by spotykać się z wysoką kobietą. Wielu z tych, którzy się tak nie czują, okazuje się dupkami szukającymi trofeum. Chodzi nie tyle o upodobanie, co raczej o status. Metoda działa, o ile wysoka osoba jest modelką. Jeżeli prowadzasz się z kobietą, która jest wyższa od ciebie i jest modelką, zapewne jesteś seksowny i interesujący. Jeżeli jednak spotykasz się z wysoką agentką literacką, pamiętaj o dowcipach o tym, że będzie nosić twoje jaja na srebrnym łańcuszku.

Dobrze przynajmniej, że „Blake, 36” nie pyta o...

– Jaki nosisz rozmiar buta? – Twarz ma ściągniętą jak w bólu.

Taki sam jak ty, Blake. Taki sam.

– Co pijesz? – odzywam się. – Alkohol? To dobry pomysł.

Podchodzi kelnerka i zanim zdąży się odezwać, mówię:

– Dwa bardzo duże martini z ginem proszę.

Chyba dostrzega u mnie oznaki syndromu nieudanej pierwszej randki, ponieważ pomija mowę powitalną, potakuje i pędzi sprintem zrealizować zamówienie.

– Ja nie piję – oznajmia Blake.

– Nie ma sprawy. Wypiję też twojego drinka.

Siedząca w pobliżu stołów bilardowych Libby uśmiecha się szeroko i ukradkiem podnosi obydwie kciuki.

Można by pomyśleć, że facet będzie chciał czym prędzej nazwać rzeczy po imieniu, czyli stwierdzić, że to jest niewypał.

Tyle że Blake nieprzypadkowo korzysta z aplikacji MAMA. Poluje na żonę, więc pomimo mojej strzelistej sylwetki, ogromnej stopy i upodobania do ginu nie chce mnie puścić wolno, dopóki nie wyjaśni kwestii tego, że nie potrafię przyrządzić żadnej z jego ulubionych potraw.

– Naprawdę nie gotuję – informuję go, gdy przerobiliśmy już temat jedzenia na Super Bowl i przeszliśmy do smażenia ryb.

– Nawet tilapii? – upewnia się.

Kręcę głową.

– A łososia?

– Nie.

– Suma?

– Sumować potrafię, owszem – odpowiadam.

Zawiesza się na moment, kiedy drzwi wejściowe się otwierają i do środka wchodzi Charlie Lastra. Zwalczam pokusę, by się osunąć na krzesło i schować za menu, ale to przecież nie ma znaczenia. Każdy, kto przekracza próg, staje twarzą w twarz z naszym stolikiem, więc i Charlie natychmiast skupia na mnie wzrok z wyrazem twarzy przeskakującym od zaskoczenia do zdegustowania, a w końcu – złośliwej uciechy.

Czuję się, jakbym obserwowała w zwolnionym tempie gromadzenie się burzowych chmur i kulminację w postaci rozdzierającej niebo błyskawicy.

Charlie kłania mi się, po czym zmierza w stronę baru, a Blake wraca do swojej listy ryb. I w ten sposób tracę kolejne piętnaście minut życia.

Blake prezentował się na zdjęciach przystojnie, uważam jednak, że jest ohydny człowiekiem. Klepię w stół i wstaję.

– Chcesz coś z baru?

– Nie piję – przypomina mi okropnie zniecierpliwionym tonem jak na kogoś, na kim nie zrobiło wrażenia to, że w ciągu ostatnich trzydziestu minut usłyszał zdanie „Nie gotuję” siedemnaście razy.

Nie mogę zamówić kolejnego drinka. Trzeci doprowadziłby pewnie do tego, że kazałabym mu stanąć plecami do mnie i poprosiłabym kelnerkę, żeby nas zmierzyła. A może naprawdę bym go znokautowała i ukradła mu portfel?

Ruszam z misją odnalezienia Libby, lecz w lokalu panuje potworny ścisk. Dobijam do baru, wyciągam telefon i stwierdzam, że mam dwa nieodebrane połączenia od Dusty oraz esemesa z przeprosinami, że dzwoni tak późno. Odpisuję z pytaniem, czy wszystko u niej dobrze i czy mogę oddzwonić za dwadzieścia minut, następnie piszę do Libby: Gdzie jesteś? – a potem staję na palcach, żeby się rozejrzeć.

– Jeśli szukasz godności – słyszę głos przebijający się przez ryk rozmów (i dziewczyn piszczących w kącie sali do *Like a Virgin*) – nie znajdziesz jej tutaj.

Za żałomem baru siedzi Charlie z lśniąca butelką coorsa.

– A co jest niegodnego w wieczorze karaoke? – pytam. – Przecież ty też tu jesteś.

Jakaś kobieta wchodzi między nas, żeby złożyć zamówienie. Charlie wychyla się zza niej, by kontynuować rozmowę. Ja też się wychylam.

– Owszem. Ale nie siedzę w towarzystwie Blake’a Carlisle’a.

Zerkam przez ramię. „Blake, 36” patrzy tęsknie na brunetkę mającą niecałe sto czterdzieści centymetrów wzrostu.

– Dorastaliście razem? – zgaduję.

– Ucieka stąd niewielu ludzi, którzy się tu urodzili – odpowiada przytomnie Charlie.

– Czy Biuro Informacji Turystycznej Sunshine Falls wie o tobie? – pytam.

Stojąca między nami kobieta chyba nie zamierza odejść, więc rozmawiamy, przechylając się to przed, to za nią, w zależności od tego, jak się ustawi.

– Nie, ale na pewno poproszą cię o opinię, gdy już wyjdiesz zawstydzona z domu Blake’a. Słyszałem z dobrego źródła, że ma w łazience wykładzinę.

– Świetny dowcip. Nie spałam u faceta od dobrych dziesięciu lat.

W oczach Charliego pojawia się iskra, kolejna błyskawica przecina ciemne chmury na jego twarzy.

– Łaknę rozpaczliwie więcej informacji.

– Wieczorem dbam intensywnie o skórę. Nie chcę z tego zrezygnować, a nie wszystkie kosmetyki mieszczą się w torebce. – Mama mawiała: „Nie możesz panować nad upływem czasu, ale możesz złagodzić jego cios w twarz”.

Charlie przekrzywia głowę, jakby rozważał, czy przyjąć tę półprawdę jako odpowiedź.

– Jakim cudem znalazłaś się tu z Blakiem? Rzuciłaś rzutką w książkę telefoniczną?

– Słyszałaś o MAM-ie?

– Kobiecie, która pracuje w księgarni? – pyta ze śmiertelnie poważną miną. – Tak myślę. A dlaczego pytasz?

– O aplikacji randkowej. – Uderzam w bar, bo nagle coś do mnie dociera. – Myślisz, że dlatego tak ją nazwali? Żeby można było spytać: „MAMA, naraisz mi kogoś”?

Charlie się wzdryga.

– Nie umówiłbym się z nikim, kogo podsunęłaby mi Sally.

– Twoja mama uważa, że jestem piękna – przypominam mu.

– Mam tego świadomość.

– Chyba już ustaliliśmy, że nie poszedłbyś ze mną na randkę – stwierdzam.

Unosi brew, podciągając jednocześnie kącik ust.

– Naprawdę będziemy to teraz robić?

Nie udaje mu się ukryć uśmiešku za butelką piwa. Kiedy pije, zmarszczka pod dolną wargą pogłębia się, a we mnie coś buzuje.

– Niby co?

– Udawać, że cię odrzucam.

– Przecież dokładnie to zrobiłeś – wytykam mu.

– Kazałaś mi czekać – rzuca.

– Owszem, ale ty chyba usłyszałaś coś w stylu: „Zaraz kopnę cię w krocze”.

– Oznajmiłaś, że to był błąd – dodaje. – Gorliwie.

– Ty to powiedziałeś pierwszy!

Prycha.

– Oboje wiemy... – Dzieląca nas kobieta wreszcie sobie poszła i Charlie przesiada się na jej pusty stół. – Oboje wiemy, że chodziło ci wyłącznie o odhaczenie pozycji na wyjątkowo przygnębiającej liście, a ja nie jestem zainteresowany taką grą, Noro.

– Proszę cię. Ty nawet się nie kwalifikujesz do tej listy. Jesteś uosobieniem faceta z city. – Natychmiast żałuję swoich słów. Mogłam udawać, że to był wyrachowany pocałunek, a teraz Charlie wie, że tego chciałam.

Popęłniłam błąd, ale warto było zobaczyć, jak nieruchomieje z butelką piwa przy rozchylnych ustach, całkiem jakbym go zaskoczyła. Jakakolwiek grę tocymy, właśnie wygrałam kolejną rundę, a nagrodą jest jego rozgoryczona mina.

Odstawia piwo i drapie się po skroni.

– Pozwolę ci wrócić do twojego towarzysza.

Zerkam na telefon. Libby mi odpisała: Poszłam do domu. Nie będę na Ciebie czekała. Miała czelność dołączyć emotkę z perskim oczkiem.

Podnoszę wzrok. Charlie mi się przygląda.

– Czy mogę stąd wyjść tak, żeby nie przechodzić obok Blake’a? – pytam.

Jeszcze przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu.

– Noro Stephens, MAMA nie będzie z ciebie zadowolona – mówi w końcu oschle. A potem podaje mi rękę. – Tylne drzwi.

* * *

Charlie ciągnie mnie przez tłum za bar i przechodzimy wąskimi drzwiami do kuchni, gdzie natychmiast zostajemy przechwyceni.

– Hej! Nie wolno... – krzyczy śliczna barmanka, rozkładając ręce na boki. Gdy rozpoznaje Charliego, rumieni się. I wygląda jeszcze ładniej.

– Amayo – odzywa się Charlie. Trochę stężał, jakby sobie przypomniał, że ma ciało, i napiął odruchowo każdy mięsień.

Uważałam, że uśmiech Amayi – i ton jej głosu w rozmowie z Charliem – jest kokieteryjny, ale to było, zanim poznałam ich historię. Teraz jednak, gdy ten uśmiech się pojawia, dostrzegam nutę urazy i wahania. A także słaby promień nadziei.

Charlie chrząka i zaciska palce na mojej dłoni. Amaya strzela wzrokiem w stronę naszych rąk i w tym momencie moja twarz również płonie.

– Potrzebujemy skorzystać z tylnego wyjścia – mówi Charlie przeproszającym tonem. – Blake Carlisle myśli, że jest na randce z tą kobietą.

Amaya nadal przygląda się nam badawczo. Rozważa przez chwilę dostępne opcje, a potem wzdycha i się odsuwa.

– Tylko ten jeden raz. Naprawdę nie możemy tu wpuszczać postronnych osób.

– Dzięki. – Charlie kiwa głową, ale tkwi w miejscu. Pewnie jest ogłuszony powrotem olśniewającego, pełnego nadziei uśmiechu w duchu „wciąż cię kocham”. – Dzięki – powtarza i wyprowadza mnie za drzwi.

Powietrze na zewnątrz jest chłodne i suche, a nagły dopływ tlenu do mózgu przypomina mi, że powinnam wyrwać rękę z uścisku Lastry.

– To było dziwne – mówię.

– Co?

– Twoja porzucona ukochana i jej prześwietlający nas wzrok.

– Nie została porzucona. I z tego, co wiem, nie ma żadnych supermocy.

– No może ty jej nie porzuciłeś – godzę się – ale ona wciąż coś do ciebie czuje.

– Masz błędne informacje.

– A ty nic nie rozumiesz.

– Wierz mi – mówi, ciągnąc mnie ku skrzyżowaniu – że zakończenie naszego związku nie zostawiło miejsca na uczucia.

– Wyglądała na udęconą, Charlie.

– Usłyszała o Blake’u – odpowiada. – Jak miała wyglądać?

– A więc Blake ma tu swoją reputację?

– To małe miasteczko – zauważa Charlie. – Każdy ma tu reputację.

– A ty jaką masz?

Przeszywa mnie wzrokiem, unosząc brew i zaciskając zęby.

– Pewnie taką, jak myślisz.

Odwracam wzrok, żeby te oczy nie pożały mnie w całości.

Kilka osób pali przed Poppa Squat, kolejne zacierają w stronę porośniętej bluszczem ceglanej ściany włoskiej restauracji Giacomo’s. Jeszcze nigdy nie widziałam, by była otwarta. Dzisiaj jednak w oknach pali się światło, markizy migoczą, a kelnerzy w białych koszulach z czarnymi krawatami chodzą w tę i z powrotem, dzierżąc tace z kieliszkami wina i talerzami z makaronem.

Wskazuję restaurację ruchem głowy.

– Wydawało mi się, że to miejsce jest zamknięte.

– Działa tylko w sobotnie i niedzielne wieczory – odpowiada Charlie. – Para, która prowadziła lokal, już dawno temu przeszła na emeryturę, ale mieszkańcy ich namówili, żeby otwierali biznes w weekendy.

- Chcesz mi powiedzieć, że całe miasteczko się zgadło, żeby uratować ulubioną restaurację? – dociekam. – Jak w jakiejś powieści?
- Jasne – mówi z powagą. – Przyszli z widłami i zażądali cacio e pepe jak co tydzień.
- A jest dobre?
- Nawet bardzo dobre. – Waha się przez chwilę. – Jesteś głodna? – Jego usta drżą, kiedy słyszy burczenie w moim brzuchu. – Czy chciałabyś zjeść ze mną kolację, Noro? Koleżeńską kolację – ubiega moją odpowiedź. – Nie w roli kogoś, kto pozwoliłby nam odhaczyć punkt na liście.
- Nie wiedziałam, że masz listę.
- Oczywiście, że mam. – Jego oczy lśnią w ciemności. – Masz mnie za zwierzę?

– Czy to nie młody Charles Lastra! – Podchodzi do nas starsza kobieta z burzą siwych włosów i w sukience ze stójką, za którą chowa się jej podbródek. – I przyszedłeś z dziewczyną! Jakie to urocze! – Jej orzechowe oczy błyszczą, gdy ściska nas za ramiona.

Charlie patrzy na nią z uwielbieniem – oczywiście jak na swoje możliwości. Nawet Amayi nie obdarzył takim uśmiechem.

– Jak się pani miewa, pani Struthers?

Kobieta wyciąga ręce w stronę gwarnej sali.

– Nie mogę narzekać. Jesteście tylko we dwoje?

Gdy Charlie potakuje, starsza pani prowadzi nas do stojącego przy oknie, przykrytego białym obrusem stolika przyozdobionego butelkami po winie w wiklinowych koszykach ze świecami, z których skapuje wosk.

– Bawcie się dobrze. – Puka w blat, puszcza do nas oko i wraca na stanowisko gospodyni.

Zapach świeżego pieczywa jest wręcz odurzający, a po trzydziestu sekundach na stole ląduje butelka czerwonego wina.

– Och, nie zamawialiśmy go... – mówię do kelnera, ale on ruchem głowy wskazuje panią Struthers i pospiesznie odchodzi.

Charlie podnosi wzrok znad kieliszka, do którego nalewa dla mnie wino.

– Jest właścicielką. I moją ulubioną nauczycielką na zastępstwach. Podarowała mi książkę Octavii Butler, która odmieniła moje życie.

Serce dziwnie podskakuje mi na tę myśl. Wskazuję głową wino.

– Musisz to wszystko wypić. Mam już dziś na koncie dwa drinki, a jestem człowiekiem wagi lekkiej.

– Pamiętam – przekomarza się ze mną i przesuwa kieliszek w moją stronę. – No ale to jest wino. Sok winogronowy wśród alkoholi.

Pochylam się nad stołem, chwytam butelkę i napełniam jego kieliszek aż po brzegi. Z kamienną twarzą, jak zawsze, garbi się i siorbie z kieliszka, nie podnosząc go.

Parskam śmiechem wbrew własnej woli, a Charlie jest z tego taki zadowolony, że zalewa mnie fala dumy. On chce mnie rozśmieszać.

– Jak bardzo źle powinnam się czuć z tym, że porzuciłam Blake'a? – pytam.

Rozpiera się na krześle i prostuje nogi pod stołem, muskając przy tym moje.

– Cóż, gdy byliśmy w liceum, wyciągał moje książki z szafki i wkładał je do klozetu, więc może tak... na trzy punkty z dziesięciu?

– Och nie! – Usiłuję zdusić chichot, lecz czuję się tak beztrosko. Poza tym wciąż jestem na adrenalinowym haju w związku z ucieczką.

– Ile randek ci zostało? – pyta. – Na twojej Liście Rujnujących Życie Wakacji?

– To zależy. – Pociągam łyk wina. – Ilu jeszcze przemocowców miałeś w szkole?

Śmiech ma niski i chrapliwy. Kojarzy mi się z satysfakcjonującym uderzeniem rakietki tenisowej wykonującej idealne odbicie.

Jego głos, jego śmiech mają teksturę, drapią. Piję kolejny łyk wina, żeby przytępić myślenie, a potem przerzucam się na wodę.

– To znaczy, że chcesz się spotykać z moimi prześladowcami czy ich upokorzyć? – Charlie bierze chleb z koszyka na stole, odrywa kawałek i wsuwa do ust.

Odwracam wzrok, bo czuję rozlewające się po szyi ciepło.

– Wszystko zależy od tego, czy zapytają mnie o rozmiar stopy w ciągu pierwszych pięciu minut spotkania.

Charlie krztusi się chlebem.

– To jakiś fetysz?

– Raczej analiza typu: „Rety, musiałaś wpaść do dziury z odpadami radioaktywnymi, żeby tak urosnąć?”

– Blake nigdy nie był jakiś wyjątkowo pewny siebie – zastanawia się Charlie.

Przerywa nam nastoletni kelner z nieszczęśliwie ostrzyżonymi na grzybka włosami. Przyjmuje zamówienie: dwie sałatki z kozim serem oraz cacio e pepe. Gdy oddała się na tyle, by nas nie usłyszeć, mówię:

– Libby wybrała Blake’a. To ona zajmuje się aplikacją w moim imieniu.

– Jasne. – Charlie unosi brwi – MAM-ą.

– Mam na liście dwie randki. Blake był numerem jeden.

Charlie ze znużeniem przewraca oczami.

– Oszczędź sobie kłopotu i zalicz mnie jako tego drugiego.

– Już ci mówiłam. Ty się nie liczysz.

– Każdy facet marzy, by usłyszeć takie słowa.

– Pomyśl o sobie jak o soku winogronowym wśród randek.

– Zatem punkt piąty każe ci się wybrać na dwie beznadziejne randki z facetami, z którymi nigdy byś nie mogła być, w mieście, w którym nigdy nie mogłabyś żyć – mówi Charlie. – Przypomnij mi punkt szósty. Dobrowolna lobotomia?

Podsuwam mu jego wciąż prawie pełny kieliszek.

– Nadal czekam na twoje sekrety, Lastra.

Przepycha kieliszek na środek stołu.

– Już je znasz. Jestem niechcianym synem marnotrawnym, który ma poprowadzić upadającą księgarnię, gdy tymczasem jego ojciec poddaje się fizjoterapii, a mama próbuje go powstrzymać przed wspinaniem się na dach w celu czyszczenia rynien.

– Sporo tego – zauważam.

– Daję radę.

– Loggia nie ma nic przeciwko temu, że pracujesz zdalnie?

– Na razie nie.

Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, oczy Charliego są nadzwyczaj ciemne. Mam wrażenie, że balansuję na krawędzi czegoś niebezpiecznego. Albo jeszcze gorzej: że zostałam uwięziona w lepkim miodzie i nie mogę się uwolnić.

– Co takiego Libby ma na ciebie, że poszłaś na spotkanie z Blakiem? – pyta nagle Charlie. – Sprzedałaś tajemnice państwowe? Popełniłaś zabójstwo?

– Wydawało mi się, że masz młodszą siostrę.

Opiera się wygodnie na krześle.

– Carina. Ma dwadzieścia dwa lata.

Mimo że poznałam jego matkę, trudno mi sobie wyobrazić Charliego z rodziną. Wydaje się taki... zamknięty w sobie. No ale ludzie pewnie i o mnie tak mówią.

– Carina nie nakłoni cię do zrobienia czegoś tylko dlatego, że o to prosi? – Albo unika cię miesiącami, ukrywa tajemnice i wygląda, jakby dopiero co odpięto ją od ciągnącego ją za sobą pociągu.

Charlie się waha.

– To z jej powodu tu jestem.

Nachyliam się tak mocno, że krawędź blatu wrzyna mi się w żebra. Mam poczucie, że czytam kryminał, wiem, że za chwilę poznam rozwiązanie zagadki i walczę z pokusą, by przeskoczyć kilka stron.

– Planowała tu wrócić i prowadzić księgarnię po skończeniu studiów. A potem, w ostatniej chwili, postanowiła zostać na trochę we Włoszech. We Florencji. Jest malarką.

– Rety. Ludzie naprawdę tak robią? Przenoszą się do Włoch, żeby malować?

Charlie ściąga brwi, przez chwilę obraca w miejscu szklankę z wodą, po czym układa równiutko sztućce. Przyglądam się temu z satysfakcją i poczuciem, jakby ktoś mnie właśnie podrapał między łopatkami.

– Tak postępują kobiety w mojej rodzinie. Mama też pojechała tam w wieku dwudziestu lat na

parę tygodni, by malować. I spędziła tam rok.

– Kapryśny wolny duch wnosi magię do życia każdego – stwierdzam. – Znam ten wątek.

– Niektórzy ludzie nazywają to magią – przyznaje Charlie. – Ja wolę myśleć o tym jako wylegarni stresu. Carina mieszkała w airbnb należącym do dealera narkotyków do czasu, aż wynająłem jej inne mieszkanie.

Wzdrygam się.

– To przypadek Libby w rzeczywistości równoległej.

– Młodsze siostry – rzuca i krzywi usta, co pogłębia zmarszczkę pod jego dolną wargą.

Przyglądam się jej trochę za długo. A potem gorączkowo szukam tematu do rozmowy.

– A twój tata? Jaki jest?

Charlie odchyła głowę.

– Cichy. Silny. Małomiasteczkowy budowlaniec, który tak zaimponował mamie, że postanowiła zapuścić korzenie. – Na widok mojej miny pochyla się do przodu. – Dobra, są kwintesencją małomiasteczkowego romansu – przyznaje, a jego oczy iskrzą, kiedy stykamy się kolanami.

Uprawiamy pod stołem grę w to, kto pierwszy stchórzy i cofnie nogi. Sekundy ciągną się jak guma, a my trwamy w bezruchu, scaleni wyzwaniem.

– No dobra, Stephens – odzywa się w końcu Charlie. – Opowiedz mi o swojej rodzinie. Jakie jest ich miejsce w twoim katalogu dwuwymiarowych karykatur?

– To proste – stwierdzam. – Libby jest chaotyczną czarującą bohaterką komedii romantycznych z lat dziewięćdziesiątych, taką, która się wiecznie spóźnia i jest roztrzepana w ten rozkoszny, seksowny sposób. Ojciec jest próżniakiem, nieobecnym facetem, który nie był gotowy na dzieci, ale teraz, jak twierdzi prywatny detektyw, co weekend zabiera swoich trzech synów i żonę na łajbę na jezioro Erie.

– A mama? – dopytuje.

– Mama... – Teraz to ja układam sztuce, jakby były słowami kolejnego zdania. – Była magiczna.

– Patrzę mu w oczy w oczekiwaniu, że prychnie, uśmiechnie się kpiarsko albo zamieni w chmurę burzową, tymczasem widzę tylko delikatnie ściągnięte brwi. – Była walcząca o byt aktorką, która przeniosła się za marzeniami do Nowego Jorku. Wiecznie nie miałyśmy pieniędzy, a mimo to udawało się jej sprawić, że wszystko było fajne. Była moją najlepszą przyjaciółką. Nie tylko wtedy, gdy podrosłyśmy. Z tego, co pamiętam, wszędzie nas ze sobą zabierała. Większość ludzi, którzy przeprowadzają się do dużego miasta, po kilku latach przestaje się zachwycać jego blaskiem. Z mamą każdy dzień był jakby pierwszym. Tak się cieszyła, że tam jest. I każdy się w niej zakochawał. Była romantyczką. Tę cechę Libby ma po niej. Zaczęła czytać stare romansidła mamy o wiele za wcześniej.

– Byłaś z nią zżyta – odzywa się cicho Charlie. Jego wypowiedź jest czymś pomiędzy spostrzeżeniem a pytaniem. – Z mamą?

Potakuję.

– Przy niej było lepiej.

Wciąż czuję jej cytrynowo-lawendowy zapach, oplatające mnie ręce, słyszę jej głos: „Wyrzuć to z siebie, moja słodka dziewczynko”. Wystarczyło jedno spojrzenie i tych kilka słów, żebym się otworzyła. Staram się dla Libby jak mogę, lecz nigdy nie posiadałam owej łagodności, która pokona wszelkie zasieki.

Podniósłszy wzrok, stwierdzam, że Charlie nie tyle mi się przygląda, co czyta ze mnie, wodzi oczami w tę i z powrotem po mojej twarzy, jakby potrafił przełożyć każdą zmarszczkę i cień na słowa. Jakby widział, że gorączkowo szukam innego tematu.

Chrząka, a następnie sam mi go podsuwa:

– Czytałem romanse w dzieciństwie.

Poczucie ulgi związane ze zmianą wątku przekształca się gwałtownie w coś innego. Charlie wybuchł śmiechem.

– Trudno o wredniejszą minę, Stephens.

– Ma wyrażać zachwyt – informuję go. – Dowiedziałeś się z nich czegoś pożytecznego?

– Nie mógłbym się nigdy podzielić tą wiedzą z koleżanką z pracy – mruczy.

Przewracam oczami.

– Rozumiem, że nie.

– U ciebie tak się zaczęła przygoda z książkami? Za sprawą romansideł mamy?

Kręcę głową.

– Winna jest księgarnia. Freeman Books.

Charlie potakuje.

– Znam ją.

– Mieszkałyśmy nad nią – wyjaśniam. – Pani Freeman oferowała rozmaite programy, darmowe rzeczy w zamian za zakup książki, więc mamie łatwiej było uzasadnić wydawanie u niej pieniędzy. Nigdy nie czułam tam stresu. O wszystkim zapomniałam. Wydawało mi się, że wszędzie mogę się udać, wszystko mogę zrobić.

– Dobra księgarnia – mówi Charlie – jest jak lotnisko, gdzie nie musisz zdejmować butów.

– To się raczej odradza – zauważam.

– Myślę, że warto by było zamieścić taką tabliczkę w Goode Books. To z tego powodu nie zachęcam klientów, by „czuli się jak u siebie”.

– Słusznie, bo wtedy zrzucaliby z siebie buty i biustonosze i puszczali na cały regulator Marvina Gaye’a.

– Każdy okrucich informacji od ciebie rodzi sto nowych pytań, Stephens. A ja nadal nie wiem, jak to się stało, że zajęłaś się pracą agentki.

– Pani Freeman dawała nam do wypełnienia karty z informacjami o książkach – tłumaczę. – Widniał na nich napis: „Miłośniczki książek polecają”. Nazywała nas swoimi małymi miłośniczkami książek. I chyba przez to zaczęłam myśleć o książkach trochę bardziej krytycznie.

Zmarszczka pod wargą zmienia się w przepaść.

– Zaczęłaś pisać zjadliwe recenzje?

– Powiedzmy, że byłam bardzo skąpa w pochwałach. Potem zaczęłam wprowadzać zmiany w trakcie lektury; poprawiałam zakończenia, jeśli się nie podobały Libby, a jeżeli głównymi bohaterami byli chłopcy, wprowadzałam postać dziewczyny z rudoblond włosami.

– Byłaś dziecięcym redaktorem – stwierdza Charlie.

– Tym chciałam się zajmować. W liceum zaczęłam pracować w księgarni i pracowałam tam nadal w czasie studiów licencjackich, odkładając pieniądze na studia wydawnicze w Emerson College. Ale wtedy umarła mama i zostałam prawnym opiekunem Libby, więc musiałam to odłożyć w czasie. Kilka lat później zmarła też pani Freeman i jej syn musiał zredukować o połowę liczbę pracowników. Udało mi się dostać pracę administracyjną w agencji literackiej... i reszta jest już historią.

Bogata, rzecz jasna. Przez rok pracowałam w dwóch miejscach i uciniałam sobie drzemki w przerwach między zmianami. Odkryłam w sobie talent do rozmowy z panikującymi autorami pod nieobecność ich agentów. Wreszcie wyłowiałam ze stosu sentymentalnych bzdur kilka powieści, które podsunęłam szefostwu, a które później stały się bestsellerami.

Dostałam propozycję objęcia posady młodszej agentki i sporządziłam listę przeciwwskazań: będę musiała zrezygnować z pracy kelnerki; praca na zlecenie jest ryzykowna; istniało zagrożenie, że wpakuję nas w taką samą dziurę jak ta, z której usiłowałam nas wyciągnąć po śmierci mamy.

W kolumnach „za” i „przeciw” znalazł się równolegle wpis: „Skoro zasmakowałam w pracy z książkami, jak mogłabym być szczęśliwa w jakiegokolwiek innej dziedzinie?”.

– Dałam sobie trzy lata – zwracam się do Charliego – i określiłam, ile muszę zarobić. Obiecałam sobie, że jeśli nie osiągnę celu, odejdę i poszukam pracy na etat.

– Jak szybko zrealizowałaś cel?

Czuję, że uśmiecham się bezwiednie.

– Po ośmiu miesiącach.

Jego usta też się uśmiechają. Uśmiech naszpikowany nożami.

– Oczywiście – mruczy. Przez moment patrzymy sobie w oczy. – A co z redakcją?

Czuję, że zmarszczka przy moich ustach się pojawia, jeszcze zanim zdążyłam skłamać. Przez pierwsze kilka lat kompulsywnie sprawdzałam oferty pracy. Raz nawet poszłam na rozmowę. Tyle że zbliżałam się do dużej sprzedaży i bałam, że utknę na gorzej płatnej niższej posadzie. Odwołałam drugą

rozmowę na trzy dni przed terminem.

– Jestem dobra w roli agentki – odpowiadam. – A ty? Jak trafiłeś do branży wydawniczej?

Charlie przeczesuje palcami przyprószone siwizną włosy na potylicy.

– Jako dzieciak miałem w szkole sporo problemów – mówi. – Nie potrafiłem się skupić. Nie wszystko szło, jak należy. Powtarzałem klasę.

Staram się zamaskować zdziwienie.

– Nie musisz tego robić – informuje mnie z rozbawieniem.

– Czego?

– Udawać uprzejmej Nory. Jeżeli moja porażka cię szokuje, to bądź zszokowana. Udźwignę to.

– Nie o to chodzi. Po prostu roztaczasz wokół siebie... aurę naukowca. Podejrzewałam cię o to, że jesteś stypendystą Rhodesa z wytatuowanym na tyłku logo Biblioteki Bodlejańskiej.

– Co miałbym wtedy zrobić z wytatuowanym kotem Garfieldem? – pyta tak beznamiętnie, że pluję winem do kieliszka. – Remis – oznajmia z cieniem uśmiechu.

– W jakiej kategorii?

– Plucia do naczynia w reakcji na wypowiedź.

Usiłuję zetrzeć z twarzy szeroki uśmiech, ale bezskutecznie. Zamiłowanie Charliego do prawdy jest najwidoczniej zaraźliwe. A prawda jest taka, że dobrze się bawię.

– I co potem? – pytam. – Po powtórce klasy?

Wzdycha i wyrównuje sztućce.

– Mama była... Poznałaś ją, to wolny duch. Chciała mnie zabrać ze szkoły i zaprząć do pomocy przy swojej uprawie marihuany w ramach nauczania domowego. Tata jest bardziej... usatkwony. – Uśmiecha się delikatnie, niemal słodko. – Uznał, że skoro jestem kiepski w szkole, musi określić, w czym jestem dobry. Na czym potrafię się skupić. Wypróbowaliśmy razem z milionem hobby i wreszcie, gdy miałem osiem lat, kupił mi odtwarzacz płyt CD, pewnie w nadziei, że okażę się drugim Jacksonem Browne'em. Ja tymczasem natychmiast rozebrałem odtwarzacz na części pierwsze.

Z powagą kiwam głową.

– I tak odkrył twoją skłonność do seryjnych zabójstw.

Oczy Charliego błyszczą, gdy się śmieje.

– W ten sposób zrozumiał, że chciałem się nauczyć, jak składać różne rzeczy. Wydawało mi się, że świat ma sens, i chciałem ów sens odnaleźć. Potem tata zaczął mnie prosić o pomoc przy samochodzie, który naprawiał. Wciągnęło mnie to.

– W wieku ośmiu lat? – niemal wykrzykuję.

– Jak się okazuje, potrafię się niesamowicie skupić, kiedy coś mnie naprawdę interesuje.

Mimo niewinności tego stwierdzenia czuję się, jakby po nogach wspinała mi się lawa, od palców wżyz, by mnie pochłoniąć.

Przenoszę spojrzenie na swój kieliszek.

– W ten sposób wyładowałeś w łóżku wyścigówce?

– Razem z toną książek o samochodach i ich renowacji. W końcu wciągnęło mnie czytanie i z dnia na dzień przestałem się zajmować mechaniką.

– Przygnębiło go to?

Teraz to Charlie spuszcza wzrok, jego czoło zakrywają burzowe chmury.

– Po prostu chciał, bym coś pokochał. Nie dbał o to, co to będzie.

Koncepcja ojca zawsze wydawała mi się tak daleka jak astronauty. Wiem, że istnieją, lecz rzadko o nich myślę. Wtem niemal potrafię ją sobie wyobrazić. Prawie tęsknię za tym czymś, czego nigdy nie miałam.

– To naprawdę miłe. – Moja wypowiedź wydaje się nie tyle niedopowiedzeniem, co całkowicie błędnym przełożeniem czegoś wielkiego i nieokielznanego.

– To słodki facet – mówi cicho Charlie. – W każdym razie samochody sobie odpuścił i zaczął mi organizować książki w miękkich okładkach, zawsze gdy się zatrzymał przy jakiejś wyprzedży garażowej albo gdy do sklepu mamy przychodziło pudło z darami. Nie ma nawet pojęcia, ile erotyki mi podarował.

– A ty to przeczytałeś?

Charlie obraca kieliszek o sto osiemdziesiąt stopni, świdrując mnie wzrokiem.

– Chciałem zrozumieć, jak co działa, pamiętasz?

Unoszę brew.

– I jak ci poszło?

Pochyliła się do przodu.

– Poczułem lekkie rozczarowanie, kiedy moja pierwsza dziewczyna nie miała trzech orgazmów z rzędu, ale poza tym dobrze.

Z mojego gardła wyrywa się gromki śmiech.

– Znalazłem klucz do rozbawienia Nory Stephens – stwierdza Charlie. – Moje seksualne upokorzenie.

– Nie tyle upokorzenie, co czysty optymizm.

Zaciska usta.

– Powiedziałbym, że jestem realistą, ale takim, który nie zawsze rozumie, że to, co widzi, nie jest rzeczywiste.

– Dlaczego zatem uciekłeś do Nowego Jorku?

– Nie uciekłem – odpowiada. – Przeprowadziłem się.

– A to jakaś różnica?

– Nikt mnie nie gonił. Poza tym ucieczka sugeruje pośpiech. Musiałem tu chodzić przez kilka lat do technikum, pracować na budowie z tatą, żeby zaoszczędzić i móc się przenieść w przedostatnim roku.

– Jakoś kask mi do ciebie nie pasuje.

– Bo nie jestem tego typu gościem – oznajmia. – Potrzebowałem jednak pieniędzy, żeby się przenieść do Nowego Jorku. Wydawało mi się, że wszyscy pisarze tam mieszkają.

– Ach – rzucam. – I prawda wyszła na jaw. Chciałeś być pisarzem. – Natychmiast myślę o Jakobie, jakby był ulubioną stroną, na której książka zawsze sama się otwiera.

– Tak mi się wydawało – mówi Charlie. – Na studiach zrozumiałem, że wolę pracować nad tekstami napisanymi przez innych ludzi. Lubię tę układankę. Przyglądanie się elementom i dopatrywanie się tego, czym coś chce być i jak można osiągnąć ten cel.

Czuję ukłucie tęsknoty.

– Ja też lubię najbardziej ten aspekt pracy.

Przygląda mi się przez chwilę.

– W takim razie możliwe, że wykonujesz złą pracę.

Może i marzyłam o byciu redaktorką, ale nie zjesz i nie wypijesz marzeń, nie wyśpisz się na nich. Wybrałam to, co było im najbliższe. W końcu każdy musi porzucić jakieś marzenia.

– Wiesz, co myślę? – odzywam się po chwili.

Charlie nie odrywa ode mnie wzroku, źrenice mu się rozszerzają, jakby wchłaniały wszystkie cienie z pomieszczenia.

– Nie, ale rozpaczliwie pragnę się dowiedzieć – odpowiada z kamienną twarzą.

– Uważam, że jednak stąd uciekłeś.

Przewraca oczami i odchyła się na krześle.

– Wyjechałem stąd spokojnie. Za to ty za tydzień będziesz biegła z krzykiem do granic miasta i błagała każdego kierowcę półciężarówki, żeby cię podwiózł do najbliższej piekarni na bajgla.

– Informuję cię – oznajmiam równie wyzywającym tonem – że przyjechałam tu na miesiąc.

Zaciska usta.

– Doprawdy?

– Tak. I zaplanowałyśmy z Libby mnóstwo fajnych rzeczy. Ale to już wiesz. Widziałeś listę.

No bo przecież nie jestem Nadine. Stać mnie na spontaniczność, flanela nie wywoła u mnie uczulenia i zrealizuję całą tę listę.

Charlie mruży oczy.

– Zamierzasz spać pod gołym niebem? Wystawić się na pożarcie komarom?

– Są na nie spreje.

– Jazda konna? Mówiłaś, że panicznie boisz się koni.

– Niby kiedy?

– Tamtego wieczoru, kiedy się chwiałaś jak żagiel na wietrze. Powiedziałaś, że boisz się wszystkiego, co jest większe od świstaka. A potem się poprawiłaś i stwierdziłaś, że nawet przy świstakach czujesz się niepewnie, bo są nieprzewidywalne. Nie wsiądziesz na konia.

Zmieniłyśmy punkt z jazdą konną na „pogłaskać konia”, ale nie chcę się teraz wycofać.

– Założysz się?

– Że nie uratujesz upadającej firmy w ciągu miesiąca? Żadne ryzyko.

– A co mi dasz, jeśli wygram?

– A czego chcesz? Jakiegoś narządu wewnętrznego? Mojego mieszkania o wolnym od podwyżek czynszu?

Poklepuję jego leżącą na stole dłoń.

– Masz mieszkanie o stałym czynszu?

Cofa rękę.

– Od studenckich lat. Dzieliłem je z dwoma innymi osobami, aż mogłem sobie na nie pozwolić w pojedynkę.

– Ile łazienek? – dopytuję.

– Dwie.

– Obrazy?

Wyciąga telefon, przez chwilę coś przewija, po czym mi go podaje. Spodziewałam się ujrzeć przypadkowe zdjęcia mieszkania, tymczasem widzę ujęcia zrobione najwyraźniej przez fotografa agencji nieruchomości. To jest boskie, przestronne, gustownie minimalistyczne lokum. Do tego wyjątkowo czyste, a co za tym idzie – seksowne.

Sypialnie są małe, ale aż trzy, a w głównej łazience stoi olbrzymia podwójna toaleta. Nowojorskie marzenie.

– Tylko po co ci... to? – dziwię się. – To twoja wersja pornografii?

– Strona pokryta czerwonym atramentem jest moją wersją pornografii – przyznaje. – Mam te zdjęcia, bo zastanawiałem się, czy nie podnająć mieszkania na czas pobytu tutaj.

– Libby i jej rodzina – oznajmiam nagle. – Jeśli wygram ten zakład, oddasz im to mieszkanie.

Charlie prycha.

– Nie mówisz poważnie.

– Robiłam o wiele nieprzyjemniejsze rzeczy za mniejszą nagrodę. Pamiętasz Blake’a?

Zastanawia się przez chwilę.

– Dobrze, Noro. Zrealizuj listę, a mieszkanie jest twoje.

– Na czas nieokreślony? – doprecyzowuję. – Podnajmiesz im je na tak długo, jak będą chcieli, i znajdziesz sobie inne lokum po powrocie?

Z jego gardła wydobywa się warkot.

– Jasne. Ale do tego nie dojdzie.

– Jesteś w pełni władz umysłowych? – pytam dla pewności. – Bo jeśli uściśniemy sobie dłonie, nie będzie już odwrotu.

Wytrzymuje moje spojrzenie i podaje mi rękę nad stołem. Gdy nasze dłonie się stykają, mam wrażenie, że ich tarcie może spowodować samozapłon. Między łopatkami przebiega mi dreszcz.

Przypominam sobie, by zwolnić uścisk tylko dlatego, że w tym momencie ostrzyżony na grzybka kelner przynosi nasze sałatki i cacio e pepe w chmurze najbardziej boskiego zapachu, jaki można sobie wyobrazić. Charlie i ja odskakujemy od siebie, jakby przyłapano nas in flagranti przy stole.

Nie tracąc czasu na grzecznościowe rozmówki, przez kolejne dziesięć minut szuflujemy domowej roboty makaron. Zanim kończymy, większość dwuosobowych stolików połączono dla większych grup. Śmiech wokół nas się nasila, zagłuszając delikatną włoską muzykę oraz brzęk kieliszków, a aromat pieczywa i maślanych sosów zagęszcza się.

– Ciekawe, gdzie podziewa się teraz Blake – odzywam się. – Mam nadzieję, że znalazł szczęście z tą filigranową hostessą.

– A ja mam nadzieję, że pomyłono go z poszukiwanym przestępcą i aresztowało go FBI – rzuca Charlie.

– Zwolnią go po czterdziestu ośmiu godzinach – zauważam. – No ale do tego czasu nie będzie się świetnie bawił. – Widząc szeroki uśmiech Charliego, dodaje: – Mam tylko nadzieję, że przesłuchująca go agentka nie będzie tak wysoka jak ja. To już byłaby przesada.

– Uważam, że powinnaś coś wiedzieć. – Głos Charliego przechodzi w chrapliwy szept, kiedy on sam przysuwa się do mnie nad stołem. Nasze łydki ocierają się o siebie, a ja dostaję gęziej skórki. Też się pochylam i tym razem nasze kolana splatają się naprzemiennie jak palce: jego, moje, jego, moje. – Wcale nie jesteś taka wysoka – szepcze.

– Dorównuję wzrostem tobie – odszeptuję.

– No ale ja nie jestem zbyt wysoki – stwierdza, a moje ciało słyszy: „Kochajmy się”.

– Owszem, tyle że w przypadku facetów nie ma czegoś takiego jak „za wysoki”.

Wpatruje mi się w oczy zbyt poważnie jak na tę mocno niepoważną rozmowę. Skóra mnie świerzbi, jakby moja krew składała się z opiłków żelaza, a jego oczy były przyciągającymi je magnesami.

– W przypadku kobiet również. Po prostu istnieją wysokie kobiety i mężczyźni zbyt niepewni siebie, by się z nimi spotykać.

Idziemy ciemną ulicą spacerowym krokiem w milczeniu, ale w powietrzu słychać, jak między nami iskrzy.

– Nie musisz mnie prowadzić do samego domu – odzywam się w końcu.

– Mam po drodze – oznajmia Charlie.

Zerkam na niego z niedowierzaniem.

Przechyliła głowę, a światło ulicznej latarni przecina jego twarz. Nie jestem pewna, czy ktokolwiek na tej planecie ma ładniejsze brwi. Nie jestem też oczywiście pewna, czy zdarzyło mi się w ogóle zwrócić kiedyś uwagę na brwi mężczyzny, niewykluczone więc, że to brak stymulacji w okresie spowolnienia w branży wydawniczej zmusił mnie do szukania nowych zainteresowań.

– No dobra – przyznaje. – Nie nadłożę dużo drogi.

Na skraju miasta chodnik ustępuje trawiastemu poboczu, ale dzisiaj mam na nogach odpowiednie obuwie. Po prawej wąska ścieżka wiję się wśród drzew.

– Co tam jest?

– Las.

– Tyle wiem – stwierdzam. – Ale dokąd prowadzi?

– Do domu.

– Czeka. To jakiś skrót?

– Mniej więcej.

– Czy jest powód, dla którego nim nie idziemy?

Charlie unosi brew.

– Nie wiedziałem, że lubisz wycieczki terenowe w środku nocy – mówi, a gdy przeciskam się obok niego, dodaje: – Stephens, nie musisz niczego udowadniać. – Jego lekko korzenny zapach dociera do mnie pierwszy, taki znany, a równocześnie zaskakujący, bo nuty cynamonu i pomarańczy są na jego skórze silniejsze niż na mojej. – Wróćmy na drogę.

Gdy sowa pohukuje nam nad głowami, Charlie osłania się rękami.

– Czeka. – Łypię na niego spod oka i się zatrzymuję. – Ty się boisz... ciemności?

– Oczywiście, że nie – warczy i idzie dalej ścieżką. – Jestem po prostu zaskoczony tym, jak daleko posuwasz się w tej swojej małomiasteczkowej transformacji. I dodam jeszcze, że ta fryzura nie czyni cię przystępniejszą. Wyglądasz w niej jak seksowna zabójczyni w kosztownej peruce.

– Usłyszałam tylko „seksowna” i „kosztowna”.

– Gdybym ci pokazał plamę z testu Rorschacha, też byś w niej wypatrzyła coś seksownego i drogiego.

Mój wzrok przyciąga widok za jego ramieniem. Tuż obok ścieżki strumień spada w dół małym wodospadem w coś na kształt naturalnego basenu otoczonego sterczącymi niczym zęby skałami. Przerwa wśród drzew pozwala poświacie księżycy zebrać się na środku zbiornika, przez co spieniona woda tworzy połyskujące srebrem spirale.

– Punkt szósty – sapię.

Charlie podąża za moim spojrzeniem i ściąga brwi.

– Nie ma takiej opcji.

Pragnienie, by go zaskoczyć, zalewa mnie niczym fala pływowa. Niemniej jest coś jeszcze. Na studiach zawsze byłam imprezową mamuszką i dbałam o to, żeby nikt nie spadł ze schodów lub nie wypił czegoś, jeśli nie widział, jak mu to nalewano. W relacji z Libby jestem kochającą/zamartwiającą się starszą siostrą. Klientki dostrzegają we mnie twardzielkę, która argumentuje, naciska i negocjuje.

Wtem jednak dociera do mnie z całą mocą, że nie jestem nikim z powyższych. Nie muszę być, skoro towarzyszy mi mający obsesje, zorganizowany, odpowiedzialny Charlie Lastra. Dlatego podchodzę do najbliższego głazu i zdejmuję buty.

– Noro... – jęczy tymczasem on. – Powiedz, że żartujesz...

Ściągam sukienkę przez głowę.

– A czemu? Są tu aligatory?

Zerkam w jego stronę w chwili, gdy jego wzrok odrywa się od mojej bielizny i odruchowo zatrzymuje na ułamek sekundy na biustonoszu, zanim wylądzuje na mojej twarzy. Charlie zaciska zęby.

– Rekiny? – dopytuję.

– Tylko ty – odpowiada.

– Pijawki? Odpady radioaktywne?

– A zwykle nie wystarczą? – dziwi się.

– Nie zmuszam cię, żebyś wchodził do wody – stwierdzam.

– Chyba że zaczniesz się topić.

Siadam na skale i wsuwam stopy do chłodnego strumienia. Dreszcz przebiega mi między łopatkami.

– Bardzo dobrze pływam. – Wchodzę głębiej, tłumiąc okrzyk.

– Zimno? – pyta Charlie tonem ociekającym satysfakcją.

– Rozkosznie – mówię i wchodzę głębiej, aż woda sięga mi do klatki piersiowej. – Musiałabym się bardzo postarać, żeby tu utonąć.

Charlie podchodzi do krawędzi.

– Przynajmniej łatwo dojdzie do zakażenia bakteryjnego.

– Można by pomyśleć, że to jakiś rytuał inicjacyjny w Sunshine Falls.

– Czy wyglądam na kogoś, kto uznaje miejscowe rytuały inicjacyjne?

– Cóż. Nosisz buty Sandro i co najmniej trzy razy widziałam cię w luksusowym kaszmirowym swetrze, więc może faktycznie nie.

– Garderoba kapsułowa – rzuca, jakby to wszystko tłumaczyło. – Kupuję tylko te rzeczy, które pasują do wszystkiego, co już mam, i o których wiem, że będę je chciał nosić latami. To inwestycja.

– Czuć, że jesteś z city – śpiewam.

– Wiesz, że to nie oznacza zaliczenia punktu szóstego, prawda? Może na Manhattanie coś takiego uchodzi za pływanie nago, ale w Sunshine Falls nazywamy to dziwactwo „ulepszonym strojem kąpielowym”.

Kolejne wyzwanie.

Zanurzam się, rozpinam biustonosz i ciskam nim w Charliego. Ląduje na jego torsie.

– Bliżej – przyznaje i unosi czarną koronkę, by się jej przyjrzeć w poświacie księżyca. – I wszystko to zmarnowane na Blake’a Carlisle’a – mówi poważnie.

– Posiadam wyłącznie ładną bieliznę – informuję go. – Coś się musi od czasu do czasu zmarnować.

– Mówisz jak prawdziwa luksusowa kobieta.

Przesuwam się w wodzie do tyłu, z nogami ugiętymi w kolanach, i muskam palcami stóp gładkie kamieniste dno.

– Chyba ustaliliśmy już, że z nas dwojga to ty jesteś arystokratą. Ja pływam nago. Na lokalnym kąpielisku. A ty nawet nie potrafisz pływać.

Przewraca oczami.

– Potrafię.

– Charlie, nie ma sprawy. Nie trzeba się wstydzić prawdy.

– Pamiętasz, jak udawałaś uprzejmą?

– Brakuje ci tego?

– Ani trochę. – Ściąga koszulę przez głowę i rzuca ją na kamienie. – Taka jesteś o wiele zabawniejsza.

Przypominam sobie, że powinnam odwrócić wzrok, kiedy ma już do połowy opuszczone spodnie. Chwilę później, słysząc plusk, patrzę na niego znowu i widzę, jak się krzywi pod wpływem zimna.

– Cholera! – krzyczy. A zaraz potem: – O ja pierdołę!

– Co za słownictwo. – Podpływam do niego. – Nie jest tak źle.

– Czy to możliwe, że nie posiadasz receptorów bólu? – syczy.

– Nie tylko możliwe, ale bardzo prawdopodobne – odpowiadam. – Słyszałam już, że nic nie czuję.

Charlie ściąga brwi.

– Ktokolwiek to powiedział, poznał tylko Profesjonalną Norę.

– Twierdzi tak większość ludzi.

– Biedne dupki – mówi. Niemal czule. Prawie takim samym tonem, jakiego użył, mówiąc „Oczywiście”, gdy mu wyjawiałam, że zrealizowałam swoje cele w pracy agentki w ciągu ośmiu miesięcy.

Zatrzymuję się na tyle blisko, że widzę jego gęsią skórę. W kropelkach wody na jego szyi i szczęce odbija się poświata księżyca, na co moja klatka piersiowa i uda reagują mrowieniem.

Przesuwam się do tyłu, kiedy on zmierza ku mnie. Utrzymuję dystans między nami.

– Jakie inne rytuały inicjacyjne w Sunshine Falls zignorowałaś? – pytam.

Mięśnie jego szczęki pracują, kiedy się zastanawia.

– Miejscowych naprawdę kręci bouldering.

– Domyślam się, że to polega na tym, że stajesz na szczycie góry, czekasz, aż któryś z twoich wrogów pod nią podjedzie, a wtedy zrzucasz mu na głowę głaz?

– Blisko. Chodzi o wspinanie się na skały.

– Ale... po co?

– Pewnie po to, by wejść na szczyt.

– A potem?

Gdy Charlie unosi złociste ramię, woda spływa strużkami po jego torsie.

– Pewnie gdzieś jest kolejna skała, na którą też się wspinasz. Ludzie to tajemniczy gatunek, Noro. Widziałem kiedyś kuriera rowerowego, którego potrącił samochód. Gość się podniósł, krzyknął co sił w płucach: „Zostałem Bogiem!” i popedałował w przeciwnym kierunku.

– Co w tym zagadkowego? – dziwię się. – Zbadał granice swojej śmiertelności i stwierdził, że ich nie ma.

Kącik wydętych ust Charliego unosi się w półuśmiechu.

– I właśnie to kocham w Nowym Jorku.

– Mieszka w nim tak wielu kurierów z kompleksem Boga.

– Nigdy nie jesteś największym dziwakiem w pokoju.

– Zawsze znajdzie się ktoś pomalowany srebrną farbą, kto będzie prosił o datki na naprawę jego latającego spodka – przyznaję.

– To mój ulubieniec z linii metra Q – stwierdza Charlie.

Robi mi się ciepło. Zastanawiam się, ile razy mijaliśmy się w naszym wielomilionowym mieście.

– Lubię anonimowość tego miasta – ciągnie. – Jesteś tam tym, kim postanawiasz być.

W miejscach takich jak to nigdy się nie otrząsniesz z tego, co ludzie myśleli o tobie na początku.

Podpływam bliżej. Nie cofa się.

– A co o tobie myśleli?

– Nie przepadali za mną.

– Pani Struthers cię lubi – zauważam. – I twoja była też. – Łypię na niego i zanurzam się głębiej, żeby ukryć to, jak moje ciało rozświecła się pod jego spojrzeniem.

Kiedy on jest blisko, nie czuję się jak Nadine Winters. Jestem jak cukier poddawany działaniu płomienia – jakby Charlie karmelizował moją krew.

– Pani Struthers mnie polubiła, bo uwielbiałem szkołę – mówi. – Gdy już się nauczyłem czytać. Nie byłem przez to ulubieńcem dzieciaków. W liceum nie było tak źle, aż wreszcie...

– Zrobiłeś się popularny – rzucam ponuro.

Jego śmiech drapie mi skórę.

– Chciałem powiedzieć, że się przeprowadziłem do Nowego Jorku.

Przestajemy się poruszać. Gorąco wiruje w mojej klatce piersiowej, przy każdym obrocie zaciskając się coraz bardziej. Chrząkam i udaje mi się zażartować:

– I wtedy zrobiłeś się popularny.

– Prawdę powiedziawszy, stało się to dopiero jakieś cztery lub pięć tygodni temu. Był deszcz meteorytów i pomyślałem sobie życzenie... – Charlie wyciąga przed siebie ręce i podpływa bliżej mnie. Moje serce robi się lekkie i rozedrgane, kończyny dziwnie mi ciężą.

– Twierdzisz zatem, że mina Amayi nie wyrażała tęsknoty, tylko szok związany z twoim nowym obliczem?

– Nie zwróciłem uwagi na jej minę – wyznaje.

W ustach mi zasycha, a między udami zalega ciężar. Charlie przechwytuje kropelkę wody spływającą z mojej górnej wargi. Rozchyłam usta, a jego opuszka zatrzymuje się na dolnej wardze.

Zdaję sobie sprawę z tego, jak niewielka przestrzeń nas dzieli, śliska, ograniczona, nietrwała. Może właśnie po to ludzie wyjeżdżają, dla tego wrażenia topnienia realnego życia – jakby nic z tego, co robisz, nie mogło pociągać za sznurki w twoim uważnie skonstruowanym świecie. To uczucie nie różni się bardzo od lektury naprawdę dobrej książki: pochłania, odsuwa troski.

Zwykle żyję tak, jakbym się starała przewidzieć cztery ruchy do przodu, a teraz nie mogę wybiegać myślami dalej niż na pięć minut w przyszłość. Muszę się bardzo wysilić, by powiedzieć:

– Pewnie chcesz wracać do domu.

Charlie kręci głową.

– Ale jeśli ty chcesz...

Ja też zaprzeczam.

Przez moment nic się nie dzieje. Jakbyśmy toczyli między sobą milczące negocjacje. Bierze mnie pod wodą za rękę. Po chwili przyciąga mnie do siebie, powoli – mamy dużo czasu, by się od siebie odsunąć.

Muskam palcami jego biodro i plansza szachowa w mojej głowie się rozpada.

Jego prawa ręka odnajduje moją talię i zmniejsza dzielącą nas przestrzeń. Przyciska mnie do siebie, co jest czymś pomiędzy rozkoszą a torturą. Wydobywa się ze mnie ciche westchnienie. Nie śmieje się z niego. Przesuwa dłonie wzdłuż moich boków i przytula do siebie każdy centymetr kwadratowy mnie: klatkę piersiową, brzuch, biodra; wszystko to, co we mnie miękkie, otula jego twardość. Swobodnie obejmuję udami jego biodra, a on wodzi kciukiem po krągłości moich i wydaje z siebie chropawy pomruk. Moje sutki napierają na jego skórę, jego ramiona napinają się na moich plecach.

Milczymy, jakby jakiegokolwiek słowo mogło zdjąć z nas zakłęcie srebrzystej poświaty księżyca. Nasze usta stykają się delikatnie, odsuwają od siebie, by zaraz przywrzeć mocniej. Dłonie Charliego przesuwają się po wygięciu mojego krzyża, obejmują mnie, przyciska do siebie, napiera na mnie biodrami.

Moje usta rozpływają się pod dotykiem jego warg, jakbym była woskiem, a on płonącym we mnie knotem. Jedną dłonią podtrzymuje moją brodę, drugą ujmuje pierś, ja zaś mocniej zaciskam na nim uda. Wzdycham w jego usta, kiedy masuje kciukiem mój sutek. Podciąga mnie wyżej i teraz wszystko ponad linią pępka zostaje wystawione na światło, żeby mógł mnie oglądać, dotykać, smakować.

Mój mózg usiłuje odzyskać kontrolę nad ciałem, w którym doszło do zwarcia.

– Powinniśmy to przemyśleć? – pytam.

– Przemyśleć? – powtarza, jakby nigdy nie słyszał tego słowa.

Kolejny wyglodniały, powodujący mrowienie w brzuchu pocałunek wymazuje je także z mojego słownika. Wplątam dłonie w jego włosy. Wędruje ustami w dół mojej szyi i wbija zęby w obojczyk.

Próbuję się jakoś odnaleźć w tej sytuacji, ale mam wrażenie, że jestem tylko pasażerką w swoim bardzo spragnionym ciele.

– Nie powinnaś w ogóle nosić ubrań, Noro – szepcze mi do ucha Charlie.

Śmiech zamiera mi w gardle, kiedy przyciska mnie do płaskiej skały na brzegu wody, a ja oplątam go udami, które płoną wskutek tarcia naszych ciał i tego, jak napiera na mnie brzuchem i członkiem, gdy dzieli nas tylko bielizna.

Jeszcze nikt nie całował mnie tak jak Charlie. Jak ktoś, kto cierpliwie szuka najlepszego sposobu. Jest uważny na każdy ruch moich bioder, wygięcie kręgosłupa, oddech. Muska moją skórę, a gdy szepcze moje imię, brzmi ono w jego ustach jak przekleństwo, jak wtedy, gdy wpadłam na niego w Poppa Squat. Jego wargi przesuwają się w dół mojej szyi i na klatkę piersiową, jego oddech się rwie, gdy wciąga mnie

do ust. Jego palce przyciskają do skóry moje nadgarstki, nasze biodra kołyszą się w tym samym, wygłodniałym rytmie.

– Cholera... – syczy nagle, ale przynajmniej tym razem nie odskakuje ode mnie jak porażony. Wciąż wodzi dłońmi po mojej skórze, jego usta też się od niej nie odrywają. – Nie chcę przerywać...

Mój umysł nadal walczy o opanowanie, choć bez większego zaangażowania. Decyzję podejmuje ciało.

– To nie przerywaj.

– Musimy najpierw porozmawiać – mówi. – Moja sytuacja jest chwilowo skomplikowana.

Tulimy się do siebie. Charlie zaciska dłonie na moich udach tak mocno, że pewnie będę mieć siniaki. Wbijam mu paznokcie w plecy, żeby przyciągnąć go jeszcze bliżej. Jego gorące usta muskają mi bark, język znajduje puls u podstawy szyi.

Kiwam głową.

– Więc porozmawiajmy.

Kolejny gwałtowny pocałunek, jego zęby na mojej wardze, dłonie zaciskające się na pośladkach.

– Trudno mi w tej chwili znaleźć słowa, Noro...

Wplata palce w moje włosy, jego usta odnajdują kącik moich, oddycha płytko i gorączkowo. Podciągam się wyżej, a wtedy on zaciska dłoń na moich plecach, jego jęk wystrzeliwuje we mnie tuzin błyskawic, które docierają do samego wnętrza.

Wszystko na moment przestaje istnieć, gdy ocieram się o niego, gdy on ociera się o mnie.

– Boże, Noro... – syczy.

Z mojego gardła wydobywa się coś w rodzaju: „Wiem” i wpada prosto w jego usta. Wsuwa palce pod koronkę na moich biodrach i wpija je w skórę. Jeszcze nigdy nie czułam czyjejs frustracji tak namacalnie; i sama nigdy nie byłam tak sfrustrowana. Przed oczami mam mroczki, wszystko niknie za murem pożądania.

I w tym momencie dzwoni mój telefon leżący na kamieniach.

Rzeczywistość spada na mnie lawiną ze wszystkich stron, wali się mur żądy, który dotychczas powstrzymywał kaskadę myśli. Odrywam się od Charliego i wydaję stłumiony okrzyk:

– Dusty!

Przygląda mi się w mroku, mrugając, z falującą klatką piersiową.

– Słucham?

– Cholera! Nie... Nie! – Podpływam do skał, a dzwonek odbija się echem w ciemności.

– Co się stało? – pyta Charlie tuż za mną.

– Miałam zadzwonić do Dusty. Wiele godzin temu. – Wyskakuję z wody i pędzę do telefonu. Spóźniam się o kilka sekund na ostatni dzwonek, a gdy oddzwoniam, zgłasza się poczta głosowa. – Niech to szlag!

Jak mogłam? Jak mogłam zapomnieć o swojej najstarszej, najwrażliwszej, dającej mi największy zarobek klientce? Jak mogłam pozwolić sobie na taką dekoncentrację?

Wybieram numer ponownie i odsłuchuję nagrane powitanie.

– Cześć, Dusty! – mówię wesoło po sygnale. – Przepraszam, że nie odebrałam. Byłam na...

Co mogłam robić tak późnym wieczorem? Na pewno nie byłam na godnym szacunku spotkaniu.

– Coś mi wypadło. Ale już jestem wolna, więc oddzwon, proszę.

Rozłączam się, a następnie przeglądam szereg wiadomości od Libby, coraz bardziej gorączkowych, domagających się potwierdzenia, że Blake nie wsadził mnie do rębaka. Serce podchodzi mi do gardła, a na skórę występuje gorący rumieniec wstydu. Już wracam – piszę szybko.

– Wszystko w porządku? – Odwracam się i widzę Charliego, który wciąga na siebie spodnie, trzymając w garści koszulę. – Co się stało? – pyta.

Nie było mnie, myślę. One mnie potrzebowały, a mnie nie było. Jakbym... Nie kończę, zanim umysł wróci tam jak bumerang. Zamiast tego mówię:

– Nie robię tak.

Charlie unosi brwi.

– Jak?

– To wszystko, co się właśnie stało... Ja tak nie funkcjonuję.

Śmieje się niepewnie.

– Wydaje ci się, że dla mnie to codzienność?

– Nie – odpowiadam. – To znaczy, może... W tym rzecz! Skąd mam wiedzieć? – Jego uśmiech gaśnie, a ja czuję ukłucie w klatkę piersiową. Kręcę głową. – To przez tę książkę, przez *Lodowatą* i ten wyjazd... Zaczęło mi się wydawać, że mogę dać się ponieść, ale... – Unoszę telefon, jakby to wszystko tłumaczyło. Przedporodowy kryzys Libby, skrajny brak pewności siebie Dusty, że już nie wspomnę o pozostałych klientkach, o wszystkich, którzy na mnie liczą. – Nie mogę sobie w tej chwili pozwolić na rozrywkę.

– Rozrywka – powtarza głucho, jakby nie znał tego pojęcia. I prawdopodobnie nie zna. Mnie było obce przez dobrą dekadę.

Priorytety. Kategoryzacja. Kwalifikacja. W przeszłości zawsze się to sprawdzało, a teraz jedna chwila beztroski odwróciła moją uwagę zarówno od siostry, jak i od najcenniejszej klientki. Po tym, co się stało z Jakobem, powinnam wiedzieć, że nie mogę sobie ufać.

Zmuszam się do przełknięcia guli w gardle.

– Muszę się skupić – mówię. – Jestem to winna Dusty.

Gdy jestem rozkojarzona, przegapiam różne rzeczy. A wtedy dzieje się źle.

Charlie przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Skoro tego chcesz.

– Tak.

Unosi lekko brwi. Jego oczy widzą jawne kłamstwo. To nie ma znaczenia. Chcenie nie jest dobrym oparciem dla podejmowania decyzji.

– A poza tym – dodaję – u ciebie też występują komplikacje, prawda?

Wzdycha po chwili wahania.

– Z każdą sekundą większe.

Mimo to oboje nadal się nie ruszamy. Tkwimy w milczącym impasie, sprawdzamy, czy tama wytrzyma. Napięcie między nami rośnie, moje komórki wciąż wibrują pod jego spojrzeniem.

Charlie pierwszy odwraca wzrok. Drapie się po policzku.

– Masz rację. Nie wiem, dlaczego tak trudno mi zaakceptować, że nic z tego nie będzie. – Zgarnia ze skały moją sukienkę i podaje mi ją.

Ścisną mnie w żołądku, ale biorę ją od niego.

– Dzięki.

– Od czego się ma kolegów – rzuca oschle, nie patrząc na mnie.

Gramolę się z łóżka o dziewiątej. W głowie mi dudni, żołądek zachowuje się jak zdewastowana łódź zagubiona na morzu. Najwyraźniej wypiłam wczoraj tyle, że się zatrulałam, chociaż czułam się co najwyżej lekko zawiana. To jeden z wielu sposobów, w jakie wiek trzydziestu dwóch lat pokazuje, że rządzi.

Libby krząta się już na dole, nucąc coś. Nie dziwi mnie to – pomimo panicznych esemesów słanych wieczorem, kiedy wróciłam do domu, spała już smacznie, głośno chrapiąc. Dusty wreszcie oddzwoniła. Chodziłam w tę i z powrotem po łące, mokra, i przekonywałam ją, że druga część *Lodowatej* na pewno nie jest taka zła, jak się jej wydaje. Teraz, ledwie widząc na oczy, sprawdzam w telefonie skrzynkę odbiorczą – i rzeczywiście czekają na mnie nowe strony.

Nie jestem na to gotowa. Wciągam na siebie legginsy i sportowy biustonosz, po czym wychodzę chwiejnym krokiem na zewnątrz. Przechodząc przez łąkę, wcieram upał w ramiona. Człapię przez las, trzymając się za brzuch, aż wreszcie mdłości słabną na tyle, że mogę biec.

Okej, myślę. Wszystko jest dobrze. To bardziej pozytywna afirmacja niż spostrzeżenie. Biegnę nachyloną wśród drzew ścieżką w stronę ogrodzenia, kiedy nagle „Wszystko jest dobrze” przechodzi w: „O Boże, nie...”. Pochyłam się do przodu i wymiotuję na błoto w chwili, gdy czyjś głos przecina poranek:

– Dobrze się pani czuje?

Odwracam się w stronę ogrodzenia i wycieram usta grzbietem dłoni.

Blond półbóg opiera się o płot niecałe półtora metra ode mnie.

Jakżeby inaczej.

– Dobrze... – wyduszam z siebie. Chrząkam i krzywię się, czując na języku kwaśny posmak. –

Po prostu wypiłam wczoraj morze alkoholu.

Śmieje się. Ma wspaniałą śmiech. Pewnie jego okrzyk przerażenia brzmi równie przyjemnie.

– Znam to.

Ale on jest wysoki!

– Shepherd* – mówi.

– Jak ten zawód? – pytam.

– A moja rodzina jest właścicielem stajni. Teraz możesz się śmiać.

– W życiu. Mam okropne poczucie humoru. – Zaczynam wyciągać do niego rękę, przypominam sobie jednak, z czym przed chwilą miała kontakt, i ją opuszczam. – Jestem Nora.

Znowu się śmieje tym śmiechem przypominającym dźwięk srebrnego dzwonu.

– Zatrzymałaś się u Lily Goode?

Potakuję.

– Przyjechałyśmy tu z siostrą z Nowego Jorku.

– A, ludzie z wielkiego miasta – żartuje z błyskiem w oku.

– Wiem, jesteśmy najgorsi – ciągnę na jego nutę. – Może Sunshine Falls nas nawróci.

Kąciki oczu mu się marszczą.

– Na pewno.

– Pochodzisz stąd?

– Mieszkam tu od zawsze. Jeśli nie liczyć krótkiego okresu w Chicago.

– Miejskie życie ci nie odpowiadało?

Wzrusza potężnymi ramionami.

– Północny wiatr na pewno nie.

– Jasne. – Osobiście nie mam nic przeciwko porom roku, ale znam to narzekanie.

Ludzie zwykle wyjeżdżają z Nowego Jorku z powodu zimna, klaustrofobii, zmęczenia i presji finansowej. Na przestrzeni lat większość moich znajomych ze studiów uciekła do mniej kosztownych miast na Środkowym Zachodzie albo na przedmieścia, z ich dużymi trawnikami i białymi ogrodzeniami,

bądź też do LA – w jednym z masowych exodusów, do których dochodzi co kilka zim.

Istnieją miejsca, w których żyje się łatwiej, Nowy Jork zaś jest pełen wygłodniałych ludzi, a łączy ich tętniącą energią żądza.

Shepherd poklepuje ogrodzenie.

– Cóż, pozwolę ci wrócić do... – przysięgam, że zerka na moje wymiociny – ...do joggingu – kończy dyplomatycznie, po czym odwraca się, by odejść. – Jeśli jednak będziesz potrzebowała przewodnika podczas pobytu tutaj, Noro z Nowego Jorku, chętnie ci pomogę.

– A jak... mam się z tobą skontaktować?

Patrzy na mnie z szerokim uśmiechem.

– To małe miasto. Wpadniemy na siebie.

Odbieram to jako najłagodniejsze w świecie odprawienie mnie z kwitkiem – do momentu, gdy puszcza do mnie oko. Pierwsze seksowne perskie oko, jakie widziałam w realnym życiu.

* * *

Kiedy kończę opowiadać, Libby tylko mi się przygląda.

– Co się dzieje teraz w twoim mózgu? – pytam.

– Staram się zdecydować, czy mam być pod wrażeniem tego, że wykapałaś się na golasa, wściec się, że zrobiłaś to z Charliem, czy też powinnam cię przeprosić za to, że wrobiłam cię w potworną randkę.

– Nie bądź dla siebie taka surowa – mówię. – Jestem pewna, że gdybym skróciła sobie pod stołem nogi tak z piętnaście centymetrów, byłby bardziej sympatyczny.

– Przepraszam, siostrzyczko. Przysięgam, że gdy wymienialiśmy wiadomości, wydawał się zupełnie normalny.

– Nie miej mu tego za złe. To ja zostałam obdarzona gigantycznym wzrostem.

– Poważnie, co za dupek! – Libby kręci głową. – Boże, przepraszam cię raz jeszcze. Zapomnijmy o punkcie piątym. To był zły pomysł.

– Nie! – protestuję szybko.

– Nie? – Wydaje się skołowana.

Po ostatnim wieczorze chętnie bym spasowała, tyle że muszę mieć na uwadze mieszkanie Charliego. Jeżeli wycofam się teraz z umowy, wszystko, co się wydarzyło, pójdzie na marne. A tak przynajmniej wyniknie z tego coś dobrego.

– Zamierzam wytrwać – odpowiadam. – Przecież mamy swoją listę.

– Serio? – Rozpromieniona Libby klaszcze w dłonie. – To wspaniale! Jestem z ciebie dumna, siostrzyczko! Wyszłaś ze swojej skorupy. A, właśnie, rozmawiałam z Sally o punkcie dwunastym. Chętnie skorzysta z pomocy przy podrasowaniu Goode Books.

– Kiedy z nią rozmawiałaś? – dziwię się.

– Wymieniłyśmy kilka mejli – informuje ze wzruszeniem ramion. – Wiedziałaś, że to ona namalowała mural w dziale dla dzieci?

Zważywszy na fakt, że Libby co roku w grudniu piecze dla swojego nietolerującego glutenu listonosza specjalny placek, nie powinnam czuć się zaskoczona tym, że uskutecznią pogłębianą mejlową konwersację z właścicielką wynajmowanego przez nas domu.

Puls mi przyspiesza na dźwięk powiadomienia o nowej wiadomości. Na szczęście jej autorem nie jest Charlie.

To Brendan. Rzadko do mnie pisuje. Jeśliby przejrzeć nasze archiwum, znalazłoby się w nim wzajemne życzenia urodzinowe przeplatające się ze słodkimi zdjęciami Bei i Tali.

Cześć, Noro. Mam nadzieję, że macie udane wakacje. Czy z Libby wszystko w porządku?

– O co tu chodzi? – Podsuwam telefon pod nos siostry, a ona się pochyla, żeby przeczytać tekst. Zaraz potem zaciska usta.

– Napisz mu, że później do niego zadzwonię.

– Dobrze, proszę pani. A jakie rozmowy mogę łączyć z pani gabinetem?

Przewraca oczami.

– Nie chce mi się w tej chwili iść na górę po telefon. Świat się nie zawali, jeśli nie będę się kontaktowała z Brendanem co dwadzieścia minut.

Zniecierpliwienie w jej głosie mnie zaskakuje. Widywałam ją już podczas sprzeczek z Brendanem, które wyglądają tak, jakby dwoje ludzi obrzucało się wzajemnie piórkami. Ta irytacja jest prawdziwa.

Kłóć się? Z powodu mieszkania? A może tego wyjazdu?

A może ten wyjazd jest efektem ich kłótni?

Na samą myśl robi mi się niedobrze. Staram się wyprzeć ją z głowy – Libby i Brendan mają na swoim punkcie bzika. W ciągu ostatnich miesięcy mogłam czegoś nie dostrzec, ale coś takiego na pewno bym zauważyła.

A poza tym przecież dzwoniła do niego codziennie.

Tyle że tego nie widziałaś, myślę. Przyjęłaś, że w czasie tych dziewięciu godzin, które spędzacie oddzielnie, ona z nim rozmawia.

Po plecach spływa mi zimny pot. Gardło mi się zaciska, czego Libby zdaje się nie widzieć. Uśmiecha się spokojnie, podnosząc się z drewnianego fotela ogrodowego.

Przesadzasz, upominam się. Po prostu zostawiła telefon na górze.

– W każdym razie zbierajmy się – mówi. – Goode Books nie uratuje się samo.

Szybko wklepuję odpowiedź do Brendana:

Wszystko w porządku. Mówi, że zadzwoni do Ciebie później.

Reaguje natychmiast – uśmiechniętą buźką oraz kciukiem do góry.

Wszystko jest w porządku. Jestem tu. Skupiona. Naprawię to.

* * *

Chciałabym powiedzieć, że uświadomiwszy sobie, jaka jest stawka tego wyjazdu, natychmiast uwolniłam się spod uroku Charliego Lastry. Tymczasem za każdym razem, kiedy przenosi wzrok z Libby na mnie, w jego oczach pojawia się iskra, na widok której zastanawiam się, ile czasu bym potrzebowała na ściągnięcie z siebie ubrania.

– Chcecie zafundować Goode Books transformację? – pyta przeciągle, patrząc znowu na moją siostrę.

– Zafundujemy księgarni dogłębną rewitalizację. – Libby łączy czubki palców. Skórę ma muśniętą słońcem, worki pod oczami prawie zupełnie zniknęły. Wygląda na wypoczętą i podekscytowaną szansą na porządki w zakurzonej księgarni.

Charlie pochyla się nad ladą.

– To jest punkt z listy? – Znowu strzela oczami w moją stronę, z tym swoim błyskiem.

Moje ciało reaguje, jakby mnie dotykał. Patrzymy sobie w oczy, kącik jego ust podjeżdża do góry, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, o czym myślisz”.

– On wie o liście? – pyta Libby, po czym zwraca się do Charliego: – Wiesz o liście?

On znowu patrzy na nią, pociera policzek.

– Nie mamy środków na „rewitalizację”.

– Wszystkie meble będą używane – zapewnia moja siostra. – Potrafię wyszperać prawdziwe perełki w komisie. Jestem do tego stworzona. Opowiedzcie nam tylko, jakie macie środki czystości.

Wzrok Charliego wraca do mnie. Jego źrenice płoną. Jestem pewna, że gdybym spojrzęła w dół, ujrzałabym u stóp swoją spopieloną odzież.

– Nawet się nie zorientujesz, że tu jesteśmy – udaje mi się wykrztusić.

– Wątpię – odpowiada.

* * *

Oto kolejna „uniwersalna prawda”, od której Austen mogłaby zacząć *Dumę i uprzedzenie*: kiedy powtarzasz sobie, by o czymś nie myśleć, będziesz myśleć wyłącznie o tym.

Dlatego gdy Libby gania mnie po Goode Books, żebym sprzątała ze szmatą i usuwała czarne

zarysowania z podłogi, myślę o całowaniu się z Charliem. A przenosząc biografie do wyznaczonego właśnie regału literatury non-fiction, liczę, ile razy i gdzie przyłapałam go na zerkaniu na mnie.

Kiedy ślęczę nad nową porcją *Lodowatej* w kawiarni, ciągnąc za sznurki narracji i szturchając klapy pułapek, mój umysł znajduje sposób, by wrócić do tego, jak Charlie przycisnął mnie do skały i szepnął mi do ucha chrapliwie: „Trudno mi w tej chwili znaleźć słowa, Noro”.

Ciężko mi się myśli. No, chyba że o tym jednym, o czym myśleć nie powinnam.

Nawet teraz, kiedy idziemy z Libby przez miasto ku „niespodziance”, jaką dla nas zaplanowała, jestem obecna tylko w dwóch trzecich. Dążąc do zmuszenia pozostałej jednej trzeciej do posłuszeństwa, pytam:

– Jestem dobrze ubrana?

Nie zwalniając kroku, siostra ściska mnie za rękę.

– Doskonale. Jesteś boginią wśród śmiertelników.

Zerkam na swoje dzinsy i żółtą jedwabną koszulkę na ramiączkach. Zastanawiam się, do czego „doskonale” pasują.

Kątem oka taksuję szybko mowę ciała Libby. Obserwuję ją uważnie od momentu tamtego dziwnego esemesa od Brendana, ale nie widzę niczego, co byłoby nie w porządku.

W dzieciństwie błagała panią Freeman, żeby pozwałała jej przekładać książki na półkach, i teraz, w czasie transformacji Goode Books, zamieniła się w dziwną Piękną, która nawet śpiewa o „prowincjonalnym życiu”, wymachując szczotką, podczas gdy Charlie rzuca mi ogniste gniewne spojrzenia mówiące „każ jej przestać”.

– Nie pomogę ci – poinformowałam go w końcu. – Nie mam tu nic do powiedzenia.

Na co Libby zawołała z drugiego końca sklepu:

– Jestem nieokiełznana, dzieciно!

Gdy w końcu wyszliśmy z księgarni, zmusiła mnie, żebym wsiadła do taksówki Hardy’ego i wyruszyła na poszukiwanie mebli we wszystkich komisach w Asheville. Za każdym razem, kiedy znalazłyśmy coś, co idealnie się nadawało do kawiarni Goode Books, należała, żebyśmy: 1) się targowały; 2) rozmawiały ze wszystkimi i dosłownie o wszystkim.

Praca dodaje jej energii, ja zaś mam nadzieję, że dzisiejsza niespodzianka wiąże się z pobytem w jedynym SPA w Sunshine Falls. Chociaż nazywa się Spaaaahhh, co każe mi się zastanowić. Nie jest jasne, czy należy to odczytać jako westchnienie, czy raczej okrzyk. Przybytek albo należy do tej samej osoby co Mug + Shot i Zabójcze Loki, albo w wodzie w Sunshine Falls jest coś prowokującego wyjątkowe lingwistyczne żarty.

Libby jednak przechodzi obok Spaaaahhh. Minąwszy róg, widzimy budynek z różowej cegły z wysokimi na dwa piętra oknami, dachem krytym gontem i dzwonnica. Z jednej strony znajduje się zapełniony w połowie parking, a z drugiej dzieciaki z umorusanymi kolanami grają w kickball na zarośniętym boisku baseballowym. Za ogrodzeniem za bazą domową kłębi się w powietrzu chmara meszek.

– Przyszliśmy na mecz? – pytam Libby.

Nie odpowiada, tylko prowadzi mnie w górę schodów przed budynkiem prosto do zatęchłego holu. Mija nas biegiem stadko nastolatek w baletowych rajstopach, piszcząc i śmiejąc się; pędzą schodami po naszej prawej stronie. Z pół tuzina młodszych dzieciaków w kolorowych trykotach rozciąga się na podłodze na niebieskich matach gimnastycznych.

– To chyba tutaj – mówi Libby.

Omijamy młodych gimnastyków, pokonujemy kolejne drzwi i wchodzimy do przestronnej sali wypełnionej odbijającymi się echem rozmowami. Są tu składane krzesła i ku mojej uldze nikt nie ma na sobie trykotów, więc pewnie po prostu będą to zajęcia dla ciężarnych.

Z przodu zauważam Sally – ze śmiechem bierze za rękę starszego blondyna (a także zaciąga się elektronicznym papierosem). Kilka rzędów za nią widzę hipsterską baristkę z Mug + Shot z kolczykiem w przegrodzie nosowej oraz Amayę, Śliczną Barmankę Byłą Charliego.

Libby ciągnie mnie do ostatniego rzędu, a kiedy siadamy, ktoś z przodu pomieszczenia uderza młotkiem.

Jest tam scena, tyle że mównica znajduje się na poziomie krzeseł. Stojąca za nią kobieta ma najbujniejsze, najbardziej rude włosy, jakie kiedykolwiek widziałam, a jedyne światła zapalone na sali oświetlają ją jak rozproszony reflektor.

– Ludzie, zaczynajmy! – warczy i tłumek się ucisza.

Z góry dociera muzyka fortepianowa. Przysuwam się do Libby.

– Przyprowadziłaś mnie na proces czarownicy? – syczę.

– Pierwsza sprawa, którą się zajmiemy – mówi rudzielec – to skarga przeciwko firmie zlokalizowanej przy Main Street numer tysiąc czterysta osiemdziesiąt, zwanej obecnie Mug + Shot.

– Czeka. Czy my...

Libby mnie ucisza, kiedy baristka zrywa się ze swojego krzesła, odwraca i patrzy w stronę łysiejącego mężczyzny siedzącego kilka krzeseł od niej.

– Nie zmienimy znowu naszej nazwy, Dave!

– Kojarzy się z lokalem dla włóczęgów i przestępców! – ryczy Dave.

– Nie podobało ci się „Bean to Be Wild”...

– Kiepski żart – stwierdza Dave.

– Wściekałeś się, kiedy byliśmy „Some Like It Hot”.

– Bo to praktycznie pornografia!

Rudzielec uderza młotkiem. Amaya ciągnie baristkę, żeby usiadła.

– Będziemy głosować. Kto jest za tym, żeby Mug + Shot zmienili nazwę?

Do góry wystrzeliwuje kilka rąk, w tym Dave’a.

Kobieta znowu uderza młotkiem.

– Wniosek oddalony.

– Coś takiego nie miałyby racji w żadnym sądzie – szepczę zdumiona.

– Co przegapiłem?

Podskakuję, kiedy Charlie osuwa się na krzesło obok mnie.

– Niewiele. Dave złożył wniosek o to, by każdy wacek w mieście zmienił nazwę na coś mniej pornograficznego.

– Ktoś już płakał? – dopytuje Charlie.

– To ludzie tu płaczą?

Przysuwa usta do mojego ucha i szepcze:

– Następnym razem postaraj się lepiej zamaskować ekscytację na myśl o czymś nieszczęściu.

Pomoże ci to wtopić się w tłum.

– Zważywszy na to, że siedzimy w sektorze dla awanturników, nie martwię się o to – odszeptuję.

– Co ty tutaj robisz?

– Wypełniam obywatelski obowiązek – mówi, a gdy przygważdżam go spojrzeniem, wyjaśnia:

– Mama ekscytuje się jednym głosowaniem. Mam tylko podnieść rękę. Ale cieszę się, że przyszedłem. Skończyłem czytać nowe strony. I mam uwagi.

Odwracam się do niego tak gwałtownie, że prawie się trącamy nosami w ciemności.

– Już?

– Uważam, że powinniśmy zacząć książkę od wypadku Nadine – szepcze.

Parskam śmiechem. Kilka osób z rzędu przed nami łypie na mnie gniewnie. Libby daje mi kuksańca w bok. Uśmiecham się przeproszająco. Gdy nasza publika wraca do obserwowania nowej sprzeczki z przodu sali, między mężczyzną a kobietą, którzy w sumie mają pewnie ponad dwieście lat, znowu spoglądam na uśmiechającego się z zadowoleniem Charliego.

– Chyba jednak potrzebowałaś pomocy w tym, by się wtopić.

– Do wypadku dochodzi po pięćdziesięciu stronach – syczę. – Tracimy cały kontekst.

– Nie zgadzam się. – Kręci głową. – Chciałbym to przynajmniej zasugerować Dusty i poznać jej zdanie.

Teraz ja kręcę głową.

– Uzna, że nie podobało ci się pierwsze pięćdziesiąt stron ze stu, które przysłała.

– Wiesz, jak bardzo mi na tej książce zależało. Już po pierwszych dziesięciu stronach. Chcę tylko

wypracować jej najlepszą wersję. Podobnie jak ty. I Dusty. Tak na marginesie, co myślisz o kocie?

Zagryzam wargę i czerpię niekłamana satysfakcję z tego, jak obserwuje akcję. Milczę dłużej, niż to się wydaje naturalne.

– Obawiam się, że jest trochę zbyt podobny do psa w *Raz w życiu*.

Charlie mruga. Widzę, że potrzebuje chwili, by znaleźć na nowo swoje miejsce w rozmowie.

– Myślę dokładnie to samo.

– Musimy się dowiedzieć, jakie ma wobec niego zamiary – stwierdzam.

– Wspomnijmy o podobieństwie i pozwólmy jej działać – zgadza się.

Rudzielec wali młotkiem, ale staruszkowie z przodu sali krzyczą do siebie jeszcze przez dwadzieścia sekund. Gdy wreszcie udaje się jej ich uciszyć, potakują – nie żartują – podają sobie ręce i wracają razem na swoje miejsca.

– Scena rodem z *Makbeta*. – Nie mogę się nadziwić.

– Powinnaś zobaczyć, jak wygląda planowanie świąt – zauważa Charlie. – Prawdziwa krwawa łaźnia. Najlepszy dzień w roku.

Tłumię śmiech grzbietem dłoni. Jego usta drgają, a mnie serce podskakuje na widok zadowolenia malującego się na jego twarzy. Słyszę w myślach jego słowa: „Taka jesteś o wiele zabawniejsza”.

Odwracam się, zanim to spojrzenie zdoła wnikać głębiej do mojego krwiobiegu.

– Jak oceniasz motywację Nadine? – Jakimś cudem udaje mu się nadać tym słowom erotyczną nutę, bo zaczynam odczuwać mrowienie w czterech punktach na ciele.

Skup się.

– Odnośnie do czego?

– Przebiegnięcia przez ulicę, zanim zapali się zielone – uściśla.

Ta decyzja umieszcza Nadine w szpitalu wskutek potrącenia przez autobus.

Zgadza się: moje alter ego prawie ginie na pięćdziesiątej stronie książki. Albo na pierwszej, jeśli Charlie postawi na swoim.

– Zastanawiam się, czy podanie uzasadnienia dla jej pośpiechu podważa argument Dusty – szepczę. – Mamy myśleć, że ta kobieta to zimny, samolubny rekin. Może powinna się spieszyć dla samego pośpiechu, bo tak zwykle robi.

Przysięgam, że oczy Charliego błyszczą w mroku.

– Byłabyś dobrą redaktorką, Stephens.

– Czy to znaczy, że się ze mną zgadzasz? – upewniam się.

– To znaczy, że powinniśmy widzieć w Nadine to, co widzi świat, zanim kurtyna zostanie podniesiona.

Przyglądam mu się. Ma rację. Z fragmentem książki zawsze pracuje się dziwnie, bo nie wiadomo, co się wydarzy dalej, ale znam pióro Dusty jak bicie własnego serca i czuję, że Charlie ma rację.

– Czy powiesz jej o pierwszych pięćdziesięciu stronach? – szepcze.

– Wybadam ją – odpowiadam wymijająco.

Nawet jeśli się ze sobą zgadzamy, nasze rozmowy nie kojarzą się ze sztafetą, tylko z grą w ping-ponga przy płonącym stole.

Charlie wyciąga do mnie dłoń, by dobić targu. Waham się, ale w końcu podaję mu rękę. Jego ostrożny dotyk natychmiast wyświebla w moim umyśle fragmenty poprzedniego wieczoru. Źrenice mu się rozszerzają, ich złote obwódki się żarzą, tętnica na szyi pulsuje szybciej.

Nagle ktoś z przodu sali kaszle teatralnie i bańka pęka. Wszyscy wokół nas unoszą ręce – także Libby. To Sally odwróciła się na krześle i kaszle w naszym kierunku, wyciągając rękę nad głowę.

Charlie wyswobadza dłoń i podnosi ją. Sally przenosi wzrok na mnie, niemal błagalnie. Gdy i ja podnoszę rękę, uśmiecha się szeroko i siada prosto.

Kiedy rudowłosa kobieta liczy głosy, nachylam się do Libby.

– Za czym głosujemy?

– Nie słuchałaś? Na placu ma stać pomnik!

– Jaki pomnik?

Charlie prycha. Libby się rozpromienia.

– A niby jaki? – rzuca. – Starego Whittakera i jego psa!

Autentyczny pomnik dla *Raz w życiu*.

Zerkam na Charliego, gotowa z niego zakpić, ale patrzy mi w oczy ze złowrogim uśmiechem.

– Próbuje, Stephens, śmiało. Nic mi nie zepsuje tego wieczoru.

Skacze mi poziom adrenaliny w związku z tym wyzwaniem, tyle że igranie z Charliem jest dla mnie zbyt niebezpieczną grą, zwłaszcza że coraz mniej nad sobą panuję. Zamiast podnieść rękawicę, zmuszam moje usta do łagodnego, profesjonalnego uśmiechu i odwracam się w stronę przodu sali.

Resztę spotkania spędzam na graniu z samą sobą. Nie myśl o dotykaniu dłoni Charliego. Nie myśl o iskrach w oczach Charliego. W ogóle o tym nie myśl. Skup się.

* *Shepherd* (ang.) – pasterz.

Ku mojemu zaskoczeniu Dusty zgadza się na cięcia. Godzinę po złożeniu obietnicy, że dostarczy jej formalne uwagi, Charlie przysłała mi pięciostronicowy dokument na temat pierwszej części *Lodowatej*.

Przeglądam tekst w kawiarni, podczas gdy Libby reorganizuje salę z literaturą dla dzieci, fałszując przy tym *My Favorite Things* z musicalu *Dźwięki muzyki*, tyle że zamienia wszystkie pozycje na liście wedle własnego upodobania: „Książki bez oślich rogów i w nowych lśniących okładkach, sprzątać, ustawiać i czytać o zakochanych!”

Ślę do Charliego dokument z sześćdziesięcioma czterema zarejestrowanymi zmianami, a on odpisuje mi po kilku minutach, jakby nie dzieliło nas niecałe osiem metrów, bo przecież siedzi przy kasie.

Jesteś absolutnie bezwzględna, Stephens.

Muszę dbać o reputację – odpisuję.

Słyszę jego cichy śmiech dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia, jakby przyciskał usta do mojego brzucha.

Libby śpiewa w sali książek używanych i rzadkich: „Sklepowe koty w oknach i mrożoną kawę kofeinową”.

Czy te pochwały nie są trochę przesadzone? – pisze Charlie w mejlu.

Być może chodzi mu o te czterdzieści kilka komplementów, które zamieściłam w jego dokumencie.

Tekst Ci się podobał. Dodałam tylko szczegóły.

Poświęcanie takiej ilości czasu na mówienie o tym, czego nie musi zmieniać, wydaje mi się bezproduktywne i protekcjonalne.

Jeżeli poprosisz Dusty, żeby usunęła co nieco, ale nie napiszesz wyraźnie, co jest dobre, ryzykujesz stratę tego dobrego.

Odbijamy plik w tę i z powrotem, aż jesteśmy usatysfakcjonowani i w końcu mogę go wysłać. Spodziewam się odpowiedzi od Dusty za kilka dni. Tymczasem otrzymuję ją po dwóch godzinach.

Wiele świetnych pomysłów. Mam sporo do przemyślenia i biorę się do pracy nad uwzględnieniem zmian. Tyle że musimy zachować kota. W międzyczasie wyczyściłam kolejne sto stron (w załączeniu).

Przysłała mi prywatną wiadomość opatrzoną tytułem: Ale tak na serio i bez ściemy, możesz być moją współredaktorką zawsze? Nie mogę się doczekać, kiedy zacniemy. X.

Czuję się jak zapalona żarówka – gorąca i promieniująca dumą. Charlie przysłała mi kolejną wiadomość i owo ciepło się zaciska jak gumowy wąż, którego upycha się w puszcze, zanim znów nastraszy się nim kogoś dla żartu.

Wydaje mi się, że moglibyśmy być razem nieźli, Stephens.

Coś przypominającego małą gwiazdkę wciska się w moją przeponę. Odpisuję: Owszem, razem stworzymy emocjonalnie kompetentnego człowieka, co jest prawdziwym osiągnięciem.

A potem wsłuchuję się w jego szorstki śmiech.

Lecz nagle jakiś inny dźwięk kieruje moją uwagę w stronę okna – to głos Libby, który choć stłumiony przez szybę, jest na poły krzykiem wyrażającym frustrację.

Pokonuję labirynt regałów i dostaję się na przód sklepu, gdzie przez okno widzę swoją siostrę stojącą na chodniku. Przyciska telefon do ucha i osłania dłonią oczy przed słońcem.

Jej postawa wydaje się defensywna – uniesione barki, łokcie przyciśnięte do boków. Libby wzdycha z irytacją, mówi coś jeszcze, po czym się rozłącza.

Ruszam w stronę drzwi, żeby wyjść jej na spotkanie, ona jednak zarzuca torebkę na ramię, przechodzi przez ulicę, skręca w prawo i oddala się energicznie.

Zamieram w pół kroku, ściska mnie w żołądku.

Co tu się wydarzyło?

Aż podskakuję na dźwięk powiadomienia z telefonu. To wiadomość od Libby.

Muszę coś zrobić! Powinam wrócić do domu około dwudziestej.

Przełykam gulę wielkości pięści i odpisuję: Mogę Ci w czymś pomóc? Nie mam dzisiaj dużo pracy.

Jawne kłamstwo, ale nie ma jej tutaj, więc nie może mi tego wytknąć.

Nie, pisze. Rozkoszuję się czasem dla siebie – bez urazy. Do zobaczenia!

Wracam do komputera zupełnie otumaniona. Wyczuwam zdradę, ale na tym etapie nie wiem, co robić, bo po paru dniach tego wyjazdu ani trochę nie zbliżyłam się do odpowiedzi. Piszę do Brendana.

Hej. Co słyhać? Libby się do Ciebie odezwała?

Odpisuje natychmiast: Jest dobrze! Tak, rozmawialiśmy! Wszystko tam w porządku?

W głowie mam jakieś czarnaście wersji pytania: „Co się dzieje z moją siostrą?”, ale wreszcie akceptuję fakt, że Libby wściekła by się na mnie, gdyby się dowiedziała, że je zadałam. Zasady rządzące rodzinną komunikacją są nonsensowne, a do tego sztywne. Mama wiedziała, jak nas otworzyć. Bez niej coraz częściej czuję się jak w najeżonej pułapkami jaskini skarbów – z sercem Libby spoczywającym na podwyższeniu w centralnym punkcie. Z każdym krokiem ryzykuję pogorszenie sytuacji.

Wszystko okej! – odpisuję Brendanowi.

A potem skupiam się na pracy. A przynajmniej próbuję.

Przez resztę popołudnia klienci pojawiają się i znikają falami, lecz przeważnie jesteśmy z Charliem sami. Mimo to nigdy nie byłam mniej efektywna.

Po jakimś czasie pisze do mnie ze swojego biurka: Gdzie się podziała Julie Adrews?

Wróciła do klasztoru – odpisuję. – Zrezygnowała. Nie potrafiła Ci pomóc.

Tak działałam na ludzi – stwierdza.

Na Dusty nie. Uwielbia Cię.

Uwielbia nas – prostuje. – Jak pisałem, jesteśmy razem nieźli.

Szukam jakiejś odpowiedzi, ale bezskutecznie. Nie potrafię myśleć o niczym innym jak o napięciu malującym się na twarzy mojej siostry i jej nagłym odejściu.

Libby miała jakieś tajemnicze plany – informuję Charliego.

Pewnie pojechała na wielkie otwarcie Dunkin’Donuts dwa miasta dalej – pisze, a po minucie dodaje: Dobrze się czujesz?

Jakby nawet z drugiego pomieszczenia, oddzielony ode mnie kilkoma monitorami, wyczuwał mój nastrój. Ta myśl wywołuje dziwny tępy ból w moich kończynach. Coś na kształt samotności. Czuję się jak Ebenezer Scrooge przyglądający się przez pokryte szronem okno przyjęciu bożonarodzeniowemu w domu siostrzeńca Freda. Bycie na zewnątrz stało się bardziej wyraziste za sprawą odkrycia tego, co się dzieje w środku.

Tak naprawdę chciałabym tylko przycupnąć na skraju biurka Charliego i powiedzieć mu wszystko, rozśmieszyć go, pozwolić, by on doprowadzał do śmiechu mnie. I żeby już nic nie wydawało się takie nagłe.

Dobrze – odpisuję.

Potem łapię się na tym, że co rusz odświeżam skrzynkę i zmuszam się, by wrócić do tekstu Dusty. Jestem taka rozkojarzona dążeniem do zajęcia umysłu czymś innym, że spoglądam na zegar ponownie dopiero osiem po siedemnastej.

W sklepie panuje cisza. Pakuję swoje rzeczy, ostrożnie jak ktoś, kto usiłuje nie obudzić stada głodnych lwów. Następnie zarzucam torbę na ramię i prawie wybiegam z kawiarni, wciąż niepewna, kto z nas jest w tym scenariuszu lwem – Charlie czy ja.

Nad tym właśnie dumam, kiedy przekraczam próg i prawie zderzam się z Charliem, co może tłumaczyć, dlaczego się drę:

– Lew!

Otwiera szeroko oczy (może myślał, że chciałam powiedzieć: „Lew! Tam! Łap go!”). Zatrzymujemy się równocześnie, dokładnie naprzeciwko siebie, ale nie dotykając się.

Serce mi wali. Klatka piersiowa faluje.

– Nie wiedziałem, że nadal tu jesteś – odzywa się Charlie.

– Jestem – potwierdzam.

– Zawsze wychodzisz o siedemnastej. – Przekłada konewkę z lewej ręki do prawej. Kwiaty w skrzynce na oknie połyskują, tłuste krople przywarły do ich pomarańczowych i różowych płatków, lśnią w popołudniowym świetle. – Równo o siedemnastej – dodaje.

– Byłam zajęta – kłamię.

Gdy zerka na moją brodę, skóra robi mi się cieplejsza o kilka stopni.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho. – Nie wydawałaś się...

– Hej, Charlie! – przerywa mu niski aksamitny głos.

Odwracam głowę. Po drugiej stronie ulicy podobny do anioła olbrzym z dołeczkami w policzkach i oczami przypominającymi klejnoty gramoli się z ubłoconej furgonetki.

– Shepherd – mówi Charlie trochę sztywno i pochyla głowę w geście powitania. Jego wzrok nie jest ostry jak sztylet, ale nie wyraża też zadowolenia. Historia, podtekst, przedakcja – jakkolwiek to nazwać, to coś ich łączy.

– Sally prosiła, żebym to podrzucił – informuje Shepherd i przechodząc przez jezdnię, rzuca w stronę Charliego torbę.

Charlie mu dziękuje, a Shepherd staje naprzeciwko mnie i uśmiecha się szerzej.

– No, no, no. Czy to nie Nora z Nowego Jorku? Mówiłem ci, że znowu na siebie wpadniemy.

Przeczytałam kiedyś, że słoneczniki zawsze ustawiają główki w stronę słońca. Tak samo działa na mnie Charlie Lastra. Z zachodu mógłby się w moją stronę przesuwając pożar, a ja i tak odwracałabym się na wschód ku jego ciepłu.

Dlatego pomimo osiemdziesięcioprocentowej pewności, że Shepherd ze mną flirtuje, patrzę naturalnie na Charliego. A raczej na zamykające się za nim drzwi.

– Hej – odzywa się Shepherd. – Jesteś teraz przypadkiem wolna? Może mógłbym cię zabrać na wycieczkę?

– Hmm. – Zerkam na telefon, lecz nadal nie mam żadnej wiadomości od Libby.

Przez moment niepokój wypełnia mnie po brzegi, sto pięści łomocze do wrót mojego umysłu, domagając się, by je wypuścić. Wsuwam telefon z powrotem do torebki. Skup się na czymś, co możesz kontrolować. Na liście. I na numerze piątym.

Opierając się pokusie, by zerknąć w okno wystawowe, patrzę Shepherdowi w oczy. A potem uśmiecham się i kłamię przez zaciśnięte zęby:

– Doskonały pomysł.

* * *

Jedziemy autem z opuszczonymi szybami. Zapachy sośniny, potu i spalonej słońcem ziemi splatają się z wiatrem. Nigdy nie widziałam czegoś takiego jak Blue Ridge Parkway. Droga wiję się po zboczach, jakby została w nich wycięta. Wierzchołki drzew górują nad nami z jednej strony i spadają stromo z drugiej. Shepherd też przedstawia rzadki widok. O jego przedramionach, muskularnych i pokrytych złocistymi włoskami, pisarze mogliby się rozwodzić. Nuci do piosenki country płynącej z radia, bębniąc palcami w kierownicę.

Początkowy dreszczyk emocji towarzyszący robieniu czegoś spontanicznego ustępuje zdenerwowaniu. Dawno już nie wybrałam gdzieś z niesprawdzonym mężczyzną. Pomijając ryzyko, że może być gwałcicielem, zabójcą lub kanibalem, nie mam pojęcia, o czy rozmawiać z facetem, o którym nic nie wiem – i którego nie biorę pod uwagę jako długoterminowego partnera.

Dasz radę, Noro. Dla niego nie jesteś Nadine. Możesz być każdą. Tylko coś powiedz.

Wreszcie Shepherd wybawia mnie z opresji.

– Zatem Noro, czym się zajmujesz?

– Pracuję w branży wydawniczej – mówię. – Jestem agentką literacką.

– Żartujesz! – Odrywa spojrzenie zielonych oczu od drogi i zerka na mnie. – To znaczy, że znałaś Charliego przed przyjazdem tutaj?

Mój żołądek najpierw przesuwa się w dół, a potem gwałtownie podjeżdża do góry.

– Niezupełnie – odpowiadam wymijająco.

Shepherd się śmieje, tak dźwięcznie i gromko.

– Znam to spojrzenie! Nie osądzaj nas wszystkich na jego podstawie.

Zalewa mnie fala opiekuńczości – a może empatii, zrozumienia, że ludzie mogą mówić w ten sposób o mnie. Równocześnie jestem zirytowana tym, że wsiadłam do samochodu z nieznanym, jakby to miała być kosmiczna kapsuła ratunkowa, a mimo to widmo Charliego wciąż mnie prześladowuje.

– Nie jest taki zły, jak się wydaje – ciągnie Shepherd. – Przecież przyjechał tu pomóc Sal i Clintowi, chociaż zawsze pragnął tylko się stąd wyrwać. – Zamaszyście macha ręką w stronę skąpanej w słońcu drogi przed nami, a potem skręca w boczną drogę wijącą się w górę zbocza.

– A czym ty się zajmujesz? – pytam.

– Budowlanką. A jeśli mam czas, także stolarstwem.

– Oczywiście – rzucam zupełnie nieświadomie.

– Co masz na myśli? – pyta, a jego oczy lśnią jak szmaragdy.

– Chodziło mi o to, że wyglądasz na stolarza.

– O.

– Stolarze słyną z tego, że są przystojni – wyjaśniam.

Czoło mu się marszczy od uśmiechu.

– Doprawdy?

– Są obiektem westchnień w wielu książkach i filmach. To częsty wątek. Sposób na przedstawienie kogoś pragmatycznego, cierpliwego i seksownego, ale nie płytkiego.

Teraz już śmieje się głośno.

– To chyba nie brzmi najgorzej.

– Przepraszam. Minęło trochę czasu, odkąd byłam... – Powstrzymuję się przed powiedzeniem „na randce”, bo przecież to zdecydowanie nie jest randka, i kończę bardziej dramatycznie: – Gdziekolwiek.

Uśmiecha się szeroko, jakby wcale nie przyszło mu do głowy, że uciekłam ze schronu po latach znikomej socjalizacji.

– Zatem, Noro z Nowego Jorku, wiem już, dokąd cię zabrać.

* * *

Niełatwo wzbudzić u mnie zachwyty – teatralne głośne reakcje są domeną Libby – ale gdy wysiadam z furgonetki, nie potrafię się powstrzymać.

– Założę się, że w Nowym Jorku nie macie takich widoków – stwierdza dumnie Shepherd.

Nie mam serca, by mu powiedzieć, że mojego okrzyku nie wywołał widok. Owszem, jest piękny, ale w zdumienie wprowadził mnie zbudowany w trzech czwartych na zboczu góry Blue Ridge Parkway dom z oknami wychodzącymi na dolinę pod nami. Widać za nim chowające się za horyzontem słońce zalewające wszystko złotem plastra miodu, które może się stać moim nowym ulubionym kolorem.

Ten dom – masywny i nowoczesny, z całą tylną ścianą ze szkła – lśni w ognistych promieniach zachodu słońca.

– Ty go zbudowałeś? – Zerkam przez ramię i widzę, że Shepherd wyjmie z paki furgonetki lodówkę turystyczną i niebieski koc.

– Buduję – poprawia mnie i zamyka pakę. – Dla siebie, więc ciągnie się to latami. Pracuję między jednym a drugim płatnym zleceniem.

– Jest niesamowity – stwierdzam.

Stawia lodówkę na ziemi i strzepuje pled.

– Od dziesiątego roku życia marzę, by tu zamieszkać. – Pokazuje mi, żebym usiadła.

– Zawsze chciałeś się zajmować budowlanką? – Wyglądam spódnice na udach i siadam na ziemi w chwili, gdy Shepherd wyjmie z lodówki dwie puszki z piwem i zajmuje miejsce obok mnie.

– Inżynierem konstruktorem – odpowiada.

– No dobra, żaden dziesięciolatek nie chce być inżynierem konstruktorem – zauważam. – Nawet nie wie o kimś takim. Szczerze mówiąc, sama pierwsze słyszę o istnieniu takiego zawodu.

Jego niski przyjemny śmiech przetacza się po ziemi. Czuję przypływ adrenaliny, który sprawia, że ja też się śmieję, ale pijane motyle w moim brzuchu się nie pojawiają. Przesuwam nogi, by znalazły się trochę bliżej jego, pozwalam naszym palcom się zetknąć, gdy przyjmuję podane mi piwo. Nic.

– Masz rację – przyznaje. – W wieku dziesięciu lat chciałem budować stadiony. Ale idąc na Cornell, już wiedziałem.

Zachłystuję się piwem, bynajmniej nie tylko dlatego, że jest ohydne.

– Dobrze się czujesz? – Shepherd poklepuje mnie po plecach jak spłoszonego konia.

Potakuję.

– Cornell – mówię, gdy odzyskuję oddech. – To jest coś.

Gdy mruży kąciki oczu, prezentuje się tak przystojnie.

– Jesteś zaskoczona?

– Tak – przyznaje. – Ale tylko dlatego, że nie spotkałam jeszcze absolwenta Uniwersytetu Cornell, który tak długo zwlekałby z informacją, że jest jego absolwentem.

Ze śmiechem odchyła głowę do tyłu i przeczesuje brodę palcami.

– Słuszne. Chyba częściej o tym wspominałem, zanim wróciłem do domu. Ale tutaj nie ma znaczenia, gdzie studiowałem. Na ludziach większe wrażenie robi mój staż na pozycji rozgrywającego.

– A to co takiego? – pytam.

– Rozgrywający to pozycja w... – Milknie, przyglądając się mojej minie, i kąciki ust wyginają mu się w uśmiechu. – Żartujesz.

– Przepraszam. Zły nawyk.

– Nie taki zły – stwierdza z kokieterijną nutą w głosie.

Szturcham go w kolano.

– Jak zatem skończyłeś tutaj? Mówiłeś, że przez jakiś czas mieszkałeś w Chicago.

– Dostałem tam pracę zaraz po studiach. Ale bardzo tęskniłem za domem. Nie chciałem być daleko stąd.

Podążam za jego wzrokiem i ponownie patrzę na dolinę skąpaną w fioletach i różach. Miliardy meszek i komarów tańczą w przygasającym świetle. Balet w blasku natury.

– Jest pięknie – przyznaje.

Tutaj cisza raczej uspokaja, zamiast napawać przerażeniem, a to, jak Shepherd znosi ciężką wilgotność powietrza, pozwala mi wierzyć (trochę), że i ja nie wyglądam jak ociekający wodą papillon. Upalna lepkość jest niemal przyjemna, a zapach trawy kojący. Nic nie wydaje się pilne.

W tyle głowy słyszę chropawy głos: „Wolałabyś być gdzieś, gdzie jest głośno i tłoczno, gdzie sama egzystencja wydaje się rywalizacją”.

Czuję na sobie czyjś wzrok, a kiedy zerkam w bok, moje zdziwienie mnie zaskakuje. Jakbym się spodziewała kogoś innego.

– Co cię tutaj sprowadza? – pyta Shepherd.

Słońce prawie zupełnie już zaszło, powietrze wreszcie się ochładza.

– Moja siostra.

Nie dopytuje, tylko zostawia mi przestrzeń, bym mogła kontynuować. Staram się, tyle że wszystko, co się dzieje z Libby, jest takie nieuchwytnie, nie nadaje się do przedstawienia prawie zupełnie obcemu człowiekowi.

– Poczekaj chwilę – mówi Shepherd.

A potem wstaje energicznie, podchodzi do furgonetki i zagłębia się w kabinie. Po chwili z głośników zaczyna płynąć powolna ballada country pełna nosowego zawodzenia.

Shepherd zostawia szeroko otwarte drzwi i wraca do mnie, by podać mi rękę z niemal nieśmiałym uśmiechem.

– Chciałabyś zatańczyć?

W innych okolicznościach nie potrafiłabym sobie wyobrazić nic bardziej przerażającego, więc

może małomiasteczkowa magia faktycznie działa. A może to połączenie Nadine, Libby i Charliego uwolniło coś we mnie, bo bez wahania odstawiam piwo i przyjmuję podaną mi dłoń.

Oglądam tę scenę, jakby rozgrywała się z udziałem kogoś innego. Jakbym o niej czytała. Nie potrafię przestać myśleć, że to się nie dzieje naprawdę.

Tyle że najwyraźniej się dzieje. Schematy nie biorą się znikąd i jak się okazuje, kobiety od niepamiętnych czasów tańczą wolnego do ballad country z seksownymi architektami stolarzami, gdy długie cienie kładą się na malowniczych dolinach, a świerszcze wygrywają na skrzypcach.

Shepherd pachnie tak, jak zapamiętałam. Lasem iglastym, skórą i słońcem.

I jest tak miło. Jakbym odpuszczała sobie wszystko, co trzeba, a nie coś, co mogłoby do mnie wrócić i mnie pokasać.

A masz, Nadine. Jestem obecna. Pocę się. Daję się komuś prowadzić, wiruję w jedną, potem w drugą stronę, kierowana przez Shepherdą. Nie jestem sztywna ani zimna. Przechyliła mnie w tył i w gasnącym świetle dnia posyła mi gwiazdorski uśmiech, po czym stawia mnie prosto.

– I jak? – pyta. – Działa?

– Ale co?

– Przekonuję cię? Zdobywam dla Sunshine Falls?

Ktoś taki jak ty, w takich butach, nie mógłby tu być szczęśliwy. Nie rozbudź nadziei w sercu jakiegoś farmera nadaremno.

Mylę krok, ale Shepherd ma w sobie zbyt dużo wdzięku, aby to miało znaczenie. Podtrzymuje mnie, wykonuje mną ćwierć obrotu i już jest po kłopotach. Jeśli nie liczyć moich pantofli. Są oblepione ziemią, umorusane trawą, a ja jestem na siebie wściekła, że to zauważam.

Nagle przypominam sobie, jak Charlie niósł mnie na górę po grze w bilard.

Z pozoru Shepherd i ja wciąż odgrywamy idealną scenę, która chwyta za serce, tyle że mnie znówu męczy to poczucie bycia outsiderką. Jakby ta kobieta w objęciach Shepherdą nie była mną. Albo jakbym wciąż stała po złej stronie okna.

Wizja przychodzi natychmiast, ostra i intensywna. Nasze stare okno. W naszym mieszkaniu. Lepka podłoga w kuchni i nasiąknięty wodą blat z laminatu. Ja i Libby siedzimy na nim, mama się o niego opiera. Pudełko lodów truskawkowych i trzy łyżeczki. Scenka razi mnie niczym przerażające ujęcie z horroru. Jakbym po wyjściu z za rogu napotkała od razu krawędź klifu.

Zaciskam palce na dłoni Shepherdą i pozwalam mu przyciągnąć się bliżej. Serce mi wali. Wracam do jego pytania i dukam:

– Zdecydowanie zacznę się łamać.

Jeśli zauważył zmianę we mnie, nie daje tego po sobie poznać. Uśmiecha się słodko i zakłada mi kosmyk włosów za ucho. To jest to, uzmysławiam sobie. Za chwilę pocałuję miłego przystojnego mężczyznę na spontanicznej randce w obcym miejscu.

Shepherd pochyla głowę. Jego czoło zbliża się do mojego.

I wtedy dzwoni mój telefon w torebce.

Natychmiast staje mi przed oczami inne okno. W innym mieszkaniu. Moim.

Miękka kwiecista kanapa, niekończące się rzędy książek, moja ulubiona świeca Jo Malone paląca się na półce nad kominkiem. Ja na kanapie w starym szlafroku, z maską na twarzy i z nowym tekstem, a w drugim końcu kanapy mężczyzna ze ściągniętymi brwiami, zaciśniętymi ustami i książką w ręku.

Charlie działa na mój umysł jak musujący alka-seltzer.

Odwracam głowę. Shepherd nieruchomieje, jego usta zatrzymują się jakieś dwa centymetry od mojego policzka.

– Muszę wracać do siostry! – wykrzykuję sześćdziesiąt razy głośniej, niż powinnam. Nie zamierzałam tego powiedzieć. Ale też nie mogę tego kontynuować. W głowie mam mętlik.

Shepherd się odsuwa, trochę zdziwiony, i uśmiecha pogodnie.

– Jeśli będziesz potrzebowała przewodnika wycieczki... – Sięga do kieszeni koszuli i wyjmuje z niej skrawek papieru oraz długopis Bica. Pisze na kartce położonej na dłoni. – Nie wahaj się. – Wręcza

mi numer, a po chwili dodaje: – Albo nawet jeśli nie będziesz potrzebowała przewodnika.

– Tak – bąkam. – Zadzwoń do ciebie.

Gdy już określe, co się dzieje w mojej głowie.

* * *

Charlie podsuwa mi kawę na ladzie.

– Idealnie o czasie – mówi. – Domyślam się, że Shepherd nie zdjął z ciebie uroku kobiety z city.

Z jakiegoś powodu świadomość, że widział mnie wczoraj wsiadającą do furgonetki, jest dla mnie bolesna. Jakby dowodziła, że celowo niepokoił mnie w myślach.

Wkładam okulary na czubek głowy i zatrzymuję się przy biurku.

– Spędziliśmy bardzo miło czas. Dziękuję, że pytasz.

Jestem wściekła. Na niego. I na siebie. Ogólnie jestem irracjonalnie wściekła.

Mięśnie szczęki Charliego drgają.

– Dokąd cię zabrał? Do Creamy Whip w sąsiednim mieście? Czy na parking przed Walmartem, żebyście pooglądali gwiazdy z paki?

– Uważaj, Charlie – ostrzegam. – To trąci zazdrością.

– Ulżyło mi. Spodziewałem się, że przyjdiesz tu dzisiaj w skąpych dżinsowych szortach, z warkoczycami i może nawet fordem wytatuowanym na łądźwiach.

Opieram przedramiona na biurku i pochylam się do przodu. Równie dobrze mogłabym mu podać widok na mój dekolt na srebrnym półmisku. Brak snu naprawdę daje mi się we znaki. Czuję się nękana przez niego i postanawiam, że ja też będę go nękać.

– Wyglądałabym – ściszam głos – rozkosznie w takich szortach i z warkoczycami.

Gwałtownie przenosi spojrzenie na moją twarz; jego wydęte usta drgają w uśmiechu. Połączenie niezawodne, jak grzmot i błyskawica.

– Nie użyłbym tego słowa.

Przysuwam się bliżej.

– Czarująco?

Nie odrywa wzroku od mojej twarzy.

– Też nie.

– Słodko?

– Nie.

– Urodziwie? – zgaduję.

– Urodziwie? W jakich ty czasach żyjesz, Stephens?

– Jak dziewczyna z sąsiedztwa? – odparowuję.

Prycha.

– Czyjego?

Prostuję się.

– W końcu się domyślę.

– Wątpię – mamrocze pod nosem.

Zadowolenia z siebie wystarczy mi na tyle, żebym usiadła w kawiarni i wyjęła listę spraw na dzisiaj. Nie dokończyłam wczoraj składania kilku propozycji, muszę wysłać zapytanie o spóźnione wypłaty i uzupełnić listy zgłoszeń przed końcem sezonu ogórkowego.

Po raz kolejny praca wymaga ode mnie pełnej uwagi i znowu nie mogę się skupić w wystarczającym stopniu. Wczorajsza kolacja z Libby wraca do mnie co chwilę jak bumerang. Moja siostra była wymijająco gadatliwa, nie pokazywała po sobie, że cokolwiek jest nie tak, do czasu, aż ją spytałam o jej tajemnicze sprawy. Wtedy jej energia opadła, a wzrok stwardniał.

– Czy dorosła kobieta nie może mieć czasu tylko dla siebie? – powiedziała. – Uważam, że zasłużyłam na odrobinę prywatności.

I to wszystko. Odsunęliśmy tę niezręczność na bok, lecz już do końca wieczoru dystans powracał do jej spojrzenia. Tajemnica tkwiła między nami jak szklana ściana albo blok lodu, niby niewidoczna, ale wyraźnie namacalna.

Otwieram dokument Dusty i wyobrażam sobie siebie w łodzi podwodnej. Zanurzam się w tekście, tłumię otaczający mnie świat. Nigdy nie wymagało to ode mnie wysiłku – właśnie dlatego zakochałam się w czytaniu: to przychodzące natychmiast uczucie odpływania, oderwanie od realnych problemów, umieszczenie wszelkich trosk po drugiej stronie metafizycznej powierzchni.

Ale dzisiaj jest inaczej.

Zegar z przodu sklepu wybija godzinę i znajomy kobiecy głos wita Charliego. Odpowiada serdecznie, a ona śmieje się seksownie. Nie słyszę wyraźnie wszystkich słów, ale co kilka zdań rozlega się taki sam chropawy dźwięk.

Uświadamiam sobie, że to Amaya, kiedy słyszę coś w rodzaju:

– Piątek nadal aktualny?

– Jak najbardziej mi pasuje – mówi Charlie.

„Mnie nie pasuje ani trochę” – kwituje mój mózg.

„Zamknij się i zajmij swoimi sprawami. On nie powinien zajmować żadnej twojej mentalnej przestrzeni” – mówi anioł kariery siedzący na moim ramieniu.

Wkładam słuchawki i włączam odgłosy miasta, ale nawet melodyjne tony przeklinających się nawzajem nowojorskich taksówkarzy nie działają na mnie kojąco.

Charlie powiedział, że Amaya nie czuje się porzucona, co prawdopodobnie oznacza, że to ona z nim zerwała. Nie chcę podążać za tą myślą ku jej logicznej konkluzji, niemniej mój umysł pędzi niekontrolowanie, mijając kolejne stacje z niesłabnącą prędkością.

Charlie nie chciał końca tego związku.

Amaya żałuje teraz swojej decyzji.

Sytuacja Charliego jest skomplikowana. Cokolwiek się dzieje między mną a nim, „nie może być niczym istotnym”.

Charlie zostawia otwarte drzwi dla swojej byłej.

Amaya właśnie się z nim umówiła.

Owszem, jest to tylko jedna z możliwości, ale tak działa mój mózg: spiskuje.

I dlatego zakochywanie się jest okropne. Od poczucia, że życie jest płaską ścieżką, po której się wędruje, przechodzi się do spędzania każdej sekundy na wznoszeniu się albo spadaniu z poczuciem nieważkości i żołądkiem podchodzącym do gardła. To mama, która biegnie do taksówki, z ułożonymi włosami i umalowanymi uśmiechniętymi ustami, a potem wraca do domu z policzkami umazanymi tuszem. Wzloty i upadki, nic pomiędzy.

Kiedy Libby wreszcie się pojawia, jestem jej wdzięczna za związane z punktem dwunastym zadania. Nawet jeśli wszystkie wiążą się z odkurzaniem/szorowaniem/ustawianiem.

Charlie przez większość czasu siedzi w biurze, a gdy wychodzi pomóc klientom, unikam patrzenia na niego. Mimo to jakoś zawsze się orientuję, gdzie on jest.

Po przerwie na lunch moja siostra wykłada na ladzie karty „Miłośnicy książek polecają”, żeby klienci mogli je wypełnić. Stawia tam również ozdobione techniką decoupage pudełko po butach, do którego można wrzucać wypełnione formularze. Wręcza mi trzy, żebym „wypełniła je dla zachęty”, więc chodzę po sklepie w poszukiwaniu inspiracji. Widzę książkę January Andrews, którą kupiłam w pierwszy weekend tutaj, tę, którą Charlie redagował, o czym poinformowała mnie Sally. Kładę kartę na półce, żeby napisać kilka zdań. Potem wybieram romans Alyssy Cole pożyczony mi przez Libby w ubiegłym roku; popełniłam błąd i otworzyłam wtedy plik z tekstem na komórce, po czym pochłonęłam w dwie i pół godziny, stojąc oparta o lodówkę.

Potem zaglądam do sali z literaturą dziecięcą i prostując się za wejściem, staję nos w nos z Charliem.

Magnesy, myślę.

Chwyta mnie za łokcie i przytrzymuje, żebyśmy się nie zderzyli, lecz sądząc po fali gorąca, jaka we mnie wzbiera, można by pomyśleć, że przywarliśmy do siebie na całej długości od ust po uda.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś – rzucam pospiesznie. Ogromny postęp w porównaniu z LWEM!

W jego oczach koloru karmelu widzę iskrę w momencie, gdy do głowy przychodzi mu właściwa odpowiedź. I czuję wielkie rozczarowanie, kiedy postanawia powiedzieć zamiast tego:

– Inwentaryzacja. – Następnie puszcza mnie i sięga po leżącą na półce podkładkę pod dokumenty. Dzieli nas całe dziewięć centymetrów odległości. Wyładowanie elektryczne krąży w moich żyłach. – Pozwolę ci wrócić do...

Żadne z nas ani drgnie.

– A więc ty i Amaya się spotykacie. Nie podsłuchiwałam – dodaję niemal mimochodem. – Po prostu jest tu cicho.

Jego brwi drgają.

– Nie podsłuchujesz – droczy się ze mną. – Nie śledzisz mnie. Dostrzegam w tym pewien wzorzec.

– Nie jesteś zazdrosny – rzucam mu wyzwanie, zbliżając się o krok. – Nie jestem urocza.

Jego wzrok przesuwają się na moje usta i lekko rozmywa, zanim Charlie go podnosi.

– Noro... – mruczy ciężkim głosem, jakby przepraszał lub błagał bez przekonania.

Gardło mi się zaciska, kiedy stykamy się brzuchami. Wszystkie zakończenia nerwowe trwają w stanie podwyższonej gotowości.

– Hm?

Kładzie mi ręce na ramionach, lekko, ostrożnie.

A potem, cicho, unikając mojego spojrzenia, mówi:

– Muszę iść.

Omija mnie i wychodzi z pomieszczenia.

* * *

W piątek kolejna część *Lodowatej* trafia do naszych skrzynek. Przez pierwszych kilka godzin czytam strony kilkakrotnie, zbieram przemyślenia w formie dokumentu i opieram się pokusie korespondowania z Charliem siedzącym w sali obok. Libby jest obecna od pory lunchu do mniej więcej piętnastej, bo wtedy wychodzi, przypominając mi, że przygotowała dla mnie kolejną niespodziankę.

Usiłuję przekonać samą siebie, że to z tym miało związek jej zniknięcie poprzedniego dnia, lecz nie mogę uciec od myśli, że dotyczyło to raczej Brendana. Sugerowałam kilkakrotnie, żebyśmy zadzwoniły do niego na wideo, ale Libby zawsze znajdowała jakąś wymówkę.

O siedemnastej pakuję się i wychodzę na spotkanie z nią. Charliego znowu nie ma za ladą i teraz czuję nie tylko irytację i frustrację, ale również smutek.

Tęsknię za nim i zmęczyło mnie już to ukrywanie się przed sobą nawzajem.

Biorę się w garść i zaglądam do biura.

Charlie podnosi wzrok, zaskoczony. Czytał, oparty o masywne mahoniowe biurko stojące po prawej stronie. Jego oczy, postawa, wszystko kojarzy mi się z dzikim kotem. Gdyby za sprawą jakiejś dziwnej pradawnej klątwy jaguar przemienił się w człowieka, byłby Charliem Lastrą. Po trwającym kilka sekund pojedynku na spojrzenia Charlie pyta:

– Potrzebujesz czegoś?

Rok temu pomyślałabym, że jest arogancki. Teraz wiem, że od razu przechodzi do rzeczy.

– Powinniśmy się umówić na obgadanie kolejnych stu stron.

Świdruje mnie wzrokiem, aż skóra zaczyna mi dymić. Jestem mrówką pod zbierającą promienie słoneczne lupą. Wreszcie odwraca spojrzenie.

– Możemy to zrobić drogą mejlową. Wiem, że Libby nie daje ci wytchnienia.

– Musimy osobiście.

Nie zniosę dłużej tego napięcia między nami. Unikanie go tylko pogarsza sprawę, a ja nienawidzę się chować. W przypadku Libby dotarcie do sedna może być jak powolny ostrożny bieg przez przeszkody, ale to jest Charlie, a Charlie jest jak ja. Musimy staranować to skrępowanie. Brakuje mi go. Jego drwin, wyzwania, rywalizacji z nim, jego troski o moje przesadnie drogie buty, jego zapachu i...

Cholera, nie spodziewałam się, że ta lista będzie taka długa. Wdepnęłam w to głębiej, niż mi się wydawało.

– Chyba że jesteś zbyt zajęty – dodaję szybko.

Po raz pierwszy w tym tygodniu raczy mnie swoim nadąsanym uśmiechem.

– A czym mógłbym być zajęty?

Przychodzi mi do głowy, że przede wszystkim planami związanymi z Amayą. Wyobrażam go sobie, jak bierze ją na ręce przed kałużą, by ratować jej buty, otwiera nad nią parasol, by chronić jej wymodelowane włosy...

– Może wielkim otwarciem Dunkin' Donuts – odpowiadam. – Albo rozwodem tej pary, która tak się kłóciła w ratuszu.

– Nigdy się nie rozstaną – stwierdza poważnie Charlie. – To zwyczajowa gra wstępna Cassidich. Gra wstępna. Nie wybrałabym tego słowa w tej rozmowie.

– Czy jutro ci odpowiada? – pytam. – Przed południem?

Przygląda mi się.

– Zarezerwuję nam pokój. – Na widok mojej miny parska śmiechem. – W bibliotece, Stephens. Pokój do nauki. Przestań myśleć o sprośnościach.

Wierz mi, próbowałam.

Libby ciągnie mnie z taksówki Hardy’ego, ustawia i woła:

– Tadam!

Ściągam apaszkę, którą przewięzała mi oczy, i mrugam, rażona różem i oranżami zmierzchu.

Stoję przed wejściem do szkoły podstawowej.

DZISIAJ O 19:00

AMATORSKI TEATR SUNSHINE FALLS

PREZENTUJE:

RAZ W ŻYCIU

– O. Mój. Boże – mówię.

Libby wydaje z siebie pisk ekscytacji.

– Widzisz? Lokalny teatr! Znajdziesz tu wszystko, co w Nowym Jorku!

– To jest... wielki postęp.

Libby chichocze i bierze mnie pod rękę.

– Chodź. Miejsca są nienumerowane. Chcę kupić popcorn i zająć dobrą miejscówkę.

Nie jestem pewna, czy jakakolwiek miejscówka może być dobra wśród rzędów składanych krzeseł na szkolnej sali gimnastycznej. Scena jest wyżej, co znaczy, że będziemy wyciągać szyje przez cały spektakl, ale gdy tylko światła przygasają, staje się jasne, że miejsca to najmniejszy z problemów tej produkcji.

– O Boże... – Libby chwyta mnie za rękę, kiedy aktor, szurając nogami, wychodzi przed wymalowany front apteki. Zbliża się do lady i tęsknie patrzy na oprawiony w ramy obraz.

– Nie... – szepczę.

– Tak! – syczy Libby.

Starego Whittakera gra dziecko.

– A co z uzależnieniem od narkotyków? – cedzi moja siostra.

– I z przedawkowaniem? – dodaję.

– Przecież on nie ma nawet trzynastu lat.

– Ma głos dziesięcioletniego chórzysty! – Mimowolnie podnoszę głos.

Ktoś obok nas chrząka karcąco, więc Libby i ja pokornie kulimy się na krzesłach. Przynajmniej do momentu, kiedy pani Wilder – właścicielka wypożyczalni książek – wychodzi na scenę i muszę zdusić śmiech udawanym kaszlem.

Libby świszczuje obok mnie.

– O Boże, o Boże, o Boże... – Nie patrzy na scenę, tylko gapi się na swoje stopy i usiłuje nie eksplodować.

Szepczę jej prosto do ucha:

– Jak ci się zdaje, ile wynosi różnica wieku między tymi aktorami? Sześćdziesiąt osiem lat?

Chrząka, żeby jakoś zapanować nad wesołością.

Kobieta grająca panią Wilder mogłaby być babką starego Whittakera. Kto wie, może nawet nią jest.

– Może Delilah Tyler będzie grała rottweilerka należąca do tej rodziny – bąkam.

Libby pochyła się do przodu i zasłania twarz. Jej ramiona podskakują w niemym śmiechu.

Kolejne znaczące spojrzenie kobiety siedzącej na prawo od nas.

– Przepraszam – mówię bezgłośnie. – Alergia.

Przewraca oczami.

– O-o, mamusia Whittakera jest zła – szepczę do ucha siostry.

Libby wgryza mi się w ramię, jakby starała się nie krzyknąć. Tymczasem stary chłopiec Whittaker łapie się za plecy i skrzywiony z bólu cedzi słowo na „K”.

Libby ściska moją dłoń tak mocno, że prawie ją łamie.

– Widać wyraźnie – duka szeptem – że mały brodaty dzieciak jeszcze nie doświadczył fizycznego cierpienia.

– Temu chłopcu nie zstąpiły jeszcze jądra – odpowiadam.

Jakby dla obalenia tego twierdzenia w kolejnej kwestii głos chłopaka wznosi się gwałtownie i przechodzi w pisk, przez który Libby zaciska powieki i krzyżuje nogi.

– Posiusiam się!

Wpatrujemy się w swoje stopy, co kilka minut trzęsąc się ze śmiechu. Od lat się tak nie ubawiłam.

Bez względu na to, co się dzieje z Brendanem, mieszkaniem i moją siostrą, w tym momencie jesteśmy razem tak, jak nie byliśmy od dawna.

* * *

Gdy przedstawienie się kończy, sprintem wybiegamy ze szkoły. Za chwilę wybuchniemy obłąkańczym śmiechem i wołałybyśmy zrobić to na osobności. W połowie drogi do wyjścia zatrzymuje nas wesoły głos:

– Nora! Libby?

W naszą stronę zmierza Sally Goode – obok zwałistego blondyna na wózku inwalidzkim.

Jej uśmiech z dołeczkami kojarzy się z Charliem; chmura jaśminu i marihuany, która ją otacza, już mniej. Aż trudno sobie wyobrazić, że poukładanego kanciastego Charliego wychowała ta wyluzowana leśna chudzina.

– Fajnie cię tu spotkać! – woła śpiewnie Libby.

– No wiesz, to małe miasteczko – odpowiada Sally. – Chyba nie poznałyście jeszcze mojego męża?

– Clint – odzywa się mężczyzna. – Miło mi was poznać.

– Mnie również – mówimy z Libby równocześnie.

– Co myślicie o sztuce? – pyta Clint.

Spanikowane wymieniamy spojrzenia.

– Och, nie zmuszaj ich do odpowiedzi. – Sally klepie go w ramię z uśmiechem. – Przynajmniej nie przed spotkaniem w salonie. Musicie przyjść. Zawsze zapraszamy przyjaciół na drinka i ciasto po przedstawieniu.

– To jest regularne wydarzenie? – Moja siostra prawie się dławi słowami. Nadal jesteśmy zbyt ubawione, żeby prowadzić tę rozmowę.

– Wystawiają cztery razy w roku – informuje Sally.

Clint unosi brwi.

– Tylko? Wydawało mi się, że częściej.

Libby tłumi śmiech, ale mimo to z jej gardła wydobywa się pisk.

– Proszę, powiedzcie, że przyjdziecie – błaga Sally.

– Nie chcemy się narzucać... – zaczynam.

– Bzdura! – woła. – W Sunshine Falls coś takiego jak narzucanie się nie istnieje. A może nie oglądałyście tej samej sztuki co my?

– Jak najbardziej oglądałyśmy – bełkocze Libby.

Sally podaje mężowi swoją torebkę i szpera w niej w poszukiwaniu kartki i długopisu. Następnie zapisuje adres.

– Mieszkamy po drugiej stronie lasu. Możecie do nas dojść ścieżką ze swojego domu. – Wręcza kartkę Libby. – Ale dochodzi do nas droga, jeśli nie macie ochoty spacerować po nocy.

Nawet nie czeka na odpowiedź. Oddalają się, a tłumek za nami sunie powoli.

– Boris wypadł świetnie – mówi jakiś starszy dżentelmen. – A ma zaledwie jedenaście lat!

Libby ściska mnie za rękę i ruszamy chodnikiem, chichocząc jak nastolatki na haju po mountain

dew.

* * *

Dom Lastry-Goode stoi przy końcu długiej drogi wysadzonej dojrzałymi dębami. Jest na tyle oddalony od miasta, że w zasadzie żadne światło nie przeszkadza w podziwianiu połyskliwego nocnego nieba nad nami ani masy świetlików mrugających wśród krzewów.

Dwupiętrowy budynek w stylu kolonialnym został obłożony białym sidingiem i ma świeżo pomalowane na czarno okiennice. Na rozległym podjeździe stoi około dziesięciu samochodów, a za nimi parkują kolejne, kiedy Hardy się zatrzymuje, by nas wypuścić.

Gdy zbliżamy się do drzwi wejściowych, Libby spogląda na fasadę i stwierdza z rozmarzeniem:

– Zapłaciłabym milion dolarów, żeby być tu w Boże Narodzenie.

– To tłumaczy, dlaczego Brendan zajmuje się waszym budżetem.

Dłoń Libby shtywnieje w mojej. Zerkam na siostrę. Odrobinę pobladła. Nie umiem stwierdzić, czy to stres, mdłości, czy jedno i drugie. W każdym razie węzeł przerażenia pulsuje mocno w mojej klatce piersiowej, przypominając, że nawet w czasie tych godzin, gdy się kurczy, nie znika zupełnie.

Szturcham ją w ramię.

– Wszystko w porządku, Lib?

Jej zaskoczenie przechodzi w neutralność.

– Oczywiście. Dlaczego miałyby nie być?

– Chodzi mi tylko o to, że jeśli czegokolwiek potrzebujesz, wiesz, że zawsze...

– Witajcie! – woła Sally, otwierając drzwi. – Wchodźcie, wchodźcie! – Prowadzi nas przez pachnący jaśminem przedpokój w kierunku gromkich salw śmiechu i pomruku rozmów w głębi domu.

– Tak dla waszej wiadomości: zwykle udajemy, że wszystko było dobrze.

– Słucham? – odzywam się.

Uśmiech pogłębia jej kurze łapki. Wygląda w każdym calu na sześćdziesięciolatkę w ten swój uderzający, leśny, spalony słońcem sposób.

– Mówię o sztuce – wyjaśnia. – Albo pokazuje ceramiki, targu rękodzieła, czymkolwiek. Udajemy, że to jest dobre. Przynajmniej przez kilka pierwszych kolejek. – Klepie nas po ramionach i się oddala, wołając jeszcze: – Rozgośćcie się!

– Oby wszyscy wypili te kilka kolejek naprawdę szybko – stwierdza Libby.

– Co do tego, co mówiłam na zewnątrz, Lib...

Ścisną mnie za ramiona.

– Nic mi nie jest, Noro. Trochę świruję, bo mam zespół niespokojnych nóg, który przeszkadza mi spać. Przystań się trapić i... po prostu ciesz się naszymi wakacjami, okej?

Im bardziej się upiera, że wszystko jest w porządku, tym większej pewności nabieram, że nie jest. Ale jak to bywa od lat, zamyka się w sobie, widząc pierwsze oznaki troski.

Tak to już jest. Libby nigdy nie prosi o pomoc, więc muszę się domyślać, czego potrzebuje i jak jej to dać w taki sposób, by mogła to zaakceptować. Nawet w przypadku jej sukni ślubnej musiałam udawać, że wytropiłam wyprzedaż modeli pokazowych i nabyłam uszkodzony egzemplarz ze zniżką, podczas gdy tak naprawdę zapłaciłam za nią kartą i osobiście umazałam gorset od środka korektorem pod oczy.

W tym przypadku nawet nie wiem, od czego zacząć.

O Boże!

Nagła przerażająca jasność uderza we mnie jak worek z piaskiem ciśnięty w brzuch. Lista. Cały ten hołd dla prawie przyszłości Libby: budowanie, pieczenie, księgarnia... marketing.

Czy to jest jakaś wycieczka do świata kariery zawodowej? A może sposób, by udowodnić, że zdoła się utrzymać samodzielnie, jeśliby musiała? Trzy tygodnie bez męża. Powinnam była się domyślić, że to dziwne. Zwłaszcza w świetle jej nietypowego zachowania. Do tego w szóstym miesiącu ciąży.

Ona kocha Brendana, przypominam sobie. Nawet jeśli coś się między nimi dzieje, jeśli się zmagają ze stresem związanym z pojawieniem się kolejnego dziecka, to jedno na pewno się nie zmieniło.

Robi mi się za ciasno w ubraniu, za gorąco. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, na czym

mogłabym się skupić, co pomogłoby mi się ukorzyć. Moje spojrzenie pada na Clintę stojącego o lasce w zatłoczonej kuchni, a potem na równie wysokiego, choć o wiele młodszego i bardziej muskularnego mężczyznę obok niego.

– O rajusiuuu... – rzuca Libby, która dostrzega Shepherdę w tym samym momencie co ja.

Jego zielone oczy patrzą w moje, mówi coś cicho do Clintę, po czym zostawia go i rusza w naszą stronę.

– O mój Boże – odzywa się ponownie Libby. – Czy ten archanioł idzie do nas?

– Shepherd – mówię rozkojarzona.

– Jest pasterzem?

– Nie, on ma tak na imię...

– Ooooh! Ten Shepherd. – Spływa na nią olśnienie w chwili, kiedy on staje przed nami.

– Widzisz – mówi Shepherd z promiennym uśmiechem. – Właśnie dlatego trzeba kochać małe miasteczka.

– Nie widziałem cię na przedstawieniu. Pewnie wyszłaś wcześniej.

Libby posyła mi spojrzenie mówiące: „Zapomniałaś wspomnieć, że byłaś na randce z adoniszem?”.

– Siostra musiała skorzystać z toalety – odpowiadam, przez co robi jeszcze bardziej nadąsaną minę. – To jest Libby. Libby, Shepherd.

– Wow – mówi tylko Libby.

– Miło mi cię poznać.

Podają sobie ręce.

– Mocny uścisk. To dobra cecha u mężczyzny, prawda, Noro? – Patrzy na mnie znacząco, jakby starała się równocześnie być moją protektorką i mnie zawstydzić.

– W filmach z Jamesem Bondem zdaje się przydatny – przyznaję. Shepherd uśmiecha się uprzejmie. Wszyscy milczymy. Chrząkam. – Bo ze wszystkich ludzi wiszących na budynkach...

– Rozumiem – potakuje Shepherd.

Przejściowy obłęd lub czar tamtego wieczoru przysł. Nie mam pojęcia, jak rozmawiać z tym człowiekiem.

– Przynieść wam coś do picia? – proponuje. – Piwo? Wodę mineralną?

– Napiję się wina – mówię.

Libby uśmiecha się szeroko.

– Przeklęty pęcherz! Znowu muszę iść do toalety.

Shepherd wskazuje w stronę przedpokoju.

– Jest tam.

– Wracam za chwilę – obiecuje Libby, ale kiedy Shepherd się odwraca, żeby nalać mi wino z butelki stojącej na blacie, bezgłośnie rzuca: – Wcale nie.

Shepherd podaje mi kieliszek, a ja ruchem brody wskazuję – w przybliżeniu – czternaście tysięcy butelek wina ustawionych na wyspie.

– Chyba naprawdę chcecie zapomnieć tę sztukę.

Śmieje się.

– Jak to?

Piję duży łyk.

– Żartowałam. Tyle tu wina.

Drapie się w tył głowy.

– Moja ciotka prowadzi nieformalną wymianę win. Każdy przynosi jedno, a ona przykleja na dnie butelek numerki. Na koniec wystawia na loterii wszystko, co nie zostanie wypite.

– Podoba mi się ta ciotka – stwierdzam. – Jest tutaj?

– Jasne. Nie opuściłaby własnej imprezy.

Muszę zakasłać, bo prawie wciągam wino do płuc.

– Sally? Sally jest twoją ciotką? Charlie Lastra to twój kuzyn?

– Wiem. – Chichocze. – Stanowimy swoje dokładne przeciwieństwo. Co zabawne, w dzieciństwie byliśmy zżyci. Nasze drogi się rozeszły z biegiem lat, ale on wydaje się gorszy, niż jest w rzeczywistości. Pod tą powłoką kryje się dobry facet.

Muszę albo zmienić temat, albo znaleźć kanapę, na którą mogę paść zemdlona.

– Tak na marginesie, daję słowo, że zamierzałam zadzwonić.

– Nie ma sprawy – odpowiada ze wstydliwym dołeczkiem w policzku. – Kręcę się tu.

– Twoja rodzina prowadzi hodowlę koni?

– Stajnie – poprawia mnie.

– No tak. – Nie mam pojęcia, na czym polega różnica.

– Należą do rodziców. Kiedy ja i wuj nie mamy dużo pracy w budowlance, pomagam im czasami.

Wuj. Budowlanka. On pracuje z tatą Charliego.

Dzwoni jego telefon. Shepherd wzdycha i czyta tekst na wyświetlaczu.

– Nie zdawałem sobie sprawy, jak jest późno. Muszę już iść.

– Och – mówię na to, nadal na fali urywanego dialogu.

– Hej! – rzuca, rozpromieniwszy się. – Mam nadzieję, że nie wyda się to zbyt namolne, i zrozumiem, jeśli nie będziesz zainteresowana, ale jeżeli chciałabyś się wybrać na przejażdżkę konno w terenie, chętnie cię zabiorę.

Jego ciepły, przyjacielski wyraz twarzy jest tak oszałamiający, jak wtedy gdy po raz pierwszy wpadłam na niego przed Mug + Shot. Shepherd, w co wierzę całym sercem, to naprawdę miły człowiek.

– Może – odpowiadam i odnawiam obietnicę, że do niego zadzwonię.

Kiedy jego sosnowo-skórzany zapach się oddala, stoję jak wrośnięta w podłogę, wciąż myśląc o tym, że Shepherd jest kuzynem Charliego. Prawie się całowałam z krewnym Charliego.

To nie powinno mieć znaczenia. A jednak ma. Słyszę słowa Charliego: „nic z tego nie będzie”, lecz nie mogę się wyzbyć wrażenia, że jest wręcz przeciwnie.

Robi mi się trochę niedobrze. Libby jeszcze nie wróciła, a ja jestem zbyt zatopiona w myślach, żeby móc się angażować w grzecznościowe rozmowy z obcymi. Unikając jakichkolwiek prób nawiązania ze mną kontaktu wzrokowego, przeciskam się przez tłum w najodleglejszy zakątek salonu.

Na ścianie wisi tryptyk składający się z dużych obrazów. Malowidła we wszelkich możliwych kolorystykach i rozmiarach pokrywają zresztą wszystkie ściany, nadając domowi przytulny eklektyczny charakter kontrastujący ze staromodną elewacją.

Na tryptyk składają się akty, chociaż abstrakcyjne, namalowane w różach, odcieniach écru i brązach, z fioletowym cieniem podkreślającym krągłości. Kojarzą mi się z wycinankami Matisse'a, ale o ile jego prace odbieram jako romantyczne, wręcz erotyczne – pełne artyzmu wypukłości, pulchne splecione jak precle nogi – o tyle te kojarzą mi się z bezbronnością, kiedy ktoś chodzi po mieszkaniu goły i szuka szczotki do włosów.

Zapach trawki dociera do mnie, zanim słyszę głos, niemniej i tak podskakuję na dźwięk pytania Sally:

– Jesteś artystką?

– Zdecydowanie nie. Ale doceniam sztukę.

Unosi butelkę wina jakby pytająco.

Potakuję, więc uzupełnia mój kieliszek.

– Kto je namalował? – pytam.

Sally rozciąga usta w uśmiechu uwypuklającym policzki.

– Ja. W innym życiu.

– Są fenomenalne.

Teoretycznie nie wiem o sztuce prawie nic, ale te obrazy są piękne, kojące w swych kolorach ziemi i naturalnych kształtach. Zdecydowanie nie zaliczają się do sztuki, którą kwitowałoby się stwierdzeniem „Mogłaby to namalować moja czteroletnia siostrzenica”.

– Nie mogę uwierzyć, że to ty jesteś ich autorką. – Kręcę głową. – Dziwnie się czuję, widząc coś takiego i uświadamiając sobie, że stworzyła to normalna osoba. Nie żebyś była normalna!

– Och, kochana! – woła ze śmiechem. – Istnieją gorsze rzeczy niż normalność. Normalność to etykieta, którą noszę z dumą.

– Mogłaś być sławna – zauważam. – Te dzieła są naprawdę dobre.

Przygląda się obrazom.

– Skoro mowa o rzeczach gorszych od normalności.

– Ze sławą wiążą się pieniądze – podsuwam. – A one pomagają.

– Wiąże się z nią też to, że ludzie mówią ci rzeczy, które ich zdaniem chcesz usłyszeć.

– Halo! – Libby staje obok nas. Porusza znacząco brwiami, a ja się cieszę, że Sally tego nie zauważa, bo nie muszę wyjaśniać, że moja siostra chciała w ten sposób zasugerować, że chce, abym przeleciała jej siostrzeńca. A nie jej syna. Co, przyznaję, brałam przez moment pod uwagę.

– To dzieła Sally – informuję.

Libby szuka u niej potwierdzenia.

– No co ty!

Sally się śmieje.

– Są bardzo... profesjonalne – stwierdza siostra. – Próbowałaś kiedyś je sprzedawać?

– Owszem. – Sally wydaje się nieszczególnie zadowolona, wspominając o tym.

– Ho, ho – mówi Libby. – Wyczuwam ciekawą historię. No dalej, Sal! Wyrzuć to z siebie.

– To nic ciekawego.

– Masz szczęście, bo właśnie oglądałyśmy sztukę, która znacząco zaniżyła nasze standardy – uspokajam ją.

Sally prychnie i klepie mnie po ramieniu.

– Uważaj, żeby nie usłyszała cię wielbna Monica. Stary Whittaker to jej wnuk.

– Mam nadzieję, że będzie pozował do pomnika, który ma stanąć na placu – rzucam.

– Jak dla mnie postać na pomniku może być nawet podobna do mojego listonosza Dereka – stwierdza Sally. – Liczy się tablica z napisem „Whittaker”. Potrzebujemy całej tej otoczki marketingowej.

– To jak było z tymi obrazami? – wtrąca Libby.

Sally wzdycha.

– Cóż, w młodości chciałam zostać malarką. Dlatego gdy miałam osiemnaście lat, udałam się do Florencji na kilka tygodni, które przerodziły się w miesiące. Clint i ja rozstaliśmy się, rzecz jasna. Po roku wróciłam do Stanów, żeby zaistnieć na scenie artystycznej Nowego Jorku.

– Nie gadaj! – Libby delikatnie szturcha Sally w ramię. – A gdzie mieszkałaś?

– W Alphabet City. Dawno, dawno temu. Przez jedenaście lat żyły sobie wypruwałam. Sprzedałam kilka obrazów, bezustannie zabiegałam o udział w wystawach. Pracowałam dla trzech lub czterech malarzy i każdego wieczoru starałam się wyrabiać kontakty z galeriami. Dosłownie się zaharowywałam. Wreszcie po ośmiu latach wzięłam udział w wystawie grupowej. I wtedy to się dzieje. Pewien gość wchodzi, wybiera mój obraz i go kupuje. Okazuje się, że to znany kustosz. Robię karierę w ciągu jednego wieczoru.

– Spełnienie marzeń! – piszczy Libby.

– Ja też tak myślałam. Lecz dość szybko pojęłam, jaka jest prawda.

– Twoją prawdziwą miłością był Clint?

– To wszystko było grą. Moje obrazy się nie zmieniły, ale nagle chciały mnie te wszystkie miejsca, które wcześniej mnie odrzucały. Ludzie, którzy nawet nie spoglądali w moją stronę, teraz się za mną uganiają. Moja praca nie miała znaczenia. Stała się symbolem statusu, ni mniej, ni więcej.

– Albo – przerywam jej – byłaś wyjątkowo utalentowana i trzeba było jednego człowieka z dobrym gustem, żeby to powiedział, a masy to pochwyciły.

– Może – przystaje Sally. – Tyle że byłam już wtedy zmęczona. I tęskniłam za domem. Do tego najczęściej byłam głodna i splukana, a kustosz zainteresował się mną wtedy, gdy czułam się na tyle samotna, że poszłam z nim do łóżka. Rozstaliśmy się krótko po śmierci mojego ojca. Wróciłam do domu, żeby być z matką. I kiedy tu byłam, poprosiła Clinta, żeby wyczyścił u nas rynny.

– Życie bywa przewrotne.

– I wtedy zrozumiałaś, że jest twoją prawdziwą miłością? – dopytuje Libby.

Sally się uśmiecha.

– Tak. On był wówczas zaręczony, ale to nie przeszkodziło matce w knowaniach. Jak mantrę powtarzała: „Nic nie jest przesądzone, dopóki nie staną przed ołtarzem”. Dzięki Bogu miała rację. Bo kiedy zobaczyłam Clinta po latach, zrozumiałam, że popełniłam wielki błąd. Trzy tygodnie później był już zaręczony ze mną.

– Jakie to romantyczne – wzdycha Libby.

– Nie brakowało ci tego? – pytam.

– Czego? – Sally wyraźnie za mną nie nadąża.

– Miasta. Nowojorskich galerii. Tego wszystkiego.

– Szczerze mówiąc, po tylu latach trudu odczułam ogromną ulgę w związku z tym, że tu

wróciłam i... – wzdycha głęboko i unosi ręce na boki. – Osiadłam.

– Żartujesz! – rzuca Libby. – Przeprowadziłyśmy się do miasta, żeby mama mogła spróbować sił w aktorstwie i zostać najbardziej chronicznie wykończoną osobą na świecie.

– Nie przesadzaj. – Owszem, była chuda, ale też pełna życia i ekstatycznie goniła za marzeniami. Libby patrzy na mnie znacząco.

– A pamiętasz, jak zabrakło jej pięciu centów w spożywcaku? Zaraz po przesłuchaniu do *Producentów*? Sprzedawca kazał jej odłożyć limonkę, a ona się załamała.

Coś mnie ścisza za serce. Nie miałam pojęcia, że Libby to pamięta. Miała wówczas sześć lat, a mama chciała upiec jej ukochane ciasteczka kukurydziano-limonkowe. Kiedy mama zaczęła się rozklejać przy kasie, złapałam ową limonkę do ręki, drugą dłoń zacisnęłam na paluszkach Libby i zaciągnęłam ją do stoiska z warzywami i owocami, specjalnie lawirując, żeby dać mamie czas na pozbieranie się. „Gdybyś mogła mieć dowolny smakołyk, z którejkolwiek książki – powiedziałam wtedy do siostry – co byś wybrała?” Wskazała rachatlukum, coś, co jadł Edmund z Narnii. Ja wybrałam bąblizadę z *Wielkomiluda*, bo dzięki niej można trzymelić. Tego wieczoru we trzy oglądałyśmy *Willy’ego Wonkę* i wyjadłyśmy do końca cukierki z Halloween.

To takie radosne wspomnienie, z rodzaju tych, które lśnią. Kolejny dowód, że każdy problem da się rozwiązać dzięki właściwemu planowi.

Pamiętam, że myślałam, że wszystko jest w porządku. O ile jesteśmy razem, o tyle wszystko zawsze jest w porządku.

Byłyśmy szczęśliwe.

No ale Libby nie to mówi teraz Sally.

– Mama była spłukana, zmęczona i samotna. Przedkładała karierę nad absolutnie wszystko i była przez to nieszczęśliwa. Nora jest taka sama. – Konspiracyjnie ścisza głos. – Haruje na zabój. Nie ma czasu na prawdziwe życie. Kiedyś nie poszła z facetem na drugą randkę, bo poprosił ją, żeby na czas kolacji ustawiła w telefonie tryb „nie przeszkadzać”. Praca jest u niej zawsze na pierwszym miejscu. Dlatego ją tu zaciągnęłam. Te wakacje to w zasadzie taka interwencja.

Mówi to niby żartem, ale pod powierzchnią jej słów kryje się coś twardego i ciernistego – uderzają mnie w brzuch niczym pięść. Pomieszczenie zaczyna pulsować i falować. Coś mi wzbiera w gardle, ubranie drapie moją skórę, jakby coś we mnie puchło. Chociaż Libby mówi dalej, jej głos jest zniekształcony.

Zmęczona, samotna, nie ma rzeczywistego życia, pracę zawsze stawia na pierwszym miejscu.

Od kilku tygodni zamartwiam się o to, jak ludzie będą mnie postrzegali, gdy *Lodowata* trafi na półki, ale to Libby jest jedynym człowiekiem, który naprawdę mnie zna. I tak mnie postrzega.

Jak rekina.

Zalewa mnie wstyd, gorący i gwałtowny. Rozpaczliwe pragnienie, by zrzucić własną skórę. Być gdziekolwiek indziej. Być kimś innym.

Zostawiam je i udaję się do toalety, ale jest zamknięta, więc idę zygzakiem w stronę drzwi wejściowych, przed którymi tłoczy się grupka ludzi. Zawracam, ogłuszona.

Chcę być sama. Muszę się znaleźć gdzieś, gdzie wtopię się w tłum, a przynajmniej gdzieś, gdzie nikt się nie zorientuje, co się ze mną dzieje.

Bo właściwie co się ze mną dzieje?

Schody. Idę nimi na piętro. Przy końcu korytarza jest łazienka. Już prawie do niej dochodzę, gdy mój wzrok przyciąga pokój po prawej stronie. Przez uchylone drzwi widać ścianę książek.

Działa na mnie jak latarnia morska na dalekim brzegu. Wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi, które tłumią odgłosy imprezy. Barki lekko mi się rozluźniają, łomoczące serce się uspokaja, kiedy patrzę na wiśniową ramę łóżka w kształcie wyścigówki.

Nie jest to kupne plastikowe szkaradziejstwo, tylko domowej roboty drewniana rama pomalowana z perfekcyjną starannością. Jej widok coś we mnie porusza. Podobnie jak domowej roboty regał na książki ciągnący się wzdłuż ściany w głąbi. Wyczuwam tu mnóstwo uważności, nie tylko w wykonaniu, ale i w organizacji przestrzeni, wpływ Charliego i Clinta jest tak wyraźny jak odciski palców sporządzone tuszem.

Książki zostały skrupulatnie uporządkowane według gatunków i autorów, ale nie wyglądają ładnie. To nie rzędy oprawnych w skórę tomów, tylko wydania w miękkich okładkach z pomarszczonymi grzbietami, brakującymi połówkami okładek, książki z naklejonymi cenami ze sklepów charytatywnych i numerami z katalogów, jeśli kupiono je na wyprzedażach bibliotecznych.

Właśnie takie dawała nam pani Freeman; trzymała je w koszu z książkami na wymianę.

Żartowałyśmy z Libby, że Freeman Books to nasz ojciec. Księgarnia pomagała nas wychować, zapewniała nam poczucie bezpieczeństwa, a także małe prezenty, kiedy akurat miałyśmy gorszy czas.

Codziennie życie było nieprzewidywalne, a księgarnia była czymś stałym. Zimą, gdy w mieszkaniu było za zimno, albo latem, kiedy klimatyzacja nie dawała rady, szłyśmy na dół i czytałyśmy na tapicerowanym siedzisku przy oknie. Niekiedy mama zabierała nas do Muzeum Historii Naturalnej albo do MET, żebyśmy się schłodziły, i brałam ze sobą postrzępiony egzemplarz *From the Mixed-Up Files of Mrs. Basil E. Frankweiler*, myśląc, że gdybyśmy musiały, mogłybyśmy tam mieszkać, jak siostry Kincaid. We trzy dałybyśmy radę. Byłoby fajnie.

Magia. Tamte dni wydawały mi się magiczne. Nie takie, jak przedstawiała je Libby.

Owszem, miałyśmy problemy, ale co z owymi dniami, które przeleżałyśmy na brzuchu na piasku Coney Island, czytając do zachodu słońca? Lub z wieczorami, w czasie których siedziałyśmy ramie w ramie na naszej kanapie, jadłyśmy śmieciowe jedzenie i oglądałyśmy stare filmy?

Co z zapalaniem światełek na choince w Centrum Rockefellera, które oglądałyśmy, ogrzewając dłonie kubkami gorącego kakao?

Życie z mamą, życie w Nowym Jorku, było jak gigantyczna księgarnia – biliony ścieżek i możliwości przyciągały marzycieli do tętniącego serca miasta mówiącego: „Niczego nie obiecuję, ale otwieram wiele drzwi”.

I: „Możesz płasnąć po zalanej światłem reflektorów scenie z najlepszymi, ale możesz też łkać nad zostawioną w sklepie limonką”.

Cztery dni po epizodzie z limonką przyjaciele mamy przyszli do nas z butelką wina musującego Cook's i kopertą z gotówką, którą zebrali, by nas wspomóc.

Tak, Nowy Jork jest wyczerpujący. Żyją tam miliony ludzi, którzy płyną pod prąd – ale robią to razem.

Z tego powodu stawiam karierę na pierwszym miejscu. Nie dlatego, że nie mam życia, lecz ponieważ nie mogę znieść myśli, że życie, jakiego mama chciała dla nas, nam się wymknie. Muszę wiedzieć, że Libby, Brendan, dziewczynki i ja poradzimy sobie bez względu na wszystko, i chcę wykroić kawałek miasta i jego magii tylko dla nas. Tyle że z czasem człowiek sam staje się jak nóż. Zimny, twardy, ostry, przynajmniej na zewnątrz.

W środku czuję się posiniaczona, delikatna.

Zaakceptowanie, że w zasadzie nie znam osoby, którą kocham najbardziej na świecie, to jedno; czym innym jest akceptacja, że ona mnie również nie widzi wyraźnie. Nie ufa mi, nie na tyle, żeby mi powiedzieć, co się dzieje, oprzeć się na mnie lub pozwolić mi się pocieszyć.

Wszystkie te stare uczucia buzuja we mnie, aż nie mogę oddychać, zaczynam się dusić.

– Nora? – Głos jest niski i znajomy.

Do pokoju wpada światło z korytarza.

W progu stoi Charlie, jedyny nieruchomy obiekt w wirującym otoczeniu.

– Nora? – niepewnie powtarza moje imię. – Co się stało?

Odstawia torbę z laptopem na podłogę i podchodzi do mnie.

– Nora? – mówi jeszcze raz.

Nie potrafię wydobyć z siebie dźwięku, więc przyciąga mnie do siebie, podtrzymuje mi brodę i kojąco gładzi skórę kciukiem.

– Co się stało? – mruczy.

Jego dłonie mnie zakotwicniają, pokój nieruchomieje.

– Przepraszam – mówię. – Musiałam...

Próbuje spojrzeć mi w oczy, jego kciuki nadal gładzą mnie w łagodnym rytmie.

– Się zdrzemnąć? – droczy się nieśmiało. – Przeczytać powieść fantasy? Podładować akumulatory?

Blok lodu w mojej klatce piersiowej pęka.

– Jak ty to robisz?

Charlie ściąga brwi.

– Co takiego?

– Mówisz to, co trzeba.

Kącik ust mu podskakuje.

– Nikt tak nie myśli.

– Ja myślę.

Rzęsy kładą mu się wachlarzem na policzkach, gdy spuszcza wzrok.

– Może mówię to, co należy, w twoim przypadku.

– Miałam wrażenie, że się duszę... – Głos mi się łamie przy tym słowie, a on wsuwa mi dłonie we włosy i znowu zagląda w oczy. – Jakby... jakby wszyscy na mnie patrzyli i widzieli, co jest ze mną nie tak. Przywykłam już do tego, że... że jestem niewłaściwą kobietą, ale z Libby zawsze było inaczej. Jest jedynym człowiekiem, przy którym od czasu śmierci mamy czułam się naprawdę sobą. Okazuje się jednak, że Dusty miała co do mnie rację. Taka właśnie jestem, nawet według mojej siostry. Jestem niewłaściwą kobietą.

– Hej. – Odchyła mi głowę, żebym mogła na niego spojrzeć. – Siostra cię kocha.

– Powiedziała, że nie mam życia.

– Noro. – Uśmiecha się ledwo, ledwo. – Żyjesz książkami. To oczywiste, że nie masz swojego życia. Nikt z nas go nie ma. Zawsze jest coś zbyt dobrego do przeczytania.

Parskam słabym śmiechem, lecz rozbawienie jest przelotne.

– Uważa, że przejmuję się wyłącznie pracą. Wszyscy tak myślą. I że nie mam uczuć. Może mają rację. Nie płakałam od dziesięciu lat. To nie jest normalne.

Charlie zastanawia się przez moment. Jego ręce obejmują mnie w talii, palce łączą się na krzyżu. Kontakt z nim bombarduje moje myśli, każe im pierzchać. Ja też go obejmuję, zupełnie bezwiednie, ciepło kumuluje się między nami.

– Wiesz, co myślę? – pyta.

Dotykanie go jest takie przyjemne, takie dziwnie nieskomplikowane, jakby był wyjątkiem od wszelkich reguł.

– Co?

– Uważam, że kochasz swoją pracę – mówi cicho. – Sądzę, że pracujesz tak ciężko, bo przejmujesz się dziesięć razy bardziej od przeciętnego człowieka.

– Pracą – domyślam się.

– Wszystkim. – Obejmuje mnie mocniej. – Siostrą. Swoimi klientkami. Ich książkami. Nie robisz czegoś, jeśli nie możesz tego zrobić na sto procent. Nie zaczynasz rzeczy, których nie możesz dokończyć. Nie kupujesz rowerku stacjonarnego w ramach noworocznego postanowienia, a potem nie wykorzystujesz go w roli wieszaka na płaszcz przez trzy lata. Nie jesteś kobietą, która pracuje ciężko

tylko wtedy, gdy ma na to ochotę, i która się pojawia, gdy jest to dla niej wygodne. Jeżeli ktoś obrazi twoją klientkę, porzucasz swoją delikatność, przez cały czas nosisz własne pióro na wypadek, gdybyś musiała coś napisać. Zaczynasz lekturę książki od ostatniej strony... Nie rób takiej miny, Stephens. – Uśmiecha się kącikiem ust. – Widziałem cię. Nawet kiedy ustawiasz książki na półce, zaglądasz czasami na ostatnią stronę, jakbyś bezustannie szukała informacji i usiłowała podjąć najlepsze decyzje...

– Mówiąc, że mnie widziałeś – wchodzę w mu w słowo – masz na myśli, że mnie obserwujesz?

– Oczywiście, że tak, do cholery – odpowiada niskim, chropawym głosem. – Nie mogę przestać. Zawsze wiem, gdzie jesteś, nawet jeśli nie patrzę, tyle że na ciebie nie sposób nie patrzeć. Chcę widzieć twoją srogą minę, kiedy piszesz do redaktora swojej klientki i jesteś twardzielką, i chcę widzieć twoje nogi, gdy się ekscytujesz czymś, co właśnie przeczytałaś, i nie potrafisz zapanować nad tym, że krzyżujesz je raz po raz. A kiedy się na kogoś wkurzysz, robią ci się czerwone plamy... – muska palcami moją szyję – ...o tutaj.

Sutki stają mi na baczność, uda się zaciskają, skóra wibruje. Jego palce zaciskają się na moich plecach, zbierając materiał, jakby sam siebie przekonywał, że nie może go ze mnie zerwać.

– Jesteś wojowniczką – kontynuuje. – Jeżeli ci na czymś zależy, nie pozwolisz, by ktokolwiek to tknął. Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto by się tak angażował. Wiesz, ile większość ludzi dałaby za to, żeby mieć w życiu kogoś takiego jak ty? – Jego pociemniałe oczy patrzą na mnie badawczo, serce bije mu szybko. – Czy wiesz, jakim cholernym szczęściarzem jest ten, kto jest dla ciebie ważny? Wiesz... – Zagryza wargę, spuszcza wzrok, rozluźnia palce, ale nie cofa ich z moich pleców. – Kiedy Carina i ja byliśmy dziećmi, tata musiał dużo pracować. Nie mieliśmy dużo pieniędzy, potem zmarła babcia i księgarnia zaczęła przynosić straty. Mama nie jest kobietą biznesu. Nie potrafi nawet trzymać się harmonogramu. Spotkania z niektórymi artystami organizowano w połowie tygodnia w Georgii, więc zabierała mnie i Carinę ze szkoły, żeby tam jechać. Bez zapowiedzi. Albo malowanie obrazu pochłaniało ją do tego stopnia, że nie szła do pracy, a nawet zapominała odebrać nas ze szkoły. Carina zawsze była bardziej podobna do rodziców, wyluzowana. Ja byłem lękowym dzieckiem. Może z powodu trudności na początku szkoły, a może dlatego, że w końcu ją polubiłem i nienawidziłem opuszczać zajęć, poza tym... – Wciąga głęboko powietrze. Przez cały czas wpijam palce w jego koszulę na plecach, trzymam go blisko siebie. – Ludzie nie akceptowali naszej rodziny – mówi dalej. – Tata był już zaręczony, kiedy zeszli się ponownie z mamą, a ona była już w trzecim miesiącu ciąży.

Otwieram i zamykam usta.

– Och. Clint nie jest...

Kręci głową.

– Moim biologicznym ojcem jest kustosz z Nowego Jorku. Napisaliśmy do siebie kilka mejli i na tym koniec. W moim odczuciu Clint jest jedynym ojcem, jakiego miałem i potrzebowałem, ale odkąd pamiętam, wiedziałem, że nie jestem taki jak on. Nie jestem do niego podobny. Nie mam takich samych upodobań. – Jego oczy, łączące w sobie ciepłe złoto i atramentową czerń, znowu na mnie patrzą, a ja czuję bolesną otchłań rozpychającą się we mnie na wysokości splotu słonecznego. – Poznałem prawdę w piątej klasie. Od dzieciaków ze szkoły.

Jego chrapliwy głos sprawia, że brakuje mi tchu. Po chwili jednak wszystko wskakuje na swoje miejsce, a z elementów układanki, które zbierałam, powstaje pełen obraz Charliego. Nie jest to bynajmniej Darcy. Ani zadufany w siebie posępny akademik, z którym byłam na bardzo nieprzyjemnym lunchu. To człowiek pragnący całkowitej szczerości, realista, który nie zawsze pojmuje to, co realizmem nie jest. Charlie chce zrozumieć świat, ale nauczył się mu nie ufać.

– Bardzo mi przykro – szepczę.

Przełyka ślinę.

– Wiem, że po prostu nie chciał, abym myślał, że jestem synem kogoś innego – mówi. – Niemniej kiepsko było dowiedzieć się w ten sposób. W mieście wszyscy byli dla rodziców mili, przynajmniej twarzą w twarz, ale pierwsze lata w szkole to było piekło. Mama swoją życzliwością zjednała sobie całe pieprzone miasteczko. Ja tak nie potrafiłem. Nie umiem rozmawiać grzecznościowo z ludźmi, o których wiem, że mnie nienawidzą. Nie potrafię udawać miłego dla kogoś, kogo mam za dupka. Carina była w trzeciej klasie, kiedy ktoś jej powiedział, że pewnie urodziła się z jakąś chorobą przenoszoną drogą

plciową, bo nasza mama jest dziwką.

– Cholera, Charlie... – Zabieram ręce z jego pleców i obejmuję dłońmi jego twarz. Czuję się tak, jakby płuły mi płuca. Jakby istniały uczucia, których nie potrafię nazwać. Pragnę otulić go jak kolczuga albo nabrać w usta benzyny, zejść na dół i zacząć pluć ogniem.

– Połowę gimnazjum spędziłem w bibliotece, a drugą w gabinecie dyrektora z powodu bójk. Szczerze mówiąc, tylko w tych dwóch miejscach czułem, że mam jakąkolwiek kontrolę nad swoim życiem. – Charlie potrząsa głową, jakby chciał oczyścić myśli. – Uważasz, że ten „magiczny wolny duch” jest mityczną, idealną kobietą? Wiąże się to ze swoistymi problemami. To, że nie wszyscy cię rozumieją, nie znaczy, że się mylisz. Jesteś kimś, na kogo ludzie mogą liczyć. Tak naprawdę. Nie czyni cię to zimną ani nudną. Jesteś przez to najbardziej... – Milknie i znowu kręci głową. – Ty i siostra możecie się poróżnić, ona może nie w pełni cię rozumieć, ale nigdy jej nie stracisz, Noro. Nie musisz się o to martwić.

– Skąd możesz mieć taką pewność? – pytam.

Jego oczy przypominają teraz rozpuszczony karmel, dłonie delikatnie przesuwają się po moich biodrach w górę i w dół, falami, które nas do siebie zbliżają i oddalają od siebie, zbliżają i oddalają, a każdy ruch jest intensywniejszy od poprzedniego.

– Po prostu to wiem – odpowiada cicho. – Bo Libby jest dość mądra, żeby wiedzieć, co ma.

Chciałabym pociągnąć go na to niedorzeczne łóżko z samochodową ramą i otulić się zapachem jego szamponu, czuć jego gorączkowo zaciskające się na mnie palce, ciepły twardy brzuch, coraz intensywniejsze wspólne kołysanie się, owo przyciąganie się i oddalenie od siebie.

– Zanim się tu pojawiłaś – chrypi – to miejsce przypominało mi tylko, że jestem rozczarowaniem. A teraz... sam nie wiem. Czuję się okej. Więc jeśli jesteś niewłaściwą kobietą, to ja jestem niewłaściwym facetem.

Nagle dostrzegam równocześnie wszystkie jego odcienie. Widzę cichego rozkojarzonego chłopca. Nad wiek rozwiniętego, ale pełnego żalu dwunastolatka. Melancholijnego licealistę, który rozpaczliwie pragnie się stąd wyrwać. I szorstkiego mężczyznę próbującego wpasować się w miejsce, które nigdy nie było jego.

Tak to jest, kiedy jest się dorosłym stojącym przy łóżku wyścigówce z czasów swojego dzieciństwa. Czas się rozpada i zamiast wersji siebie zbudowanej od podstaw w jednej chwili stajesz się uproszczonym szkicem, którym byłeś kiedyś.

– Nie jesteś rozczarowaniem – mówi słabym głosem. – Nie jesteś niewłaściwa.

Wodzi wzrokiem po mojej twarzy. Jego palce muskają gładkie miejsce w kąci moich ust. Zaciska szczęki. Gdy ponownie patrzy mi w oczy, jego własne płoną. Wiem, że to sprawka ciepłego światła lampki stojącej na szafce nocnej, chociaż wciąż czuję bijące od niego ciepło.

– A ci wszyscy ludzie, przez których się tak czułaś – dodaje chrapliwie – mają cholernie zły gust. – Czułość w jego głosie zalewa mnie ciepłą falą, wypełnia moją klatkę piersiową.

Naprawdę jesteśmy jak dwa magnesy. Pragnę wsunąć palce w jego włosy i całować go, aż zapomni, gdzie się znajdujemy, zapomni o wszystkim oraz o wszystkich, przez których kiedykolwiek czuł się rozczarowaniem. On zaś patrzy na mnie tak, jakbym tylko ja potrafiła ukoić jego ból.

Chcę mu powiedzieć: „Jesteś kimś, kto szuka uzasadnienia dla wszystkiego”.

Albo: „Jesteś osobą, która wszystko rozbiera na czynniki pierwsze i sprawdza, jak coś działa, zamiast po prostu to zaakceptować. Jesteś człowiekiem, który woli prawdę od wygodnego kłamstwa”.

Albo wręcz: „Jesteś kimś, kto ma tylko pięć zestawów ubrań, za to każdy idealnie i uważnie dobrany”.

Szeptę jednak:

– Jesteś najmniej rozczarującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Linia pod jego dolną wargą ciemnieje, gdy rozchyła usta, a jego ciepły miętowy oddech muska lekko moje wargi. Przez chwilę trwamy jeszcze w tym przyciąganiu się i odpychaniu, smakujemy przestrzeń między nami. Wydaje mi się, że w pokoju brakuje powietrza.

I nagle wszystkie powody, by utrzymywać dzielący nas mur, stają się nieistotne. Bo nie ma żadnego muru. Charlie mnie widzi. I po raz pierwszy od dawna – możliwe nawet, że po raz pierwszy od

śmierci mamy – nie czuję się jak ktoś wykluczony ze spektaklu, oglądający scenę zza szyby i pragnący dostać się do środka.

Gdy dzwoni mój telefon, cała ciepła ciężkość się ulatnia. Charlie się prostuje, wraca do rzeczywistości, w której ma powody, by dążyć do wniesienia barykady między nami. Odwraca się w stronę regału, a mnie zasycha w gardle, kiedy sobie uświadamiam, że wraca do swojego zwyczajowego „ja”.

Wypełnia mnie bolesne pragnienie, by znowu go dotknąć, ale tego nie robię. Może i moje uczucia uległy zmianie, ale zakończenie należy do Charliego. „Nic z tego nie będzie”.

Moje myśli natychmiast wędrują do Amayi i poczucie winy, zazdrość oraz krzywda zaczynają się więc w moim żołądku.

Dostaję kolejną wiadomość od Libby. I następną.

Gdzie jesteś??

Kiedy już skończysz z oddawaniem się introwersji w ciemnym kącie, wiedz, że znalazłam dla nas podwózkę do domu.

HALO? Żyjesz????

– To Libby.

Stojący za mną Charlie chrząka, po czym mówi chrapliwie:

– Powinnaś ją uratować, zanim zwerbuję ją klub robótek ręcznych. To tutejszy odpowiednik mafii.

Kiwam głową.

– Do zobaczenia jutro.

– Dobranoc, Stephens.

* * *

Na dole schodów niemal się zderzam z Sally.

– Właśnie szukałam twojej siostry! – informuje mnie. – Znalazłam ten numer, o który prosiła. Możesz jej go dać?

Biorę od niej karteluszek, ale zanim zdążę poprosić o jakieś wyjaśnienie, Sally pędzi za kobietą z polakierowaną grzywką.

Wysyłam Libby zdjęcie numeru esemesem.

To od Sally. Gdzie jesteś?

Przed domem – odpisuje. – Pospiesz się! Gertie Park, baristka anarchistka zawiezie nas do domu!

Libby zachowuje się normalnie, a jednak siedząc z tyłu hatchbacka Gertie – auta ze oklejonym nalepkami zderzakami – przeglądam skrawki minionych tygodni, jakby były porwanymi kartkami papieru.

To, co moja siostra powiedziała o mamie i o mnie. Dziwne wiadomości od Brendana i reakcje Libby na nie. Sprzeczka przed księgarnią, lista, to, jak moja siostra tajemniczo znika i się pojawia, jak jej zmęczenie i bladość przychodzą i odchodzą.

Układam wszystko w kupki, rozwiązywalne problemy, scenariusze, które pozwolą mi opracować plan ucieczki. Wracam do akcji, obserwuję szachownicę i zastanawiam się, co się teraz wydarzy.

Tam, na górze, z obejmującym mnie mocno Charliem, przez chwilę wszystko było w porządku.

Czułam się dobrze.

Dryfowałam w pokrzepiającej bezcielesnej ciemności, gdzie nic nie wymagało naprawienia, i mogłam – przypomina mi się, jak Sally uniosła ręce na boki – osiąść.

Biblioteka na skraju miasteczka jest masywna: to trzy kondygnacje cegły i trójkątnie zwieńczone ściany szczytowe.

Libby kieruje dostawami mebli do Goode Books, ja zaś idę na spotkanie z Charliem, by przedyskutować poprawki w pokoju 3C na ostatnim piętrze.

Przez cały ranek atmosfera między mną a siostrą była napięta. Utknęłyśmy w błędnym kole mętnych, złych uczuć. Ją frustruje to, jak dużo pracuję, co rodzi dystans. Dystans sprawia, że ona ma tajemnice. Tajemnice z kolei wywołują frustrację u mnie. To działa jak samospełniająca się przepowiednia, która zamyka nas w niewyartykułowanej kłótni, w czasie której udajemy, że nie dzieje się nic złego.

Ten pusty ból. Tracisz ją i na co było to wszystko?

Gdy automatyczne drzwi biblioteki otwierają się przede mną, pyszny zapach ciepłego papieru bierze mnie w objęcia i robi mi się trochę lżej na sercu. Na prawo ode mnie przy rządzie staromodnych komputerów siedzą licealiści, a ich słowa tłumi industrialna niebieska wykładzina. Mijam ich i wchodzę szerokimi schodami na pierwsze, a potem drugie piętro. Idę wzdłuż szeregu pomieszczeń do nauki zlokalizowanych od ulicy, aż docieram do pokoju 3C, gdzie Charlie pochyla się nad swoim laptopem. Światło jest zgaszone, a przez okno wlewa się rozproszony blask dnia, rzucający na niego cienie chłodnego błękitu.

Pokój jest malutki, ze spadzistym sufitem. Stolik z laminatu i cztery krzesła zajmują większość przestrzeni.

Z jakiegoś powodu – przez ciszę albo może to, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru – czuję się onieśmielona, gdy staję w progu.

– Spóźniłam się?

Patrzy na mnie podkrążonymi oczami.

– Przyszedłem wcześniej. – Chrząka, by usunąć z głosu senność. – W soboty najczęściej pracuję tutaj.

Na stole przed wysuniętym krzesłem stoi ogromny kubek kawy z Mug + Shot. Czeka na mnie. Siadam.

– Dzięki.

Charlie kiwa głową, ale całą uwagę skupia na monitorze, ciągnąc się za włosy za uchem.

Wibracja telefonu powiadamia mnie o wiadomości od Brendana.

Hej, dziewczyny! Nadal się dobrze bawicie?

Pętla niepokoju zaciskają się na moim żołądku, jedna na drugiej. Libby pisała do mnie ze sklepu pięć minut temu, więc wiem, że ma przy sobie komórkę. A to znaczy, że albo nie napisał do niej jako pierwszej, albo po prostu mu nie odpowiedziała.

Tak – odpisuję. – Czemu pytasz? Wszystko okej?

Zdecydowanie!!!

Naprawdę się postarał z tymi wykrzyknikami.

Może pora zacząć błagać o wyjaśnienia.

Na razie jednak składam tę myśl do przegródki z tyłu głowy. Przychodzi mi to z zaskakującą łatwością.

– Potrzebujesz chwili? – pytam Charliego, uruchamiając laptopa.

Drga, jakby zapomniał o mojej obecności.

– Nie, nie. Przepraszam. Wszystko w porządku. – Przeciera usta dłonią, wstaje i przesuwając krzesło tak, by móc widzieć moje notatki na monitorze. Siadając, trąca mnie udem i w ułamku sekundy przez moją klatkę piersiową przetacza się lawina.

– Może zaczniemy od tego, co się nam podobało? – proponuję.

Charlie patrzy na mnie trochę za długo, jakby nie rozumiał pytania.

– Daj spokój, Charlie – droczyć się z nim. – Możesz się przyznać, że coś ci się podobało. Dusty i ja nikomu nie powiemy.

Mruga kilka razy. Mam wrażenie, jakbym obserwowwała, jak jego świadomość wypływa na powierzchnię.

– To jasne, że książka mi się podoba. Błagałem o możliwość pracy nad nią, pamiętasz?

– Nie zapomnę tego do końca swoich dni.

Gwałtownie przenosi spojrzenie na monitor. Zachowuje się profesjonalnie, a mnie się wydaje, że moje serce zalewa woda.

– To jest świetnie napisane – odzywa się. – Radosna fizjoterapeutka stanowi dobre przeciwieństwo dla Nadine, ale uważam, że pod koniec tej części brakuje jej nieco głębi.

– Ja też to napisałam! – wołam, ale na widok miny Charliego natychmiast wstydzę się swojego głosu ulubienicy nauczyciela, która rozwiązała najlepiej test. – No co?

– Nic. – Dusi śmiech.

– To nie jest nic – kwestionuję. – Widzę twoją twarz.

– Mam ją od zawsze, Stephens – odpowiada. – Czuję się rozczarowany, że dopiero teraz ją zauważyłaś.

– Chodziło mi o wyraz twarzy.

Odchyła się na krześle, bawiąc się czerwonym długopisem.

– A mnie o to, że jesteś w tym dobra.

– Dziwi cię to?

– Oczywiście, że nie – stwierdza. – Czy nie mam prawa cieszyć się na widok kogoś, kto jest dobry w swoim fachu?

– Teoretycznie to jest twój fach.

– Twój też mógłby być, gdybyś chciała.

– Zdarzyło mi się pójść na rozmowę o pracę w charakterze redaktorki – informuję go.

Unosi brwi.

– I nie przyjął ją?

– Nie poszłam na drugą turę. Libby zaszła w ciążę.

– I?

– A Brendana zwolniono. – Barki mi się napinają i blokują w pozycji obronnej. – Zarabiałam dobre pieniądze na swoich zleceniach, a przyjęcie posady na niższym szczeblu oznaczało obniżenie zarobków.

Przygląda mi się, aż moja skóra zaczyna mruczeć, a potem znowu odwraca spojrzenie.

– Jak Libby się z tym czuła?

– Nie powiedziałam jej. – Wracam do notatek. – Zajmijmy się Josephine.

– Byłoby jej smutno, że zrezygnowałaś dla niej z pracy marzeń, nie sądzisz?

– Raczej nie podziwia mojego oddania obecnej pracy – przypominam mu. – Zatem Josephine...

Poddaje się z westchnieniem.

– Jo mnie zachwyca.

– Jest wystarczająco różna od starego Whittakera? To przecież też stara zrzęda bez rodziny.

– Uważam, że jest okej. Szybko poznamy głębię jej charakteru i historię z byłym, który wywiózł ją z Hollywoodu. Nie przywodzi skojarzeń z *Raz w życiu*. Stary Whittaker stracił rodzinę, Josephine natomiast nigdy jej nie założyła. A poza tym dyskusja o tym, jak fakt, że jest kobietą, wpłynął na to, w jaki sposób traktowały ją media i świat, jest przecież przedmiotem tej książki.

– To prawda – przyznaję. – I podoba mi się to, ale prowadzi wprost do mojej kolejnej myśli. Może powinniśmy trochę poczekać z ujawnieniem jej związków z branżą filmową?

Oczy Charliego zachowują się jak obracające się kółeczko maca, jakby jego myśli się łądowały.

– Nie zgadzam się z tym – mówi w końcu powoli. – Wolałbym natomiast, żebyśmy dopiero później się dowiedzieli, dlaczego Nadine nie została aktorką. To daje okazję do budowania napięcia. Może o tym, że chciała grać, moglibyśmy się dowiedzieć, gdy znajduje Oscara Jo i Jo mogłaby ją wówczas zapytać, co wpłynęło na to, że zmieniła zdanie. Uzyskalibyśmy w ten sposób efekt antycypacji.

- Cholera – rzucam.
 - Co jest?
 - Masz rację.
 - Wyrazy współczucia. To musiało być dla ciebie trudne.
- Zaczynam wklepywać poprawki w swoich notatkach.
- Nadine nie powinna była rezygnować z aktorstwa – dodaje Charlie.
- Jego słowa przez chwilę wiszą w próżni. Oczywiście pułapka.
- Zarabia krocie na byciu agentką – odpowiadam.
 - Nie cieszy się tymi pieniędzmi – przypomina mi.
- Piszę dalej.

- Lubi tę pracę.
 - Aktorstwo uwielbiała.
 - Miałam cię za jej największego fana.
 - Bo nim jestem. Dlatego chciałbym jej zafundować szczęśliwe zakończenie.
 - Według mnie to nie jest ten rodzaj książki, Charlie.
- Wzrusza ramieniem, a jego pełne usta drgają.
- Zobaczymy.

Nasze poruszanie się po labiryncie poprawek do tekstu kojarzy mi się ze spacerami z mamą i Libby po rezerwacie Ramble w Central Parku.

Dokument pęcznieje, więc go odchudzamy, Charlie przyciąga do siebie laptopa i skraca moje cztery zdania do jednego, a następnie ja przejmuję komputer i wprowadzam kilka komplementów więcej, aż wreszcie po kilku godzinach pracy uświadamiam sobie, że zamieniliśmy się rolami. Teraz to on wpisuje pochwały, a ja odchudzam tekst.

- Zawsze chciałem zobaczyć z bliska atak rekina – mruczy, przyglądając mi się. – Tyle krwi.
- Piecze mnie twarz i kilka mniej niewinnych rejonów ciała. Patrzę na dokument, śledząc zmiany.
- Lubię widzieć postęp.

– Noro, to jest wyłącznie postęp. – Wyciąga rękę, by zaznaczyć cały dokument, a potem zatrzymuje kursor nad „zaakceptuj wszystkie zmiany”. Opiera łokieć na stoliku z laminatu tuż obok mojego łokcia. Patrzy na mnie, czekając na aprobatę.

Potakuję, ale on ani drgnie. Delikatny kontakt z jego ręką sprawia, że wszystkie zakończenia nerwowe w moim ciele zdają się zbiegać w tym miejscu.

W każdej sekundzie może stanąć między nami mur, a ja tego nie zniosę. W nocy, gdy leżałam, nie mogąc spać, przez wiele godzin zastanawiałam się, jak poruszyć ten temat. A teraz mówię tylko:

– Zapomniałam wspomnieć, że wpadłam wczoraj na twojego kuzyna. – Ostatnie słowo podkreślałam.

Charlie ucieka wzrokiem i drapie się po szczęce.

- Ściągał kotka z drzewa czy pomagał staruszce przejść przez ulicę?
- Nic z tych rzeczy. Mył samochód bez koszulki.

– Mam nadzieję, że nagrodziłaś go za ten trud. – Znowu patrzy mi w oczy, a powietrze między nami aż iskrzy.

– Powiedziałam: „Hej, kolego, włóż koszulkę. To jest rodzinno-przyjacielski salon literacki”.

Kąciki ust Charliego podskakują, gdy się podnosi i opiera rękami o stół, wpatrzony w okno.

– Gdybyś naprawdę tak powiedziała, panie z klubu robótek ręcznych wywiozłyby cię z miasta na taczkach. Shepherd bez koszulki jest atrakcją turystyczną Sunshine Falls.

Z trudem panuję nad swoim głosem, gdy mówię:.

- Nie wiedziałam, że to twój kuzyn. Gdybym wiedziała, nie pojechałabym z nim nigdzie.

Odwraca wzrok.

- Nie jesteś mi nic winna, Noro.

– Wiem. – Ja też wstaję. Nie dam rady dłużej udawać, to do niczego nie prowadzi. Nie mogę nic poradzić na sprawę Libby, ale tą kwestią mogę się zająć. W ten czy inny sposób mur napięcia dzisiaj runie. Nabieram powietrza i kontynuuję: – Zwłaszcza jeśli coś się święci między tobą a twoją byłą.

Charlie błyskawicznie przenosi spojrzenie z powrotem na mnie.

– Nic z tych rzeczy.

– Widziałeś się z nią wczoraj wieczorem, prawda?

Zaciska zęby.

– Pracowałem. Zajrzała do księgarni.

Czuję, że sceptycznie mrużę oczy.

– Na umówioną wizytę?

Przenosi ciężar ciała z nogi na nogę.

– Tak – odpowiada.

– Żeby kupić książkę? – dopytuję.

Znowu zaciska zęby.

– Niezupełnie.

– Chcieliście pobyć ze sobą?

– Porozmawiać.

– Jasne. Byli często ze sobą rozmawiają.

– To małe miasto. Nie jesteśmy w stanie się unikać. Musieliśmy oczyścić atmosferę.

– Ach.

– Nie achaj mi tu – rzuca sfrustrowanym tonem. – Do niczego między nami nie doszło i nie dojdzie.

– To nie moja sprawa.

– Właśnie – potwierdza, jakby bardziej sfrustrowany, przez co dotkliwiej sobie uświadamiam, że przestrzeń między nami się kurczy. – Podobnie jak nie jest moją sprawą to, czy spotykasz się z moim kuzynem.

– Czego nie zamierzam więcej robić – rzucam. – I z którym nie poszłabym nigdzie nawet raz, gdybym wiedziała, że jesteście spokrewnieni.

– Nie zrobiłaś nic złego – upiera się Charlie.

– Ty też nie, spędzając czas z Amayą.

Jesteśmy albo zbyt dobrzy, albo zbyt kiepscy w kłóceniu się. Zapamiętałe wspieramy wzajemnie swoje życie uczuciowe.

W końcu zyskuje przewagę stwierdzeniem:

– Shepherd to świetny gość. Najlepsza partia w mieście. Idealnie pasuje do twojej listy, spełnia wszystkie kryteria.

– A Amaya? – odparowuję. – W jakim stopniu spełnia twoje?

– W żadnym – kwituje.

– Lista jest pewnie długa.

– Składa się z jednej pozycji. Bardzo konkretnej.

To, jak na mnie patrzy, pobudza moje krążenie, wzmaga żądzę.

– Wielka szkoda, że nic między wami nie będzie – zauważam.

– A mnie jest przykro z powodu ciebie i Shepherdą. – Oczy mu błyszczą. – Wydawało mi się, że dobrze się razem bawiliście.

– Owszem. Okazuje się jednak, że dobra zabawa nie jest tym, czego w tej chwili pragnę.

Wpatruje się we mnie ciemniejszymi oczami, a ja mam nadzieję, że wciąż jestem dla niego otwartą księgą i wie, że mam dość ignorowania tego czegoś między nami.

– A czego pragniesz, Stephens? – pyta szorstko.

– Pragnę... – Teraz albo nigdy. Mam wrażenie, że szykuję się do skoku ze spadochronem. – Pragnę być tu z tobą i nie przejmować się tym, co nastąpi potem.

Podchodzi bliżej, a moje serce szaleje, gdy wkracza w moją przestrzeń.

– Noro – odzywa się łagodnie.

– Nie ma sprawy, jeśli ty tego nie chcesz – kontynuuję. – Ale myślę o tobie o wiele za dużo. A im bardziej staram się zwiększyć dystans między nami, tym jest gorzej.

Usta mu się wyginają, oczy lśnią.

– Więc próbujesz się z tym rozprawić?

– Może – przyznaję. – A może ten jeden raz pragnę czegoś, co jest łatwe.

Unosi kpiarsko brwi.

– Jestem łatwy?

Tak, myślę, dla mnie jesteś najłatwiejszym człowiekiem na świecie.

Mówię jednak:

– Boże, mam taką nadzieję.

Charlie się śmieje, ale jego śmiech szybko gaśnie, a on sam ucieka wzrokiem.

– A co, jeśli wiem, że nic z tego nie będzie? – pyta. – Bez względu na to, jak bardzo byśmy tego chcieli?

– Jest ktoś inny?

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Chodzi tylko o to, że...

– Charlie, przecież ci powiedziałam, że nie chcę myśleć o tym, co się dalej wydarzy. Nie jestem nawet pewna, czy bym to teraz udźwignęła.

Przygląda mi się, a jego szczeka porusza się rytmicznie.

– Na pewno?

– Tak – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Jeśli chcesz, mogę to napisać na serwetce.

Nie wiem, które z nas zaczęło, ale nagle jego usta łądają na moich, ciepłe i wygłodniałe, a dłonie wodzą po moim ciele. Bez wahania, uprzejmości. Czyste pożądanie. Chwytam w garść jego koszulę, kiedy wciąga mnie na siebie, niwelując wszystkie luki między nami.

Po kilku sekundach wyciąga mi bluzkę ze spódnicy i jego ręce łądają na moich piersiach, tak doskonale szorstkie i ciepłe, że jedwab jest w porównaniu z nimi nie do zniesienia. Wydobywa się ze mnie rozpaczliwy dźwięk, a wtedy Charlie obraca nas, pcha mnie na stolik i podciąga mi spódnice, żeby móc stanąć między moimi nogami.

Przyciągam go do siebie, wyginając się pod jego dotykiem. Jego palce zaciskają się na moim karku, wplatają we włosy, gdy szczypie zębami moją szyję.

– Nie możemy zrobić tego w bibliotece... – dyszę mu prosto w usta, chociaż moje dłonie nadal przesuwały po jego plecach pod koszulą, a paznokcie drapią mu skórę.

– Wydawało mi się, że chciałaś olać reguły – mruczy besztającym tonem.

– Co do obrazy moralności w miejscach publicznych trudno mówić o regułach. To raczej pogwałcenie prawa – szepczę.

Przesuwa usta po mojej szyi, a potem wkłada rękę pode mnie i ustawia moje biodra pod odpowiednim kątem, by mógł we mnie wejść.

O Boże.

– Byłoby nim, gdybyśmy się rozebrali – stwierdza rzeczowo.

Odgłos, który z siebie wydaję, nie mógłby być mniej seksowny ani bardziej przypominać wycia umierającego dzikiego zwierzęcia.

– Tak gwoli ścisłości – udaje mi się powiedzieć. – Nie przeszkadza ci to, że ze sobą pracujemy?

– Oboje wiemy, że nie będziesz przez to dla mnie łagodniejsza – chrypi, całując mój obojczyk.

– A ty dla mnie?

To absurd, że podtrzymuję tę szaradę i udaję, że prowadzimy zwykłą konwersację, kiedy dociskam dłonie do blatu, a moje ciało wygina się lubieżnie, żeby ułatwić jego ustom dostęp za kołnierzyk bluzki.

– Łagodniejsze traktowanie cię, Noro, nie leży w moim interesie.

Wsuwam palce w jego włosy, a potem przeciągam w dół jego karku, czując jego oszalały puls. Mój umysł zachowuje się, jakby przepuszczono go przez niszczarkę do dokumentów i usypano w kalejdoskopie. Jego dłonie przesuwały się w górę mojego uda, gdzie się zatrzymują, oczy patrzą z upojnym błyskiem.

Rozsuwam dla niego nogi. Zaciska zęby, gładząc mnie dłonią, najpierw delikatnie jak piórkiem, a potem z coraz większym naciskiem. Palce wsuwają się pod koronkę, moje biodra unoszą się wskutek

jego ruchu, a w pokoju słyhać tylko nasze rwące się oddechy.

– Wystąpiły ci czerwone plamy, Noro – droczy się, wodząc ustami po mojej szyi. – Jesteś na mnie zła?

– Wściekła... – dyszę, gdy przesuwam usta niżej, jedną ręką pracując nad rozpięciem guzików bluzki. Ciągnie za biustonosz, aż w końcu czuję na skórze chłodne powietrze.

– Powiedz mi, jak mogę ci to wynagrodzić – mruczy na wysokości mojej klatki piersiowej.

Wyginam się, by oferować mu więcej siebie.

– To jest dobry początek.

Wciąga mnie do ust, a ja staram się nie krzyknąć, kiedy wstrząsa nim niski pomruk. Jego dłoń znowu łąduje pod spódnicą i oddech więźnie mi w klatce piersiowej.

– Rozwalasz mnie – mówi.

Przyciągam go bliżej, bo łaknę go więcej. Leżymy już w zasadzie płasko na stoliku, wnętrzem ud dotykam jego bioder. Wtulam usta w jego szyję, żeby zdusić odgłosy, do jakich mnie prowokuje. Kompletnie tracę kontrolę nad sobą, co więcej – widzę, jak bardzo mu się to podoba. Chcę nie panować nad sobą. Pragnę, żeby widział mnie taką i wiedział, że to on do tego doprowadził. Przesuwa dłoń po mojej łydce, aż chwytam go za piętę, podciąga nogę wyżej i zakłada ją sobie na biodro, gdy próbujemy zbliżyć się jeszcze bardziej.

Gdybyśmy mogli się udać w bardziej prywatne miejsce, już byśmy to zrobili.

– Tak bardzo chcę cię przelecieć... – chrypi mi w usta.

Serce mi podskakuje.

– A ja chcę przelecieć ciebie – odpowiadam.

Śmieje się cicho.

– Wieczna rywalizacja.

Wsuwam ręce pod jego pasek, skupiając całą uwagę na czuciu go, na odgłosie jego rwącego się oddechu, kiedy mój uścisk się nasila, i na tym, jak porusza biodrami, by dać mi jeszcze więcej siebie.

Dotąd nigdy nie sprawiało mi to aż takiej przyjemności – nie jestem pewna, czy to kiedykolwiek sprawiało mi przyjemność – ale też nigdy nie widziałam Charliego tak niepohamowanego i teraz upajam się swoją władzą.

– Boże... – dyszy. – Muszę w ciebie wejść.

Wszystko się we mnie pręży.

– Okej. – Potakuję jak oszalała, a on znowu się śmieje.

– Nie. Masz rację, nie tutaj.

– Nie mamy wielu możliwości – zauważam.

– Gdy to w końcu zrobimy, Noro – Charlie odsuwa się ode mnie, a jego palce przeciskają guziki mojej bluzki przez dziurki z taką łatwością, jak wtedy, gdy je rozpinał – nie zrobimy tego na stoliku w bibliotece ani spiesząc się. – Wygladza mi włosy, wsuwa bluzkę w spódnicę, a następnie łapie mnie za biodra, zsuwa ze stołu i przytrzymuje przy sobie. – Zrobimy to, jak należy. Nie na skrót.

Wychodzę z biblioteki na drżących nogach, a serce mi wali, jakbym była po czterdziestu minutach ćwiczeń na rowerku stacjonarnym. Przez kilka godzin nie sprawdzałam telefonu i okazuje się, że moja skrzynka pęka w szwach – dostałam mejla od szefowej, która rzadko honoruje koncepcję weekendu, i całą masę od klientek, które są pod tym względem podobne, a także szereg wiadomości od Libby.

Mrużę oczy przed blaskiem słońca, żeby obejrzeć dokumentację zdjęciową jej dzisiejszych dokonań. Kawiarnia w Goode Books prezentuje się wygodnie i przytulnie, a witrynę z propozycjami na lato ozdobiła migotliwymi światełkami. Na większości fotografii Sally stoi z boku rozpromieniona, ale na jednej rozmazanej, na której widać spory kawałek czyjegoś kciuka, stoi Libby z szeroko rozłożonymi rękami, wielkim uśmiechem i jedwabistym, różowym koczkim, przekrzywionym na czubku głowy. Jej twarz w kształcie serca wygląda mniej więcej tak jak wtedy, gdy Libby miała czternaście lat i jej prace zostały zakwalifikowane na wystawę w szkole plastycznej: dumnie, pewnie, kompetentnie. Nawet pomimo napiętej atmosfery między nami jestem szczęśliwa, widząc ją taką.

To wygląda niesamowicie! – piszę. – Jesteś wspaniała!! To miejsce jest nie do poznania!!!

Dzięki – odpisuje. – Wszystko w porządku? Spóźnienie nie jest w Twoim stylu.

Miałam się z nią spotkać w Poppa Squat dziesięć minut temu. Wklepuję w komórkę: Wszystko dobrze. Za chwilę będę.

Najpierw jednak muszę zadzwonić. Zatrzymuję się obok jednej z zielonych ławek przy ulicy, metalowej, rozgrzanej przez prażące słońce, i szperam w torebce w poszukiwaniu numeru telefonu, który dostałam od Shepherd. Może to staromodne, że dzwonię do kogoś, by mu powiedzieć, że nie jestem zainteresowana, no ale Shepherd to miły gość. Zasluguje na coś lepszego niż ignorowanie go.

Po trzech sygnałach słyszę kobiecy głos:

– Dent, Hopkins i Morrow. W czym mogę pomóc?

– Chciałam rozmawiać z Shepherdem – mówię po chwili wahania.

– Przykro mi, ale nie pracuje tu nikt o takim imieniu.

– Hm, czy mogę... A kto mówi?

– Tyra z kancelarii Dent, Hopkins i Morrow.

– Pewnie... wybrałam zły numer.

Rozłączam się i szperam w torebce, z której po chwili wyławiam paragon z cyframi nabazgranymi jak kura pazurem. To jest to, co dostałam od Shepherd. A numer, na który dzwoniłam... dała mi Sally. „Właśnie szukałam twojej siostry! Znalazłam ten numer, o który prosiła”...

Powinno coś zjeść, zważywszy na to, ile kawy dziś wypijałam, ale to nie od nadmiaru kofeiny trzęsą mi się ręce, kiedy wpisuję w wyszukiwarkę nazwę kancelarii.

Po chwili czuję się, jakby moje żyły wypełnił lód.

Dent, Hopkins i Morrow: prawo rodzinne.

Libby poprosiła Sally o... numer do prawnika zajmującego się rozwodami?

Przez moment ulica, chodnik, bladobłękitne niebo, cały świat zdają się jakby porwane na strzępki. Moje płuca coś rozpięra, coś wielkiego i ciężkiego nie pozwala mi złapać tchu.

Wracam do naszego starego mieszkania, do tych potwornych tygodni po śmierci mamy i obserwuję, jak Libby się załamuje, tulę ją mocno, gdy szlocha, aż nie może oddychać i się krztusi.

Tonę w jej bólu, kiedy mój ból twardnieje.

„Nie chcę być sama”, duka od czasu do czasu. Albo: „Zostałyśmy same. Samiuteńkie, Noro”.

Obejmuję ją mocno, wtulam twarz w jej włosy i obiecuję, że się myli, że nigdy nie będzie sama.

„Jestem przy tobie – mówię jej. – I zawsze będę”.

Wracają wszystkie te noce, kiedy gwałtownie wyrwana ze snu stwierdzałam, że to wszystko nadal na mnie czeka: nie ma mamy, nie ma pieniędzy, Libby przeżywa załamanie.

Zdarzało się, że płakała przez sen. Kiedy indziej budziłam się, gdy była w łazience, i czując

zimne miejsce w łóżku obok siebie, wpadałam w panikę.

W tamtym okresie ból czaił się jak mroczny potwór, wisiał nad naszym łóżkiem i zamiast kurczyć się z nocy na noc, rozrastał się, żywił się nami, pęczniał, karmiony naszym smutkiem.

Któregoś ranka leżałyśmy otulone kocami, gładziłam włosy mojej siostry, a ona szeptała: „Nie chcę już tu być. Chcę, żeby to się skończyło”.

I urosła we mnie wtedy ta sama stara panika – za wielka dla mojego ciała, pulsująca gniewnie. Nie myśląc o pieniądzech, pracy, szkole ani innych praktycznych sprawach, za które stałam się odpowiedzialna, powiedziałam: „W takim razie wyjedźmy gdzieś”.

I pojechałyśmy.

Kupiłam bilety do Los Angeles i z powrotem, na środek tygodnia, na nocny lot. Zameldowałyśmy się w podrzędym motelu w pokoju, w którym nie działała zasuwa w drzwiach, więc każdej nocy zastawiałyśmy je krzesłem od biurka.

Codziennie rano jeździłyśmy taksówką na plażę i siedziałyśmy tam aż do kolacji, na którą zawsze jadłyśmy coś taniego i tłustego. Odsypałyśmy z urny trochę prochów mamy i wrzuciłyśmy je do oceanu, kiedy nikt nie patrzył, a potem uciekłyśmy z piskiem i śmiechem, bo nie wiedziałyśmy, czy właśnie złamałyśmy prawo.

Zamierzałyśmy rozdzielić prochy między East River i Hudson, by mama znalazła się z każdej strony naszego miasta, otaczała nas, tuliła. Nie byłyśmy jednak jeszcze gotowe się z nią rozstać.

Libby nie płakała przez cały tydzień, a potem, już w samolocie do domu, podczas startu wyjrzała przez okno na kurczącą się pod nami wodę i szepnęła: „Kiedy to przestanie boleć?”.

„Nie wiem”, odpowiedziałam. Wiedziała, że kłamię. Że według mnie to się nigdy nie skończy, przynigdy.

Libby zanosila się od wycieńczającego płaczu i inni pasażerowie rzucali w naszą stronę zmęczone lub gniewne spojrzenia. Ignorowałam ich i przyciągnęłam ją do swojej klatki piersiowej. „Wyrzuć to z siebie, słodka dziewczynko”, mruczałam jak niegdyś mama.

Stewardesa albo przeceniła nasz wiek, albo się nad nami zlitowała, bo dyskretnie podrzuciła nam dwie buteleczki alkoholu.

Libby, czkając, wybrała baileysa. Ja wypiałam gin.

Od tamtego dnia wystarczy, że go powącham, a od razu myślę o tym, jak mocno tuliłam wtedy siostrę i jak bardzo tęskniłam za mamą.

I może dlatego do dziś jest to jedyna rzecz, jaką pijam. Lepiej czuć dziurę w sercu, niż nie czuć nic.

Mrugam, by przegonić wspomnienie, ale ból w klatce piersiowej nie ustępuje. Siadam wygodniej na rozgrzanej metalowej ławce i liczę sekundy w czasie wdechu, by wyrównać do niego wydech.

To był mój ostatni wyjazd z Libby. I w ogóle mój ostatni wyjazd, jeśli nie liczyć fatalnego w skutkach weekendu w Wyoming w Jakobem.

Gdy już zapanowałam nad naszym długiem, zaczęłam odkładać trochę pieniędzy, by móc zabrać Libby w jakieś wspaniałe miejsce, jak Mediolan czy Paryż, gdy skończy studia. Niegdyś miała rozmaite ambicje, ale po stracie mamy jakby wszystkie ją opuściły. Przestała pomagać w księgarni i próbowała iść przeróżnymi ścieżkami kariery, ale na żadnej nie utrzymała się dłużej.

Przez całe studia stałam nad nią, popychałam ją, czytałam za nią eseje, przygotowywałam prezentacje. Klóciłyśmy się częściej niż kiedyś, nasze nowe role dawały nam w kość, jej bezdenne smutek przeradzał się w gniew, wyczerpanie, a potem na odwrót. Czasami, nawet po latach, zdarzało się jej płakać przez sen.

A potem poznała Brendana i postanowiła przerwać naukę.

Gdy mi powiedziała, że się zaręczyli, nie zaskoczyła mnie. Mogłam myśleć wyłącznie o tej nastolatce bojącej się samotności.

Obawiałam się, że jest za młoda, że kieruje nią potrzeba poczucia bezpieczeństwa, a nie rzeczywiste pragnienie. Prawdą jednak jest, że wydawała się szczęśliwa. Po raz pierwszy od lat znowu miałam swoją siostrę.

Brendan pomógł jej się ustatkować. Nie podobało mi się, że zrezygnowała z pracy przy

organizowaniu eventów, którą jej naraiłam, niemniej z jej oczu zniknęło cierpienie, a ja wreszcie mogłam oddychać.

W końcu, po latach, wszystko było z nią w porządku i okazało się, że cały wysiłek – wszystkie przyjęcia urodzinowe, które opuściłam, spotkania i związki, które nigdy się nie rozwinęły z powodu mojego harmonogramu zajęć – nie poszedł jednak na marne.

Bo Libby doszła do siebie.

A teraz spędza trzy tygodnie bez swojego męża, unika telefonów od niego i rozmawia z prawnikiem od rozwodów. Może z tego powodu nagle stało się tak ważne, że jestem pracowoliczką. Nie dlatego, że Libby tego nie aprobeuje, ale dlatego, że mnie potrzebuje. Potrzebuje mnie, a mnie nie ma.

Strach rozcodzi się we mnie lodowatymi językami ognia. Ukryty za sztywnym, wypracowanym poczuciem kontroli, jest zawsze obecny.

Libby się myliła, kiedy mówiła Sally, że jestem taka jak nasza mama. Mama pracowała non stop, by gonić za czymś, czego pragnęła. Ja biegnę nieustannie, bo próbuję uciec przed przeszłością. Strachem, że znowu zabraknie pieniędzy. Strachem przed głodem. Porażką. Pragnieniem czegoś na tyle mocno, że niemożność osiągnięcia tego mnie zniszczy. Kochaniem kogoś, kogo nie mogę zatrzymać. Patrzeniem na to, jak siostra przesypuje się między moimi palcami niczym piach. Przyglądaniem się czemuś, co jest zepsute, a ja nie potrafię tego naprawić.

Boję się tego rodzaju bólu, o którym wiem, że drugi raz go nie przeżyję.

Skupiam się na wciskaniu stóp w podłogę, na zakotwiczeniu się.

Jeden po drugim, elementy działania układają się w zgrabną kolumnę w moim umyśle.

Znaleźć najlepszego prawnika od rozwodów.

Znaleźć Libby mieszkanie, na które będzie mogła samodzielnie sobie pozwolić, lub takie, w którym mogłybyśmy mieszkać razem z dziewczynkami. (Czy zmieścimy się wszystkie w mieszkaniu Charliego?)

Znaleźć terapeutę, który pomoże jej przez to wszystko przejść.

Możliwe, że wynając płatnego zabójcę. No, może nie zabójcę, ale przynajmniej kogoś, kto potrafi zrealizować skromną zemstę – chlusnąć Brendanowi drinkiem w twarz, porysować kluczami bok jego samochodu – w zależności od tego, co się wydarzyło, chociaż trudno mi sobie wyobrazić, by mógł robić coś innego, niż wpatrywać się z zachwytem w Libby i masować jej opuchnięte stopy.

Wreszcie docieram do ostatniego, choć najpilniejszego punktu na liście: dać Libby jak najwięcej szczęścia, i to od razu. Sprawić, żeby poczuła się na tyle bezpiecznie, by się przede mną otworzyć.

Moje barki opadają. Płuca się rozluźniają. Teraz, kiedy już wiem, co się stało, mogę to naprawić.

* * *

– Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko, prawda? – pytam.

Libby odrywa wzrok od mieszanki majonezu z ketchupem, w której maczamy frytki z Poppa Squat. Prycha, po czym mówi beznamyślnie:

– Rety, tylko nie to. Skup się na swoim życiu, siostra.

Zamiast odbić piłeczkę, odpuszczam.

– Co jest dalej na liście?

Rozluźnia się.

– Cieszę się, że spytałaś, bo mam wspaniały pomysł.

– Ile razy mam ci powtarzać, że park wodny z alkoholem to nie jest dobry pomysł?

– Pozwolę się nie zgodzić. – Pociera dłonie, żeby strzepnąć z palców sól. – Ale nie o to mi chodziło. Wymyśliłam, jak uratować księgarnię.

– Ile pomników z brązu może się zmieścić na miejskim placu?

– Bal – mówi Libby. – Bal Niebieskiego Księżycyca. Jak w *Raz w życiu*.

Czuję, że ściągam brwi.

– Mamy w tym miesiącu niebieską pełnię?

– Nie o to chodzi.

– Dobrze, bo...

– To świetna okazja do zebrania pieniędzy! – stwierdza. – Sally zna kogoś, kto prowadzi firmę organizującą eventy. Możemy zorganizować parkiet i system nagłośnienia. Znajdziemy też ochotników, którzy zajmą się dekoracją i przyniosą ciasta. Urządzimy całą imprezę na placu miejskim, dokładnie jak w książce.

– To mnóstwo pracy – mówię z wahaniem.

– Nie będziemy się tym zajmowały same – upiera się. – Sally zadzwoniła już do każdej osoby ze swojej siatki wymiany win, Amaya stanie za barem, a Gertie...

– Baristka anarchistka? – upewniam się.

– ...zapropozowała, że zrobi ulotki do kolportażu w Asheville. Mug + Shot zamieni się w fontannę z wodą sodową. Poza tym mają koncesję na sprzedaż alkoholu, więc będą mogli również serwować drinki. Połowa miasta jest już z nami. – Siostra bierze mnie za rękę nad lepkiem blatem baru.

– To będzie bułka z masłem. A raczej placek z masłem. Tylko...

– O-o – mówię, widząc, jak się krzywi.

– Nic się nie stanie, jeśli się nie uda! – dodaje szybko. – Ale pomyślałyśmy z Sally, że byłoby super zorganizować wirtualną rozmowę z Dusty. No i może mieć pod ręką trochę podpisanych książek w celach promocyjnych. O ile nie miałaby nic przeciwko temu. I jeśli zgodzisz się ją o to zapytać. – Składa ręce jak do modlitwy i patrzy na mnie błagalnie.

– W ten sposób chcesz spędzić kolejne dwa tygodnie? – pytam sceptycznie. – Bez odpoczynku? Bez czytania, oglądania filmów, wylegiwania się na słońcu?

– Rozpaczliwie.

Nieważne, czy chodzi o zajęcie czymś uwagi, doświadczenie poczucia kontroli, czy szansę na wypróbowanie nowego życia – skoro tego chce, to to dostanie.

– Porozmawiam z Dusty.

Libby zarzuca mi ręce na szyję i całuje mnie w głowę jakiś tuzin razy.

– Robimy to! Ratujemy lokalny biznes!

Nie mam przekonania, ale widzę, że jest szczęśliwa. A jej szczęście zawsze było moim ulubionym narkotykiem.

– Oczywiście! Oczywiście – mówi Dusty po swojemu, najpierw reagując z przesadnym entuzjazmem, a potem lekko się wycofując. – Chciałabym pomóc, Noro, tyle że... Nigdy nie byłam w Sunshine Falls. Tylko przypadkiem tamtędy przejeżdżałam wiele lat temu.

– Mieszkańcy uwielbiają twoją książkę. – Zerkam na bok domu, przy którym Libby opala się na kocu piknikowym, podsłuchując. Pokazuje mi na zachętę dwa kciuki skierowane do góry. Chrząkam i kontynuuję: – W całym mieście rozmieszczono tabliczki związane z różnymi częściami historii. To naprawdę urocze.

– Naprawdę urocze? – powtarza z zachwytem Dusty. Prawdopodobnie dlatego, że w moich ustach te słowa brzmią jak jakieś starożytne przekleństwo po łacinie.

Mój głos wchodzi na wyższe tony.

– Tak!

Czuję się nieswojo, prosząc klientkę o przysługę, tym bardziej że muszę się przyznać do tego, że tu jestem – i że pracuję z Charliem osobiście.

Dusty jest zszokowana na wieść, że wyjechałam z miasta, a kiedy jej wyjaśniam, że przyjechałam tu z siostrą, jest prawie tak samo zszokowana informacją, że mam rodzeństwo.

Okazuje się, że moja najstarsza klientka wie o mnie tak naprawdę tyle, że nigdy nie opuszczam Nowego Jorku i zawsze jestem pod telefonem.

Po krótkim wprowadzeniu opowiadam jej o niedoli Goode Books i przedstawiam plan zbierania funduszy: zorganizujemy rozmowę z Dusty, w której będzie mógł uczestniczyć każdy, kto kupi książkę.

– To godzina z mojego życia – stwierdza. – Myślę, że mogę to zrobić. Dla dobra świata.

– Mówiłam ci ostatnio, że jesteś moją najlepszą klientką? – pytam.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś – stwierdza. – Przysyłaś mi jednak od lat bardzo drogiego szampana, więc sama na to wpadłam.

– Gdy zakończymy pracę nad *Lodowatą*, przyślę ci cały basen szampana.

Libby siada na swoim kocu i celuje we mnie palcem. „Widzisz? Park wodny z alkoholem”, mówi bezgłośnie, zwycięsko, a potem zrywa się na równe nogi i wpada do domu, żeby zadzwonić do Sally i przekazać jej dobre wieści.

Wczoraj pękłam i zadałam Brendanowi pytanie, czy coś się między nimi dzieje, a on po prostu nie odpisał, ale staram się na tym nie skupiać.

– Mogę cię o coś spytać, Dusty? – odzywam się.

– Oczywiście! Pytaj.

– Dlaczego Sunshine Falls?

Zastanawia się przez chwilę.

– Chyba dlatego, że jawiło mi się jako miejsce, które z pozoru może się wydawać jakieś tam, ale po bliższym poznaniu okazuje się zupełnie inne. Gdybyś się wykazała cierpliwością, by je zrozumieć, mogłabyś uznać, że jest piękne.

* * *

W ciągu następnych kilku dni przez księgarnię przewijają się Sally, Gertie, Amaya i cała masa na poły znanych mi ludzi, a robią to w ramach przygotowań do balu.

Wreszcie mogę się skupić na swojej pracy, tymczasem Libby znajduje się w samym cyklonie planowania imprezy – ciągle pojawia się i znika, a także rozmawia głośno przez telefon do czasu, aż ściąga na siebie spojrzenia niezadowolonych klientów.

Charlie i ja pracujemy głównie przez internet. Jestem pewna, że gdybyśmy przebywali zbyt długo w jednym pomieszczeniu, Libby – a może także Sally – zorientowałyby się, co się dzieje, i szybko pojawiłyby się komplikacje.

Założyłam, że Libby nie aprobeuje Charliego, lecz teraz jakaś część mnie się zastanawia, czy nie

chodzi o coś innego. Może korzystanie z aplikacji randkowych w moim imieniu miało być dla niej samej jakimś początkiem, umożliwić jej rekonesans? Tak czy siak nie muszę się afiszować z tym romansem, skoro ona boryka się z kryzysem własnego związku.

Wszystko mi się wywraca w żołądku za każdym razem, gdy pozwalam sobie o tym myśleć, ale szczerze mówiąc, moja korespondencja mejlowa z Charliem jest wzorem profesjonalizmu. W przeciwieństwie do esemesów. Zdarza się, że muszę się wymykać z kwatery głównej Libby urzędzonej w kawiarni, by przeczytać je gdzieś, gdzie nikt nie zauważy, jak się rumienię.

W połowie przypadków Charlie mnie przechwytuje i chowamy się gdzieś w zakamarkach księgarni, wykradając sekundy sam na sam. W przedsionku toalety. W dziale literatury dla dzieci. W ślepych zaułku działu literatury non-fiction. I chociaż nas tam nie widać, musimy być niemal całkowicie cicho. Pewnego razu wyciąga mnie przez zaplecze na uliczkę i zaczynamy się obłapiać, jeszcze zanim drzwi się za nami zamkną.

– Wyglądasz, jakbyś nie sypiał od lat – szepczę.

Chwyta mnie za pośladki i przyciąga do siebie, przysuwając mi usta do ucha.

– Sporo ostatnio myślę. – Wędruje dłońmi wyżej, drażni każdą wypukłość mojego ciała. –

Chodźmy gdzieś.

– Dokąd?

– Gdzieś, gdzie moja matka i twoja siostra nie mogą nas widzieć – odpowiada. – Ani słyszeć.

Oglądam się na drzwi, za którymi na białej tablicy wypisana jest składająca się z tysiąca punktów lista Libby i spółki.

Wszystkie posklejane superglue pęknięcia w moim sercu pulsują boleśnie, co wywołuje wrażenie blokady mózgowej. Chcę tego – chcę jego – ale nie wolno mi zapominać, co tu robię.

Patrzę w jego oczy koloru plastra miodu i czuję się tak, jakbym się w nich zanurzała po pas, bez nadziei na wydostanie się, zwłaszcza gdy jego dłonie wciąż mnie dotykają.

– Dokądkolwiek? – pytam.

– Gdzie tylko chcesz.

* * *

Libby tak głęboko weszła w tryb pracy, że nie nalega, by jechać z nami do Target. Zamiast tego wręcza nam pieniądze i listę zakupów na potrzeby organizacji balu. Sally zgadza się obsługiwać kasę, gdyby ktoś się pojawił, więc w końcu wsiadamy do starego buicka, którego Charlie pożycza na czas pobytu w miasteczku.

Klimatyzacja nie działa, słońce praży, a gorący wiatr pachnący trawą wyplątuje mi włosy z kucyka kosmyk za kosmykiem. Być może przez to wszystko chłodny powiew powietrza i czysta woń plastiku w Target są tym przyjemniejsze. Nie wydawało mi się, abyśmy spędzały na dworze nadmiernie dużo czasu, niemniej na ekranie monitoringu przy kasie samoobsługowej moja skóra wygląda na brązową, nos mam upstrzony piegami jak Libby, a włosy lekko pofalowane za sprawą wilgotnego powietrza.

Charlie przyłapuje mnie na tym, jak się sobie przyglądam.

– Myślisz o tym, jak seksownie i ekskluzywnie wyglądasz? – droczy się ze mną.

– Raczej – chwytam paragon – rozmarzyłam się na temat tego, jaki dam ci wycisk.

Oczy mu błyszczą.

– Jakoś to zniosę.

Jedziemy prosto do domu, a gdy wkraczamy w jego chłodną ciszę, uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie byliśmy z Charliem w takim stopniu sam na sam. No ale Libby będzie tu niedługo i istnieją – przynajmniej z pozoru – ważniejsze sprawy niż spocone miejsca na jego ciele, do których przywiera mu koszula.

– Możesz zacząć działać na podwórku – mówię i ruszam po schodach, żeby przynieść resztę potrzebnych rzeczy.

Gdy po chwili otwieram tylne drzwi nogą, z naręczem pościeli, widzę, że Charlie rozstawił już namiot.

- Zrobiłeś to. Zaimponowałeś mi – stwierdzam.
- I pomyśleć, że wydawało mi się, iż w celu ogłuszenia rekina należy go rąbnąć między oczy.
- Nie. Najlepszym sposobem jest radzenie sobie z prowizorycznymi domami.

Charlie kuca w namiocie i zaczyna rozwijać samopompujące się materace, które kupiliśmy w Target – owszem, Libby i ja zamierzamy spać w namiocie, ale nadal nazywamy się Stephens.

- Jakim cudem tak dobrze sobie z tym radzisz? – pytam.
- Gdy dorastałem, często biwakowałem z tatą.

Intensywne światło dnia każdą zmarszczkę na jego twarzy maluje czernią i sprawia, że jego oczy mają raczej barwę melasy niż miodu.

- Biwakowałeś od czasu powrotu? – dopytuję.
- Charlie kręci głową. Po kilku sekundach dodaje:
- On mnie tu nie chce.

Jego ton, brwi, usta – wszystko nabrało tego kamiennego charakteru, jakby recytował fakty, obiektywne prawdy, niemające na niego wpływu.

– Nie ucieszyli się, kiedy postanowiłem zostać w mieście, zamiast wrócić i pracować dla kogoś z nich.

Zastanawiam się, czy ludzie dają się nabrać. Czy za każdym razem, kiedy Charlie opowiada o rzeczach dla niego najważniejszych, świat widzi zimnego człowieka poddającego wszystko klinicznej analizie, a nie kogoś dążącego do zrozumienia i kontroli w świecie, w którym te rzadko się pojawiają.

Przełykam wywołującą ból gulę.

- Jestem pewna, że cię chcą, Charlie. Wydaje się, że chcieli od początku.

Ruchem brody wskazuje stół na tarasie, na którym leżą kupione przez nas przedłużacze.

- Możesz podłączyć pompę? – pyta.

Przez pierwsze kilka minut słuchamy w milczeniu buczenia pompy. Rozstawiam wyciągnięte z szafki wiatraki i podłączam je do listwy zasilającej. Charlie rozkłada na materacu pościel, a ja rozwieszam moskitierę i papierowe lampiony oraz rozmieszczam w równych odległościach świece odstraszające komary.

Milczymy tak długo, że nie mogę już tego znieść.

- Charlie... – odzywam się.

Zerka na mnie przez ramię, a następnie siada na skraju materaca.

- Twój tato na pewno jest wdzięczny, że tu jesteś – mówię. – Oboje są wdzięczni.

Grzbietem dłoni ociera pot z czoła.

– Gdy mu powiedziałem, że zostanę na jakiś czas, odparł, cytując: „Synu, jak ci się zdaje, co możesz tu robić?”. Zaznaczę, że podkreślenie było jego.

Siadam na tarasie przed nim i zakładam nogę na nogę.

- Nie jesteście ze sobą zżyci?

– Kiedyś byliśmy – odpowiada. – Nadal jesteście. To najlepszy człowiek, jakiego znam. I ma rację, niewiele mogę zrobić, żeby mu pomóc. To Shepherd zajmuje się firmą, wykonuje prace konieczne przy domu. Ja mogę tylko prowadzić księgarnię.

Czuję ukłucie w sercu. Pamiętam to poczucie – że nie jestem dość dobra. Tak bardzo pragnęłam być tym, kogo Libby potrzebowała po stracie mamy, i raz po raz mi się to nie udawało. Nie potrafiłam być dla niej czuła. Nie umiałam przywrócić do naszego życia magii. Dysponowałam wyłącznie brutalną siłą i desperacją.

Staralam się jednak sprostać wspomnieniu, fantomowi kogoś, kogo obie kochałyśmy.

Teraz widzę to, czego wcześniej nie dostrzegałam. Charlie nie tylko nigdy nie czuł się na miejscu, ale również widział, jak by to wyglądało, gdyby na tym miejscu był. W danym momencie nie przejęłam się zbytnio tym, co widziałam, kiedy Shepherd stał w salonie z Clintem – są nie tylko podobnego wzrostu i budowy, ale mają takie same zdolności. Wyglądają podobnie. Mają zielone oczy, blond włosy, brodę.

Wchodzę do namiotu i siadam obok niego. Materac ugina się pod moim ciężarem.

- Jesteś jego synem, Charlie.

Przesuwa rękami po udach, wzdycha.

– Nie jestem w tym dobry. – Ugniata brwi, a potem kładzie się na materacu i patrzy na niebo przez baldachim z moskitiery (zasugerował, że ten kompromis nadal pozwoli mnie i Libby spać pod gołym niebem). – W życiu nie czułem się tak bezużyteczny. Ich życie się wali, a ja mogę co najwyżej otwierać codziennie sklep o tej samej porze.

– Z tego, co mówiłeś, wynika, że to wielka poprawa. – Gdy przysuwam się bliżej, jego ciepły zapach mnie otula, wzmacniany przez słońce. Nad nami chmury jak z waty cukrowej suną po błękitnym niczym chabry niebie. – Nie jesteś bezużyteczny, Charlie. Spójrz tylko na to wszystko.

Patrzy na mnie znacząco.

– Umieję rozstawić namiot, Noro. To nie jest warte Nagrody Nobla.

Kręcę głową.

– Nie o to mi chodziło. Jesteś... – Szukam właściwego słowa. Rzadko kiedy przychodzi mi to z takim trudem. – Zorganizowany.

W jego oczach błyska światło, kiedy się śmieje.

– Zorganizowany?

– Wyjątkowo – zapewniam go z kamienną twarzą. – Że nie wspomnę o twojej drobiazgowości.

– Brzmi, jakbyś traktowała mnie jak kontrakt – rzuca rozbawiony.

– A wiesz, jaki mam stosunek do dobrego kontraktu – zauważam.

Kąciki ust podjeżdżają mu wyżej.

– Wiem, jaki masz stosunek do kiepskiego kontraktu napisanego na mokrej chusteczce. – Wyciąga się wygodnie i ja też to robię, zostawiając między nami zdrowy dystans.

– Dobry kontrakt jest... – Zastanawiam się przez chwilę.

– Uroczy? – podsuwa kpiarsko Charlie.

– Nie.

– Urodziwy?

– Co najmniej – odpowiadam.

– Czarujący?

– Seksowny jak diabli. Nie sposób mu się oprzeć. Jest listą świetnych cech i działających kompromisów, które czuwają nad wszystkimi zaangażowanymi stronami. Jest... satysfakcjonujący, nawet jeśli nie jest tym, czego oczekujesz, bo ciągle nad nim pracujesz. Przerabiasz go w tę i we w tę, aż wreszcie wszystkie detale wyglądają, jak należy. – Zerkam na niego spod oka. Przygląda mi się. Zdrowy dystans między nami dostał gorączki. – O co poszło z Amayą? – pytam, zanim zdążę się rozmyślić.

Kąciki ust Charliego opadają.

– O co pytasz?

– O to, że prawie się z nią ożeniłeś. Co poszło nie tak?

– Wiele rzeczy.

– Byłeś zbyt otwarty? – droczę się z nim.

Jego wydęte wargi układają się w ten charakterystyczny uśmiešek.

– A może nie była wystarczającą mądralą jak na mój gust?

Oboje przenosimy spojrzenie na puszyste chmury.

– Zaczęliśmy się spotykać w liceum – podejmuje. – Potem wyjechała na uniwersytet w Nowym Jorku. Po krótkim czasie w college’u pojechałem za nią.

– Twoja pierwsza miłość? – domyślam się.

Potakuje.

– Po skończeniu studiów pragnęła odwiedzić różne miejsca w Asheville. Nie przyszło mi do głowy, że będzie chciała tu wrócić, a jej, że ja nie będę chciał. Komunikacja między nami była na tyle kiepska, że nie poruszaliśmy tego tematu.

– Próbowaliście związku na odległość? – pytam.

– Przez rok. To był najgorszy rok w moim życiu.

– To się nigdy nie udaje – przyznaję.

– Każdy dzień jest jak rozstanie. Bezustannie zawodzicie siebie nawzajem albo się ograniczacie. Gdy w końcu się rozstaliśmy, mama miała złamane serce. Powiedziała mi, że popełniam takie same

błędy jak ona i że skończę sam, jeżeli nie popracuję nad swoimi priorytetami.

– Chciała po prostu, żebyś wrócił – zauważam. – Amaya była najszybszą drogą do tego celu.

– Może – wzdycha, jakby z rezygnacją. – Przez kilka miesięcy prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, a potem... – Waha się. – Na święta wróciłem do domu i dowiedziałem się, że kilka tygodni po naszym rozstaniu Amaya zaczęła się spotykać z moim kuzynem. Właśnie o tym chciała porozmawiać, żeby oczyścić atmosferę.

Unoszę się na przedramionach, zaskoczona.

– Czekaj. Twoja była narzeczona spotykała się z twoim kuzynem? Z Shepherdem?

Charlie potakuje.

– Rodzina ustaliła, że nie będą mi nic mówić, ale ja i tak się dowiedziałem. No i znowu się posprzeczailiśmy.

Proszę, kolejny element wskakuje na swoje miejsce.

– Tutaj człowiek nie ma nieograniczonych możliwości – mówi dalej – więc chociaż nie miałem im tego za złe, równocześnie...

– Pieprzyć to? – domyślam się.

Przeczesuje palcami włosy i podkłada dłoń pod głowę.

– Sam nie wiem. Ona zasługuje na szczęście. Z Shepherdem miała na nie większe szanse.

– Dlaczego? – pytam, a gdy Charlie patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami, jakby nie zrozumiał, wyjaśniam: – Niby dlaczego Shepherd ma większe szanse kogoś uszczęśliwić?

– Daj spokój, Stephens – odpowiada cierpko. – Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, co mam na myśli.

– Zdecydowanie nie wiem – upieram się.

– Twoje archetypy. Schematy. To jest facet, na którego leci każda kobieta. Syn, jakiego pragnęli moi rodzice, pracujący na pełen etat na stanowisku, jakie ojciec wymarzył sobie dla mnie. W wolnym czasie robił pieprzone bujane fotele. Nawet studiował na wybranej przeze mnie uczelni.

– Cornell? – upewniam się.

– Grał tam w football – wyrzuca z siebie Charlie. – Ale jest też cholernie bystry. Spotkałeś się z nim... Sama wiesz.

– Owszem, spotkałam się. I dlatego mogę powiedzieć, że się mylisz. Nie co do tego, że jest bystry, ale że ma większe możliwości uszczęśliwienia kogoś.

Jego uśmiech blednie. Charlie przenosi spojrzenie na niebo.

– No cóż – mruczy. – Amaya przynajmniej uznała, że to ma sens. Kiedy się rozstawaliśmy, jedną z ostatnich rzeczy, jakie mi powiedziała, było: „Jeśli zostaniemy razem, każdy dzień do końca naszego życia będzie taki sam”. I nie po raz ostatni słyszałem coś takiego w mowie pożegnalnej. – Kręci głową. – W każdym razie właśnie po to chciała się spotkać. Żeby przeprosić mnie za to, jak to się zakończyło.

Czuję, że się rumienię.

– To urocze, że tak myślisz, Charlie – mówię. – Niemniej sądząc po tym, jak na ciebie patrzy, jestem pewna, że powtarzalność dni już jej tak nie odstręcza.

– Nie chodziło tylko o to, że jestem dla niej nudny. Postanowiła również, że chce mieć dzieci, albo po prostu przyznała się do tego, i czekała, aż zmienię zdanie.

Przewracam się na bok i patrzę na niego.

– Nie zmieniłeś?

– Nienawidziłem być dzieckiem. – Charlie podkłada ręce pod głowę i zerka w moją stronę. – Nie miałbym pojęcia, jak przeprowadzić kogoś przez ten okres. I na pewno nie sprawiałoby mi to przyjemności. Lubię dzieci, ale nie chcę być za żadne odpowiedzialny.

– Zgadzam się z tobą – oznajmiam. – Kocham swoje siostrzenice najbardziej na świecie. Za każdym razem, gdy Tala zasypia mi na kolanach, jej tacie stają łzy w oczach i pyta: „Czy w takich chwilach nie chciałabyś mieć własnego dziecka, Noro?”. Tyle że gdy ma się dzieci, one na ciebie liczą. Zawsze. Każdy twój błąd, każda porażka... A jeśli coś by ci się stało... – Gardło mi się zaciska. – Ludzie lubią zapamiętywać dzieciństwo jako magiczny czas pozbawiony obowiązków, ale przecież tak nie jest. Człowiek nie panuje nad swoim środowiskiem. Wszystko zależy od dorosłych i... sama nie wiem. Za

każdym razem, gdy Libby rodzi kolejne dziecko, czuję się tak, jakby w moim sercu istniał magiczny dom, w którym powstaje nowy pokój dla tego maleństwa.

– To zawsze boli. Jest przerażające. Pojawia się kolejna osoba, która cię potrzebuje.

Kolejna rączka trzymająca twoje serce w garści.

Nabieram powietrza.

– Mogę ci coś powiedzieć? Zdradzić kolejny sekret?

Charlie przewraca się na bok i przygląda mi się, mrużąc oczy przed światłem.

– Wracamy do kwestii zabójstwa JFK?

Kręcę głową.

– Mam wrażenie, że Libby chce się rozwieść.

Ściąga brwi.

– Masz wrażenie?

– Jeszcze mi o tym nie powiedziała – wyjaśniam. – Ale nie odbiera telefonów od Brendana i kiepsko sypia. Nie miała z tym problemów, odkąd... – Obecność Charliego mnie odkorkowała. Skupia moją uwagę na sobie w taki sposób, że trudno mi myśleć do przodu, zabezpieczyć się przed możliwymi scenariuszami.

A może przez to, że naprawdę jest taki zorganizowany i drobiazgowy, łatwo uwierzyć, że mogłby rozwiązać każdy problem samą siłą woli, i tym samym człowiek czuje, że może bezpiecznie odkryć przed nim swoje chaotyczne uczucia.

– Od śmierci mamy? – kończy za mnie.

Przytakuję i wodzę palcami po chłodnej poduszce między nami.

– Od zawsze rzeczywiście liczy się dla mnie dbanie o to, żeby Libby miała wszystko, czego potrzebuje. A teraz przechodzi zmianę w życiu i... nie mogę nic zrobić. Nawet mi o tym nie powiedziała. Więc jeśli ktokolwiek jest bezużyteczny...

Jego dłoń przesuwa się po moich plecach, lekko, kojąco, i zatrzymuje pod włosami.

– Może robisz już to, czego od ciebie potrzebuje. Jesteś tu z nią.

Spoglądam na niego, czując się pokrzepiona. Serce mi rośnie.

– I może to jest wszystko, czego potrzebuje od ciebie twój tata.

Delikatnie ściska mi kark, a potem opuszcza rękę.

– Różnica polega na tym, że Libby cię poprosiła, żebyś tu była. On prosił mnie o coś przeciwnego.

– Jeśli tylko tego potrzebujesz – mówię cicho, jakby to była tajemnica – możesz tu być, proszę?

Charlie pochyla się do przodu i całuje mnie delikatnie, jego palce muskają linię mojej szczęki, a ja napawam się zapachem jego miętowego oddechu i ciepłej skóry. Gdy się odsuwa, jego oczy przypominają płynne złoto, a moje nerwy drżą pod ich spojrzeniem.

– Tak. – Przyciąga mnie do siebie, obejmuje mnie i wtula brodę w moje ramię. – Już ci mówiłem, Noro – mruczy, rozłożywszy palce na moim brzuchu, pod bluzką. – Pójdę z tobą wszędzie.

Czasami, nawet jeśli zaczniesz lekturę od ostatniej strony i zdaje ci się, że wiesz wszystko, książka i tak znajdzie sposób, by cię zaskoczyć.

– Dlaczego ręce tak ci pachną? – pyta Libby, kiedy wyprowadzam ją przez tylne drzwi, zasłaniając jej oczy dłońmi.

– Niczym nie pachną – oponuję.

– Pachną – upiera się. – Jakby nowym telewizorem.

– Nie ma czegoś takiego – przekonuję ją.

– Właśnie, że jest. Zapach nowego telewizora.

– Chodziło ci chyba o zapach nowego samochodu.

– Nie. Chodziło mi o to, że kiedy się otwiera pudło z telewizorem i wyciąga styropianowe zabezpieczenia, czuć zapach basenu.

– To dlaczego nie powiedziałaś, że pachnę basenem?

– Kupiłaś nam wielgachny telewizor?

– Wiesz co, darujmy sobie te tajemnice. – Odsuwam ręce, a ona się drze.

Charlie podskakuje, jakby rzuciła w jego stronę bezcennym wazonem.

– Siostra! – Libby odwraca się w moją stronę, a potem w drugą. – Charlie! – I znowu do mnie: – Biwak?!

Wzruszam ramionami.

– Mamy to na liście.

Obejmuje mnie i wydaje z siebie kolejny wysoki pisk.

– Dziękuję ci, siostrzyczko! Dziękuję!

– Dla ciebie wszystko – mówię i patrząc nad jej ramieniem w oczy Charliego, dodaję bezgłośnie:

– Dziękuję.

Robi mu się dołek w brodzie, kiedy się uśmiecha.

– Dla ciebie wszystko – odpowiada również bezgłośnie.

Coś ciężkiego obraca się w mojej klatce piersiowej.

* * *

Budzę się dwukrotnie, łapiąc powietrze. Za drugim razem Libby się odwraca, przez sen zarzuca na mnie rękę i kopie mnie niechcący.

Nawet pomimo strategicznie rozmieszczonych wiatraków pod namiotem jest nieprzyjemnie gorąco, ale jej nie odsuwam. Kładę dłoń na jej ręce i przyciskam ją do siebie.

Zaopiekuję się tobą, obiecuję jej w duchu.

Nie pozwolę, by stała ci się jakakolwiek krzywda.

Tym razem to ja wstaję pierwsza. Rezygnuję z biegu, biorę prysznic i nagrzewam piekarnik.

Ciasteczka kukurydziano-limonkowe są gotowe, zanim Libby się budzi. Zjadamy je na śniadanie z kawą.

– Jesteś pełna niespodzianek – oznajmia Libby i udaje, że nie zauważa, że ciasteczka są grudkowate i przypalone przy brzegach.

W tym scenariuszu to moje ciasteczka są kiepskim rysunkiem z czapką przypominającą penis, ale się tym nie przejmuję. Moja siostra jest zadowolona.

Kiedy idę do Goode Books, przychodzą końcowe strony *Lodowatej*. Oficjalnie weszliśmy na ostatnią prostą.

Jeśli Charlie i ja nie przebywamy w jednym pokoju, piszemy do siebie mejle dotyczące tekstu. A gdy nie korespondujemy na tematy zawodowe, piszemy esemesy na wszelkie inne.

We wtorek chwytam byka za rogi i zamawiam sałatkę z Poppa Squat. Wysyłam mu zdjęcie potworności z pokrojoną w kostki szynką, którą stawia przede mną Amaya.

Chyba nie doceniałem twoich zapędów sadomasochistycznych, Stephens – pisze.

Następnego dnia przysłała mi rozmazaną fotografię pary staruszków, którzy się kłócili w ratuszu;

obejmują się namiętnie przed nowym lokalem Dunkin' Donuts. Zdaje się, że miłość wszystko zwycięża – komentuje.

Albo znalazła dyskretny sposób na to, by go udusić – odpisuję.

Jaki masz piękny skrzywiony umysł, Noro.

Pewnego wieczoru zagłada do nas z drewnem obiecany przez Sally, a także dostawą innych artykułów, i pomaga nam rozpalić ognisko, mimo że teoretycznie jest na to za gorąco.

Gdy już siedzimy wokół ognia i pieczemy pianki, Libby oznajmia:

– Stwierdzam, że jednak cię lubię, Charlie.

– Czuję się zaszczycony – odpowiada.

– Niesłusznie – informuję go. – Ona lubi wszystkich.

Libby sięga do torebki po pianki i rzuca jedną we mnie.

– Nieprawda! – woła. – A moja wendeta przeciwko gościowi z reklam Trivago?

– Jeden nieprzyjemny sen erotyczny to nie wendeta – zauważam.

– Miałem kiedyś sen erotyczny o zielonym m&m – mówi Charlie obojętnie.

Libby i ja parskamy śmiechem.

– Okej – odzywa się moja siostra, gdy już dochodzi do siebie. – Ona to zniesie. Jest cholernie cudowna.

– Cholernie cudowna – zgadza się Charlie i patrzy mi w oczy znad płomieni. – To brzmi o wiele lepiej niż „urocza”.

Zamierzamy dokończyć w sobotę temat uwag do ostatniej części książki. Aż do tego momentu każda chwila wydaje się odliczaniem. Czasami chciałabym grać na zwłokę. Albo przepchnąć piasek z powrotem przez wąską część klepsydry.

Śle do mnie teksty w rodzaju: Jasny gwint, strona 340.

I płonie.

I ten kot!

Odpisuję coś w stylu: KRZYCZAŁAM.

Najlepszy kawałek.

I kot zostaje.

Co on kwituje stwierdzeniem: Zgoda.

Zdarza mu się napisać tylko: Noro.

Charlie – wklepuję w odpowiedzi.

Wtedy on pisze: ta książka.

A ja: ta książka.

Dobija mnie, że nie wiem, jak się kończy – informuję go.

A mnie dobija, że się kończy. Gdybyśmy jej razem nie redagowali, nie doczytałbym jej.

Naprawdę? Panujesz nad sobą aż do takiego stopnia?

Czasami. A po chwili przysyła kolejnego esemesa: Mam całe ulubione serie, w których nie przeczytałem ostatniego rozdziału. Nie znoszę, kiedy coś się kończy.

W jednym momencie odnoszę wrażenie, jakbym miała poparzone serce, piecze mnie każdy jego centymetr.

Ta książka, ta praca, ten wyjazd, te niekończące się, uprawiane przez całe dni rozmowy. Chciałabym, żeby to wszystko trwało, i muszę się dowiedzieć, do czego prowadzi. Chcę to skończyć i jednocześnie pragnę, by trwało wiecznie.

Jeżeli myślałam, że spało mi się źle przez pierwsze dwa tygodnie pobytu tutaj, trzeci tydzień zaciera to wrażenie. Każdego wieczoru piszemy do siebie co najmniej do północy, a niekiedy rozmawiamy krótko, żeby obgadać pewne punkty akcji, przez co mam tyle energii, że muszę się przespacerować po łące, by ochłonić.

Przez te wszystkie lata żyłam w przekonaniu o swoim nadludzkim opanowaniu, a teraz uzmysławiam sobie, że po prostu nigdy nie postawiłam przed sobą czegoś, czego bym rozpaczliwie pragnęła.

Dotarłam jednak do czwartkowego wieczoru, a to oznacza, że za dwa dni dokończymy listę

poprawek. Dzieli mnie tydzień z kawałkiem od powrotu do miasta, gdzie zacznie się Przyszłość, o której
Zgodziliśmy się nie Rozmawiać. Przyszłość stanie się terażniejszością, a ta przeszłością.
Tyle że jeszcze nie teraz.

Libby i ja podchodzimy do ogrodzenia z selerem naciowym, marchewkami i kostkami cukru, ale mimo że staramy się mówić do koni jak do dzieci, nie udaje się nam ich przywabić.

– Myślisz, że wiedzą, że jesteśmy z city? – pytam.

– Nadal czują od ciebie kosmetyki do stylizacji włosów Drybar – odpowiada.

Przykładam dłonie do ust i krzyczę w stronę ciemniejszego pastwiska:

– To jeszcze nie koniec! Wrócimy tu!

Wracamy do domu, a tam stwierdzamy, że jesteśmy zbyt głodne, żeby gotować, więc idziemy do miasta, do Poppa Squat, na frytki serowe i kalafiora w panierce.

Przez całą drogę Libby jest nieco roztrzęsiona. W świetle latarni widać, że opuściła królestwo bladej i wkroczyła w krąg upiorności.

W poświęceni witryn Goode Books Charlie zamyka księgarnię.

– Zaprośmy go na kolację! – woła moja siostra, po czym odrywa się ode mnie i przechodzi przez ulicę.

Jestem pewna, że pomimo naszych starań o zachowanie dyskrecji zauważyła, co się między nami dzieje, ale od czasu, gdy Charlie pomógł przy biwaku niespodziance, Libby zachowuje wszelką krytykę dla siebie.

Łomocze w drzwi księgarni z gwałtownością agentki FBI, aż Charlie znowu się pojawia. Wygląda tak jak zawsze: jest schludny, przepracowany, dobrze ubrany i ma minę, jakby chciał mnie ugryźć w udo.

– Przyszliśmy zaprosić cię na kolację. – Libby wciska się do środka i zmierza w stronę toalety, jak to ma ostatnio w zwyczaju. – Idziemy do Poppa Squat! – krzyczy.

– Może słyszałeś o tym lokalu – odzywam się. – Znalazł się na bardzo ekskluzywnej liście BuzzFeed.

Powolne skinienie głową, rozpuszczające trzewia spojrzenie. Wytrzymywanie go jest jak publiczne uprawianie nieprzyzwoitego aktu.

– To lista „Miejsc, które na pewno zafundują ci biegunkę”?

– Właśnie tak – rzucam.

Charlie otwiera mi szerzej drzwi, lecz w tym momencie dzwoni mój telefon. Odruchowo zerkam na wyświetlacz. To Sharon. Ale przecież jest na urlopie macierzyńskim.

– Powinam odebrać.

Libby zatrzymuje się i odwraca do mnie.

– Żadnych telefonów związanych z pracą po siedemnastej – przypomina mi.

– To co innego – mówię, podczas gdy dzwonek szarpie mi nerwy jak odgłos przeciągania paznokciami po tablicy. – To może być coś ważnego.

Libby zaciska usta.

– Noro.

– Daj mi chwilę, Lib – proszę, a gdy otwiera szeroko oczy, słysząc zdenerwowanie w moim głosie, tłumaczę: – Przepraszam. Po prostu... muszę... odebrać.

Ruszam ciemną ulicą i odbieram z walącym sercem.

– Sharon? Wszystko w porządku?

– Cześć! Tak – mówi wesoło. – Wszystko w porządku. Przepraszam, że cię niepokoję, ale mam pytanie.

Napięcie spada z moich barków.

– Jasne. Jak mogę ci pomóc?

– Nie mogę wyjawiać zbyt wielu konkretów – zaczyna – ale... możliwe, że Loggia zatrudni niebawem nowego redaktora.

– O? – Ściska mnie w żołądku. Na przestrzeni lat odbyłam wystarczająco dużo takich rozmów,

by wiedzieć, do czego zmierza. Sharon odchodzi, a raczej nie wróci po urlopie macierzyńskim.

– Tak – kontynuuje. – Na to się zanosi. I wiem, że jesteś świetną agentką, tyle że rozmawiałam z Charliem i on mówił, że jesteś naprawdę pomocna przy nadawaniu kształtu książce Dusty.

– Z nim to jest łatwe – stwierdzam. – Z nią również.

– Oczywiście – przyznaje Sharon. – No ale zawsze miałaś do tego smykałkę. I tak się zastanawiam, czy może byłabyś zainteresowana...

– Zainteresowana?

– Redagowaniem – odpowiada. – Dla Loggia.

Zdaje się, że milczę zdumiona zbyt długo, bo Sharon pyta:

– Halo? Rozłączyłaś się?

W ustach mi zaschło.

– Jestem – odzywam się słabo.

Pewnie tak się czują kobiety, kiedy odchodzą im wody płodowe. Noszą w sobie przyszłość, która nagle z nich wypływa, nieważne, czy jest już na to gotowa.

– Chcesz, żebym była redaktorką?

– Chciałabym, żebyś przyszła na rozmowę, tak. Zrozumiem jednak, jeśli nie jesteś zainteresowana. Wyrobiłaś sobie renomę jako agentka i jesteś w tym świetna. To może nie mieć dla ciebie sensu.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich najmniejszy dźwięk.

Jestem zaskoczona.

– Nie muszę znać w tej chwili konkretnej odpowiedzi – kontynuuje – ale jeśli jesteś choć trochę zainteresowana...

Spodziewam się, że będę musiała przepłynąć przez zupę własnych myśli i uczuć, zakasać ostro, żeby wydobyć z siebie słowa. Tymczasem słyszę swój głos, jakby dobiegał z tunelu:

– Tak.

– Tak? – upewnia się Sharon. – Spotkasz się z nami?

Ściskam grzbiet nosa, czując w czaszce narastające ciśnienie. To nie jest decyzja, którą się podejmuje tak po prostu. Zwłaszcza kiedy siostra przeżywa kryzys.

– Chciałabym to przemyśleć – zabezpieczam się. – Mogę do ciebie zadzwonić za kilka dni?

– Oczywiście – odpowiada. – Oczywiście! To będzie ważna decyzja. Ale przyznaję, że kiedy Charlie powiedział, że możesz być zainteresowana, bardzo mnie to ucieszyło.

Reszty w zasadzie nie słyszę. Mój umysł zamienił się w jedną z tych korkowych tablic FBI, na których zaczepia się czerwony sznurek o każdą pinezkę, jaką się znajdzie, usiłuje połączyć się elementy i utworzyć z nich niczym niezakłócony wzorzec. Szukam dowodu, że to się może udać, że mogę to mieć, że to nie jest zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Po zakończeniu rozmowy siadam na ławce pod latarnią i czekam, aż oszołomienie ustąpi. Mija sześć pełnych minut, a ja wciąż czuję się jak w szklanej kuli – wszystko wokół wydaje się surrealistycznie powykrzywiane i zniekształcone. Kiedy w końcu wracam, dzwonek nad wejściem do księgarni dobiega jakby z odległości dwóch kilometrów, za to głos Libby jest bliski i wibrujący.

– Przyszłaś. Wreszcie – mówi. – Możemy już iść na kolację? – dodaje z wyraźną irytacją. – Czy może musisz się udać na zebranie zarządu?

Czuję się krucha, rozciągnięta w zbyt wielu kierunkach, a kiedy siostra przewraca oczami, coś we mnie pęka.

– Możesz tego nie robić, Libby? Nie teraz.

– Czego niby? Powiedziałaś, że po siedemnastej będziesz w pełni obecna i...

– Przestań. – Unoszę rękę. Rzeczywistość atakuje mnie z każdej strony.

Bo nawet jeśli chcę tej pracy, nie mogę jej mieć.

Podobnie jak nie mogłam poprzednio. Ale wtedy przynajmniej Libby powiedziała mi, przez co przechodzi. Nie rzucałam rzutkami na oślep z nadzieją, że zatkają otwory w tonącym statku.

– Co się z tobą dzieje? – pyta z uniesionymi brwiami. Na jej twarzy wściekłość miesza się z konsternacją.

Wzbiera we mnie niemożliwa do zatrzymania fala.

– Ze mną? – powtarzam. – To nie ja przemykam się chyłkiem, znikam, nie odpowiadam na esemesy od męża, mam tajemnice. Byłam w pełni obecna, Libby, przez miesiąc, a ty przez cały czas trzymasz mnie w niewiedzy! – Mój puls pędzi jak oszalały. Palce mnie świerzbią. – Nie pomogę ci, jeśli mi nie powiesz!

– Nie chcę twojej pomocy, Noro! – Blednie i zaczyna się kołysać. – Wiem, że często na tobie polegałam, i przepraszam cię za to, ale nie chcę być znowu powodem, dla którego nie masz życia...

– Tak? – Gotuję się. – Nie mam życia?! Liczy się dla mnie wyłącznie kariera? Wiesz co, Libby? Gdyby to było prawdą, byłabym w tej chwili redaktorką! Nie zrezygnowałabym z pracy, której pragnęłam, żeby móc ci zapewnić najlepszą doułę na Manhattanie!

Twarz jej pobieliała, brwi ma mokre.

– Cz-czekaj... t-ty... ty... – Oddycha płytko. Odwraca się, kładzie rękę na ładzie. Drugą podnosi do czoła i spuszcza drżące powieki. Kręci głową i dochodzi do siebie.

– Libby? – Robię pół kroku w jej stronę. Serce mam w gardle.

I wtedy Libby upada.

Łapię ją, lecz nie jestem dość silna, by ją utrzymać.

– Pomocy! – krzyczę, kiedy osuwamy się na ziemię. Udało mi się złagodzić impet upadku.

Drzwi biura się otwierają, ale ja nadal piszczę „pomocy!”, jakby mój wrzask mógł coś zdziałać, jakby miał jakąś moc. Czyn nad bezczynnością. Ruch nad stagnacją. Iluzja kontroli.

Charlie podbiega do nas i kuca obok.

– Co się stało?

– Nie wiem... – mówię. – Libby... Libby!

Moja siostra unosi powieki, trzepocze nimi, po czym je zamyka. Boże, jaka jest blada. Czy była taka przez całe popołudnie? Serce bije jej jak oszalałe. Czuję, jak w niej dygocze. Dłonie ma lodowate. Rozcieram jedną z nich.

– Libby! Libby?

Ponownie otwiera oczy, tym razem wygląda przytomniej.

– Zabierzmy ją do szpitala – mówi Charlie.

– Nic mi nie jest – upiera się, tyle że drżącym głosem. Próbuje usiąść.

Kładę ją z powrotem na swoje kolana.

– Nie ruszaj się. Poczekaj chwilkę.

Kiwa głową i wtula się w moje objęcia.

Charlie zdążył już wstać i zmierza w kierunku drzwi.

– Przyprawdzę samochód.

* * *

To Charlie rozmawia z recepcjonistką pełnymi zdaniami po dotarciu do szpitala.

I to on mnie odciąga, kiedy prawie krzyczę, gdy pielęgniarka informuje nas, że nie możemy wejść za drzwi, za które Libby zostaje pospiesznie zabrana. Każe mi usiąść na krześle w poczekalni, obejmuje dłońmi moją twarz i obiecuje mi, że wszystko będzie dobrze.

Nie możesz tego wiedzieć, myślę. Ale jest tak pewny siebie, że prawie mu wierzę.

– Siedź tutaj – mówi. – Ja się tym zajmę.

Po siedmiu minutach wraca z kawą bezkofeinową, paczką chipsów jabłkowych i numerem sali, w której leży Libby.

– Robią jej badania. To nie powinno długo potrwać.

– Jak tego dokonałeś? – pytam chrapliwym głosem.

– Pisałem w liceum esej z jedną z tutejszych lekarek – wyjaśnia. – Powiedziała, że możemy poczekać przed salą do czasu, aż skończą ją badać.

Jeszcze nigdy nie czułam się taka bezużyteczna – ani tak wdzięczna za to, że nie muszę panować nad sytuacją.

– Dziękuję – skrzypię.

Charlie podsuwa mi chipsa.

– Powinnaś coś zjeść.

Przeprowadza mnie przez szpital, zatrzymując się po drodze przy automacie, by kupić wodę. Docieramy do pary niedorzecznie starych krzeseł w upiornie oświetlonym korytarzu cuchnącym środkami odkażającymi.

– Jest tutaj. Jeśli nie wyjdą w ciągu pięciu minut, poszukam kogoś, z kim będę mógł porozmawiać, okej? – mówi łagodnie. – Dajmy im pięć minut.

Po dwudziestu sekundach zaczynam chodzić w tę i z powrotem. Czuję ból w klatce piersiowej. Pieką mnie oczy, ale nie napływają do nich łzy.

Charlie mnie zatrzymuje, przyciąga do swojego torsu, kładzie dłoń na potylicy. Jestem mała, bezbronna, bezradna. Nie byłam taka od lat.

Nawet przed śmiercią mamy rzadko płakałam. Jeżeli w dzieciństwie się zdenerwowałam, nic nie wywoływało u mnie łez szybciej niż objęcia mamy. Bo wtedy – i tylko wtedy – wiedziałam, że mogę się bezpiecznie rozplakać.

„Moja słodka dziewczynko”, mówiła uspokajająco. Zawsze mnie tak nazywała. Nigdy nie bawiła się w: „Nic ci nie jest, nie płacz”. Zawsze słyszałam: „Moja słodka dziewczynko, wyrzuć to z siebie”.

Pamiętam, jak na pogrzebie oczy mi się zaszkliły, w głębi nosa czułam buzowanie, ale potem usłyszałam, jak Libby obok mnie się załamuje i zaczyna szlochać.

Pamiętam też, że wstrzymałam oddech, jakbym czekała.

I uświadomiłam sobie, że czekam.

Na nią.

Na to, że mama nas obejmie.

Libby popadała w rozpacz, ale mama nie przychodziła.

Wtedy poczułam, jakby zburzony zamek z piasku wznosił się we mnie od nowa, moje serce ułożyło się w coś, co mogło uchodzić za mocne. Objęłam siostrę i usiłowałam wyszeptać: „Wyrzuć to z siebie”, ale słowa nie przechodziły mi przez gardło.

Dlatego zbliżyłam usta do ucha Libby i szepnęłam:

– Hej, gdyby mama wiedziała, jaki atrakcyjny jest ten wielebny, pewnie zajrzałyby tu wcześniej.

Siostra popatrzyła na mnie oczami jak spodki, lśnącymi od łez, a po chwili zaśmiała się zgrzytliwie, na tyle głośno, że Atrakcyjny Wielebny pomylił kilka słów w swojej mowie.

Oparła mi głowę na ramieniu, wtuliła twarz w mój żakiet i pokręciła głową.

– To popieprzone – stwierdziła, drżąc z nabrzmiałego łzami śmiechu.

Przez chwilę wszystko było z nią w porządku. A teraz, kiedy mnie naprawdę potrzebuje, jestem beużyteczna.

– Dlaczego nie możemy być w sali w czasie badań? – pytam.

Charlie nabiera powietrza, przestępując z nogi na nogę.

– Może myślą, że będziesz jej podsuwać odpowiedzi – żartuje, jednak bez przekonania.

Gdy się od niego odsuwam, dociera do mnie, że on też nie radzi sobie najlepiej.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miał wymiotować.

– Po prostu nie lubię szpitali – mówi. – Nic mi nie jest.

– Nie musisz tu ze mną siedzieć.

Bierze mnie za ręce i trzyma je między naszymi klatkami piersiowymi.

– Nie zostawię cię tutaj.

– Poradzę sobie.

Zaciska usta, przez co zmarszczka pod jego dolną wargą się pogłębia.

– Wiem. Ale chcę tu być.

Gdy mija nas grupka pielęgniarek z noszami na kółkach, twarz Charliego szarzeje.

Zastanawiam się gorączkowo, co powiedzieć, czym zająć myśli.

– Dzwoniła do mnie Sharon – wypalam, a gdy on sznuruje usta, dodaję: – Powiedziała, że zgłosiłaś moją kandydaturę.

– Jeśli posunąłem się za daleko, przepraszam – mruczy po chwili.

– Nie chodzi o to. – Twarz mnie pali. – Tylko... co będzie, jeśli okażę się kiepska?

Przesuwa dłonie w górę moich ramion i obejmuje moją twarz.

– Niemożliwe.

Brwi unoszą mi się samowolnie.

– Bo pomogłam zredagować jedną książkę?

Kręci głową.

– Bo jesteś bystra i masz intuicję. Potrafisz wyciągnąć z autora to, co w nim najlepsze, i stawiasz pracę przed własnym ego. Wiesz, kiedy naciskać, a kiedy coś odpuścić. Można ci ufać, po części dlatego, że tak kiepsko kłamiesz, no i troszczysz się o to, na czym ci zależy. Jeśli miałbym wybrać tylko jedną osobę do swojego narożnika, byłabyś to ty. Za każdym razem. Bo umiesz się wszystkim zająć.

Wbijam wzrok w podłogę, czując ostre pulsowanie w piersi.

– Nie zawsze.

– Hej. – Szorstkie palce Charliego wracają do moich. Unosi moją dłoń i muska kostki ustami. – Dowiemy się, co się dzieje z Libby, i zrobimy wszystko, by to naprawić.

– Ta pieprzona lista. – Czuję na klatce piersiowej taki ucisk, że mogę z siebie wydobyć wyłącznie szept. – Robiła za dużo. Nie powinnam była jej na to pozwolić. Spałyśmy w upale i... pracowałyśmy przy zbiorce funduszy. A miała odpoczywać.

Charlie siada na krzeselku i bierze mnie na kolana. Wszelkie myśli o dyskrecji i unikaniu komplikacji pierzchają natychmiast. Dociera do mnie, że go potrzebuję – a on tu jest. W pełni, bez zastrzeżeń, bez warunków. Jego dłoń sunie po moich plecach, znika pod linią włosów, a ja wtulam się w niego, jakby był moją osobistą kamienną fortecą. Jakby nic nie mogło mi się stać, nawet gdybym się rozpadła na kawałeczki.

– Libby podejmuje decyzje za siebie – mówi. – Wyobraź sobie, jak byś zareagowała, gdyby ktoś próbował cię powstrzymać przed zrobieniem czegoś, czego chcesz, Stephens. – Na jego wydętych wargach tańczy cień uśmiechu. – Albo lepiej sobie tego nie wyobrażaj. Nie należy się podniecać w szpitalu.

Parskam słabym śmiechem w jego tors, a w mojej klatce piersiowej luzuje się kolejny węzeł.

– Coś przeoczyłam. To ja jestem tu z nią, nie Brendan i... – Głos mi się łamie, ale wyrzucam z siebie bolesną resztę: – Do mnie należy czuwanie nad nią.

– Wiem, że pobyt w tym miejscu przeraża. Ale to dobry szpital. Wiedzą, co robią. – Jego palce zataczają kojące regularne kręgi na moim karku. – To tutaj przywieźli tatę.

Nagle stają mi przed oczami słowa: „słodki facet” – jak powidok po błysku flesza.

Charlie tak nazwał ojca: „Słodki facet. Najlepszy człowiek, jakiego znam”.

– Co się stało? – pytam.

– Pierwszy udar nie był taki ciężki – odzywa się po dłuższej chwili. – Ale ten ostatni... Leżał w śpiączce przez sześć dni. – Przygląda się swojemu kciukowi, wodzącemu po moim kciuku, i ściąga mocniej brwi.

W dniu, w którym się poznaliśmy, błędnie odczytałam wyraz jego twarzy jako gburowaty, ponury – dowód na to, że jest serdeczny i ludzki jak blok marmuru. Teraz dostrzegam w jego oczach tylko zagubienie.

– Ten wielki zręczny facet, który potrafił wszystko naprawić, zbudować, w szpitalnym łóżku wyglądał... – Urywa, a ja wsuwam wolną dłoń w jego włosy u podstawy czaszki. – Wyglądał staro – kończy Charlie. – W dzieciństwie zawsze chciałem być jak on, ale nie byłem. On jednak sprawiał, że czułem się ze sobą okej.

Obejmuję dłońmi jego twarz i skłaniam go, by podniósł spojrzenie. Zastanawiam się, czy dostrzeże na moim obliczu każde słowo, bo czuję, że wypływają one z najgłębszych zakamarków mnie. „Jesteś więcej niż okej”.

Chrząka.

– Mój tata żyje dzięki lekarzom z tego szpitala. Z nimi i z tobą Libby jest bezpieczna. Na pewno.

Jakby na zawołanie z sali wychodzi łysiejący mężczyzna z kozią bródką i brwiami Salmana Rushdiego.

– Co z moją siostrą? – Zrywam się na równe nogi.

– Odpoczywa – odpowiada lekarz. – Udzieliła mi zgody, żebym porozmawiał z państwem obojgiem. – Kłania się Charliemu, który stoi obok mnie i ściska mnie za rękę, dając mi oparcie.

– Co się stało? – pytam.

Mój umysł natychmiast podsuwa mi wszelkie przypadłości, jakie zna.

Zawał serca.

Udar.

Poronienie.

A potem: ZATOROWOŚĆ PŁUCNA.

Słowa się powtarzają, odbijają echem. Sięgają ku początkom mojego życia, a potem ku jego zakończeniu. Są jak rozciągnięta sprężyna przeskakująca przez czas, która wszystko niszczy, wypacza

miejscami moje życie, rozrywa je.

Zator płucny.

– Pani siostra ma anemię – informuje tymczasem lekarz.

Słowa uderzają w ścianę. A może spadają z klifu – tak się czuję, jakbym przekroczyła krawędź i wisiała w powietrzu tuż przed upadkiem.

– W jej organizmie brakuje żelaza i witaminy B12 – tłumaczy. – Dlatego nie produkuje wystarczającej ilości zdrowych czerwonych krwinek. To częste w czasie ciąży, tym bardziej u kogoś, kto borykał się już z tym problemem przed poprzednim porodem.

– Libby tego nie miała – oponuję.

Zerka na wydruk na podkładce z klipsem.

– Niedobory nie były tak poważne, ale zdecydowanie były obecne. Rozmawiałem z jej położnikiem i wygląda na to, że stan pani siostry był stabilny w pierwszym trymestrze, chociaż mieli ją na oku od samego początku.

Znowu czuję mrowienie w palcach. Mój mózg stara się rozgonić dym, zacząć sporządzać listę, lecz mu to nie wychodzi.

– Co musimy zrobić? – pyta Charlie.

– To dość proste. Będzie musiała zażywać suplement z żelazem i w miarę możliwości jeść więcej mięsa i jaj. Podobnie w przypadku witaminy B12. Wydrukujemy dla państwa listę najlepszych źródeł obu składników, choć przypuszczam, że siostra pamięta je z poprzedniego razu.

Poprzedni raz.

To się już zdarzyło. Przeoczyłam to nie jeden, tylko dwa razy.

– Prawdopodobnie będzie miała mdłości, ale spożywanie mniejszych, a częstszych posiłków w ciągu dnia powinno pomóc. Chciałbym ją zobaczyć w przyszłym tygodniu, żeby się upewnić, że miewa się lepiej. Potem będzie musiała zgłaszać się na regularne kontrole do swojego lekarza aż do czasu rozwiązania.

To jest do zrobienia. Da się naprawić. Objąć listą.

– Dziękuję. – Ściskam mu dłoń. – Bardzo panu dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Uśmiecha się nadzwyczajnie serdecznym i cierpliwym uśmiechem. – A teraz proszę pozwolić pacjentce odpocząć. Pielęgniarka da państwu znać, kiedy możecie się zobaczyć.

Gdy lekarz odchodzi, czuję się wyczerpana, jakby zdjęto ze mnie ciężar ważący z pięćset kilogramów po tym, jak dźwigałam go godzinami.

– Wszystko okej?

Spoglądam na Charliego, który rozmazuje mi się przed oczami; widzę niewyraźnie.

– Oddychaj, Noro. – Chwyta mnie za ramiona i bierze przerysowany wdech.

Synchronizuję się z nim. Wykonujemy razem kilka oddechów, aż napięcie opada.

– Nic jej nie jest.

Potakuję, a potem pozwalam, by przyciągnął mnie do swojej klatki piersiowej i mocno objął.

Próbuję mu powiedzieć, że czuję ulgę, ale nie ma tu miejsca dla słów – ani dla logiki, rozumu, argumentów. Moje ciało już postanowiło, co będzie robić: nic, w objęciach Charliego.

Przywiera ustami do mojej skroni. Zamykam oczy i zalewa mnie fala ulgi. Unoszę się na niej, dryfuję w nurcie Charliego: w jego subtelnie korzennym zapachu, ciepłe skóry, delikatnej wełnianej dzianinie miękkiego swetra.

Przed oczami przelatują mi obrazy z mojego mieszkania. Żółtopomarańczowe światło latarni uwięzione w kroplach deszczu na szybie, szum samochodu rozchlapującego kałużę, syk grzejnika przy moich stopach w grubych skarpetkach. Zapach starych książek – i nowych – oraz wody toaletowej, której nuty, cedrowa i bursztynowa, mają przywoływać wyobrażenie skąpanych w słońcu bibliotek. Skrzypienie starych desek podłogowych, szuranie stóp, śpiewy podchmielonych imprezowiczów wracających z baru serwującego tequilę po drugiej stronie ulicy i kupujących po drodze kawałki ociekającej oliwą pizzy za dolara.

Niemal wierzę, że jestem tam. W moim domu, gdzie czuję się dość bezpiecznie, by się

zrelaksować, zrzucić z pleców stalowe obejmy, wysunąć się z surowego pancerza, żeby... osiąść.

– Nie jesteś bezużyteczny, Charlie – szepczę przy akompaniamencie równego bicia jego serca. –

Jesteś...

Nadal trzyma dłoń w moich włosach.

– Zorganizowany?

Uśmiecham się do jego klatki piersiowej.

– Jakoś tak – przyznaję. – Ale jeszcze znajdę właściwe słowo.

Otwieram oczy, słysząc skrzypienie drzwi. Pielęgniarka wygląda z sali Libby.

– Siostra może państwa przyjąć.

Libby siedzi na skraju łóżka, ubrana w fioletową sukienkę w grochy. Wygląda jak skarcone dziecko. Na jej ustach błąka się potulny uśmiech.

– Cześć.

– Cześć. – Zamykam drzwi i siadam obok niej.

– Dobrze się czujesz? – pyta po chwili.

– Libby, to nie ja zemdlałam i niemal rozbiłam sobie głowę o starą kasę.

Zagryza wargę.

– Jesteś wściekła. – Wykręca sobie dłonie na kolanach. – Że ci nie powiedziałam, że to już się kiedyś zdarzyło.

– Jestem... zaskoczona.

Zerka na mnie ukradkiem.

– A mnie zaskoczyło to, że nie powiedziałaś mi o szansie podjęcia pracy redaktorki.

– To było wiele lat temu. Najniższe stanowisko, kiepska płaca. I nie do końca chodziło o ciebie.

Miałam wiele powodów, by zostać w agencji.

Patrzy na mnie zażawionymi szafirowymi oczami. Jej brwi rozdziela zmarszczka.

– Powinnaś była mi powiedzieć.

– Tak – przyznaję cicho. – A ty mnie o tym wszystkim.

Libby wzdycha.

– Nie wiedział nikt z wyjątkiem Brendana. Chciał, żebym ci powiedziała, ale zdawałam sobie sprawę z tego, że się zdenerwujesz. A anemia to bardzo powszechna przypadłość. Mój lekarz jest pewien, że wszystko będzie dobrze. Nie chciałam cię obciążać.

Biorę ją za rękę.

– Libby, nie jesteś ciężarem. Jesteś najważniejsza – dodaję lekko. – Ważniejsza nawet od mojej kariery. I od rowerka stacjonarnego.

Prycha i cofa dłoń.

– Wiesz, jakie to budzi we mnie poczucie winy? Świadomość, że rzuciłabyś wszystko, żeby pokierować moim życiem? Zrezygnowałabyś z pracy marzeń, żeby mi... matkować? Czuję się taka nieporadna.

– Po prostu chcę być przy tobie – przekonuję ją.

– Nie powinnam być zawsze pierwsza, Noro – przekonuje łagodnie. – Podobnie jak twoje klientki.

– W porządku – rzucam. – Od tego momentu najważniejszy będzie mój sprzedawca bajgli. Ale ty jesteś zaraz po nim.

– Mówię poważnie. Mama miała zbyt wygórowane oczekiwania względem ciebie.

– A co mama ma z tym wspólnego? – dziwię się.

– Wszystko. – Zanim zdążę zaoponować, Libby mówi dalej: – Nie twierdzę, że ją obwiniam. Jej sytuacja była nieznośna, a ona i tak doskonale sobie z nami radziła. Co nie zmienia faktu, że niekiedy zapominała, kto powinien się nami opiekować.

– Lib, co też...

– Nie jesteś moim tatą – oznajmia.

– Od kiedy to jest istotne?

Znowu prycha i bierze mnie za rękę.

– Traktowała cię jak partnera, Noro. Traktowała cię, jak... jakby opieka nade mną należała do ciebie. Po jej śmierci pozwoliłam ci na to, ale minęły lata, a ty robisz to nadal. I jest to za trudne. Dla nas obu.

– To nieprawda – oponuję.

– Prawda. Do cholery, mam swoje córki i w niektóre dni szlocham, zasłaniając usta gąbką, bo

taka jestem przytłoczona. I może ukrywanie tego przed nimi też nie jest rozwiązaniem, ale nie wyobrażam sobie, bym zrzucała swoje zmartwienia na Talę lub Beę tak jak mama na nas. A w szczególności na ciebie. Było jej naprawdę ciężko, ale też była naszym jedynym rodzicem, o czym zdarzało się jej zapominać. I czasami traktowała cię, jakbyś była dorosła.

Przeszywa mnie lodowate ukłucie. Poczucie winy albo krzywdy bądź najzwyczajniejsza tęsknota za mamą, albo wszystko naraz zbite w sopel lodu w moim sercu wywołujący pieczenie, jakie może wywołać tylko zimno.

Jakby to, co najcenniejsze – jedyne, co cenne – w moim życiu zamarzyło tak głęboko, że całą mnie przenika pajęczyna lodu.

– Chciałam pomóc – odzywam się. – Zaopiekować się tobą.

– Wiem. – Podnosi moje dłonie i przyciska do swojej piersi na wysokości serca. – Zawsze to robisz. I kocham cię za to. Tyle że nie potrzebuję, żebyś była mi mamą, a już na pewno nie chcę, żebyś była moim tatą. Kiedy czasem ci mówię, co się dzieje, chciałabym, żebyś była moją siostrą i stwierdziła, że to jest do bani, a nie starała się to naprawić.

Dystans między nami. Wyjazd, lista, tajemnice. Widziałam w tym wszystkim małe wyzwania lub dowody na to, że jestem taką siostrą, jakiej Libby pragnie. Ale Charlie ma rację: ona pragnie wyłącznie siostry. Nikogo więcej. Ani mniej.

– To dla mnie trudne – przyznaję. – Nie znoszę poczucia, że nie mogę cię chronić.

– Wiem, ale... – Libby zamyka oczy, a kiedy znowu je otwiera, z trudem opanowuje łamiący się głos. Nasze dłonie drżą, tak mocno je ściskamy między sobą. – Nie możesz. I muszę wiedzieć, że poradzę sobie bez ciebie. Gdy straciłyśmy mamę, załamalam się, ale w ogóle się nie bałam o to, jak sobie poradzimy. Bo wiedziałam, że o wszystko zadbasz. I doceniam to do tego stopnia, że nie umiem tego wyrazić słowami.

– Mogłaś chociaż spróbować – żartuję cicho. – Dać mi jakąś kartkę albo coś.

Śmieje się przez łzy i cofa jedną rękę, by osuszyć oczy.

– W pewnym momencie muszę wiedzieć, że potrafię sobie poradzić sama. Bez pomocy Brendana lub twojej. A ty musisz zrobić w życiu miejsce dla innych rzeczy. I dla ważnych ludzi.

Przetykam ciężko ślinę.

– Nikt nie będzie się nigdy liczył tak jak ty, Lib.

– I wzajemnie – szepcze. – Z wyjątkiem mojego sprzedawcy bajgli.

Zarzuca jej ręce na szyję i obejmuję mocno.

– Proszę, kiedy znowu przyplącze ci się jakaś choroba lub niedobór witamin, powiedz mi o tym – mówię w jej cukierkowe włosy. – Nawet jeśli wolno mi to skwitować wyłącznie stwierdzeniem, że jest „do bani”. A potem dostarczyć ci sześć pudełek suplementów.

– Zgoda. – Odsuwa się, a miejsce uśmiechu zajmuje wykrzywienie ust. – Powinnaś wiedzieć coś jeszcze.

Zaraz się dowiem, co przede mną ukrywała.

Nabiera głęboko powietrza.

– Jadam mięso.

W pierwszym odruchu zrywam się z łóżka, jakby właśnie mi powiedziała, że przed chwilą własnoręcznie zarżnęła cię i wypila krew prosto z jego żył.

– Wiem! – krzyczy, zasłaniając twarz dłońmi. – Zaczęłam, kiedy nosiłam Talę. Z powodu anemii. I dziwnej, bezustannej chęci na whoppery.

– Faj! – Wzdrygam się.

– Ale zaraz po porodzie przestałam! A potem zaczęło się od nowa, kiedy się dowiedziałam o numerze trzecim. Nie sądziłam, że kilka tygodni bez mięsa zaważy na poziomie żelaza, ale nie byłam na tyle sumienna, by suplementować niedobory.

– Nie mogę uwierzyć, że wkręciłaś mnie w wegetarianizm na całą dekadę, a potem jadłaś whoppery! – wołam zszokowana.

– No wiesz! – oburza się. – Whoppery są pyszne!

– Dobra. Za bardzo się wyrabiasz w kłamstwie.

Libby śmieje się głośno.

– No dobra, kłamstwo nie jest fajne, ale serce nie sługa.

– Twoje zdecydowanie potrzebuje terapii.

– Możemy to ogarnąć w drodze do domu? – Libby zeskakuje z łóżka. – Wpadniemy na whoopery.

– Whoopery? W liczbie mnogiej?

– Mają też burgery warzywne. Jesteśmy tak blisko Asheville, a tam jest Burger King.

Patrzę na nią.

– Sprawdziłaś to?

– Siostra mnie nauczyła, że należy być zawsze przygotowaną. Wypatrzyłam ich, kiedy rozwieszałyśmy z Sally ulotki informujące o Balu Niebieskiego Księżyca.

– To nie jest przygotowanie się – stwierdzam. – To zaburzenie. – Słyszac jej śmiech, ustępuję. – Dobrze, jedziemy na whoopery.

* * *

– Na pewno jesteś na to gotowa?

Libby posyła mi znaczące spojrzenie.

– Gratuluję. Wytrzymałaś całe dwanaście godzin.

– No tak – mówię. – Troszczysz się o siebie sama. Kto by się przejmował tym, czy jesteś gotowa.

Ja na pewno nie.

Uśmiecha się szeroko i potrząsa dużą fioletową torebką.

– Mam tu suszoną wołowinę, migdały i pojemniczek z dipem z masłem orzechowym. Poza tym będę z Gertie, Sally i Amayą. Zajmij się tą redakcją, żebyś mogła sobie zrobić wolne w przyszłym tygodniu i się bawić. – Gdy dzwoni jej telefon, zerka na wyświetlacz. – O, Gertie już jest. Znosi się na deszcz. Chcesz, żebyśmy cię podwiozły do księgarni?

Charlie zgodził się zastąpić Sally, żeby mogła się skupić na balu, który ma się odbyć w przyszłym tygodniu, a to znaczy, że będziemy tłukli ostatnie poprawki w sklepie. Zamierzaliśmy doczytać tekst poprzedniego wieczoru, lecz plan diabli wzięli, gdy Libby zemdlała, więc dokończymy dzisiaj.

– Czemu nie.

Ubłocony hatchback Gertie stoi u stóp wzgórza. Na jego zderzaku pojawiło się jeszcze więcej naklejek niż wtedy, gdy wiozła nas do domu z salonu u Sally. Na tablicy rozdzielczej tli się kadzidełko. Muszę się ugryźć w język, żeby jej nie truć, jakie to niebezpieczne, chociaż pewnie i tak nic by nie usłyszała z powodu hałaśliwej muzyki industrialnej puszczonej na cały regulator.

Dudnienie prawie całkowicie maskuje grzmot, kiedy wysiadam przed księgarnią. Nad naszymi głowami piętrzą się czarne chmury, a w powietrzu czuć burzę, kiedy hatchback oddała się od krawężnika.

Przez żółtawy blask witryn widzę, jak Charlie układa książki na najbliższym regale, zalany odcieniami czerwieni i złota. Jego usta i szczeka nikną w perfekcyjnym cieniu, ciemne włosy otacza aureola miękkiego światła. Na jego widok żołądek mi podskakuje, a pod żebrami coś pęcznieje, jak rozkwitający w przyspieszonym tempie kwiat. Teraz, kiedy tu jestem – tak blisko końca tej książki, końca redakcji, wyjazdu – niemała część mnie chce zawrócić i uciec.

Wtedy jednak on patrzy w moim kierunku, jego usta rozciągają się w zmysłowym uśmiechu i strach pierzcha niczym kurz zdmuchnięty z okładki książki.

Otwiera drzwi i wychyla się, gdy pierwsze grube krople deszczu rozpryskują się na chodniku.

– Gotowa na zakończenie, Stephens?

– Gotowa. – To prawda i kłamstwo zarazem. Czy ktoś chce kończyć dobrą książkę?

Biuro prezentuje się przytulnie w burzowym mroku, na porysowanym mahoniowym biurku leżą papiery i bibeloty, skrupulatnie uporządkowane w charakterystycznym stylu Charliego. Obok zwalistej sofy widać świeżo odkurzone rodzinne zdjęcia, ustawione w trzech rzędach na półce nad kominkiem, a na starych dywanach widnieją świeże ślady po ssawce odkurzacza. W oknie wisi masywny klimatyzator, teraz wyłączony z powodu fałszywie jesienno powiewu chłodu.

Charlie zdejmuje z sofy kilka książek w twardych oprawkach i przechodzi przez pokój, żeby

usiąść na krześle za biurkiem. Ma taką minę, jakby się ze mną droczył: „Widzisz? Jestem całkowicie nieszkodliwy”.

Tyle że nic w nim nie wydaje mi się nieszkodliwe. Kojarzy mi się ze szwajcarskim szczyrykiem. Ma sześć różnych sposobów na rozbrojenie mnie.

Ten Charlie nakłoni cię do wyjawienia sekretów.

Ten cię rozśmieszy.

Ten może cię podniecić.

Ten cię przekona, że możesz wszystko.

A to jest Charlie, który weźmie cię w szpitalu na kolana, żeby być dla ciebie żywą barykadą.

Ten zaś posiada moc rozbierania cię cegiełka po cegiełce.

– Jak się czuje Libby? – pyta.

– Cóż – mówię. – Ma w torbie suszoną wołowinę.

– To znaczy, że chodzi z workiem rozmaitości.

Odchylam głowę do tyłu, a z mojego gardła wydobywa się chichot.

– O co chodzi z żarcikami słownymi w tym mieście?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiada z kamiennym wyrazem twarzy.

– Próbuję rozstrzygnąć swój zakład z Libby. – Pochylam się nad laptopem, przymykając klapę monitora.

– To nie jest fair wobec Libby – stwierdza Charlie. – Bo zawsze ciągnie mnie do rekina.

Moją klatkę piersiową wypełnia ciepło, lecz naciskam dalej, niezniechęcona. Zamieniam się w idiotkę.

– „Spaaaahhh” należy czytać jak westchnienie czy okrzyk?

Charlie przeciera dłonią oczy, śmiejąc się.

– Przykro mi, że jeszcze bardziej zaciemnię ci obraz, ale w czasach, kiedy tu mieszkałem, ten przybytek nazywał się G Spa. Domyślam się więc, że wymowa zależy od tego, jak według ciebie brzmi orgazm.

– Teraz zmyślasz.

– Mam bogatą wyobraźnię – przyznaje. – Ale nie aż tak.

– Co się wyprawia wśród tamtych czcigodnych ścian? – zastanawiam się. – I czy to jest legalne?

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że to był przypadkowy błąd. Właścicielką jest Gladys Gladbury i nazwa pewnie do tego nawiązywała.

– Może i tak, ale zdecydowanie trafiła w punkt z tym G Spa.

Zasłania twarz dłonią.

– Uwielbiam twój mózg, Stephens. – Krew zaczyna we mnie wrzeć, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. – Chyba powinniśmy zabrać się do lektury.

– Chyba tak – przyznaję.

Tym razem to on pierwszy odwraca wzrok i przesuwając kursor na swoim laptopie.

– Daj mi znać, gdy skończysz – prosi.

Nie bez wysiłku przenoszę uwagę na *Lodowatą*. Dusty wciąga mnie już po kilku akapitach. Zatapiam się w jej słowach, pochłonięta przez tę historię.

Nadine i Lola, radosna fizjoterapeutka, wiozą Josephine do szpitala, ale po upływie dwudziestu dwóch godzin okazuje się, że obrzęk mózgu nie ustąpił. Nadine musi pędzić do domu, by nakarmić feralnego kota, którego przygarnęła, i w tym czasie nasila się burza.

Tutaj, w Goode Books, ściany trzęsą się zgodnie wskutek rzeczywistych grzmotów.

Nadine woła kota, idąc przez ciemne mieszkanie, lecz nie odpowiada jej zwyczajowe miauczenie.

Wtedy dostrzega okno nad zlewem – wychodząc, zostawiła je uchylone, a teraz jest otwarte na oścież.

Wybiega na deszcz, żałując, że nie nadała kotu imienia, bo darcie się: „Wracaj, ty dupku!” nic nie daje. Wreszcie widzi wyleniałego pręgowanego kocura, który przycupnął, schowany do połowy w studziencie burzowej.

Nadine wychodzi na jezdnię, słyszy pisk gumowych opon na mokrym asfalcie. W ostatniej chwili zauważa pędzący ku niej samochód.

I wtedy... powietrze ucieka z jej płuc.

Oczy się zamykają, ból przeszywa jej żebra.

Gdy znowu podnosi powieki, leży na trawiastym poboczu, a Lola pochyła się nad nią. Oddychają ciężko, kot zaś wychodzi ze studzienki, przez chwilę patrzy nieufnie, po czym oddala się truchtem.

– Cholera – rzuca Lola i wstaje, by ruszyć za nim w pogoń, ale Nadine chwyta ją za rękę.

– Puść go – mówi. – Nie mogę mu pomóc.

Dzwonią ze szpitala.

Czuję ból w klatce piersiowej, gdy przechodzę do pierwszej strony ostatniego rozdziału i muszę głęboko nabrać powietrza, zanim wrócę do lektury.

Nadine i Lola stoją na zalanym słońcem cmentarzu. Nie przyszedł nikt więcej z wyjątkiem księdza. Jo w ostatnich miesiącach nie miała nikogo oprócz nich. Lola wyciąga rękę ku Nadine, a ta, choć zaskoczona, ścisza ją.

Później Nadine znajduje na progu domu wiązanek kwiatów i liścik od byłej asystentki: „Przykro mi z powodu Twojej straty”. Zabiera kwiaty do środka i sięga po wazon. Przez otwarte okno wpada światło, sprawiając, że lejąca się z kranu woda iskrzy się wesoło.

Gdy z pokoju dobiega miauczenie, serce Nadine rośnie.

Na monitorze widzę biel – miejsce pozwalające na to, by odetchnąć.

Gapię się na pustą stronę, zupełnie wydrażona.

W moich ulubionych książkach nie na zakończeniu tak naprawdę mi zależy. Zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę.

Mama i Libby lubiły historie miłosne z happy endem, przewiązane wstążką, a ja zawsze się zastanawiałam, dlaczego pociąga mnie coś innego. Sądziłam, że to dlatego, iż ludzie tacy jak ja nie przeżywają takich zakończeń. Prośenie o nie, życie nadzieją na nie, jest sposobem na utracenie czegoś, czego się nigdy nie miało.

Przemawiają do mnie ostatnie strony, które przyznają, że nie ma odwrotu. Że wszystko, co dobre, musi się skończyć. Podobnie jak wszystko, co złe. Bo przecież wszystko kiedyś się kończy.

Tego właśnie szukam, kiedy przechodzę na koniec książki, kompulsywnie wypatrując dowodu na to, że piękno znajdzie się również w życiu, w którym tak wiele poszło źle. Że zawsze istnieje nadzieja, bez względu na wszystko.

Po śmierci mamy znajdowałam w tych zakońzeniach pocieszenie. Mówiły: „Owszem, coś straciłaś, ale może pewnego dnia coś znajdziesz”.

Przez dekadę żyłam w przekonaniu, że już nigdy nie będę miała wszystkiego, więc pragnęłam tylko wierzyć, że pewnego dnia znowu będę miała dość dużo. Ból nie zawsze będzie taki dotkliwy. Ludzie tacy jak ja nie załamują się nieodwracalnie. Żaden lód nie zamarza na tyle, by nie odtajał, i nie ma cierni zbyt gęstych, by nie dało się ich przeciąć.

Ta książka przegniotła mnie swoim ciężarem i olśniła malutkimi punkcikami jasności. Niektóre książki nie tyle się czyta, co przeżywa, a gdy kończę lekturę takiej, zawsze mam wrażenie, że jestem wynurzającym się z wody nurkiem. I jeśli zrobię to zbyt szybko, mogę się nabawić choroby kesonowej.

Nie spieszę się. Pozwalam, by każdy z przetaczających się grzmotów przyciągał mnie coraz bliżej powierzchni. Wreszcie podnoszę wzrok i widzę, że Charlie mi się przygląda.

– Skończyłaś? – pyta łagodnie.

Potakuję.

Przez moment żadne z nas się nie odzywa.

W końcu on mówi cicho:

– Doskonałe.

– Doskonałe – zgadzam się. Tak, to właściwe słowo. Chrząkam i staram się myśleć krytycznie, podczas gdy tak naprawdę chcę tylko rozkoszować się tą chwilą. Osiąść w niej. – Kot naprawdę mógłby wrócić?

– Tak – odpowiada bez wahania Charlie.

– To nie jest kot Nadine – zauważam.

Nadine co rusz to powtarza w książce i dlatego nie nadaje przybliżenie imienia.

– Ona go rozumie. Każdy, kto patrzy na tego kota, widzi potwora. On nie umie być domowym zwierzęciem, a ona się tym nie przejmuje. Dlatego mówi, że nie jest jej. Bo nie chodzi o to, co ten kot może jej dać. Nie może jej dać nic.

– To złośliwa, dzika, wygłodniała, pozbawiona inteligencji społecznej pijawka. – Niebo za oknem jest czarne, a za każdym razem, gdy rozdziera je błyskawica, widać, że woda leje się strugami. – Ale to jest jej kot. Nigdy nie należał do nikogo z wyjątkiem Nadine.

Czuję zagadkowy ból. Czasami tak jest, kiedy patrzę na Charliego. Jakbym przeczytała zdanie, które daje po głowie, tak ostre, że trzeba odłożyć książkę na bok, by odzyskać oddech.

Charlie otwiera usta, by coś powiedzieć, lecz budynkiem wstrząsa kolejny grzmot. I nagle gaśnie światło.

Słyszę, jak Charlie wstaje zza biurka w ciemności.

– Nic ci nie jest? – Jego głos rozlega się blisko mnie.

Znajduję jego rękę i ją ściskam.

– Mhm.

– Powinienem zamknąć drzwi do czasu, aż znowu włączą prąd.

– Pójdę z tobą – mówię, słysząc zdenerwowanie w jego tonie.

Wymykamy się z biura. Księgarnia jest pogrążona w mroku, a panująca w niej pustka trochę przeraża, aż włoski na rękach mi się jeżą, kiedy czekam, by Charlie odwrócił tabliczkę w drzwiach i przekręcił zamek.

– W biurze są latarki – mówi i ruszamy z powrotem tam, skąd przyszlismy.

Po chwili uwalnia moją rękę, żeby móc szperać w szufladach biurka.

– Zimno ci?

– Trochę. – Szczękam zębami, choć nie jestem pewna, czy to z zimna.

Podaje mi latarkę, a sam włącza lampkę kempingową i podchodzi do kominka. Twarz i ramiona ma napięte, gdy układa w nim drewno, tak samo jak tamtego wieczoru, kiedy pokazywał mnie i Libby, jak rozpalić ognisko: robi gniazdo i wypełnia zagłębienia zmiętą gazetą.

– Naprawdę nie lubisz ciemności – zauważam, klękając na dywanie obok niego.

– Nie chodzi o ciemność jako taką. – Rozpalka po chwili bucha ogniem, a nas zalewa ciepło i światło. – Tu jest tak cicho, a gdy nakłada się na to ciemność, czuję się jakby... samotny.

Z tak małej odległości widzę wszystkie detale jego twarzy – ciemniejszą brązową kreskę pośrodku złotych tęczywek, zmarszczkę pod dolną wargą, łuki poszczególnych rzęs.

Wstaję i podchodzę do biurka.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Gdy się odwracam, Charlie znowu stoi. Brwi ma ściągnięte, dłonie trzyma w kieszeniach. – Może i z jakiegoś powodu nie chcesz się teraz umawiać na randki. W porządku. Ludzie ciągle tak mają. Ale jeśli chodzi o coś innego, jeżeli się obawiasz, że jesteś za sztywny czy cokolwiek twoje były o tobie myślały, wiedz, że nie jest to prawdą. Może każdy dzień z tobą byłby mniej więcej taki jak inne, ale co z tego? To mi się nawet podoba. I może błędnie to wszystko odczytuję, choć wątpię, bo jeszcze nigdy nie poznałam kogoś tak podobnego do siebie. I jeżeli myślisz sobie, że na koniec wolałabym golden retrievera zamiast wrednego kota, to się mylisz.

– Wszyscy chcą golden retrievera – mówi niskim głosem. Pomimo komiczności tego stwierdzenia wygląda poważnie, na zatroskanego.

Kręcę głową.

– Ja nie.

Charlie opiera dłonie na biurku po bokach mnie, a jego spojrzenie znowu staje się ciekłym miodem, karmelem, syropem klonowym.

– Noro...

Serce mi zamiera na dźwięk szorstkiego rwącego się głosu; tonu mężczyzny, który łatwo sprawia komuś zawód.

– Nieważne. – Odwracam wzrok, ale nie mogę zupełnie się od niego odsunąć, bo więzi mnie w klatce swoich ramion. – Rozumiem. Chciałam tylko coś powiedzieć, na wypadek...

– Nie wracam do Nowego Jorku – przerywa mi, a ja znowu patrzę mu w oczy. Każda ostra rysa

na jego twarzy nabiera nowego znaczenia. – To dlatego – dodaje. – To jest powód, dla którego nie mogę...

– Ja nie... – Kręcę głową. – Jak długo?

Grdyka mu faluje, kiedy przełyka ślinę.

– Siostra miała wrócić w grudniu, żeby przejąć księgarnię. Poznała jednak kogoś we Włoszech i zostaje tam.

Moje serce, które jeszcze przed chwilą było kolibrem opitym mocną kawą, teraz jest kowadłem – każde jego ciężkie uderzenie dudni we mnie boleśnie.

– Napisałem już do Libby na temat mieszkania – kontynuuje. – Może być jej, jeśli tylko chce.

Oczy mnie pieką. Tym razem moje serce jest książką telefoniczną z powyrywanych kartkami, a ja usiłuję uporządkować je jakoś sensownie, naprawić wszystko.

– Tamtego wieczoru, kiedy wpadłem na ciebie po raz pierwszy – kontynuuje Charlie – dowiedziałem się, że Carina zostanie tam trochę dłużej. Nie wiedziałem, jak długo, ale... ona i jej chłopak uciekli. Nie wróci tutaj. Usiłowałem znaleźć jakieś wyjście. Ale go nie ma. To tata trzymał wszystko w garści. Dom jest stary, nieustannie wymaga pracy, nad którą się głowię, bo nie pozwala mi nikogo zatrudnić. A księgarnia jeszcze nigdy nie była w tak złej kondycji. Mama się stara, lecz nie potrafi temu podołać. W takim trybie pociągniemy jeszcze może sześć miesięcy. Ktoś tu musi być codziennie, co przerastało mamę, jeszcze zanim musiała pomagać tacie. I... ja pierdołę, on nie umie korzystać z pomocy innych, więc nawet jeśli byłoby nas stać na zatrudnienie pielęgniarki, nie pozwoliłby na to. A gdyby było nas stać na zatrudnienie sprzedawcy, nie zgodziłaby się na to mama. Księgarnię zawsze prowadziła nasza rodzina. Mama powiedziała, że serce by jej pękło, gdyby zajął się tym ktoś inny. – Mięśnie jego szczęki pracują, cienie tańczą na jego skórze. – Nie byli idealni, ale wiele dla mnie poświęcili. Żebym mógł pójść na wymarzone studia i mieć pracę, jakiej chciałem. A ja... nie pociągnę tego dłużej w ten sposób. Loggia chce kogoś na miejscu, mnie zaś potrzebuje rodzina. W sumie potrzebują kogoś lepszego ode mnie, no ale mają mnie. Dlatego odchodzę po skończeniu prac nad *Lodowatą*. To jest ten wakat, do którego zapelnienia cię zgłosiłem.

Jego praca. Jego mieszkanie. Jakby przekazywał życie, na które tak ciężko pracował, hurtowo. Rezygnował z miasta, do którego należy. W którym czuje się sobą. W którym nie wydaje się sobie zły lub bezużyteczny.

– A co z tym, czego ty chcesz? – pytam, a on patrzy na mnie, jakby wierzył, że mogę mu to dać. Tak bardzo bym chciała. – Kto dba o twoje szczęście, Charlie? – naciskam. – Co z twoim sercem?

Próbuje się uśmiechnąć; tak kiepsko kłamie.

– Ludzie tacy jak my mają serce?

Dotykam jego twarzy i odwracam tak, by mógł mi spojrzeć w oczy. Potrzebuję chwili, by przełknąć kłębiące się we mnie emocje, odepchnąć odłamki własnych myśli i zaakceptować tę nową rzeczywistość. Usiłuję sporządzić listę, plan, fabułę, która przeprowadzi nas od punktu A do punktu B, ale dysponuję tylko tym jednym punktem, tym jednym zawieszeniem akcji.

– Czy mogę cię mieć tylko dzisiaj, Charlie? – odzywam się. – Nawet jeśli to nie może przetrwać. Nawet jeśli już wiemy, że się skończy.

Obejmuje moją twarz ostrożnie. Jakbym była czymś delikatnym. Albo jakby on taki był. Jakby jeden ruch mógł sprawić, że się rozbijemy. Czuję na klatce piersiowej znajomy ucisk, jak podczas czytania ostatniego rozdziału, tylko że teraz wiem, jak go nazwać. Znam opisujące to uczucie słowo, chociaż nie mogę się zmusić choćby do pomyślenia go.

– Masz mnie, Noro. Nigdy nie było inaczej.

Po raz pierwszy w życiu wiem, co miała na myśli Katarzyna, mówiąc: „Ja jestem Heathcliffem”. Nie dlatego, że Charlie i ja jesteśmy tacy podobni, ale dlatego, że on ma rację: pasujemy do siebie. W sposób, którego nie rozumiem, on jest mój, a ja jestem jego. Nie ma znaczenia, co napisano na ostatniej stronie. Taka jest prawda. Tu i teraz.

Muska mnie ustami, lekko, ostrożnie. A ja otwieram się na niego, wiedząc, co poczuję, kiedy przewrócę stronę, chociaż wcale nie chcę jej nie przewrócić.

Jego palce wplatają się w moje włosy, język wciska się między wargi. Wyrwa się ze mnie westchnienie, gdy kładzie mnie na biurku. W przeszłości nasze zbliżenia były gorączkowe, bezrefleksyjne, teraz jednak Charlie jest tak uważny i delikatny, że to aż boli.

Muska opuszkami ramiączko mojej sukienki, rozwiązują je i przechodzi do drugiego. Wodzę dłońmi pod jego koszulą, po ciepłej gładkości, którą ożywia gęsia skórka. Smakuje kawą z nutą zimozielonych krzewów. Jego język przesuwają się po mojej dolnej wardze, dłoń sunie wzdłuż boku.

Przyciągam go bliżej, a wtedy on przesuwają mnie na skraj biurka. Jego usta poruszają się teraz bardziej gorączkowo, zęby wbijają się w ciało i cofają, a każda zadyszana przerwa sprawia, że kolejny pocałunek jest bardziej pożądliwy. Przekłada dłoń na moją pierś, gładzi kciukiem sutek, a ja cała drzę. Czuję na sobie bicie jego serca, do którego dostraja się moje; dwa zsynchronizowane metronomy.

Niebo rozcina błyskawica, po której słychać niskie dudnienie. Ogień migocze, a potem bucha z pełną siłą. Charlie kawałek po kawałku scałowuje ze mnie ból minionych trzech tygodni. Muska ustami linię szczęki, szyję, jego dłonie wracają na ramiona, by dokończyć rozwiązywanie ramiączka. Góra sukienki zsuwa się ze mnie, a moje serce wiruje jak wiatraczek pod wpływem jego ciepłego oddechu, gdy przesuwają wargi coraz niżej.

Odchylam głowę do tyłu, oddech mi się rwie, kiedy muska językiem wewnętrzną wypukłość mojej piersi. Ściąga materiał niżej, aż ciepłe powietrze dotyka mojej skóry. Patrzy mi w oczy, przysuwając do mnie usta, przygląda mi się, gdy wciąga sutek między wargi. Kiedy zaczynam się wyginać, jego język i zęby ostrożnie gładzą moją skórę.

Wymyka się ze mnie jego imię. Nasze usta znowu się zderzają, tym razem agresywniej, pewniej. Jego dłoń znajduje dół sukienki i wędruje w górę uda. Rozchylam kolana, a on przesuwają rękę wyżej, aż dociera do koronki na biodrach. Jego druga ręka robi to samo, ja zaś odchylam się do tyłu i unoszę biodra, żeby mógł chwycić materiał i ściągnąć go ze mnie.

Spogląda mi w oczy, zacieśnia uścisk na fałdach nagich bioder, klęka, zbliża usta do wewnętrznej strony kolana i całuje mnie coraz wyżej, aż dociera pomiędzy uda. Wyginam się do tyłu, podpierając się dłońmi, mój oddech się splyca, gdy ciepło jego języka stapia się z moim.

Kołyszę biodrami pod jego naciskiem, a on jęczy i przesuwają dłoń w górę mojego brzucha, by nakłonić mnie do tego, żebym się położyła na biurku.

Zastanawiam się, czy zasugerować, abyśmy się przenieśli. Chcę zapytać, czy robienie tego tutaj nie jest przejawem braku szacunku, lecz nie mogę myśleć, bo on znalazł już wyłącznik na moim ciele i całkowicie odciał dopływ mocy do mózgu.

– Noro... – odzywa się chrapliwie.

Wydobywa się ze mnie cichy dźwięk, który ma być potwierdzeniem, że go słyszę.

– Nie powinniśmy byli czekać. Trzeba było to zrobić, odkąd się poznaliśmy.

Chwytam go za włosy, a on wsuwa dłonie pode mnie, zaciska na pośladkach i przyciąga mnie do swoich ust. Powoli, żarłocznie, z determinacją. Tym razem nic nie dzieje się przypadkowo.

Napięcie narasta, aż drzę pod nim, zaciskam palce na jego włosach, wyginam się i krzyczę. Prostuje się i znowu przyciąga mnie na skraj biurka. Nasze usta się spotykają, dłonie wędrują pod ubrania. Zdejmuję z niego koszulę, rozpinam mu spodnie. On ściąga ze mnie sukienkę, bierze mnie na rękę i się odwraca, by położyć mnie na kanapie. Wodzi językiem pod biustonoszem.

– To ten sam – mówi niemal z czcią – który miałś na sobie tamtego wieczoru, gdy pływalismy.

Drapię go po plecach, chłonę każdą jędrną wypukłość i twardą linię; po raz pierwszy i być może ostatni mam okazję mieć go tyle, ile chcę.

Całuje mój obojczyk.

– Pamiętam dokładnie, jaka jesteś w dotyku, Noro. Jak cholerny jedwab...

Moje usta mięknią z boku jego szyi, czuję na języku jego puls. Przesuwam dłońmi w dół, wkładam je pod poluzowane spodnie i slipy, wbijam paznokcie w skórę, napierając na niego. Gdy oplatom go

palcami, eksploduje we mnie jasne światło, po którym robi się ciemno i przez chwilę mam mroczki przed oczami.

– Ja też pamiętam, jaki jesteś w dotyku.

Jęczy, poruszając się w mojej dłoni. Zsuwam mu spodnie poniżej bioder, a on napiera na mnie powoli, ciężko, zbliża się coraz bardziej, ale bez względu na to, jak próbuję się pod nim ustawić, zawsze jest ociupinkę za daleko.

Do czasu. Jego usta spadają na mnie gwałtownie, dłonie zdzierają z moich ramion ramiączka biustonosza, zsuwając go na talię. Popadamy w półobłąd, gdy Charlie trzyma ręce na moich udach, wsuwa mi język do ust, wodzi po mnie członkiem, aż jestem napięta w środku jak struna skrzypiec.

– Bierzesz pigułki? – pyta nagle.

– Oczywiście, ale...

– Rozumiem.

No jasne. Jest taki jak ja: nawet jeśli oboje straciliśmy panowanie, nadal kilka (tuzinów) nici trzyma rozum na miejscu. Charlie zsuwa się ze mnie, znajduje portfel i wraca z prezerwatywą, bez dalszych pytań, prychnania, cienia frustracji, sugestii, że jestem spięta, zrzędliva lub nudna. Wsuwa dłoń pod moją brodę i całuje mnie z czułością, która rozchodzi się po całym moim ciele, wypełniając ciepłem wszystkie zakamarki między kośćmi, mięśniami i chrząstkami; rozpuszczony Charlie przenika do mojego krwiobiegu. I wtedy, wreszcie, we mnie wchodzi.

Powoli. Ostrożnie. Wycofuje się, zanim udaje mi się poczuć jakąkolwiek ulgę. Trzęsie się ze śmiechu, słysząc dźwięk, jaki się ze mnie wydobywa.

– Nie sądziłem, że to możliwe, że pragniesz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

– Bardziej – mówię, zbyt głęboko zanurzona w tu i teraz, by się nie przyznać do czegoś takiego.

– Teraz – mówi, wchodząc tym razem głębiej – wiem, że to możliwe.

Unoszę się i przyciągam go bliżej. Odchyła głowę i wydobywa się z niego ryk. Kiedy się tak razem poruszamy, świat mięknie i ciemnieje, wszystko kurczy się do punktów styku naszych ciał. Jego dłonie mnie masują, usta otwierają moje, wbijam w niego paznokcie, by przyciągnąć go bliżej, niż pozwalają na to nasze ciała.

Już mi smutno na myśl, że to się skończy. Gdybym mogła sprawić, że jakieś uczucie utrzymuje się przez kilka dni, zrobiłabym to. Jeśli świat miałby się skończyć za dwadzieścia minut, tak właśnie chciałabym odejść. Wsuwa się głębiej, mocniej.

– O kurwa, Charlie...

– Za mocno? – pyta i zwalnia.

Kręcę głowę. Rozumie. Dość już ostrożności, ograniczeń.

– Myślałem o tobie wszędzie – wyrzuca z siebie. – Nie ma w tym mieście miejsca, w którym byśmy tego nie robili.

Śmieję się cicho, owinięta wokół niego żarłocznie.

– I jak było?

– Moja wyobraźnia nie jest tak bogata, jak mi się wydawało.

Mój mózg przypomina fajerwerki na tle czarnego nieba. Charlie siada i wciąga mnie na kolana, po czym wchodzi we mnie znowu. Chwytam za oparcie kanapy i kołyszę się na nim mocniej, aż każdy ruch moich bioder powoduje, że mamrocze przekleństwa, przyciskając usta do mojej skóry. Jedną dłoń wplótł mi we włosy, drugą położył mi płasko na plecach, by przytrzymać mnie tak, jak chce.

– Pragnę cię jeszcze więcej... – sapię w jego usta, czując, jak każde uderzenie jego serca rezonuje we mnie. Mocniej, szybciej, bardziej.

– Jesteś idealna – rzuca chrapliwie. – To jest to słowo, Noro. Jesteś cholernie idealna.

O Boże. O Boże. Charlie, powtarzam w myślach.

– Proszę...

I nie mówimy już nic więcej. Jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak bardzo z tego, że ktoś przeświecła mnie na wylot, czyta ze mnie jak z książki, jak wtedy, kiedy on doprowadza mnie do orgazmu. Raz, potem znowu i – tak, bogowie romansu powinni być dumni – jeszcze raz.

Kiedy siadam, Charlie chwyta mnie za rękę. Spojrzenie ma ciężkie i ciepłe.

– Zostań – szepcze.

Serce trzepocze mi w piersi.

– Dlaczego?

Zakłada mi włosy za ucho, usta mu drgają.

– Z wielu powodów.

– Podaj jeden.

Siada prosto, wsuwa mi dłoń między uda, czule przywiera wargami do mojego ramienia, a jego kciuk powoli zatacza kółko.

– Jeden.

– W takim razie może dwa.

Pochyla się i całuje mnie mocno, położywszy delikatnie dłoń na mojej szyi, a kciuk w dołku między obojczykami.

– Bo chcę, żebyś została.

– Nie zostaję w domach nieznajomych mężczyzn – oznajmiam, choć krew we mnie bulgocze.

– Dobrze się składa, bo to nie jest mój dom.

– Owszem, w przeciwnym razie twoi rodzice by po nim biegali ze strzelbą, myśląc, że ktoś się do ciebie włamał.

– Ale my przynajmniej siedzielibyśmy już w aucie, gotowi do ucieczki.

Śmieję się. Kącik jego ust podejżdża jeszcze wyżej.

– Zostań, Noro.

Znowu czuję to pęcznienie w klatce piersiowej, jakby płatki się rozchyłały, by odsłonić delikatny środek. A potem pojawia się ukłucie paniki, igła przeszywająca pozbawione ochrony serce.

– Nie mogę – odpowiadam ledwie słyszalnym szeptem.

Jego rozczarowanie jest widoczne tylko przez chwilę. Widzę, jak znika, gdy on akceptuje sytuację, i mam wrażenie, jakby jedna z zagojonych ran w moim sercu otwierała się na nowo. Prostuje się i szuka swoich rozrzuconych ubrań. Dotykam jego ramienia, by go zatrzymać. Kto jak kto, ale Charlie łąknie prawdy i nikogo za nią nie karze. Traktuje ją jako niezmienną i wchłania do swojego świata. Nie chcę być kolejnym dostarczycielem półprawd.

– Zostawałam u swojego chłopaka.

Wypowiedzenie tych słów jest dla mnie bolesne. Nigdy nie musiałam tego mówić. Libby wie, a nie rozmawiam o tym z nikim innym. Nie chciałam się tak odsłaniać, widzieć litościwych spojrzeń, czuć się słaba.

Charlie patrzy mi w oczy.

– U Jakoba – kontynuuję. – Byłam z nim tamtego wieczoru, gdy mama umarła.

Rozluźnia ściągnięte brwi.

Nie rozważyłam za i przeciw, zysków i strat związanych z powiedzeniem mu o tym. Po prostu chcę to powiedzieć. Podsunąć mu to coś, czego nigdy nie zdołam naprawić, i zobaczyć, co się stanie.

– Był moim pierwszym poważnym chłopakiem. Może pod pewnymi względami jedynym. Spotykałam się już z innymi przez dłuższy czas, ale tylko jego wybrałam w ten sposób. – Stawiając go przed wszystkim innym. A może przed niczym go nie stawiałam? Po prostu rzuciłam się w wir uczuć, nie zachowując żadnych środków ostrożności. – Miałam dwadzieścia lat i ciągle u niego przesiadywałam, postanowiliśmy więc, że powinnam się do niego wprowadzić. A mama była taką romantyczką, że nawet nie próbowała mnie od tego odwieść. Chciała, żebym za niego wyszła. Ja też tego chciałam.

Charlie się nie odzywa, tylko na mnie patrzy. Decyzję o tym, czy będę kontynuowała, zostawia mnie.

– W pewnym momencie wieczoru telefon mi się rozłądował. – Głos mam zachrypnięty, jakby gardło mi się zaciskało, żebym nie mogła wyjawić reszty. Lecz nie mogę już przerwać. On musi wiedzieć. Nie mogę ani sekundy dłużej żyć z tym sama. – Jego towarzystwo było dla mnie takie... porywające. Po przebudzeniu się nie od razu podłączyłam telefon. Najpierw zjedliśmy śniadanie. – Zjedliśmy. Kochaliśmy się. Zaparzyliśmy więcej kawy. Czuję pieczenie z tyłu nosa. – Libby usiłowała się do mnie dodzwonić od czterech godzin. Była w szpitalu sama i... – Dalej słyszeć tylko ciszę. Moje usta się poruszają, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Charlie pochyła się i przyciąga mnie do swojej klatki piersiowej. Przyciska mocno usta do czubka mojej głowy, gładząc mnie kciukiem po ramieniu.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić. – Wciąga moje nogi na swoje kolana, znowu przyciska mnie do torsu, gładzi po włosach, całuje.

Zamykam oczy i skupiam się na tych doznaniach, na tej chwili. Jestem tu, przyrzekam sobie. To koniec. Już mnie to nie będzie raniło.

– Libby budziła się z krzykiem. – Mój głos zrobił się łzawy, cienki. – Przez wiele miesięcy po śmierci mamy. W ogóle nie mogłam spać. Za bardzo się bałam, że mnie przy niej nie będzie, kiedy będę jej potrzebna.

Nauczyłam się czekać, aż się obudzi. Wtedy odrzucałam swoją kołdrę i przesuwalam się pod ścianę, żeby ona mogła się położyć obok mnie. Obejmowałam ją i pozwalałam jej się wypłakać, aż ponownie zasypiała.

Nigdy jej nie mówiłam, że wszystko będzie dobrze. Wiedziałam, że nie będzie. Zamiast tego zapożyczyłam od mamy jej refren, którym nas pocieszała: „Wyrzuć to z siebie, słodka dziewczynko”.

– Na początku Jakob zachowywał się super – kontynuuję. – Mało się z nim widywałam, ale to rozumiał. A potem dostał szansę zostać rezydentem w Wyoming... Był pisarzem.

– Zostawił cię? – dziwi się Charlie.

– Powiedziałam mu, żeby jechał – przyznaję cicho. – Wydawało mi się... że i tak nie mam dla niego czasu ani energii, a nie chciałam go ograniczać.

– Noro. – Jego podbródek drapie moją skroń, kiedy kręci głową. – Nie powinnaś przez to przechodzić sama.

– I tak nie mógł nic zrobić – szepczę.

– Mógł przy tobie być. Powinien był.

– Może – przyznaję. – Lecz nie tylko on mnie zawiódł. Ciągle planowałam go odwiedzić, a potem odwoływałam wizytę. Nie mogłam zostawić Libby. Później...

Odgarnia mi z oczu mokrą od potu grzywkę.

– Nie musisz mówić.

Kręcę głową.

Przez cały ten czas mroczny potwór smutku, strachu i gniewu siedział w najdalszym zakamarku mojego brzucha, tam, gdzie go zamknęłam. A jednak rósł i wysyłał we wszystkie strony złośliwe czarne macki. Pożerał mnie od środka.

– Zaplanowałam wizytę niespodziankę. Zażyłam xanax, zostawiłam Libby samą i wsiadłam do autobusu, bo tylko na to było mnie stać. Gdy tylko go ujrzałam, zorientowałam się, że sytuacja się zmieniła. I wtedy, pierwszej nocy tam, obudziłam się w panice. Nie wiedziałam, gdzie jestem, nie mogłam znaleźć telefonu. Myślałam tylko o tym, że coś się stało Libby. Niemal miałam halucynacje. Czulałam tak silny ból w klatce piersiowej, że bałam się, że umieram. Jakob myślał, że mam zawał serca. Zabrał mnie na oddział ratunkowy, skąd po kilku godzinach odesłano mnie z pokaźnym rachunkiem i zestawem ćwiczeń oddechowych. Sytuacja powtórzyła się kolejnej nocy i następnej. Powiedziałam Jakobowi, że muszę wrócić wcześniej do domu. Kupił mi bilet na samolot i poinformował, że on nie wróci. Postanowił zostać. Próbowałam coś wymyślić. Libby został już tylko rok liceum, ale myślałam, że może mogłaby się z nami przeprowadzić. Tydzień po moim powrocie do Nowego Jorku Jakob powiedział mi, że kogoś poznał.

Jakby wszechświat karał mnie za to, że chciałam zbyt wiele, że choćby tylko rozważałam narażenie Libby na coś takiego, gdy ona balansowała na skraju załamania. Nadal robi mi się niedobrze

na samą myśl o tym.

Charlie wodzi palcami po moim ramieniu.

– Przykro mi.

– Wcale nie mam pewności, że był tym jedynym czy jakoś tak. – Zamykam oczy, serce mi wali.

– Rzecz w tym... że od tamtej pory trudno mi sobie wyobrazić, abym mogła dopuścić kogoś tak blisko do siebie. Przecież jestem tak powalona, że nie potrafię spać gdzie indziej niż we własnym łóżku. Nawet tutaj mam z tym problem, z Libby u boku. Nie odzyskałam zaufania do siebie od tamtej pory. – Przytulałam twarz do jego ciepłej skóry, a ból ziewa szeroko w mojej klatce piersiowej. – Przepraszam. Po prostu...

– Nie przepraszaj – mówi gwałtownie. – Proszę, nie przepraszaj za to, że mi o tym powiedziałaś.

– To żenujące – zauważam. – Mieć taką obsesję na punkcie kontroli, że sen wywołuje panikę.

Jestem popieprzona.

Obraca moją twarz do siebie i splata dłonie na moim krzyżu.

– Każdy jest – oznajmia.

– Ty nie.

Uśmiecha się blado, a odbicie żaru z kominka podkreśla złote plamki w jego tęczęwkach.

– Mieszkam w pokoju z dzieciństwa.

– Bo pomagasz swojej rodzinie – podkreślam. – Ja naraziłam swoją na cierpienie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Hej. – Ujmuje mnie pod brodę i odchyła mi głowę do tyłu. – Były porzucił cię w cholernym chaosie. Zostałaś sama, Noro, i dawałaś z siebie wszystko. To nie ty jesteś łotrem w tej opowieści, tylko on. I nie dlatego, że zakochał się w innej, ale ponieważ wycofał się, gdy tylko znalazłaś się w potrzebie. – Bierze w dłonie moją twarz. – Zawiozę cię do domu, kiedy zechcesz – obiecuje. – Jeśli postanowisz zostać i obudzisz się z krzykiem, nie szkodzi. Zadbam o to, żebyś się dobrze poczuła. I jeżeli zechcesz zostać, a potem zmienisz zdanie, mogę cię odwieźć do domu nawet o czwartej nad ranem.

Przeczytałam kiedyś, że nie wszyscy myślą słowami. Byłam w szoku, wyobrażając sobie ludzi, którzy nie korzystają z języka dla nadania sensu wszystkiemu, którzy nie dzielą automatycznie świata na rozdziały, strony i zdania. Lecz teraz, patrząc na twarz Charliego, rozumiem, jak natłok uczuć i leciutkie wrażenia mogą przepływać przez ciało z pominięciem umysłu. Jak ktoś może wiedzieć, że coś jest warte powiedzenia, chociaż nie ma pomysłu, co to konkretnie jest. Oto nie myślę słowami.

To uczucie nie jest ani „dziękuję”, ani „dajesz mi poczucie bezpieczeństwa” – jest czymś, co tańczy pomiędzy jednym a drugim.

– Chcę zostać – odzywam się. – Ale chyba nie mogę.

Charlie przytakuje.

– W takim razie zawiozę cię do domu.

– Jeszcze nie.

Wygładza mi włosy, zakłada kosmyk za ucho.

– Jeszcze nie.

Leżymy razem, ja przytulona plecami do jego ciepłego brzucha, a on z ręką zarzuconą na moje biodro wodzi palcami po moich żebrach, aż wreszcie znowu twardnieje, a mnie upaja jego dotyk. Kochamy się powoli, marzycielsko i po wszystkim wtulam się w jego klatkę piersiową, czując delikatnie bicie jego serca przy moim, tak uspokajające jak światła i szum miasta rozmywające się za oknami mojego mieszkania, jak świat, który wiruje, gdy śpisz.

Myślę sobie, że jeśli tego nie powiem, to nie będzie się liczyło. Może nawet nie będzie prawdą.

Tyle że nią jest, a ja nie mam pewności, czy chcę to powstrzymać, nawet gdybym wiedziała jak.

Zakochuję się w Charliem Lastrze.

* * *

Rano rezygnuję z biegu. Siedzimy z Libby na kocu na łące i z kawą w dłoni wszystko jej opowiadam.

– Zostaje? – pyta moja siostra z błyszczącymi oczami.

A mnie zaciska się serce.

– Dlaczego mi nie powiesz, co naprawdę czujesz?

Zanurza nos w parze unoszącej się z jej kubka.

– Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

– Jakbyś niczego tak nie pragnęła, jak wsadzić Charliego Lastrę na pokład statku, który ma już zawsze pływać dookoła ziemi?

– To nie tak! Chodzi o to, że... – Wierci się. – Chyba zmienia się sposób, w jaki na niego patrzę.

Kwalifikuje się do listy.

– Bardzo to pomocne.

– Noro. – Libby odstawia kubek na trawę. – Jeżeli on naprawdę tak bardzo cię ekscytuje, powinnaś zgłębić ten temat. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś cię naprawdę ekscytował. A nie, czekaj... To było dokładnie dziesięć lat temu.

Głęboki ból podobny do fantomowego pulsowania amputowanej kończyny nie wydaje się tak dotkliwy jak zwykle, gdy myślę o Jakobie. Nie kłamałam, mówiąc Charliemu, że doskwierała mi nie tyle tęsknota za byłym, co raczej samotność wynikająca z niemożności zaufania sobie w relacji z kimkolwiek.

– Nie ma znaczenia, co eksplorujemy – odzywam się. – Wiemy, jak to się skończy.

Libby ściska mnie za rękę.

– Nie wiesz tego. I nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz.

– To nie jest film, Lib. Miłość nie wystarczy, by zmienić szczegóły czyjegoś życia albo jego potrzeby. Nie sprawia, że każdy element trafia na swoje miejsce. Nie chcę rezygnować ze wszystkiego.

Nie mogę sobie na to pozwolić.

Nie ma szczęśliwego zakończenia dla kobiety, która chce wszystkiego, takiej, która nie śpi z powodu wściekłego głodu i której niespełnione ambicje sprawiają, że jest roztrzęsiona.

Moje przytulne mieszkanko w West Village z jego dużymi oknami. Kawiarnia na rogu, w której wiedzą, co zamawiam. Wszystkie cztery pory roku w centrum handlowym w Central Parku.

Praca w Loggia, myślę, a wyobrażenie ich białych otwartych biur i drewnianych podłóg z balsy staje mi przed oczami.

Świadomość, że mojej siostrze nic nie jest. Budzenie się co noc z dogłębnym przekonaniem, że jestem bezpieczna. Że nic nie może mnie osiągnąć.

Jak pasuje do tego ogromna niekontrolowalna miłość?

Jest połuzowanym trybikiem w delikatnej maszynie.

Kiedy znowu patrzę na Libby, siedzi z rozchylonymi ustami i ściągniętymi brwiami.

– Miłość? – powtarza słabym głosem.

Przenoszę spojrzenie na połyskujący w słońcu dom, otoczony leniwie wirującymi motylami.

– Hipotetycznie – okłamuję siostrę.

A ona mi na to pozwala.

* * *

Wczesnym popołudniem Bea i Tala pędzą pod górę – Bea w różowych falbankach, Tala w granatowym kombinezonie. Mnie rośnie serce, a do oczu Libby napływają łzy, gdy pomagam jej wstać z koca. Krzyczą „mamusia!” swoimi niemożliwie wysokimi głosikami i dopadają do jej nóg, ona zaś obsypuje pocałunkami ich splątane włosy.

– Tak bardzo za wami tęskniłam!

Tala wydaje się naburmuszona i urażona, gdy obejmuje udo Libby, Bea natomiast od razu zaczyna płakać, jakby potrzebowała drzemki. Wtedy pojawia się zaspany Brendan. Wygląda na dwadzieścia trzy razy bardziej zmęczonego, niż Charlie Lastra był kiedykolwiek.

Gdy on i Libby patrzą sobie w oczy, uśmiechają się spokojnie. Nie z przesadną radością, lecz z ulgą: jakby znowu złapali nurt i nie musieli już tak ciężko wiosłować.

Resztki niepokoju, który w sobie nosiłam, ulatniają się. Ci dwoje się kochają. Nieważne, co myślałam na temat tego, co się między nimi dzieje, wszystko jest dobrze.

Są dla siebie w jakiś tajemniczy sposób stworzeni i zdają się o tym wiedzieć.

W czasie, gdy Libby cieszy się dziewczynkami, Brendan bierze mnie w niezdarne objęcia.

– Lot był udany? – pytam.

– Połało się trochę łez – odpowiada ostrożnie.

– Znowu puszczała *Mamma Mia!* – domyślam się. – Wiesz, że na Meryl na tej wysokości nic nie poradzisz.

W tym momencie dziewczynki odrywają się od Libby i pędzą na mnie, drąc się, niekoniecznie unisono:

– Nono!

– Moje najukochańsze dziewczynki na świecie! – wołam, chwytając je.

– Leciałyśmy na samolocie! – piszczy Tala.

– Tak? – Siedzam ją sobie na biodrze i ściskam Beę za rączkę. – A kto sterował? Ty, Bea?

Bea chichocze. Bardzo prawdopodobne, że taki dźwięk wydała ziemia, kiedy po raz pierwszy ujrzała wschód słońca.

– Niiieee. – Tala kręci głową, poirytowana moją ignorancją.

Szczerze mówiąc, naburmuszona stanowi najładniejszy widok na świecie. Oby wszystkie nasze kiepskie nastroje zawsze prezentowały się tak uroczo.

Prowadzę je przez trawę. Oddaliśmy się od Libby i Brendana, żeby mogli mieć chwilę dla siebie. Brendan wygląda tak, jakby przydało mu się kilka lat w komorze kriogenicznej, a Libby ściska go za tyłek, wyraźnie potrzebując zgoła odmiennej temperatury.

– Hej, zapomniałam! – wołam, prowadząc dziewczynki w stronę kwiatów posadzonych przy mostku. – Co myślicie o motylach?

Mają mnóstwo myśli. I starają się wykrzyknąć je wszystkie.

Na kolację Libby wybiera lokal w centrum Asheville – elegancką kubańską restaurację z tarasem na dachu. Powietrze od wczorajszej burzy jest chłodne i rześkie, co przynosi ulgę po trzech tygodniach upału.

Rozświetlone miasto pod nami stanowi skrzyżowanie spokojnej wioski i tętniącej życiem metropolii, a jedzenie jest po prostu boskie. Wypijamy z Brendanem butelkę wina, nawet Libby bierze kilka łyków, jęcząc, gdy płucze nim usta.

– Czuję się trochę jak w Nowym Jorku, a wy? – mówi z zamglonym spojrzeniem. – Wystarczy zamknąć oczy, wsłuchać się w głosy ludzi, wciągnąć w nozdrza powietrze.

Brendan wykrzywia usta, jakby chciał się sprzeciwić, ale ja potakuję. To zupełnie nie przypomina Nowego Jorku, jednak w ich towarzystwie czuję się prawie jak w domu.

Zalewa mnie nieprawdopodobna fala nostalgii na myśl o tym, że zbiegam po schodach na peron, słyszę metaliczny zgrzyt, czuję podmuch wiatru i nie wiem, czy zdażyłam w ostatniej chwili, czy mój pociąg właśnie odjechał z piskiem.

Jaka jest najdziwniejsza rzecz z Nowego Jorku, za którą tęsknisz? – piszę do Charliego.

Kiedyś był to dostęp do Dunkin' Donuts w odległości najdalej trzech przecznic – odpisuje.

Uśmiecham się do telefonu. Proporcja DD do liczby mieszkańców wynosi tam pewnie jeden do pięciu. Co jeszcze?

Brakuje mi Eataly, ale nie nazwałbym tego dziwactwem.

Gdybyś nie tęsknił za Eatalą, nie moglibyśmy ze sobą nigdy więcej rozmawiać. Bo siedziałbyś w więzieniu, gdzie Twoje miejsce.

Cieszę się, że uniknąłem tej kulki. To też nie jest dziwne, ale często myślę o pierwszym ciepłym dniu wiosny. Kiedy wszyscy równocześnie wychodzą na ulice i ma się wrażenie, że jesteśmy upojeni słońcem. Ludzie chodzą po parkach w szortach i stanikach od bikini, jedzą lody, chociaż jest raptem dziesięć stopni.

Charlie – odpowiadam. – To wszystko jest obiektywnie cudowne.

Potrzebuje chwili przed kolejną odpowiedzią. Zespołów mariachi grających wcześniej rano w komunikacji miejskiej, śpiewaków operowych, śpiewających grup. Wiem, że nie jest to popularne stanowisko, ale uwielbiam to, że kiedy prawie zasypiam w pociągu, nagle pięciu gości śpiewa co sił w płucach. Kocham też obserwować reakcje innych. Zawsze znajdują się tacy, którzy to czują, i tacy, którzy wyglądają, jakby planowali zabójstwo, a także tacy, którzy udają, że nic się nie dzieje. I zawsze rzucam parę drobnych, bo nie chcę żyć w świecie, w którym nikt tego nie robi. Nie umiem wyobrazić sobie większego symbolu nadziei niż osoba, której się chce zwlec z łóżka i śpiewać dla grupy obcych ludzi w pociągu. Taką wytrwałość należy nagradzać.

Uwielbiam Twój koszmarne mózg – piszę.

A mnie się zdawało, że wykorzystujesz mnie dla mojego koszmarne ciała. A po minucie: Ja też kocham Twój mózg. I Twoje ciało. Wszystko.

Poświęciłam dziesięć lat na ignorowanie tego uczucia, tej potwornej żądy. Wystarczyły trzy tygodnie i fikcyjna kobieta, Nadine Wintes, by pojawiło się z powrotem.

– Nie rób na jutro żadnych planów – mówi Libby, kopiąc mnie pod stołem. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Brendan wbija wzrok w blat, niemal z poczuciem winy. Albo nie jest przekonany, że owa „niespodzianka” mi się spodoba, albo Libby zagroziła, że go zamorduje, jeśli ją zdradzi.

– Brendanie – rzucam na chybił trafił – powiedz swojej żonie, że w ciąży nie może skakać ze spadochronem.

Brendan unosi ręce ze śmiechem, lecz wciąż unika mojego spojrzenia.

– Nie mów żadnej Stephens, co może robić, a czego jej nie wolno.

Przemyka mi przez myśl posada w Loggia i głos Charliego, który mówi: „Jeśli miałbym wybrać

tylko jedną osobę do swojego narożnika, byłabyś to ty. Za każdym razem”.

* * *

Libby zawiązuje mi na oczach jedwabną apaszkę na czas jazdy taksówką – prowadzoną, niestety, przez Hardy’ego, ale na szczęście tylko przez pięć minut – po której wyciąga mnie z samochodu i śpiewa:

– To tu-u!

– Nieoficjalna wycieczka po mieście poświęcona *Raz w życiu?*

– Nie! – Hardy chichocze. – Ale musicie się na nią wybrać! Wiele tracicie.

– Pogrzeb fikcyjnego psa starego Whittakera – strzelam znowu.

Libby zamyka za mną drzwi auta.

– Zimniej.

– Pogrzeb iguany, która grała fikcyjnego psa starego Whittakera w lokalnym przedstawieniu? – Nasłuchuję jakichś podpowiedzi z otoczenia, ale dociera do mnie wyłącznie szum wiatru, czyli możemy być... w zasadzie wszędzie.

– Przed tobą dwa schodki. – Prowadzi mnie do przodu. – Teraz będzie mała półka...

Wysuwam nogę i szukam stopą oparcia, aż je znajduję. Uderza we mnie podmuch zimnego powietrza, a moje podeszwy stukają o twarde drewniane deski, kiedy robię jeszcze kilka kroków.

– Teraz. – Libby się zatrzymuje. – Poproszę werble.

Uderzam dłońmi w uda, ona zaś rozwiązuje apaszkę i mi ją ściąga.

Stoimy w pustej sali. Takiej z ciemnymi deskami na podłodze i ścianami z białą boazerią z poziomych desek. Za dużym oknem rozciąga się widok na gąszcz niebieskozielonych sosen. Libby staje przed oknem. Emanuje niepokojem pomimo szerokiego uśmiechu.

– Wyobraź sobie wielki drewniany stół – mówi. – I wiklinowe kosze na kwiaty pod tym oknem. Skandynawski żyrandol. Coś eleganckiego i nowoczesnego, rozumiesz?

– Okeeeej... – odpowiadam, przechodząc za nią do kolejnego pomieszczenia.

– Ciemnoniebieską aksamitną kanapę – kontynuuje. – A w rogu mały płócienny namiot dla dziewczynek. Coś, co można podnieść, by wpuścić do środka trochę światła.

Prowadzi mnie wąskim przedpokojem i przechodzę za nią przez kolejne drzwi, a ona zapala światło, żeby pokazać mi maślanożółtą łazienkę: żółte płytki w stylu lat pięćdziesiątych, żółta tapeta, żółta wanna, żółta umywalka.

– Trzeba tu włożyć trochę pracy – przyznaje. – Ale zobacz, ile miejsca! Jest wanna, a w drugiej łazience kabina prysznicowa. Tamtą już wyremontowano. – Patrzy na mnie, czekając na znak, że ją słyszę.

Słyszę. Podobnie jak tępe bzyczenie w czaszce, jakby stado pszczoł robiło się coraz bardziej niespokojne. W górę mojego kręgosłupa wędruje nieodgadnione przecucie, że coś jest nie tak.

– Przy głównej sypialni jest też łazienka. W sumie trzy, wyobrażasz sobie? – Libby macha ręką w stronę śladów szminki na wykładzinie, obok plamy tak wielkiej, jakby ktoś wylał tam cały dzbanek kawy. – Zignoruj to. Sprawdziłam już, że pod spodem są deski. Możliwe, że z przebarwieniami, ale zawsze lubiłam ładne dywany. – Staje na środku pokoju i rozkłada ręce. – I co myślisz?

– O twojej miłości do dywanów?

Uśmiecha się mniej pewnie.

– O domu.

Dudnienie w uszach zagłusza mój głos.

– O tym domu? W samym środku Sunshine Falls?

Jej uśmiech przygasa.

Bzyczenie się nasila. Brzmi jak: „nie”, jakby miliony miniaturowych Nor nuciły: „To się nie dzieje. To się nie może dziać. Źle to rozumiesz”.

Libby obejmuje swój brzuch, między jej ściągniętymi brwiami pojawia się zmarszczka.

– Nawet nie uwierzysz, jaki jest tani.

Tego akurat jestem pewna. Pewnie padnę trupem z wrażenia i mój duch będzie nawiedzał to miejsce każdej nocy, sącząc się spomiędzy desek, by straszyć właścicieli pytaniem: „Mówiłaś, że ile tu

jest szaf?”.

Kręcę głową.

– Lib, nie mogłabyś mieszkać w takim miejscu.

Twarz jej smutnieje.

– Nie mogłabym?

– Twoje życie to Nowy Jork – stwierdzam. – Brendan ma tam pracę. Dziewczynki szkołę. Tam są twoje ulubione restauracje, parki.

Ja.

Mama.

Każdy jej kawałek. Każde wspomnienie o niej. Każde miejsce, w którym stała, w innym życiu, dekadę temu. Każde okno, do którego zaglądałyśmy, trzymając się za ręce w mitenkach, we trzy w rzędzie, oglądając animowane sanie Świętego Mikołaja sunące po łuku nad miniaturowym Manhattanem.

Każdy krok po moście Brooklińskim pierwszego dnia wiosny lub ostatniego dnia lata.

Freeman Books, Strand, Books Are Magic, McNally Jackson, Barnes & Noble przy Piątej Alei.

– Podobało ci się tu. – Głos Libby brzmi niepewnie, młodzieńczo.

Kawałki lodu skuwające moje serce odmarzają zbyt szybko, odpadają jak od topniejącego lodowca, zostawiając odsłonięte rany.

– To była świetna odskocznia, Libby. Ale za tydzień chcę wracać do domu.

Odwraca się. Tuż przed tym, jak znowu się odzywa, czuję pulsowanie w trzewiach, ostrzeżenie, zmianę ciśnienia. Bzyczenie cichnie.

– Brendan ma nową pracę – oznajmia czystym głosem. – W Asheville.

Czułam, że coś nadciąga, lecz na to nie byłam gotowa. Mam wrażenie, że spadam z dużej wysokości, uderzając po drodze o każdy stopień.

Libby znowu na mnie patrzy.

Czeka.

Nie wiem na co. Nie wiem, co powiedzieć.

Nie mam planu, żadnej listy naprawczej. Stoję w jakimś pustym domu i przyglądam się, jak świat się wali.

– To jest to, o co Brendan tak dopytywał? – szepczę, a ryk krwi w uszach rozlega się na nowo. – Czekał, aż mi powiesz.

Mięśnie szczęk Libby napinają się, co świadczy o jej poczuciu winy.

– Lista – wyduszam z siebie. – Ten wyjazd. O to w tym chodziło? Odchodzisz, a cała ta misterna zabawa w *Simon mówi* jest jakimś popieprzonym pożegnaniem.

– To nie tak – wzdycha Libby.

– A prawnik? – dociekam. – Jaka była jego rola w tym wszystkim?

– Co takiego?

Świat się chwieje.

– Adwokat prowadzący rozwody, ten, do którego Sally dała ci numer.

Widzę, że dociera do niej, o czym mówię.

– To jej przyjaciółka – wyjaśnia nieprzekonująco. – Zna tutaj dobre przedszkole.

Przyciskam dłonie do skroni.

Rozglądają się za przedszkolem.

Rozglądają się za domem.

– Od jak dawna wiesz? – pytam.

– To się stało szybko...

– Od jak dawna, Libby?

Wirywa się jej kolejne westchnienie.

– Wiedziałam kilka dni przed tym, jak zaplanowałyśmy przyjazd tutaj.

– I nie ma innego wyjścia? – Pocieram czoło. – Bo jeśli chodzi o pieniądze...

– Nie chcę innego wyjścia, Noro. – Libby krzyżuje ręce na piersiach. – Podjęłam już decyzję.

– Sama powiedziałaś, że to się stało szybko. Nie miałaś czasu tego przemyśleć.
– Gdy postanowiliśmy, że Brendan będzie się ubiegał o tę pracę, poczułam się spokojna. Jesteśmy już zmęczeni ciasnotą. Tym że dzielimy jedną łazienkę. I jesteśmy zmęczeni tym zmęczeniem. Potrzebujemy przestrzeni. Chcemy, żeby nasze dzieci bawiły się w lesie!
– Dlatego, że borelioza jest taka odlotowa? – dopytuję.
– Chcę wiedzieć, że jeśli coś się stanie, nie zostaniemy uwięzieni na wyspie z milionem innych ludzi, którzy próbują się z niej wydostać.
– Ja mieszkam na tej wyspie, Libby.
Twarz jej bieleje, głos się łamie.
– Wiem...
– Nowy Jork to nasz dom. Te miliony innych ludzi to... to nasza rodzina. A muzea, galerie, High Line, lodowisko w Centrum Rockefellera, pokazy na Broadwayu? Naprawdę potrafisz z tego wszystkiego zrezygnować?
A także ze mnie?
– To nie tak, Noro. Zaczęliśmy oglądać domy i wszystko się tak ułożyło...
– Jasna cholera. – Odwracam się. Kręci mi się w głowie. Moje ręce robią się ciężkie i odrętwiałe, a serce miota się w klatce piersiowej. – Wy już kupiliście ten dom? – Gdy Libby nie odpowiada, obracam się z powrotem w jej stronę. – Libby, kupiłaś dom, nawet mi o tym nie mówiąc?
– Finalizujemy umowę dopiero pod koniec tygodnia – informuje mnie łagodnie.
Odsuwam się od niej. Przelykam ślinę, jakbym mogła cofnąć wszystko, co zostało powiedziane, cofnąć czas.
– Muszę iść.
– Dokąd?
– Nie wiem. – Kręcę głową. – Dokądkolwiek.
* * *

Rozpoznaję tę ulicę: rząd rancz w stylu lat pięćdziesiątych z wypielegnowanymi ogrodami i porośnięte sosnami góry za nimi.
Słońce roztapia się na horyzoncie jak lody brzoskwiniowe, w powietrzu unosi się zapach róż. Kilka podwórek dalej pół tuzina dzieciaków biega, piszczy i śmieje się przy zraszaczu.
Tu jest pięknie.
Chcę być gdziekolwiek indziej.
Libby nie poszła za mną. Nie oczekiwałam tego.
W ciągu trzydziestu lat nigdy nie porzuciłam jej w trakcie kłótni – zawsze to ja musiałam biegać za nią, kiedy szło jej kiepsko w szkole albo przeżywała szczególnie trudne rozstanie w tamtych mrocznych, ciągnących się bez końca latach po stracie mamy.
To ja podążam za nią.
Nie przypuszczałam jednak, że będę musiała udać się za nią tak daleko – albo stracę ją zupełnie.
I znowu to się dzieje. Klucie w nosie, skurcze w klatce piersiowej. Obraz rozmywa mi się przed oczami, śmiech dzieci ulega zniekształceniu.
Ruszam w stronę domu.
To nie dom, myślę.
Moja kolejna myśl jest o wiele gorsza.
Gdzie jest dom?
Rezonuje we mnie, budzi panikę, która się rozlewa.
Dom tworzyłyśmy zawsze mama, Libby i ja.
Dom to ręczniki w biało-niebieskie pasy na gorącym piasku Coney Island. To bar z tequilą, gdzie zabrałam Libby po egzaminach, żeby przetańczyć całą noc. Kawa i croissanty w Prospect Park.
Zasypianie w pociągu, mimo że w odległości dziesięciu kroków gra zespół mariachi i gdzieś tam w wagonie Charlie Lastra grzebie w portfelu w poszukiwaniu drobnych.
Tylko że sytuacja się zmieniła. Bo bez mamy i Libby nie ma już domu.

Dlatego biegnę ku czemukolwiek. By się oddalić.

Wreszcie widzę Goode Books. Światła witryn jaśniejące na tle sinofioletowego nieba.

Dzwony biją, kiedy wchodzę do środka.

Charlie odrywa wzrok od kolekcji lokalnych bestsellerów, a jego zdziwienie ustępuje trosce.

– Wiem, że pracujesz – odzywam się zduszonym głosem – ale chciałam się znaleźć gdzieś, gdzie się czuję...

Bezpiecznie?

Znajomo?

Swobodnie?

– ...blisko ciebie.

Podchodzi do mnie w dwóch krokach.

– Co się stało?

Usiłuję mu odpowiedzieć, ale mam wrażenie, jakby na mojej tchawicy zacisnęła się żyłka wędkarska.

Charlie przyciąga mnie do siebie, obejmuje troskliwie.

– Libby się przeprowadza – muszę mówić szeptem, bo tylko tak potrafię wyrzucić z siebie te słowa. – Przenosi się tutaj. O to w tym wszystkim chodziło. – Reszta wyrывa się ze mnie piskliwie: – Będę sama.

– Nie jesteś sama. – Odsuwa się, dotyka mojej brody i patrzy na mnie intensywnie, niemal napastliwie. – Nie jesteś i nie będziesz.

Libby. Bea. Tala. Brendan.

Zapiera mi dech w piersiach.

Boże Narodzenie.

Nowy Rok.

Wycieczki do Muzeum Historii Naturalnej.

Siedzenie przed wielkim Jacksonem Pollockiem w MET, prośenie dziewczynek, by zapewniły nam niewyobrażalne bogactwo swoimi dziełami namalowanymi paluszkami.

Śmiech w Serendipity, aż bita śmietana wychodzi nam nosem.

Wszystkie wspomnienia i przyszłe chwile razem, z pamięcią o mamie zawsze blisko.

To wszystko mi się wymyka.

Kłucie w nosie. Ciężar na klatce piersiowej. Ciśnienie za oczami.

Charlie prowadzi mnie do biura.

– Jestem z tobą, Noro – zapewnia cicho. – Jestem z tobą, słyszysz?

Tama pęka. Słyszę zduszony odgłos wydobywający się z mojego gardła, ramiona zaczynają mi się trząść i... płaczę.

Zalewają mnie fale płynowe, nurt tak potężny, że nie sposób z nim walczyć, niszczy każde słowo.

Wciąga mnie.

– Wszystko dobrze – szepcze, kołysząc mnie. – Nie jesteś sama – obiecuje, a ja słyszę niewypowiedzianą resztę: „Ja tu jestem”.

Na razie, myślę.

Bo przecież nic – ani to, co piękne, ani to, co okropne – nie trwa wiecznie.

Teraz rozumiem, dlaczego nie płakałam przez te wszystkie lata. Chcę przestać. Chcę poupychać gdzieś ten ból podzielony na mniejsze paczuski.

Przez cały ten czas sądziłam, że najgorsze, co może mnie spotkać, to nazwanie mnie potworną.

Teraz sobie uświadamiam, że wołałabym być lodowata niż taka, jaka jestem naprawdę, w głębi duszy, w każdej sekundzie każdego dnia: słaba, bezbronna, taka cholernie przerażona, że to wszystko się rozpadnie.

Przeraża mnie to, że wszystko stracę. Że będę płakać. Że kiedy już zacznę, nie będę umiała przestać i wszystko, co zbudowałam, runie pod ciężarem nieokiełznanych emocji.

I rzeczywiście płaczę długo.

Aż zaczyna mnie boleć gardło. I oczy. Aż wypłakuję wszystkie łzy i łkanie przechodzi w czkawkę.

Robię się odrętwiała i wyczerpana. Do tego czasu w biurze zdążyła już zapaść ciemność rozjaśniana tylko przez palącą się na biurku starą lampkę bankierską.

Zamykam oczy. Ryk w moich uszach ustał i teraz słyszę tylko równe bicie serca Charliego.

– Ona odchodzi – szepczę, testując to zdanie, ćwicząc się w zaakceptowaniu go jako prawdy.

– Powiedziała dlaczego? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Z typowych powodów, jakimi kierują się ludzie. A ja... zawsze myślałam...

Jego palec znowu łąduje pod moją brodą. Charlie odchyła mi głowę, żebym spojrzała mu w oczy.

– Wszyscy moi byli, przyjaciele... połowa ludzi, z którymi pracowałam... przeprowadzili się. I za każdym razem to było okej, bo ja kocham miasto i swoją pracę. I miałam Libby. – Głos mi drży. – A teraz ona też się wyprowadza.

Kiedy po śmierci mamy straciłyśmy mieszkanie, czułyśmy się, jakby odebrano nam całą naszą historię. Miasto i my, to wszystko, co mnie i Libby zostało po mamie.

Charlie stanowczo kręci głową.

– To twoja siostra, Noro. Nigdy cię nie porzuci.

A jednak nie wypłakałam wszystkich łez – moje oczy znowu je ronią.

Charlie przesuwa dłonie po moich ramionach, masuje mi kark.

– To nie ciebie nie chce, Noro.

– Owszem, mnie – upieram się. – I naszego życia. Wszystkiego, co próbowałam dla niej zbudować. Nie wystarczyło jej to.

– Posłuchaj. Za każdym razem, kiedy tu jestem, mam wrażenie, że ściany na mnie napierają. Kocham swoją rodzinę, naprawdę. Niemniej przez piętnaście lat wracałam do domu tak rzadko, jak mogłam, bo poczucie, że gdzieś nie pasujesz, rodzi największe osamotnienie. Nigdy nie chciałem prowadzić tej księgarni. Nie chciałem tego miasta. I kiedy tu jestem, tylko o tym myślę. Mam przez to cholerną klaustrofobię. Nie przez nich, tylko przez to, że nie wiem, jak być tu sobą. I od tego, że wbijam sobie do głowy, kim powinienem być albo pod jakim względem nie stałem się taki, jak chcieli. I wtedy pojawiłaś się ty. – Oczy mu błyszczą, świecą jak latarki szukające czegoś w ciemności. – I wreszcie mogłem zacząć oddychać. – Głos mu drży, a mnie podskakuje serce, jakby znalazło się w maszynie losującej. – Nic ci nie dolega. Niczego bym w tobie nie zmienił – dodaje niemal szeptem, a po chwili dorzuca jeszcze: – Nigdy nie musiałaś nic zmieniać. Ani dla tych dupków, twoich byłych, ani dla Blake'a Carlisle'a, a już na pewno nie dla siostry, która kocha cię najbardziej na świecie.

Świeże łzy szczypią mnie w oczy.

Charlie ledwie się uśmiecha.

– Naprawdę uważam, że jesteś idealna, Noro.

– Nawet jeśli za wysoka? – szepczę płaczliwie. – I zostawiam na noc telefon ustawiony na pełną głośność?

– Możesz nie wierzyć – mruczy – ale nie mówiłem, że jesteś idealna dla Blake’a Carlisle’a, tylko dla mnie.

Czuję się, jakby jakiś ciężki sprzęt wydobywał moją klatkę piersiową na powierzchnię. Zaciskam dłonie na jego koszuli i szepczę:

– Czy ty zacytowałaś *To właśnie miłość*?

– Nieświadomie.

– Ty też jesteś. – Myślę o swoim mieszkaniu jak ze snu, o promieniach słońca padających na fotel, letnim wietrzyku niosącym zapach pieczywa. I o wlokącym się metrze, w którym jest parno, o książkach w miękkich okładkach i ręcznikach wciśniętych do torby albo świeżo wydrukowanych tekstach i nowych długopisach Pilot G2.

Moje miasto. Moja siostra. Moja wymarzona praca. Charlie. Wszystko to takie, jak należy. Życie, które bym zbudowała, gdyby można było mieć wszystko.

– Taki jak trzeba – dodaję. – Idealny.

Oczy ma ciemne, błyszczące, kiedy mi się przygląda.

Moje serce jest jak pęknięte jajo, bez osłony, bez niczego, co by je podtrzymało.

– Mogłabym zostać.

Odwraca wzrok.

– Noro – mówi cicho, przepaszająco.

I łyż tak po prostu wracają.

Charlie odgarnia mi włosy z mokrego policzka.

– Nie możesz podejmować tej decyzji dla mnie ani dla Libby – oznajmia drżącym głosem.

– Czemu nie?

– Ponieważ przez całe życie dbałaś o to, żeby ona miała wszystko, czego potrzebuje. Pora, by ktoś zadbał o ciebie. Zależy ci na pracy w Loggia. I uwielbiasz miasto. Jeśli musisz zaoszczędzić pieniądze, weź moje mieszkanie. Pewnie jest o połowę tańsze od twojego. Jeśli to jest to, czego chcesz, powinnaś to mieć.

Usiłuję odgonić łyż mruganiem.

– Powinnaś mieć wszystko – odzywa się po chwili.

– A jeśli to nie jest możliwe?

Odchyła mi głowę i szepcze prosto do ust:

– Jeśli ktokolwiek może wynegocjować szczęśliwe zakończenie, to jest to Nora Stephens.

Pomimo – a może z powodu – wrażenia, że klatka piersiowa pęka mi na pół, odszeptuję:

– Jedno z nich kosztuje zaledwie czterdzieści dolarów w Spaaaahhh.

Charlie parska śmiechem, całuje kącik moich ust.

– Ach ten twój mózg.

Tej nocy żadne z nas nie wychodzi z księgarni. Nie chcę go zostawiać i nie chcę, żeby czuł się samotny w ciemności i ciszy. Nawet jeśli to nie może trwać dłużej niż jedną noc, chcę, aby wiedział, że jestem przy nim tak, jak on był przy mnie. Jak jest przy mnie.

Tym razem śpię jak kamień.

* * *

Rano budzę się niespokojna i przypominam sobie poprzedni wieczór. Kłótnię, to, jak znalazłam Charliego w księgarni, jak znowu się kochaliśmy.

Potem rozmawialiśmy przez wiele godzin. O książkach, jedzeniu na wynos, rodzinie. Opowiedziałam mu, jak mamy nos marszczył się tak samo jak u Libby, gdy się śmiała. I że używały tej samej wody toaletowej, która na Libby pachnie zupełnie inaczej.

Opowiedziałam mu o urodzinowym zwyczaju mamy. Każdego 12 grudnia w południe schodziłyśmy do Freeman Books i szperałyśmy tam godzinami, aż wybierała jedną idealną książkę, którą kupowała w regularnej cenie.

– Libby i ja nadal tak robimy. A przynajmniej robiłyśmy. Każdego dwunastego grudnia w południe, dwunastego dnia dwunastego miesiąca o dwunastej. Mama robiła wokół tego dużo szumu.

– Dwunastka to świetna liczba – przyznał Charlie. – Każda inna może iść do diabła.

– Dziękuję – odparłam.

W pewnym momencie przysnęliśmy i oto budzę się ze świadomością, że przez sen znowu zaczęliśmy się zgodnie poruszać. Budzę go pocałunkiem i wciąż otuleni senną mgiełką oddajemy się sobie. Czas się zatrzymuje, świat wokół niknie w czerni.

Potem kładę głowę na jego klatce piersiowej i wsłuchuję się w szum krwi płynącej w jego żyłach, w nurt Charliego, on zaś bawi się moimi włosami.

– Może znajdziemy jakieś rozwiązanie – odzywa się głosem stłumionym i trzeszczącym.

Jakby odpowiadał na pytanie, jakby nasza rozmowa nie dobiegła końca. Cała noc i cały ranek, każdy dotyk i pocałunek były wymianą odbić, przeciąganiem, negocjacją lub rewizją. Jak wszystko między nami. Może to się sprawdzi.

– Może – szepczę zgodnie.

Nie patrzemy na siebie, a ja nie mogę pozbyć się myśli, że to celowe; bo gdybyśmy spojrzeli, moglibyśmy nie móc dłużej udawać. A nie jesteśmy gotowi zrezygnować z tej gry.

Charlie splata palce z moimi i przyciąga do ust grzbiet mojej dłoni.

– Jeśli to jest cokolwiek warte, wątpię, by kiedykolwiek ktoś inny spodobał mi się tak jak ty.

Zarzucam mu ręce na szyję, wdrapuję się na jego kolana, całuję jego skronie, szczękę, usta. Miłość, myślę i dłonie mi drżą, kiedy wsuwają się w jego włosy, a on oddaje pocałunki.

Ból ostatniej strony.

Głęboki oddech, zanim odłożysz książkę na bok.

Gdy odprowadza mnie do drzwi jakiś czas później, obejmuje moją twarz dłońmi i mówi:

– U ciebie, Noro Stephens, zawsze wszystko będzie dobrze.

Libby siedzi na schodach przed domem, otulona starą bluzą Brendana. Na stopniu obok niej stoją dwa kubki z kawą.

Nie odzywamy się, kiedy się zbliżam, widzę jednak, że przepłakała całą noc. Ja pewnie wyglądam nie lepiej.

Podsuwa mi kubek.

– Mogła już przestygnąć.

Przyjmuję kawę i po kolejnej sekundzie napięcia przysiadam na stopniu. Rosa przesiąka mi przez dzinsy.

– Mam zacząć? – pyta.

Wzruszam ramionami. Jeszcze nigdy nie byliśmy na siebie takie złe – nie wiem, co się wydarzy.

– Przepraszam, że wcześniej ci nie powiedziałam – mówi tak, jakby usiłowała przepchnąć słowa przez zbyt wąskie drzwi.

Przez całą drogę tutaj zastanawiałam się, czy zaatakowanie jej da mi jakieś poczucie kontroli. Tyle że nie istnieje rezultat, jaki chciałabym wymusić. Moje pragnienie jest śliskie, nieuchwytnie: to dni, kiedy nic nas nie dzieliło, kiedy należałyśmy bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. Kiedy ja czułam się na miejscu.

– Kiedy zaczęłyśmy zatajać przed sobą różne rzeczy?

Wygląda na zaskoczoną i zranioną tym pytaniem.

– Ty zawsze coś przede mną zatajałaś, Noro – stwierdza. – I wiem, że starałaś się mnie chronić, ale to się i tak liczy, gdy udajesz, że jest w porządku, chociaż nie jest. Albo kiedy się starasz rozwiązać mój problem bez mojej wiedzy.

– Zatem teraz ty to robisz? – upewniam się. – Zataiłaś fakt, że się przeprowadzacie, żebym poczuła się skrzywdzona najpóźniej, jak to możliwe?

– Nie o to mi chodziło. – Z jej oczu płyną świeże łzy. Przyciska powieki pięściami, ramiona jej drżą.

– Przepraszam. – Dotykam jej ręki. – Nie chciałam być złośliwa.

Patrzy na mnie, ociera mokre policzki.

– Próbowалам... próbowałaм cię przekonać... – mówi rwącym się głosem.

– Libby, w jakim wszechświecie musisz mnie do siebie przekonywać? Przepraszam, że poczułaś się przeze mnie niekompetentna. Starałam się pomóc, ale nigdy nie myślałam, że trzeba cię naprawić. Nigdy.

– Nie to miałam na myśli. Chciałam cię przekonać do... – Zamaszystym ruchem ręki wskazuje na łąkę, upstrzone plamami słońca kładki, kwitnące krzewy kołyszące się na wietrze i gęsty sosnowy las porastający pofałdowane wzgórza.

I wtedy wszystko do mnie dociera. Lista nie miała związku z tym, że Libby próbowała nowego życia, nie była spektakularnym pożegnaniem ani ostatnią próbą uratowania mnie przed sypianiem z laptopem.

Miała być zachętą.

– Brendan chciał, żebym od razu ci powiedziała – kontynuuje. – Ale pomyślałam, że może jeśli przyjedziesz i zobaczysz, jak tu może być... Chciałam, żebyś się przeniosła razem z nami. – Głos jej się łamie. – I pomyślałam, że jeśli uświadomisz sobie, jak wspaniałe może być życie tutaj, a może nawet kogoś poznasz, też tego zapragniesz. No ale ty zaczęłaś spędzać czas z Charliem i... Boże, minęło tyle czasu, odkąd cię taką widziałam, Noro. Już zamierzałam sobie wszystko odpuścić, ale wtedy powiedziałas, że on zostaje... no i wydawało mi się, że... i ty mogłabyś chcieć zostać. Jakbym mogła mieć to wszystko... i ciebie.

Czuję się taka pusta, wyżęta, jakbym płynęła przez kilka tygodni i nagle się zorientowała, że brzeg jest tylko mirażem.

Oto Libby, która jeszcze miesiąc temu o nic nie prosiła, wyznaje, czego naprawdę pragnie.

Abym poszła za nią.

I chcę jej dać to, czego pragnie. Zawsze chcę spełniać wszystkie jej pragnienia.

Uporządkowane przegródki w moim mózgu wczoraj wieczorem się posypały i po raz pierwszy widzę coś wyraźnie. Nie czystą, kontrolowaną wersję, tylko chaos, który mi się wymyka.

Libby i ja od dawna gotowałyśmy się na wolnym ogniu, szykując się do zmiany. Nasza wspólna droga się rozdzielała. Miejsce dla niej w moim sercu nie zmniejszyło się od czasu, kiedy przyszła na świat, rozwrzeszczana.

Za to czasu mamy mniej. Mniej przestrzeni w naszej codzienności. Są inni ludzie. Inne priorytety. W tej chwili jesteśmy diagramem Venna, a nie kołowym. Dotychczas mogłam podejmować wszystkie decyzje za nią, ale odkąd tu jestem, kocham swoje życie.

– Poproszono mnie, żebym się ubiegała o pracę redaktorki – wyduszam.

Libby mruga szybko. Łzy przyklejają się do jej rzęs.

– Słu... słucham?

Patrzę na drzewa za łąką.

– Zamiast Charliego w Loggia – kontynuuję. – Chcą kogoś na miejscu, a on zostaje tutaj. Dlatego wspomniał o tym redaktorce Dusty. Przejmę niektóre pozycje z jego listy, a potem zacznę dostawać własne.

– Marzyłaś o tym – rzuca Libby bez tchu.

Coś w jej słowach sprawia, że w moim ciele rozbłyskują fajerwerki.

– Ja... – Nie wydobywa się ze mnie nic więcej.

Bierze mnie za rękę i mocno je ściska.

– Musisz to zrobić – oznajmia łamiącym się głosem.

Klatka piersiowa mi się zapada, kiedy się jej przyglądam – jedynej twarzy, którą znam lepiej od własnej.

– Musisz – mówi przez łzy. – Przecież tego chcesz. Zawsze tego chciałaś i... dłużej tego nie odkładaj, Noro. To twoje marzenie.

– Nigdy tego nie... – Zataczam dłonią spiralę.

– Nie robiłaś?

– I jeśli to nie wypali...

– Poradzisz sobie – zapewnia mnie. – Dasz radę, Noro. A jeśli nie, kogo to obchodzi?

– No cóż. Mnie.

Zarzuca mi rękę na szyję. Trzęsie się od czegoś, co jest połączeniem szlochów i chichotu.

– Będziesz tu miała najlepszy pokój gościnny na świecie! – woła. – A jeśli ci się tam nie powiedzie, zamieszkaś z nami. Zaopiekuję się tobą, dobrze? Tak jak ty zawsze opiekowałaś się mną, Noro.

Chcę jej powiedzieć, jakie doskonale były te trzy tygodnie z nią.

I że od dawna nie czułam się szczęśliwsza, jak również nie doświadczałam dotkliwszego bólu.

Bo te wszystkie szczeliny między nami wreszcie zniknęły, tyle że impet zderzenia poruszył do reszty lód i zostawił wyłącznie miękką lepłą delikatność.

Dlatego mogę tylko zapłakać razem z nią.

Jakoś nigdy nie wzięłam tego pod uwagę: że dwoje ludzi tulących się wzajemnie może się równocześnie rozkleić. I że może do żadnej z nas nie należy obowiązek bycia ze stali.

Każda z nas może przeżyć ból bez konieczności przerwania go na barki tej drugiej.

– Nie wiem, jak egzystować bez ciebie, Noro – wzdycha Libby. – Nie sądziłam, że tak się stanie. Wiem, że to jest dobre dla mnie i Brendana, ale... cholera, myślałam, że my zawsze będziemy razem. Jak to możliwe, że dwoje ludzi stworzonych dla siebie jest stworzonych do życia w różnych miejscach.

– Może wcale nie dostanę tej pracy – rzucam.

– Nie! – protestuje Libby z mocą. – Nie próbuj tego naprawiać. Nie stawiaj mnie przed sobą, dobrze? Robiliśmy tak latami i prawie nas to rozdzieliło. Pora, żebyśmy były tylko siostrami, Noro. Nie naprawiaj tego. Po prostu bądź tu ze mną i powiedz: „Jest do bani”.

– Bo jest. – Zaciskam mocno powieki. – Jest do bani.

Nie znałam potęgi tych słów. Niczego nie naprawiają, nic nie robią, ale samo wypowiedzenie ich jest jak wbicie w ziemię pala i łączy nas przynajmniej w tej chwili.

Jest do bani, nie mogę tego zmienić, ale jestem tu, ze swoją siostrą, i jakoś przez to przejdziemy.

Można wyrwać kogoś z city, ale city na zawsze w nim pozostanie. Z siostrami jest chyba tak samo. Dokądkolwiek się udamy, nigdy jedna nie porzuci drugiej. Nie mogłybyśmy, nawet gdybyśmy chciały. A nie chcemy. I nigdy nie zechcemy.

* * *

Brendan spotyka się z inspektorem w domu, ale Libby i dziewczynki zostają ze mną, żeby mógł się nacieszyć jakże potrzebną chwilą ciszy po tygodniach bycia samotnym rodzicem.

Na dobre przeprowadzą się w listopadzie, na miesiąc przed przewidywaną datą narodzin Numeru Trzeciego. Do tego czasu Brendan będzie podróżował w tę i z powrotem, szykując dom.

Dwa i pół miesiąca. Tyle czasu razem nam zostało – i tylko to się liczy.

Ranek spędzamy na wędrowce po lesie, usiłując utrzymać dziewczynki na szlaku i wpisując w wyszukiwarkę „jak wygląda bluszcz” co czterdzieści pięć sekund, ale ani trochę nie przybliżyła nas to do konkretnej odpowiedzi.

Gdy tym razem podchodzimy do ogrodzenia, konie chętnie podchodzą na pieszczoty mimo braku przynęty.

– Chyba wiemy, na czym stoimy – żartuje Libby, kiedy dziewczynki gładzą paluszkami różowy pysk kasztanki.

Potem wyciągamy z szafki cynowe wiadra i idziemy do krzewów jeżyn na skraju łąki. Zbieramy i zjadamy owoce tak długo, aż mamy fioletowe palce i usta, a także poparzone przez słońce ramiona.

Gdy wracamy do domu z umorusanymi ziemią kolanami, Tala śpi w moich objęciach, lepka i gorąca, więc kładę ją na kanapie, by tam dokończyła drzemkę. Bea prowadzi nas do kuchni, by objaśnić sztukę pieczenia pustej tarty na surowe jeżyny – razem z Brendanem często ogląda kultowy brytyjski program kulinarny – a ja nadal czuję się na wskroś człowiekiem z city.

Ale może da się mieć więcej niż jeden dom. Może da się przynależeć na sto różnych sposobów do stu różnych ludzi i miejsc.

Dziewczynki śpią na dmuchanym materacu na górze (ja zostałam przeniesiona na rozkładaną kanapę), a my siedzimy do późna, dojadając resztki ciasta Bei.

Kiedy ktoś puka do drzwi, Brendan całuje Libby w czoło i idzie otworzyć.

– Nora? – woła po chwili. – Do ciebie!

W progu stoi Charlie. Ma mokre włosy i idealnie wyprasowane ubranie. Wygląda jak milion dolarów. A konkretniej jakieś sześćset, tyle że bardzo dobrze zainwestowanych.

– Masz ochotę na spacer? – pyta.

Libby spycha mnie z krzesła.

– Jasne, że ma!

Ruszamy więc przez łąkę, bierzemy się za ręce i już nie puścimy. Od lat nie trzymałam za rękę kogoś innego niż Libby, Bea albo Tala. Czuję się przez to młodo, ale nie w złym tego słowa znaczeniu. Nie jakbym była bezsilna w nieczułym świecie, raczej jakby wszystko było nowe, lśniące, nieodkryte. Właśnie tak mama widziała Nowy Jork – jak ja Charliego.

Gdy docieram do skąpanej w poświęconym księżycu altany, Charlie staje twarzą do mnie i mówi:

– Uważam, że powinniśmy rozważyć alternatywne zakończenie.

Jeżę się.

– Wysłaliśmy już uwagi. Dusty pracuje nad poprawkami od tygodnia...

– Nie *Lodowatej*. – Unosi nasze ręce i przytula do klatki piersiowej, a ja czuję, jak szybko bije mu serce. Świdruje mnie wzrokiem. Swoimi oczami niczym czarne dziury. Niczym łapki z lepem. Dekadencki deser.

– Będziemy się na zmianę odwiedzać – mówi poważnie. – Może raz w miesiącu. A ty będziesz tu przyjeżdżała na wakacje, kiedy będziesz mogła. Jeżeli nie będziesz mogła, każę tu przylecieć swojej siostrze i zostać z rodzicami, żebym ja mógł się udać do Nowego Jorku. Będziemy wykorzystywali rozmowy wideo, esemesy i mejle. W mieście będziesz się zajmowała pracą, ale jak będziemy razem, to będziemy razem.

Mam wrażenie, że brzuch mi pęcznieje wypełniony po brzegi pijanymi migoczącymi świetlikami.

– Taki jakby otwarty związek?

– Nie. – Kręci głową. – Ale jeśli tak wolisz... Sam nie wiem. Możemy spróbować. Nie chcę, ale to zrobię.

– Ja też tak nie chcę – odpowiadam z uśmiechem.

Oddycha z ulgą.

– Na szczęście.

Serce mi się skręca.

– Charlie...

– Po prostu to przemyśl – naciska cicho.

To się nie sprawdziło w przypadku Sally i Clina. Mnie i Jakoba. Charliego i Amayi. Nawet jeśli pokonałabym swój lęk przed podróżowaniem, nawet jeśli Charlie nie ma nic przeciwko uspokajaniu mnie w środku nocy, jak mam sobie poradzić z ciągłym strachem o to, że go stracę? Z niepokojem, który będę czuła za każdym razem, kiedy odwoła rozmowę albo wizytę. I z czekaniem na dzień, kiedy kłamka zapadnie i on powie mi wreszcie: „Chcę czegoś innego. Nie ciebie. Pragnę kogoś innego”.

Powolny wycieńczający zawód miłosny rozwijający się po trosze tygodniami.

Wolałabym dekapitację przez tysiąc nacięć papierem od takiej śmierci.

– Związki na odległość się nie sprawdzają – zauważam. – Sam tak mówiłeś.

– Wiem – przyznaje. – Tyle że to nigdy nie byliśmy my, Noro.

– Że niby jesteśmy wyjątkiem? – pytam sceptycznie. – Ludźmi, w których przypadku to zadziała?

– Tak. Może. Nie wiem. – Wodzi po mnie oczami. – Co innego możemy zrobić, Noro? Jestem otwarty na sugestie. Powiedz mi, co ty byś zmieniła. Weź ten swój pieprzony długopis, wypisz go

i powiedz mi, jak to się powinno skończyć.

Uśmiech mnie boli. Mój głos brzmi jak drapanie popękanego szkła.

– Cieszymy się tym tygodniem. Spędzajmy razem tyle czasu, ile chcemy, i nie rozmawiajmy o tym, co będzie potem. Później wyjadę bez pożegnania. Bo kiepsko sobie radzę z pożegnaniami. Z nikim nigdy się nie pożegnałam i nie chcę, żebyś był pierwszy. Dlatego gdy pocałuję cię po raz ostatni, żadne z nas nie zwróci na to uwagi. A potem... Wsiądę do samolotu i polecę do domu, niesamowicie wdzięczna za niszczycielsko atrakcyjnego faceta, z którym spędziłam miesiąc w Karolinie Północnej.

Patrzy na mnie w skupieniu, ze ściągniętymi brwiami, chłonąc moje słowa i wydymając wargi. To jego mina redaktora. A kiedy ona znika, Charlie kręci głową i oznajmia:

– Nie.

Śmieję się, zaskoczona.

– Słucham?

Prostuje się, podchodzi bliżej.

– Powiedziałem „nie”.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy – kontynuuje z błyszczącymi oczami – że będziesz musiała bardziej się postarać.

Uśmiecham się wbrew sobie, a nadzieja kołacze się w moim brzuchu jak bardzo zdeterminowane pisklę ze złamanym skrzydłem.

– Czekam na uwagi do piątku – oświadcza.

* * *

Resztę tygodnia pokonujemy w biegu. Libby pracuje nad balem charytatywnym, a Brendan finalizuje sprawy kredytowe. Charlie siedzi przy kasie, Sally zaś non stop się krząta, przygotowując wszystko do wirtualnego klubu książki z udziałem Dusty.

W oknie pojawia się nowy baner z napisem: „Dobre wybory w Goode Books”, a plakat z fotografią Dusty reklamuje klub książki, jak również „Bal Niebieskiego Księżycy, który zdarza się raz w życiu”.

Ochotnicy zmieniają wygląd placu, a ja teoretycznie wzięłam tydzień wolnego. Niektóre rzeczy jednak nie chcą czekać, więc z całych sił staram się choć odrobinę pracować pomiędzy wożeniem dziewczynek na barana i czyszczeniem życiorysu dla Loggia.

Zawsze uważałam się za istotę skupioną na przetrwaniu, ale ostatnio zdarza mi się śnić na jawie. O nowej pracy. O Charliem. O tym, że mam wszystko.

Więc może jednak to miejsce odmieniło mnie pod tym względem. Tyle że nie stałam się dziewczyną, która pokochała flanelę i warkoczyki.

Gdy Charlie i ja jesteśmy razem, nie zachowujemy dystansu i nie obchodzimy się szerokim łukiem. Korzystamy z każdej chwili, choć nie rozmawiamy o przyszłości. A kiedy jesteśmy oddzielnie, kontynuujemy naszą historię w rozmowach telefonicznych i wiadomościach.

Spędzisz Boże Narodzenie w Sunshine Falls, a ja sylwestra w mieście – pisze.

Wstaniemy wcześniej i będziemy się przesiadać z wagonu do wagonu, aż trafimy na zespół mariachi – stwierdzam.

Będziemy chodzić na zebrania w ratuszu i angażować się w publiczne spory, a potem wracać do domu i kochać się przez całą noc. Skosztujemy kawałków pizzy po dolarze we wszystkich lokalach w mieście.

Rozgryziemy, o co chodzi z tą sałatką z szynką krojoną w kostkę w PS.

Moja wiara w Ciebie jest bardzo głęboka, Noro, ale nawet Ty nie potrafisz rozwikłać tej wielkiej zagadki.

Będę zajęta – przypominam mu. Przez pierwsze kilka miesięcy po powrocie będę się syciła czasem z Libby i dziewczynkami, a jeśli dostanę pracę w Loggia, będę kończyła zadania w agencji

i przekazywała klientów swojemu następcy. A potem przyjdzie czas uczenia się, gdy będę wchodziła w nową rolę.

To mnie nie odstrasza – odpowiada Charlie.

Oto, co znaczy marzyć, myślę i w końcu rozumiem, dlaczego mama nie potrafiła z tego zrezygnować, dlaczego nie potrafią tego moje autorki. I cieszę się ich szczęściem, bo to poczucie braku jest jak siniak, na który musisz naciskać – przypomnienie, że w życiu istnieją rzeczy tak cenne, że musisz zaryzykować ból utraty ich dla krótkiej radości posiadania.

Czasami – piszę do Charliego – pierwszy akt jest fajny, a potem wszystko się komplikuje.

Stephens, dla nas wszystko jest fajne.

To bolesne, ale pozwalam marzeniu trwać jeszcze trochę.

Nikt nigdy mnie nie przekona, że czas płynie w jednostajnym tempie. Jasne, zegar niby realizuje jakąś niewidzialną komendę, ale odnoszę wrażenie, że losowo przeskakuje minuty w takich interwałach, jakie mu pasują, bo ten tydzień mija w okamgnieniu i nadchodzi piątkowy wieczór.

Mija kolejna fala upałów, co zapowiada nadejście jesiennej pogody. Znowu rozbijamy namiot i wyciągamy materac. Libby i Brendan idą do miasta po pizzę quattro stagioni, a ja i dziewczynki leżymy na plecach i obserwujemy ciemniejące niebo.

Bea opowiada mi o wszystkim, co ona i Brendan piekli w ciągu ostatnich kilku tygodni. Tala raczy nas opowieścią, która jest albo nonsensowną paplaniną małego dziecka, albo wiernym odtworzeniem powieści Kafki.

Po jedzeniu Libby proponuje Brendanowi, że tej nocy może mieć ogromne łóżko tylko dla siebie, co on kwituje stwierdzeniem: „Dzięki Bogu” wciśniętym w szerokie ziewnięcie.

Kiedy całuje dziewczynki na dobranoc, są tak senne, że prawie nie reagują. Tylko Tala na sekundę wyciąga rączki ku jego twarzy, ale potem opadają jej one na brzuch.

Na koniec całuje Libby, a potem przytula mnie bokiem (jest w tym najgorszy na świecie), ja zaś czuję do niego taki przyptyw miłości jak w dniu, w którym poślubił moją siostrę.

– Co jest? – szepcze Libby ze śmiechem. – Ty płaczesz?

– Cicho bądź! – Rzucam w nią poduszką. – Popsułaś mi oczy i teraz nie mogę przestać.

– Płaczesz, bo tak bardzo kochasz Brendana! – droczy się. – Przyznaj się!

– Kocham Brendana tak bardzo – mówię, śmiejąc się przez łzy. – Jest miły!

Libby śmieje się jeszcze bardziej.

– Wiem, kochana.

Tala coś mruczy i przewraca się na bok, zasłaniając oczy ręką.

Leżymy z Libby obok siebie i trzymając się za ręce, obserwujemy nieprawdopodobną liczbę konstelacji.

– Wiesz co? – szepcze Libby.

– Chyba tak – odpowiadam. – Ale mnie sprawdź.

– Nawet jeśli nie widać ich nad Manhattanem, wszystkie te gwiazdy będą nad tobą. Może będziemy każdej nocy spoglądały w niebo o tej samej porze?

– Każdej nocy? – pytam z powątpiewaniem.

– To może raz w tygodniu? Połączymy się przez telefon, spojrzymy w niebo i będziemy wiedziały, że nadal jesteście razem. Dokądkolwiek się udamy.

Przełykam rosnącą gulę.

– Mama też z tobą będzie – mówię. – To, że wyjeżdżasz z Nowego Jorku, nie znaczy, że ją zostawiasz.

Libby wtula się we mnie, kładzie głowę w zagłębieniu mojego ramienia. Jej włosy wciąż pachną rozgniecionymi jeżynami.

– Dziękuję.

– Za co?

– Po prostu dziękuję.

Tej nocy nie śni mi się mama.

Centrum miasteczka jest krainą czarów pełną światełek i chorągiewek, długich stołów nakrytych uroczymi obrusami w kratkę, na których stoi mnóstwo ciast. Na placu ustawiono parkiet, w stojącej za altaną firmowej furgonetce Coors można kupić piwo. Tuż obok Amaya i pani Struthers sprzedają wino i napełniają kieliszki z nawiązką. Wątpię, żeby było na to wszystko pozwolenie, ale z opowieści Libby wynika, że w zasadzie każdy z ratusza zaangażował się w jakiś sposób w tę akcję, więc szansa, że jest to legalne, jednak istnieje.

Brendan, Libby, dziewczynki i ja zaglądamy do Goode Books na imprezę z Dusty, ale panuje tam taki ścisk, że nie zostajemy długo. Charlie i Sally ustawili nowe meble – a także stare składane krzesła – w rzędy w kawiarni, gdzie na ścianie jest prezentowana wideokonferencja z autorką, a jej głos puszczały przez głośniki w całej księgarni dociera do rzeszy klientów.

Dziewczynki skaczą po ścianach, więc zabieramy je do stoiska Mug + Shot na lemoniadę truskawkową z lodami.

– To wielki błąd – zauważa Libby, podając Bei i Tali różowe drinki ozdobione bitą śmietaną.

– Za to jaki pyszny – stwierdzam.

– A one – dodaje Brendan, ścisząc głos – zawsze zasypiają po cukrowym haju.

Podczas pobytu na placu objadamy się: prażoną kukurydzą, plackiem czekoladowym z rabarborem, pekanami w cukrze, które przypominają mi chłodne poranki w Central Parku. Pijemy też lokalne wino, chyba najgorsze, jakie w życiu piłam, i inne, całkiem smaczne.

Tańczymy z dziewczynkami do piosenek pop, które Bea zdaje się znać lepiej niż Libby i ja, a kiedy zapada ciemność, która przynosi ze sobą chłód, Tala zasypia na rękach u Brendana, który rozmawia z Clintem Lastrą o dobrych miejscach na wędkowanie. Brendan nigdy w życiu nie łowił ryb, chce jednak spróbować, Clint zaś z chęcią wprowadzi go w temat.

Libby będzie tu szczęśliwa, myślę, przyglądając się im z odległości. Będzie tu cholernie szczęśliwa, a to sprawi, że tę rozłąkę da się znieść. Prawie.

Ona i Bea się oddalają, żeby poszukać w wynajętym samochodzie Brendana jakichś bluz lub koców. Ja zostaję i patrzę, jak Gertie z dziewczyną, kłótniwa para z ratusza i z tuzin innych par kołysze się sennie na parkiecie.

W tłumie zauważam Shepherdę. Uśmiecha się nieśmiało, macha i podchodzi do mnie.

– Cześć – mówi.

– Cześć.

Następuje niezręczne milczenie.

– Przepraszam za... – odzywam się w końcu.

Równocześnie on zaczyna:

– Chciałem tylko powiedzieć... – Znowu się uśmiecha tym swoim przystojnym uśmiechem lidera. – Ty pierwsza.

– Przepraszam, że wprowadziłam cię w błąd. Jesteś świetnym facetem.

Obdarza mnie kolejnym życzliwym, chociaż lekko rozczarowanym uśmiechem.

– Tyle że nie w twoim typie.

– Nie – przyznaję. – Chyba nie. Jeśli jednak zajrzysz do Nowego Jorku i będziesz szukał przewodnika... albo skrzydłowego...

– Znajdę cię. – Ukrywa ziewnięcie grzbietem dłoni. – Zwykle śpię o tej porze – informuje mnie przepraszająco. – Powinienem się związać.

To jasne, że jest rannym ptaszkiem. Życie z Shepherdem oznaczałoby mnóstwo wolnego romantycznego seksu z intensywnym kontaktem wzrokowym, po którym następowaloby wspólne obserwowanie wschodu słońca nad doliną. Bez wątplenia wystąpi w czyimś szczęśliwym zakończeniu. Może nawet już do kogoś należy w sposób, jakiego nie da się wyjaśnić.

Dla kogoś innego będzie łatwy – w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Jakbym wezwała go myślami, kilka metrów za Shepherdem zjawia się Charlie. Serce mi podskakuje, ciepłe i niezawodne jak gejzer Old Faithful.

Shepherd dostrzega, że przenoszę wzrok, jak słońce kierujący się ku światłu. On też patrzy na Charliego i uśmiecha się porozumiewawczo.

– Udanego lotu, Noro.

– Dzięki – odpowiadam, lekko się rumieniąc. – Dbaj o siebie.

Odchodzi na skraj placu. Po drodze zatrzymuje się na moment przy Charliem, żeby z nim porozmawiać. Uśmiechają się do siebie. Charlie jest czujny, ale nie tak bardzo, jak tamtego dnia przed Goode Books. Shepherd klepie go w ramię i coś mówi, a Charlie patrzy na mnie. Na widok jego lekkiego uśmiechu w mojej klatce piersiowej dochodzi do kolejnej erupcji czułości.

Wymieniwszy jeszcze kilka słów, rozchodzą się każdy w swoją stronę. Shepherd przedziera się na obrzeża tłumu, Charlie zaś zbliża się do mnie z szerszym uśmiechem.

– Podobno jest ci zimno. – W dłoni ściska zmiętą koszulę flanelową, której wcześniej nie zauważyłam.

Zerkam w kierunku Libby i Bei, które dołączyły do Brendana. Siostra posyła mi krótki uśmiech.

– Rety – mówię. – Wieści szybko się tu rozchodzą.

– Kiedyś w liceum poszedłem do fryzjera i dla kaprysu kazałem sobie ogolić głowę. Rodzice wiedzieli, zanim wróciłem do domu.

– Imponujące.

– Chore. – Rozkłada koszulę, a ja się obracam.

Czuję się jak eteryczna dama w starym czarno-białym filmie, gdy nasuwa mi ją na ramiona, po czym ustawia mnie twarzą do siebie i zapina guziki.

– Jest twoja? – pytam.

– Absolutnie nie – odpowiada. – Kupiłem dla ciebie. – Moje zaskoczenie kwituje śmiechem. – Widniała na liście. Dla Libby też kupiłem. Zaczęła krzyczeć, kiedy jej ją dałem. Pomyślałem, że rodzi.

Przez chwilę tylko się do siebie uśmiechamy. To najmniej niezręczny dłuższy kontakt wzrokowy, jakiego doświadczyłam w życiu. Zupełnie jakby było nam w życiu pisane to samo, czyli istnienie przy sobie nawzajem.

– Jak wyglądam? – pytam.

– Jak bardzo seksowna kobieta w bardzo nieatrakcyjnej koszuli.

– Słyszałam tylko „seksowna”.

Jego usta wyginają się w moim ulubionym z jego uśmiechów, tym, który sprawia wrażenie, jakby w kąciu krył się jakiś sekret.

– Masz ochotę zatańczyć, Stephens?

– A ty? – pytam zaskoczona.

– Nie – odpowiada. – Ale chcę cię dotknąć, a to będzie świetna przykrywka.

Biorę go za rękę i ciągnę na parkiet pod migoczące światełka. Leci akurat *Carolina in My Mind* Jamesa Taylora, jakby wszechświat się ze mną droczył.

Charlie zaciska ciepłą dłoń na mojej, a ja przytulam policzek do jego swetra i zamykam oczy, by skupić się na doznaniach. Wdrukowuję w umysł najmniejsze detale: zapach Book i cytrusów z niemal korzenną nutą będącą tylko jego; miękką cienką wełnę i jędrny tors pod nią; żarliwe mięsiste bicie jego serca; muskanie policzkiem mojej skroni; nieokreślone rozedrganie, które się pojawia, gdy Charlie wtula usta w moje włosy.

– Jesteś podekscytowana na myśl o jedzeniu? – pyta cicho.

Otwieram oczy, by przyjrzeć się jego gęstym poważnym brwiom.

– Już jadłam. Zjadłam na kolację ciasto.

Delikatnie kręci głową.

– Pytałem o to, jak wrócisz do miasta.

– Aha. – Przyciskam policzek do jego ramienia, kulę palce, próbując zatrzymać tutaj jego albo siebie nieco dłużej. – Nie musimy o tym rozmawiać.

Jego ręce na moment naciskają na mnie trochę mocniej.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Zamykam oczy, broniąc się przed łzami.

– Mam ogromną chęć na coś tajskiego – mówię po chwili.

– Niedaleko mojego mieszkania jest świetna tajska restauracja. Zabiorę cię tam kiedyś.

Znowu pozwalam sobie na tę wizję: Charlie siedzący na kanapie w moim mieszkaniu, z laptopem przed sobą i poważną miną. Mróz chowający się w rogach okna za nim, płatki śniegu rozpuszczające się na szybie, światełka oplatające latarnie na ulicy, ludzie taszczący wielkie torby z zakupami.

Dopuszczam do siebie wizję, że ta chwila trwa. Wyobrażam sobie wyodrębniony w świecie świat tylko dla mnie i Charliego, przesuwam mur o kilka kroków i nawet przez sekundę nie szukam pęknięć.

Na tym polega snucie marzeń, myślę znowu.

A potem, ponieważ muszę – bo jeśli ktokolwiek zasługuje na szczerłość, jest to Charlie – zapraszam prawdę, by zastąpiła historię.

Ja tyrająca po dwanaście godzin na dobę, usiłująca oddać komuś swoje klientki i wdroyć się w nowe zadania. Charlie wyczerpany po długich dniach w księgarni, weekendach wożenia taty na fizjoterapię i godzinach sprawdzania w wyszukiwarce, jak naprawić przeciekający zlew i wymienić luźne dachówki.

Nieodebrane połączenia. Piętrzące się wiadomości bez odpowiedzi. Ból. Smutek. Tęsknota. Wizyty odwołane z powodu pracy lub spraw rodzinnych. Oboje się nadwerężamy, nasze serca muszą objąć zbyt wiele stanów, napięcie jest nieznośne.

Czuję na klatce piersiowej wręcz bolesny ucisk. Powiedział mi, że potrzebuję kogoś, kto zadba o zaspokajanie moich potrzeb, ale i on na to zasługuje.

Serce mi łomocze, mam wrażenie, że moje ciało balansuje na krawędzi rozpadu.

– Charlie.

Następuje długie milczenie. Jego grdyka faluje, gdy przełyka ślinę.

– Wiem. Ale jeszcze tego nie mów – odpowiada chrapliwym, warkliwym szeptem.

Nie patrzemy na siebie. Jeśli to zrobimy, będziemy wiedzieli, że zabawa w udawanie dobiegła końca. Dlatego tylko się do siebie tulimy.

Jego rok związku na odległość był najgorszym w życiu. Moja relacja prawie mnie zniszczyła. Charlie ma rację, mówiąc, że to co innego, że to my i że siebie rozumiemy. I to jest właśnie powód, dla którego nie mogę tego zrobić.

– Tydzień temu – mówię – szalałam za tobą do tego stopnia, że chciałabym dać nam szansę. – Przełykam gulę wielkości pięści, a i tak głos z trudem się ze mnie wydobywa. – Teraz wydaje mi się, że za bardzo cię kocham. – Moje słowa mnie zaskakują. Nie dlatego, że nie byłam pewna swoich uczuć, ale ponieważ jeszcze nigdy pierwsza nie wyznałam komuś miłości. Nawet Jakobowi. – Nie musisz nic mówić – dodaję pospiesznie.

Czuję na skroni, jak mięśnie jego szczęki się poruszają.

– Oczywiście, że cię kocham, Noro. Gdybym kochał cię mniej, próbowałbym cię przekonać, że mogłabyś tu być szczęśliwa. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo żałuję, że ci nie wystarczę.

– Charlie...

– Nie deprecjonuję siebie – zarzeka się tuż przy moim uchu. – Po prostu nie wydaje mi się, żeby to tak działało w realnym życiu.

– Jeżeli ktokolwiek mógłby mi wystarczyć, to chyba właśnie ty.

Zacieśnia objęcia i obniża głos do miękkiego chrypienia.

– Cieszę się, że mieliśmy swoją chwilę. Nawet jeśli nie trwała tak długo, jak byśmy chcieli.

Łez jest tak dużo, że parkiet zamienia się w rozmazaną mozaikę barw i światła.

– Ale – udaje mi się w końcu wydusić – to była cholernie idealna chwila.

– Wszystko będzie dobrze, Noro – szepcze mi przy skroni i rozluźnia ręce. – A nawet lepiej.

I tak jak prosiłam, nie ma pożegnania. Gdy piosenka się kończy, Charlie składa ostatni pocałunek na linii mojej szczęki. Zaciskam powieki.

A gdy je otwieram, jego już nie ma.

Mimo to i tak czuję go wszędzie.

Jestem Heathcliffem.

* * *

Uciekam na skraj placu, pisząc po drodze esemesa do Libby i Brendana, że spotkamy się w domu.

– Idziesz już?

Z zaskoczenia nie tylko krzyczę, ale też upuszczam torebkę. Upada na gazon z kwiatami.

– Nie chciałem cię przestraszyć. – Clint Lastra siedzi na ławce. Laska stoi oparta obok niego, nad głową krąży mu kilka ciem.

Sięgam po torebkę i dyskretnie ocieram łzy.

– Jutro wcześniej rano mam samolot.

Kiwa głową.

– Też bym się chętnie położył, ale Sal nie spuszcza mnie z oczu. – Patrzy na mnie krzywo. – Starość jest trudna. Wszyscy traktują człowieka, jakby znowu był dzieckiem.

– Oddałabym wszystko, żeby widzieć, jak moja mama się starzeje. – Słowa wypadają ze mnie, zanim sobie uświadamię, że nie były tylko uwagą zapisaną w moim mózgu.

– Masz rację – przyznaje Clint. – Jestem szczęściarzem. I nie mogę się pozbyć wrażenia, że go zawodzę.

Czuję, jak brwi podjeżdżają mi do góry.

– Kogo? Charliego?

Kąciki ust mu opadają.

– To nie miało tak wyglądać. Nie powinno go tu być.

Wzdrygam się. Przez chwilę jestem rozdarta, bo nie wiem, ile – jeśli w ogóle – powinnam powiedzieć. Przez te tygodnie tutaj w zasadzie nie rozmawiałam z Clintem.

– Może nie – stwierdzam sztywno. – Niemniej wiele dla niego znaczy, że może tu dla was być. Jest to dla niego ważne.

Clint zerka tęsknie w stronę tłumku na parkiecie, gdzie Charlie i ja staliśmy jeszcze chwilę temu.

– Nie będzie szczęśliwy.

Nie jestem pewna, czy to jest takie proste. Przecież nie byłabym nieszczęśliwa, będąc tu z Libby. Tyle że miałabym wrażenie, że noszę pożyczone od kogoś dzinsy. Albo odpoczywam od życia, jakbym na jakiś czas postanowiła zboczyć ze swojej ścieżki.

Już tak robiłam – i nigdy nie żałowałam. Zawsze istniało coś, za co mogłam być wdzięczna.

Tak to już jest. Podejmujesz decyzje, wkraczasz na drogę, która oddala cię od reszty, żeby sprawdzić, dokąd ona prowadzi. Może właśnie dlatego gatunek ludzki tak bardzo lubi opowieści. Są szansą na powtórkę, okazją do doświadczenia życia, jakie nie jest nam dane.

– On chce tu być dla ciebie i Sally – kontynuuję. – Tak bardzo się stara być taki, jakim go potrzebujecie.

Niepoprawny Słodki Facet Clint Lastra ociera policzek. Ręce mu lekko drżą, kiedy kładzie je na udzie.

– Zawsze był wyjątkowy – mówi. – Jak jego mama. Ale czasami... Cóż, wydaje mi się, że Sally zawsze lubiła się wyróżniać. – Usta mu drgają. – Myślę, że mój syn przez większą część życia czuł się samotny. – Zerka na mnie z ukosa, kontrolnie, jakby mnie przeświewał. Jego syn też jest w tym dobry. – Przez tych kilka tygodni był inny. – Śmieje się do siebie. – Wiesz, kiedyś starałem się czytać z nim jedną książkę w miesiącu. Robiliśmy tak w liceum i gdy był na studiach. Prosiłem go o rekomendacje, co czytał ostatnio i co mu się podobało, żebyśmy zawsze mieli istotny dla niego temat do rozmowy. Miał chyba czternaście lat, gdy po raz pierwszy przeczytałem jedną z jego książek i pomyślałem: Cholera, ten dzieciak mnie przerósł.

Chcę zaproponować, ale Clint unosi rękę.

– Nie umniejszam sobie. Bystry ze mnie facet. Na swój sposób. Ale jestem zachwycony swoim synem. Mógłbym słuchać tego dzieciaka dużo dłużej, niż on kiedykolwiek mówi, w zasadzie na każdy temat. Kiedy odwiedziliśmy go z Sal w Nowym Jorku po raz pierwszy, wszystko nabrało sensu. Jakby do tej pory żył na pół gwizdka. A przecież nie tego rodzic chce dla swojego dziecka.

Na pół gwizdka.

– Przez ostatnie tygodnie był inny. – W ruchach jego ust dostrzegam cień jego syna, nieważne, że nie biologicznego. – Miał więcej swobody. Był bardziej sobą.

Ja też byłam inna.

Zastanawiam się, czy i ja żyłam na pół gwizdka. W agencji. Na randkach. Ubijałam się w formie, która wydawała się silna i bezpieczna, chociaż nie była właściwa.

– Wiesz – odzywam się ostrożnie, nie chcąc w żaden sposób sypnąć Charliego, ale też pragnąc być w jego narożniku – może próbujesz mu udowodnić, że go nie potrzebujesz, bo według ciebie on nie chce tu być. Ale nie zachowuj się, jakby nie robił nic dobrego albo jakby nie mógł pomóc. To miasteczko dało mu wystarczająco dużo powodów, by czuł się nie na miejscu, a ty jesteś ostatnią osobą, która powinna mu to fundować.

Clint wybałusza oczy. Otwiera usta, by zaprotestować, ale wtedy dodaje:

– Nie ma znaczenia, jak to odbierasz, jeżeli tak to wygląda z jego perspektywy. A jeśli pozwolisz mu pomóc, to robi to. Lepiej, niż możesz przypuszczać.

Z tymi słowy odwracam się i odchodzę, zanim uronię kolejne łzy.

Gdy wychodzę z budynku na rześkie wrześnie popołudnie, rzuca się na mnie różowo-pomarańczowa kula. Cytrynowo-lawendowy zapach Libby otula moje ramiona, podczas gdy ona sama krzyczy:

– Zrobiłaś to!

– Jeżeli masz na myśli przejście pierwszego etapu procesu kwalifikacyjnego, który może mnie zaprowadzić donikąd, to owszem, zrobiłam to.

Odsuwa się. Jej włosy już wyblakły i prawie odzyskały naturalny odcień, ale ubrania są kolorowe jak zawsze.

– Co powiedzieli?

– Że się ze mną skontaktują.

Bierze mnie pod łokieć i prowadzi chodnikiem.

– Masz tę pracę.

Ze zdenerwowania żołądek mi się zaciska.

– Czuję się, jakbym pierwszego dnia szkoły stała naga przed szafką, do której zapomniałam szyfru. Czekaj, nie! To jest ostatni dzień szkoły, a ja nie poszłam ani razu na matematykę. Plus ta cała reszta.

– Niepewność ci służy, sestro – stwierdza. – Naprawdę tego chcesz. To dobrze. A teraz chodźmy, bo umieram z głodu. Masz listę?

– Pytasz o tę listę? – Wyciągam zalaminowaną kartkę ze spisem wszystkiego, co musimy zjeść, wypić i zrobić przed jej wyjazdem.

Spotykamy się niemal każdego dnia. Na lunch, spacer na plac zabaw obok jej domu albo żeby siedzieć na podłodze i pakować do kartonów pluszowe zwierzątka i malutkie śpioszki. (Zdarza mi się płakać nad tymi wyjątkowo małymi, które należały kiedyś do Bei, a potem do Tali, a które niebawem odziedziczy Numer Trzeci).

Pewnej soboty zabieram dziewczynki do Muzeum Historii Naturalnej i spędzamy dwie i pół godziny w sali z ogromnym waleniem. Innego wieczoru idziemy z Brendanem i Libby do naszej ulubionej pizzerii w Dumbo, gdzie siedzimy na tarasie i rozmawiamy tak długo, aż personel zaczyna sprzątać przed zamknięciem.

Przeplącamy za narysowanie naszych karykatur w Central Parku. Prosimy turystę, żeby zrobił nam zdjęcie rodzinne przed fontanną Bethesda. W każdą niedzielę chodzimy na naleśniki francuskie do ulubionej restauracji Libby w Williamsburgu.

A potem przychodzi listopad.

Wyjeżdżają w czwartek z samego rana. Dziewczynki są tak zaspane, że udaje się nam wsadzić je do wypożyczonej furgonetki bez większych ceregieli, a ja skrycie czuję rozczarowanie. Cierpię, kiedy słyszę, jak wołają przez łzy „ciocia Nono”, ale jeszcze gorzej jest tego nie słyszeć.

Ściskamy się z Brendanem na pożegnanie, po czym on wsiada do auta, żeby zapewnić mnie i Libby trochę prywatności.

– Uciekaj! – zwracam się do siostry teatralnym szeptem.

Brendan posyła mi uśmiech i zamyka drzwi.

Libby płacze. Powiedziała, że obudziła się zapłakana. Ja nie. Ale nie jestem pewna, czy w ogóle spałam.

Po trzecim nagłym przebudzeniu umówiłam się przez internet z psychologiem i specjalistą od snu, a potem zamówiłam cztery książki, które „pomogły milionom w podobnej sytuacji”. Prawie się cieszyłam, że mam się na czym skupić w środku nocy.

– Będziemy ciągle ze sobą rozmawiać – obiecuje Libby. – Będziesz mnie miała dosyć.

Wiatr jest lodowaty, więc przysuwam sobie jej palce do ust i ogrzewam je oddechem.

Przewraca oczami i śmieje się przez łzy.

– Nadal jesteś mamuszką.

– I kto to mówi! – Pochyłam się, żeby pocałować jej brzuch. – Bądź grzeczny, Numerze Trzeci, to ciocia Nono przywiezie ci prezent, gdy cię odwiedzi. Jakiś motocykl albo fajne dragi.

– Nie wiem, co powiedzieć... – Głos Libby się łamie.

Biorę ją w objęcia.

– To jest do bani.

Rozluźnia się.

– Bo naprawdę jest.

– Ale też jest super – zauważam. – Będziesz miała wielgachny dom i okna, przez które nie będziesz musiała patrzeć na tego starego faceta chodzącego bez spodni. Będziesz miała ogród i przyjmowała gości ubrana w przesadnie drogą sukienkę w stylu preriowym, rozstawiając wszędzie wkoło bukiety kwiatów. A twoje dzieci będą do późna łapały świetliki z dziećmiakami sąsiadów. Brendan pewnie nauczy się rąbać drewno, nabierze masy mięśniowej i będzie cię nosił na rękach jak w powieści romantycznej...

– A wtedy ty przyjedziesz z wizytą – przerywa mi Libby – i przegadamy całą noc. Wypijemy po jednym ginie z tonikiem za dużo i przekonam cię, żebyś razem ze mną zaśpiewała Sheryl Crow w Poppa Squat. Wybierzemy się na prawdziwą plantację choinek, a nie na stoisko przy ulicy, pokażemy dziewczynkom *Filadelfijską opowieść*, a one powiedzą: „Czy dobrze mi się wydaje, że Cary Grant jest dupkiem? Dlaczego ona nie związała się z Jimmym Stewartem?”

– Będziemy musiały je poinformować, że niektórzy ludzie po prostu mają kiepski gust – przyznaję z powagą.

– Albo że czasami dwóch atrakcyjnych facetów zabiega o twoje serce i musisz zakręcić kołem i wybrać jednego, a drugiego wprowadzić na ślubny kobierzec z koleżanką z pracy.

– Mała! – woła Brendan, krzywiąc się przepraszająco.

Libby kiwa głową i odsuwamy się od siebie, ale nadal trzymamy się za przedramiona, jakbyśmy się szykowały do kręcenia się z pełną szybkością i nie chciały, żeby siła odśrodkowa nas rozerwała. W sumie słusznie.

– To nie jest pożegnanie – odzywa się Libby.

– Jasne, że nie. Nadine Winters nigdy się nie wita ani nie żegna.

– I jesteśmy siostrami – zauważa. – Jesteśmy na siebie skazane.

– To też.

Puszcza mnie i wsiada do samochodu.

Gdy odjeżdżają, do oczu napływają mi łzy. Przynajmniej udało mi się je na tyle długo powstrzymać. Zasłużyłam na nie.

Biało-pomarańczowa furgonetka rozmywa mi się przed oczami, aż mam wrażenie, że patrzę na pozostawioną na deszczu akwarelę, a moja rodzina rozpada się na kolorowe smugi. Widzę, jak się kurczą. Jedna przecznica. Dwie. Trzy. A potem skręcają i znikają, a ja czuję się jak betonowy klocek pęknięty na pół. Dociera do mnie jednak, że moje wnętrze nigdy nie zastygło.

Jestem papką.

Płacę na całego. Nie pociągam słodko nosem. Szlocham, łapiąc powietrze. Mijają mnie przechodnie. Jedni szerokim łukiem. Inni posyłają mi współczujące spojrzenia. Jakaś kobieta w zbliżonym do mojego wieku podaje mi chusteczkę, nawet nie zwalniając kroku, a ja ją chwytam i mogę się już tylko rozplakać jeszcze bardziej i śmiać, aż mi się od tego trzęsie brzuch.

Jak mawiała mama: nie jesteś prawdziwą nowojorcanką, dopóki nie chcesz przeżywać emocji publicznie. Ja dopiero teraz, podjąwszy stanowczą decyzję o pozostaniu tutaj, przekroczyłam ten ostatni próg.

Siadam przed drzwiami domu Libby, śmiejąc się i płacząc tak histerycznie, że już nie potrafię odróżnić jednego od drugiego. Dopiero na dźwięk dzwonka telefonu udaje mi się jako tako ogarnąć.

Pociągam nosem, ocieram łzy, wyciągam komórkę z kieszeni i odbieram.

– Libby? – odzywam się. – Wszystko w porządku?

– Co tam u ciebie? – pyta.

– Nic? – Przecieram oczy grzbietami dłoni. – A u ciebie?

– Niewiele – wzdycha. – Zatęskniłam. Pomyślałam, że zadzwonię i powiem ci „cześć”.

Czuję ciepło w klatce piersiowej. Promieniuje do palców dłoni i stóp, aż jest go tyle, że robi się bolesne. Przelewa się. Żaden człowiek nie powinien mieć w sobie tyle miłości.

– Jak Nowy Jork wygląda teraz?

Odjechali przed ośmioma minutami.

– Brendan wcisnął gaz do dechy czy jak?

– Powiedz mi – prosi. – Chcę usłyszeć, jak go opisujesz.

Patrzę na krzątanicę wokół mnie, na drzewa malujące liście czerwienią i żółcią. Mężczyznę wyładowującego skrzynki przed sklepem spożywczym po drugiej stronie ulicy. Starszą kobietę z czarnymi jak heban włosami pod białym kowbojskim kapeluszem ze strasami przeglądającą płyty DVD na składanym stoliku jakiegoś faceta. (Zerknęłyśmy na nie przed rozstaniem i odkryłyśmy, że osiemdziesiąt pięć procent kolekcji to filmy z Keanu Reevesem, co rodzi pytanie, czy ten mężczyzna obraził się na tego aktora?)

Dobiega do mnie zapach kebaba, słyszę klaksony w oddali, a jakaś kobieta, która może, ale nie musi być aktorką z *Prawa i porządku*, mija mnie szybko w wielkich okularach przeciwsłonecznych, prowadząc na smyczy malutkiego rozbrykanego boston teriera.

– No więc? – ponagla mnie Libby.

Jest jak w domu.

– Bez zmian.

– Wiedziałam. – Słyszę, że się uśmiecha.

Chciała, żebym z nią pojechała, ale cieszy się z tego, że mam to, czego pragnę.

A ja chciałam, żeby została, lecz mam nadzieję, że znajdzie wszystko, czego szuka, i jeszcze więcej.

Może nie należy budować miłości na fundamencie z kompromisów, chociaż nie może ona istnieć bez nich.

Nie chodzi o miłość włączającą dwoje ludzi w formy, do których nie pasują, tylko o taką, która luzuje ich uścisk, zostawia miejsce na rozwój. I kompromisy, które mówią: w moim sercu będzie miejsce, które ma twój kształt, a jeśli kształt się zmieni, dostosuję się do tego.

Bez względu na to, dokąd się udamy, nasza miłość się rozciągnie, by nas objąć. I to budzi we mnie poczucie, że wszystko będzie dobrze.

Dwunastego grudnia o 11.30 udaję się do Freeman Books.

Tego jednego dnia zawsze brałam wolne w agencji i jak tylko zaczęłam pracę w Loggia, poprosiłam o to samo.

Okres uczenia przebiega brutalnie, ale po tylu latach pracy, w której zawsze wiedziałam, co robić, wyzwanie jest ekscytujące. Grzebię w tekstach świeżo odziedziczonych autorów jak archeolog w nowym miejscu wykopalisk.

Czy można być fanatykiem redakcji książek?

Jeśli tak, ja nim jestem.

Z ciężkim sercem opuściłam dzień pracy, ale chociaż będę poza biurem, przynajmniej spędzę czas w otoczeniu słów.

Idę niespiesznie, rozkoszuję się niespodziewanym zalewem słońca, które roztopia śnieg, tworząc breję na chodniku, i nieśmiałym ciepłem wnikającym pod mój ulubiony płaszcz w jodełkę.

W barze, w którym pracowała mama, kupuję kubek kawy i duńskie ciastko. Dawno już nikt mnie tu nie poznaje, ale jestem pewna, że ta sama kasjerka obsługiwała Libby i mnie w grudniu rok temu, i to mi wystarczy, bym poczuła przyjemny dreszcz przynależności.

Wtem przeszywa mnie ostry ból, jakbym musnęła pokrytą pęcherzami część serca: Charlie powinien tu być.

Nie unikam myślenia o nim, jak to robiłam w przypadku Jakoba. Nawet jeśli to jego wypływanie na powierzchnię umysłu jest bolesne, przypomina wspomnianie ulubionej książki. Owszem, dała ci po głowie, ale też zmieniła cię na zawsze.

Mijam kwaciarnię z ogrzewanym plastikowym namiotem rozstawionym przed wejściem i wchodzę, by kupić bukiet z kwiatów z czerwonymi płatkami z dodatkiem srebrzystozielonych liści i drobnych białych pączków. Nie znam się na kwiatach, ale skoro te kwitną zimą, na pewno są twarde i szanują je za to.

O 11.45 jestem nadal dwie przecznice od celu. Wibruje mi telefon w kieszeni płaszcza. Wsuwam bukiet w zagięcie łokcia, gmeram w kieszeni, a następnie ściągam zębami rękawiczkę, żeby odblokować ekran i przeczytać wiadomość od Libby.

Wszystkiego najlepszego! – pisze, jakby słała esemesa prosto do mamy.

Wszystkiego najlepszego – odpisuję.

Kłuje mnie w piersi. W tym dniu tak trudno być oddzielnie.

Pogadamy później na FaceTimie? – proponuje.

Oczywiście.

Pisze coś, gdy pospiesznie pokonuję ostatni odcinek.

Dostałaś już mój prezent?

Od kiedy to dajemy sobie prezenty na urodziny mamy? – pytam.

Odkąd musimy je spędzać oddzielnie.

Ja Tobie nic nie sprawiłam.

Nie ma sprawy. Wisisz mi jeden. Ale Ty swojego nie dostałaś?

Nie. Wyszłam z domu.

A! Jesteś już w księgarni?

Będę za trzy sekundy.

Otwieram drzwi barkiem i wkraczam w znajome ciepło pachnące kurzem.

Na razie dam Ci spokój – pisze Libby. Ale przyślij fotkę, kiedy prezent dotrze, okej?

W odpowiedzi słę jej kciuk skierowany do góry i serduszko, a następnie wsuwam telefon i rękawiczki do kieszeni, by mieć wolne ręce.

Od razu podchodzę do półki z romansami. W tym roku kupię po dwa egzemplarze wszystkiego i wyślę po jednym Libby. Albo jeszcze lepiej – sama jej zawiozę, gdy odwiedzę ją w święta i z okazji

narodzin Numeru Trzeciego.

Gdy przechadzam się pośród setek nieskazitelných grzbietów, czas zwalnia. Nie muszę nigdzie być. Nie mam nic do roboty oprócz przeglądania streszczeń i cytatów z okładek, czytania niektórych ostatnich stron i pomijania innych. Co rusz pytam: „A ta, mamó? Podobałaby ci się?”.

A potem: „A mnie?”. Bo to przecież też się liczy.

Za każdym razem, kiedy stoję przed rzędami książek, słyszę salwę śmiechu mamy i czuję jej lawendowy zapach. Któregoś razu Libby i ja byłyśmy tak zajęte rytuałem 12 grudnia, że przez dziesięć minut nie zauważałyśmy stojącego obok nas mężczyzny w trenczu, który z całych sił starał się przed nami obnażyć. (Kiedy już to zrobił i wreszcie go zobaczyłam, usłyszałam siebie, jak spokojnie i bez cienia zainteresowania mówię – wciąż z książką w ręku – „Nie”. Wyraz jego twarzy dał mi największy zastrzyk siły, jaki kiedykolwiek poczułam. Przez wiele tygodni śmiałyśmy się z Libby, że w przeciwnym razie mogłoby to być wysoce traumatyczne przeżycie).

Dlatego, mimo że mam świadomość, iż kilka osób kręci się w moim polu widzenia, nie zwracam na nie uwagi, dopóki ktoś nie sięga po *Curmudgeon* January Andrews w tym samym momencie co ja.

Większość ludzi pewnie by wykrzyknęła: „Przepraszam!”, ja natomiast warczę sfrustrowana.

Żadne z nas nie puszcza książki – typowi ludzie z city. Odwracam się gwałtownie w stronę rywala, bo nie chcę ustąpić.

Serce mi zamiera.

No dobra, nie zamiera.

Nadal żyję.

Dociera do mnie, że to jest to, o czym piszą tysiące pisarzy, którzy próbowali oddać wrażenie towarzyszące podążaniu przez lata ścieżką własnego życia do momentu, w którym wpada się na coś, co odmienia je na zawsze.

I to, jak owo wrażenie wylewa się z ciebie, z samego środka. Jak czujesz w ustach i równocześnie w palcach u stóp tuzin małych eksplozji.

A potem jak ciepło promieniuje od obojczyków do ud i dłoni, jakby ujrzenie go zainicjowało proces przepoczwarzania się.

Moje ciało przeskakuje z zimy do wiosny i masa postrzępionych kielków przeciska się przez warstwę śniegu. Wiosna, taka żywa i energiczna, w mojej krwi.

– Stephens – odzywa się cicho Charlie, jakby przeklinał, modlił się, powtarzał mantrę.

– Co ty tu robisz? – sapię.

– Nie jestem pewien, od której odpowiedzi zacząć.

– Libby. – Nagle spływa na mnie zrozumienie. – Jesteś... moim prezentem?

Jego usta uśmiechają się kpiarsko, ale oczy pozostają łagodne, niemal niepewne.

– W pewnym sensie. Goode Books – mówi ostrożnie – ma nowe szefostwo.

Kręcę głową, by rozgonić mgiełkę.

– Księgarnię przejęła twoja siostra?

Teraz on zaprzecza ruchem głowy.

– Twoja.

Otwieram usta, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Gdy zamykam je znowu, łzy napływają mi do oczu.

– Nie rozumiem...

Jednak jakaś część mnie pojmuje.

Albo chce w to wierzyć.

Ma nadzieję. Owa nadzieja jest jak płonący węzeł złotej lśniącej nici, zbyt splątany, by dało się w nim dostrzec jakiś sens.

Charlie wsuwa książkę tkwiącą między naszymi dłońmi z powrotem na półkę, podchodzi bliżej i bierze mnie za ręce.

– Trzy tygodnie temu byłem w księgarni i nasza rodzina tam przyszła – zaczyna opowiadać.

– Nasza rodzina? – powtarzam za nim.

– Sally, Clint, Libby. Przynieśli PowerPointa.

– PowerPointa? – Ściągam brwi.

Kącik ust podjeżdża mu do góry.

– To było bardzo dobrze zorganizowane. Byłabyś zachwycona. Może prześlą ci kopię.

– Nie rozumiem. Jakim cudem tu jesteś?

– Sporządzili listę – kontynuuje. – Dwanaście kroków, by połączyć bratnie dusze. Uwzględnili masę cytatów z Jane Austen. Nie wiem, kto za tym stoi, Libby czy tata, w każdym razie zmierzam do tego, że przedstawili nieodparte powody.

Łzy zalewają mi oczy, nos, klatkę piersiową.

– Na przykład?

Pełny promienny uśmiech; błyskawice w oczach.

– Rozpaczliwie pragnę ujrzeć osobiście twój rowerek stacjonarny – oznajmia Charlie. – I muszę się dowiedzieć, czy twój materac zasługuje na tyle szumu. I co najważniejsze, jestem w tobie szaleńczo zakochany, Noro.

– Ale... Ale twój tata...

– Zakończył fizjoterapię wcześniej. W prezentacji napisano, że „z wyróżnieniem”, ale jestem w osiemdziesięciu pięciu procentach pewien, że to nie była prawda. Libby przejęła księgarnię. Dziewczynki biegają po niej codziennie jak oszalałe, a Tala siłuje się z każdym, kto próbuje wyjść ze sklepu z niczym. To jest piękne. Libby kazała ci też przekazać, że ona i Brendan są „nędzarami na Manhattanie, ale bogaczami w Karolinie Północnej”, więc po przyjeździe na świat dziecka Libby pójdzie na zwolnienie, zastąpi ją dyrektorka Schroeder, a potem, gdy Libby będzie gotowa wrócić, zatrudni nianię, więc masz przestać się martwić, zanim zaczniesz.

Śmieję się przez łzy i znowu kręcę głową.

– Ale mówiłeś, że mama nie dopuści do prowadzenia księgarni nikogo spoza rodziny.

Jego spojrzenie poważnieje i zatrzymuje się na mojej twarzy.

– Chyba ma nadzieję, że Libby nie będzie wiecznie kimś spoza rodziny.

Stało się. Tama pęka i zalewam się łzami szczęścia, a Charlie obejmuje dłońmi moją twarz.

– Powiedziałem rodzicom, że nie mógłbym ich zostawić, gdy mnie potrzebują. Wiesz, co na to odparli?

– Co? – Głos mi się łamie cztery razy na tej jednej sylabie.

– Że to oni są rodzicami. – On też mówi łzawo. – I że „gówno” ode mnie potrzebują oprócz tego, żebym był szczęśliwy. I nie mają nic przeciwko atrakcyjnej seksownej synowej.

Nie wiem, czy mam się śmiać, płakać dalej, czy może krzyczeć co sił w płucach. Z ekscytacji, nie ze strachu. (Czy tak należałoby wymawiać Spaaaaahhh?)

– To dokładny cytat z Sally? – upewniam się.

Charlie uśmiecha się szeroko.

– Parafraza.

Węzeł się rozwiązuje, rozplątuje we mnie, nic wyciąga się ku górze przez moje gardło i sunie w dół przez żołądek, by się zakorzenić, kiedy on mówi dalej:

– Noro Stephens, przeczesywałem swój umysł i to jest najlepsze, co potrafię wymyślić, więc mam nadzieję, że ci odpowiada.

Podnosi wzrok i wszystko w nim – w jego twarzy, w postawie, w ostrych krawędziach, poszarpanych fragmentach i cieniach – jest takie bliskie, idealne. Może nie dla kogoś innego, ale dla mnie tak.

– Wracam do Nowego Jorku – kontynuuje. – Podejmuję znowu pracę redaktora, a może agenta lub wracam do pisania. Ty awansujesz w Loggia i oboje jesteśmy bez przerwy zajęci. W Sunshine Falls natomiast Libby prowadzi lokalny biznes, który uratowała, moi rodzice rozpieszczają twoje siostrzenice jak własne wnuczki, których tak pragną, a Brendan pewnie nie stanie się lepszym wędkarzem, ale się relaksuje i nawet jeździ na płatny urlop z twoją siostrą i ich dziećmi. A ty i ja... chodzimy na kolacje. Dokąd chcesz i kiedy chcesz. Świetnie się bawimy jako ludzie z miasta i jesteśmy szczęśliwi. Pozwalasz mi się kochać na tyle, na ile potrafię, i tak długo, jak wiem, że potrafię. Masz wszystko, do cholery. I już. To najlepsze, co mogłem wymyślić, dlatego naprawdę mam nadzieję, że powiesz...

Wtedy go całuję, tak jakby pięć kroków od nas nikt nie czytał powieści z serii o Bridgertonach. Jakbyśmy właśnie się odnaleźli na bezludnej wyspie po wielu miesiącach rozłąki. Wsuwam dłonie w jego włosy, zaczepiam językiem o jego zęby, a jego dłonie wodzą po moich plecach i przyciągają mnie w najbardziej wyuzdanym obściskiwaniu się w miejscu publicznym, na jakie sobie dotychczas pozwoliliśmy.

– Kocham cię, Noro – oznajmia, gdy odsuwamy się od siebie na kilka centymetrów, by zaczerpnąć tchu. – Kocham w tobie chyba wszystko.

– Nawet mój rowerek Pelotona? – pytam.

– Świetny sprzęt.

– I fakt, że sprawdzam skrzynkę odbiorczą po godzinach pracy?

– To ułatwi wspólne czytanie erotyki z Wielką Stopą bez konieczności chodzenia po pokoju.

– Zdarza mi się nosić bardzo niepraktyczne buty – dodaję.

– Nie ma nic niepraktycznego w atrakcyjnym wyglądzie.

– A co z moją żądzą krwi?

Jego spojrzenie robi się ciężkie, gdy się uśmiecha.

– To lubię chyba najbardziej. Bądź moim rekinem, Stephens.

– Już nim byłam. Od zawsze.

– Kocham cię – powtarza.

– Ja też cię kocham. – Nie muszę przeciskać tego słowa przez żaden węzeł czy imadło zaciśnięte na gardle. To jest prawda, która wychodzi ze mnie lekko jak oddech, smużka dymu, westchnienie, kolejny płatek dryfujący w nurcie niosącym ich całe miliardy.

– Wiem – mówi. – Potrafię cię czytać jak książkę.

Epilog

Sześć miesięcy później

W witrynie wiszą balony, a przed wejściem stoi tablica. Za łagodnie oświetloną szybą widać kręcących się ludzi wznoszących toast szampanem, rozmawiających, śmiejących się, rozglądających.

Dla niewtajemniczonych może to wyglądać na przyjęcie urodzinowe. Wśród zgromadzonych znajduje się przecież dziewczynka o rudoblond lokach – dopiero co skończyła cztery lata – która podkraǳła babeczkę z wieży w głębi sklepu i teraz kreśli oszałamiające ósemki między nogami dorosłych, potracając krzesła i regały, z ustami umazanymi fioletowym lukrem.

Tłumek może też obchodzić święto jej chudej starszej siostry z prostymi popielatymi włosami, która wreszcie, nie bez trudu, nauczyła się czytać. (Teraz spędza prawie każdy dzień skulona na zielonym worku sako w dziale literatury dla dzieci z książką na kolanach). Może to być też uroczystość na cześć dziecka na biodrze różowowłosej kobiety. Małeństwo dziewięć dni temu po raz pierwszy raczkowało – co prawda tylko przez chwilę, ale na podstawie okrzyków matki prowadzącej rozmowę wideo z jego ciotką można by pomyśleć, że zdobyło Nagrodę Nobla. („Jeszcze raz, kotku! Pokaż cioci Nono, że jesteś najsprawniejszym, najbardziej wysportowanym dzieckiem wszech czasów!”)

Mąż różowowłosej kobiety również ma powód do świętowania. Po wielu tygodniach włóczenia się z lokalnym klubem wędkarskim, tego ranka, gdy nad rzeką snuła się jeszcze gęsta mgła, wreszcie coś złowił – i nieważne, że był to tylko bardzo duży biustonosz.

Podkraǳająca babeczki czterolatka przemyka mu pomiędzy nogami i wpada prosto na wysokiego starszego mężczyznę chodzącego o lasce. Mała chichocze, gdy mężczyzna mierzi jej włosy. Ktoś klepie go po ramieniu i gratuluje przejścia na emeryturę.

– Mam teraz więcej czasu na czyszczenie rynien w domu – stwierdza.

A może wszyscy zebrali się tu dla kobiety o słodkich oczach okolonych zmarszczkami, którą otacza mgiełka zaprawionego maryską jaśminu – dwa z jej obrazów przyjęto właśnie na wystawę grupową.

Powodem celebracji może być również fakt, że księgarnia, w której zebrali się wszyscy ci ludzie, zakończyła właśnie miesiąc z dochodem najwyższym od ośmiu lat.

Przyczyną może być też to, że po kilku miesiącach pracy freelancera mężczyzna o grubych brwiach i nadąsanym uśmiechu przyjął posadę w Wharton House Books o kilka szczebli wyższą od tej, jaką piastował w firmie, gdy pracował dla niej po raz pierwszy. Albo małe aksamitne pudełeczko, które bezustannie obraca w kieszeni marynarki. (Jest puste; wspomniała kiedyś, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż, sama sobie wybierze pierścionek). Bądź to, że opierająca się o niego blondynka od wielu tygodni wie, co powie. (Sporządziła listę za i przeciw, ale pod „za” wpisała tylko jego imię, a pod „przeciw”: „prawdopodobnie będę przez całe życie nosiła biżuterię, której dla siebie nie wybrałam????”).

Rzeczony przyjęcie może również być na cześć kobiety w okularach ze szklami jak denka od butelek, która ściskając szampankę, podchodzi do mikrofonu ustawionego na środku księgarni obok stolika z książkami w grafitowych okładkach. Zgromadzeni czytelnicy milkną, wyężdżają słuch, czekają na jej przemowę, na przedstawienie świata nowej historii, na którą ten czekał.

– Wszystkim, którzy pragną mieć wszystko – zaczyna – życzę, by znaleźli jeszcze więcej.

Zastanawia się, czy to, co nastąpi dalej, spełni oczekiwania.

Nie wie tego. Nie sposób to wiedzieć.

Mimo to przewraca stronę.

Podziękowania

Za każdym razem, gdy piszę książkę, lista osób, którym muszę podziękować, rośnie, za to moja szansa na to, że wspomnę o każdym, kto na to zasługuje, maleje. Mimo to spróbuję, bo prawda jest taka, że nie dotarłabym do tego miejsca książki, którą trzymasz w dłoniach, gdyby nie pomoc wielu ludzi.

Przede wszystkim dziękuję swojej ukochanej rodzinie z Berkley: Amandzie, Sareer, Dache', Danielle, Jessice, Craigowi, Christine, Jeanne-Marie, Claire, Ivanowi, Cindy i całej reszcie. Uwielbiam być częścią tej ekipy i czuję się najszczęśliwszą pisarką na świecie w związku z tym, że wylądowałam wśród tak bystrych, utalentowanych, pełnych pasji i ambicji miłośników literatury. Wielkie wyrazy wdzięczności także dla Sandry Chiu, Alison Cnockaert, Nicole Wayland, Marthy Cipolli, Jessiki McDonnell i Lindsey Tulloch.

Muszę również podziękować niesamowitemu brytyjskiemu zespołowi z Viking, a w szczególności Vikki, Georgii, Rosie i Poppy.

Ogromne podziękowania dla Taylore i całej ekipy Root Literary – w tym, ale nie tylko, Holly, Melanie, Jasmine i Molly. Jesteście tą bardziej zorganizowaną, rozsądniejszą i bardziej pragmatyczną połówką mojego mózgu i bez was zginełabym w tej branży. Wielkie dzięki dla Heather i reszty zespołu Baror International za oddanie mojej pracy w ręce czytelników na całym świecie i dla niez mordowanej agentki filmowej, Mary, jak też Orly, Nii i całej ekipy UTA.

W branży wydawniczej roi się od wrózek rodziców chrzestnych, więc i ja pragnę podziękować kilkorgu z minionych lat. Są to: Robin Kall, Vilma Iris, Zibby Owens, Ashley Spivey, Becca Freeman, Grace Atwood i Sarah True.

Nie byłoby mnie tutaj bez Book of the Month Club i mojej lokalnej niezależnej księgarni Joseph-Beth Booksellers, że już nie wspomnę o innych niezależnych księgarniach w całych Stanach Zjednoczonych i poza nimi, które mnie łaskawie wspierały i gościły na wirtualnych spotkaniach w czasie ostatnich dwóch dziwnych lat. Ciężko pracowaliście nad tym, by znaleźć sposoby łączenia autorów i czytelników w dobie pandemii, a moja wdzięczność dla was nie ma granic.

Jedną z rzeczy, które lubię najbardziej w branży wydawniczej, jest to, z jak wieloma życzliwymi, szczodrymi, zabawnymi, mądrymi i empatycznymi ludźmi skrzyżowała się moja droga. Są wśród nich (choć to z pewnością nie wszyscy): Brittany Cavallaro, Jeff Zentner, Parker Peevyhouse, Riley Redgate, Kerry Kletter, David Arnold, Isabel Ibañez, Justin Reynolds, Tehlor Kay Mejia, Cam Montgomery, Jodi Picoult, Colleen Hoover, Sarah MacLean, Jennifer Niven, Lana Popović Harper, Meg Leder, Austin Siegmund-Broka, Emily Wibberley, Sophie Cousens, Laura Hankin, Kennedy Ryan, Jane L. Rosen, Evie Dunmore, Roshani Chokshi, Sally Thorne, Christina (i) Lauren, Laura Jane Williams, Jasmine Guillory, Jossie Silver, Sonali Dev, Casey McQuiston, Lizzy Dent, Amy Reichert, Abby Jimenez, Debbie Macomber, Laura Zigman, Bethany Morrow, Adriana Mather, Katie Cotugno, Heather Cocks, Jessica Morgan, Victoria Schwab, Eric Smith, Adriana Trigiani i (absolutnie doskonała lektorka, przyjaciółka i koleżanka po fachu) Julia Whelan.

Co do reszty rodziny i przyjaciół: wiecie, kim jesteście i że bardzo Was kocham. Dziękuję za Waszą miłość, wsparcie i cierpliwość. Nie chciałabym spędzać kwarantanny z nikim innym.

I wreszcie największe podziękowania kieruję do wszystkich, którzy przeczytali, kupili, pożyczili sobie lub komuś i opisali moje książki. Ofiarowaliście mi niesamowity dar i nigdy nie przestanę tego doceniać.

PRZEWODNIK CZYTELNICZY

EMILY HENRY

**BOOK
LOVERS**

PRZEWODNIK CZYTELNICZY

Książka od kuchni

Uwielbiam filmy Hallmarku. Urokliwą scenerię. Przesadną liczbę swetrów i kozaków do kolan. Zachwyca mnie wielkie zaangażowanie w sezonowe dekoracje w każdym domu. A nade wszystko kocham szczęśliwe zakończenia.

Naoglądawszy się tych emanujących spokojem delikcji nagrywanych dla telewizji, odkryłam w sobie fascynację pewnym schematem powtarzającym się w małomiasteczkowych romansach. A wygląda on tak: spięty, niepotrafiący się cieszyć, zafiksowany na karierze główny bohater zostaje przeniesiony z dużego miasta będącego jego domem, by poprowadził firmę w którymś ze środkowych stanów. Nie chce jechać! Nawet nie ma odpowiedniego obuwia! Lecz już na miejscu, nie dość że zakochuje się w uroczej miejscowej osobie, to jeszcze poznaje prawdziwy sens życia. (Uwaga, spoiler: nie jest to zawrotna kariera w metropolii).

I wszyscy są szczęśliwi. No, może z wyjątkiem eks. Kobiety (może być też mężczyzna) pozostawionej w mieście, której rola sprowadza się zwykle do wydzwaniania do głównego bohatera i warczenia na niego przez telefon, przypominania mu, że pojechał do małego miasteczka w interesach – zrealizować masowe zwolnienia albo zniszczyć lokalne imperium zabawek po to, żeby Big Toy mógł otworzyć 667. punkt w sercu miasta, być może burząc przy okazji jedną lub dwie altany.

Ona jest przeszkodą dla prawdziwej historii miłosnej, pisanego komuś związku. Albo kontrapunktem dla miejscowej ukochanej, co ma pokazać, o ile lepiej ta druga kobieta rozumie głównego bohatera. Bądź nie złym, tylko trochę niedoinformowanym diabełkiem na jego ramieniu, usiłującym odciągnąć go od tego nowego lepszego życia.

Muszę to jeszcze raz podkreślić: uwielbiam te filmy, i choć wiele z nich nie odtwarza tego schematu, skłoniły mnie do postawienia pytania, kim jest ta kobieta.

Jak się toczy jej historia od tego momentu?

Czy sama również przeżywa odmieniającą życie historię w małym mieście?

Czy każdy spięty człowiek z city musi opuścić miasto i zakochać się w stolarzu, żeby przeżyć szczęśliwe zakończenie?

Czy jej szczęśliwe zakończenie jest podobne do happy endu jej byłego? Czego pragnie?

A najbardziej ekscytowało mnie chyba to, dlaczego tak bardzo chce, żeby jej chłopak zajął się interesami i wykonał swoje zadanie?

Z tych pytań narodziła się powieść *Book Lovers*, książka, której roboczy tytuł brzmiał: *City Person* [Osoba z city].

Jest hołdem dla wszystkich opowieści o ludziach niebędących na swoim miejscu, ale też dla kobiet, które nie mają pewności, czy są stworzone do szczęśliwego zakończenia.

Miranda Priestly z *Diabeł ubiera się u Prady*.

Meredith Blake z filmu *Nie wierzcie bliźniaczkom*.

Patricia Eden z *Masz wiadomość*.

Kobiety w markowych ciuchach i szpilkach, wymachujące czerwonym długopisem, korzystające z roweru stacjonarnego, jedzące sałatki, mające bardzo mało czasu i chęci na pieczenie, biwakowanie lub oglądanie wschodów słońca.

Postanowiłam zgłębić, kim są tak naprawdę i jak mogłoby wyglądać ich szczęśliwe zakończenie. Nie idealne, ale stosowne. „Żyli długo i szczęśliwie” tak chaotyczne, skomplikowane i porywające jak są według mnie główni bohaterowie *Book Lovers* mieszkający w city, noszący markowe ciuchy, ćwiczący na bieżni i wymachujący czerwonym długopisem.

Dlatego bez względu na to, czy jesteś małomiasteczkową ukochaną, ambitną karierowiczką, czy kimś zupełnie innym, mam nadzieję, że pokochałaś Charliego i Norę. Liczę również na to, że ich historia przypomniła ci, iż nie ma tylko jednego słusznego sposobu życia, jednego szczęśliwego zakończenia dla wszystkich i drugiej osoby na świecie, która byłaby dokładnie taka jak ty.

Pytania do dyskusji

Nora postrzega siebie niemal jako czarny charakter w historii miłosnej drugiego człowieka. Wymień swoje ulubione kobiety będące czarnymi charakterami – kogo z miejsca pokochałaś, a kogo wręcz uwielbiasz nienawidzić?

Nora zaczyna lekturę książki od ostatniej strony. Libby woli czytać, wiedząc jak najmniej o tym, co będzie dalej. A ty?

Jaka książka sprawiła, że się zakochałaś (może ponownie) w czytaniu?

Wolałabyś spędzić miesiąc w Sunshine Falls czy jak Nora żyjąc w Nowym Jorku? Dlaczego?

Miałaś kiedyś wrażenie, że różne miejsca budzą różne aspekty siebie?

Wraz z dorastaniem Libby i Nora muszą zaakceptować, że życie prowadzi je w różne strony. Czy przeżyłaś kiedyś coś podobnego z przyjaciółką lub kimś z rodziny?

Nora i Libby dorastały razem, a mimo to zupełnie inaczej doświadczały dzieciństwa. Jak myślisz dlaczego? Zdarzyło ci się doświadczyć czegoś takiego z kimś z rodziny lub przyjaciół?

Charlie chciał pisać, a został redaktorem. Nora chciała redagować, a została agentką literacką. Czy dążyłaś kiedyś do czegoś, a jednak poszłaś w zupełnie innym kierunku?

W dzieciństwie Nora i Libby zmieniały zakończenia książek, jeśli im się nie podobały. Jeżeli mogłabyś zmienić zakończenie jakiejś książki, która by to była i co byś zmieniła?

Wszyscy byli partnerzy Nory zeszli się z kobietami pozornie zupełnie różnymi od nich. Nora i Charlie tymczasem wydają się podobni jak dwie krople wody. Do której kategorii pasują twoje ulubione fikcyjne pary? Czy tak samo jest w realnym życiu?

Jeden z największych problemów Nory polega na szukaniu równowagi w sferze kompromisów w relacjach z ludźmi, których kocha. Jak myślisz, jaką rolę kompromis odgrywa w miłości? W jakim temacie nie poszłabyś na kompromis?

Jakie jest twoje wyobrażenie szczęśliwego zakończenia?

Co czytać dalej

Lista najważniejszych książek według Nory i Libby:

Incense and Sensibility, Sonali Dev

The Roughest Draft, Emily Wibberley i Austin Siegemund-Broka

Yinka, Where Is Your Husband?, Lizzie Damilola Blackburn

Arsenic and Adobo, Mia P. Manansala

A Special Place for Women, Laura Hankin

A Thorn in the Saddle, Rebekah Weatherspoon

Just Last Night, Mhairi McFarlane

An Extraordinary Union, Alyssa Cole

The Editor, Steven Rowley

The Siren, Katherine St. John

A Lot Like Adiós, Alexis Daria

Verity. Coraz większy mrok, Colleen Hoover

Więcej niż pocałunek, Helen Hoang

Portrait of a Scotsman, Evie Dunmore

The Fastest Way to Fall, Denise Williams

So We Meet Again, Suzanne Park

By the Book, Jasmine Guillory

Payback's a Witch, Lana Harper

Tydzień na uwiedzenie, Tessa Dare



Fot. Devyn Glista / St. Blanc Studios

EMILY HENRY jest autorką bestsellerów „New York Timesa” *Beach Read. Wakacyjny romans* i *Ludzie, których spotykamy na wakacjach*. Studiowała pisarstwo kreatywne w Hope College. Obecnie spędza większość czasu w Cincinnati w stanie Ohio, a część w leżącym poniżej Kentucky.

KONTAKT ONLINE

EmilyHenryBooks.com

Instagram: [EmilyHenryWrites](https://www.instagram.com/EmilyHenryWrites)